

Zachwyca w czerwieni

Hunter Madeline

Książka I z Najrzadziej kwitnąca



calibre 0.9.43

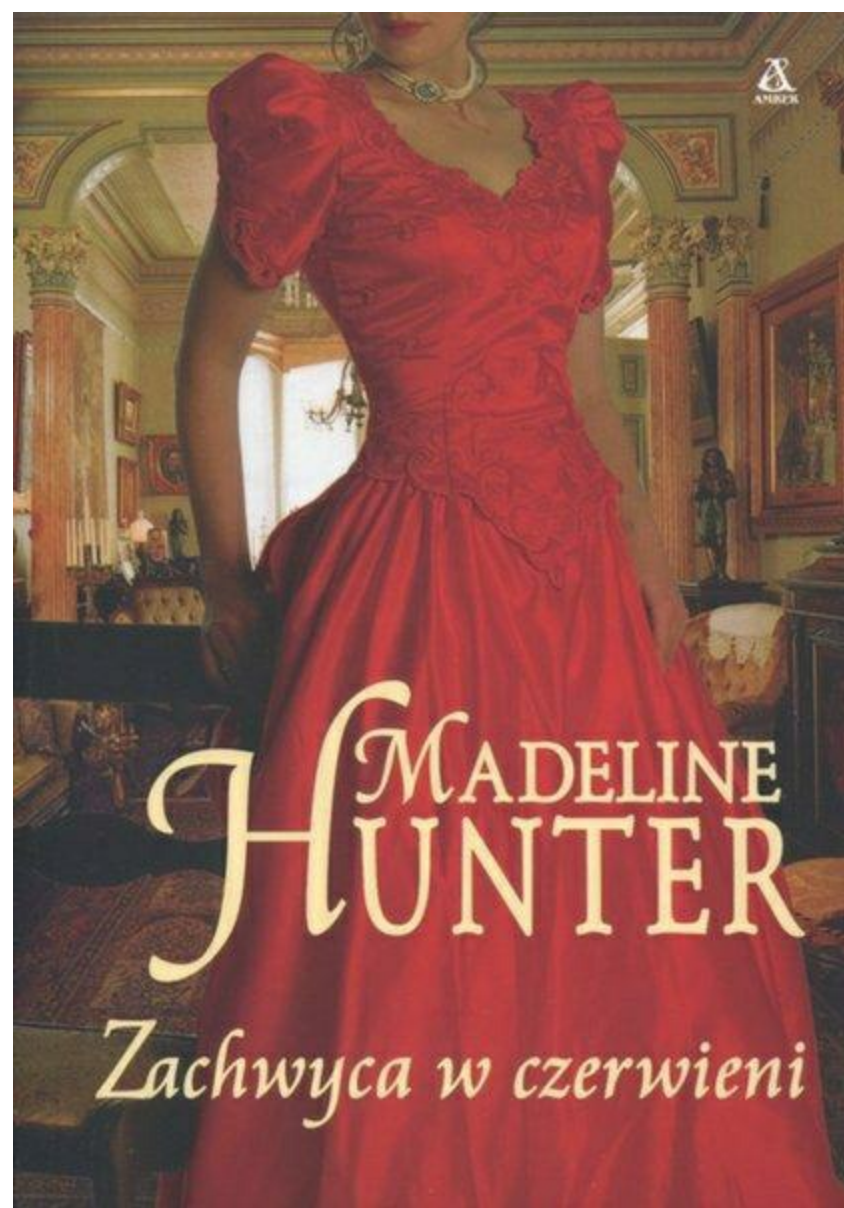
Zachwyca w czerwieni

Hunter Madeline

Książka I z Najrzadziej kwitnąca



calibre 0.9.43



Hunter Madeline

Najbardziej kwitnąca 01

Zachwyca w czerwieni

To małżeństwo podyktowała przyzwoitość, lecz namiętność nią wzgardziła...

Adrianna nie zamierzała strzelać do Sebastiana Summerhayesa – to był czysty przypadek. Wzięła ze sobą broń tylko po to, by zapewnić sobie bezpieczeństwo podczas spotkania z tajemniczym osobnikiem, który wie coś, co mogłoby przywrócić dobre imię jej zmarłemu ojcu. Jednak zamiast nieznanego

zjawia się lord Summerhayes – zniewalający mężczyzna i zaciekły wróg jej ojca. I to on staje się sprawcą kompromitującej sytuacji, która może zniszczyć reputację Adrianny. By uniknąć skandalu, Adrianna będzie musiała narazić życie i wystawić na próbę swe serce...

Samodzielna kobieta to kobieta, której nikt nie broni. Audrianna nigdy lepiej nie pojęła pierwszej lekcji udzielonej jej przez kuzynkę Daphne niż tego dnia.

Samodzielna kobieta to również kobieta o wątpliwej reputacji.

Gdy wchodziła do oberży Pod Dwoma Szpadami koło Brighton, ściągnęła na siebie o wiele większą uwagę, niż życzyłaby tego sobie jakakolwiek młoda dama. Zlustrowano ją wzrokiem od stóp do głów.

Kilku mężczyzn obserwowało jej samotne przejście przez główną izbę z tak żywym zainteresowaniem, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyła.

Widniejące w tych spojrzeniach zuchwalstwo wprawiło ją wjesz-cze gorszy nastrój, i tak niewesoły.

Wyruszyła w tę podróż przekonana o jej słuszności. Słoneczna pogoda i wyjątkowe jak na koniec stycznia ciepło zdawały się świadczyć, że opatrność sprzyja jej misji.

Łaska opatrności okazała się jednak niestała. W godzinę po wyjeździe z Londynu wiatr, deszcz i narastający chłód kazały jej gorzko pożałować wyboru miejsca na dachu dyliżansu. Była teraz przemoczona do suchej nitki i udręczona podróżą.

Zebrała w sobie siły, rozejrzała za oberżystą i poprosiła o pokój na jedną noc. Oberżysto przyglądał się jej długo, bez skrępowania, a potem poszukał wzrokiem mężczyzny, który powinien być jej towarzyszyć.

- Czy pani męża zatrzymało coś w stajni?

- Nie. Podróżuję sama.

Błada, pomarszczona twarz starego mężczyzny skrzywiła się a wargi ściągnęły co najmniej na pięć różnych sposobów, gdy znów uważnie się w nią wpatrywał.

- Mogłaby pani dostać mały pokoik, ale on wychodzi na podwórze od strony stajni.

Nieżyczliwy ton jego głosu dawał jasno do zrozumienia, że zdaniem oberżysty nic lepszego jej się nie należy.

Samodzielna kobieta dostaje również najgorszy pokój w gospodzie, to oczywiste.

- Wystarczy mi, jeśli jest suchy i ciepły.

- Proszę w takim razie za mną.

Zaprowadził ją do pokoju na tyłach pierwszego piętra. Rozpalił na kominku ogień, ale słaby.

Zauważyła, że opału nie starczy na ogrzewanie pokoju przez całą noc.

- Musi mi pani zapłacić z góry za nocleg.

Audrianna przełknęła zniewagę i wysuwała z torebki trzy szylingi. Było to więcej niż wyniosłaby opłata za jeden nocleg, ale wcisnęła wszystkie pieniądze w dłoń mężczyzny.

- Gdyby ktoś przyjechał i pytał o pana Kelmsleya, proszę tego człowieka tu przysłać, ale nie mówić mu nic o mojej obecności ani w ogóle o niczym, co by mnie dotyczyło.

Oberżysta spojrział na nią jeszcze bardziej nachmurzony, ale wziął pieniądze i odszedł bez słowa, a ona uznała, że dobiła z nim targu. Uważała, że dla dobra misji, której się podjęła, warto narazić na szwank własną reputację.

Policzyła, ile pieniędzy ma jeszcze w torebce. Rankiem, jak się spodziewała, niewiele ich już jej zostanie. Dwudniowy wyjazd z Londynu pochłonął wszystko, co zdołała uciąć dzięki lekcjom

muzyki Miną całe miesiące niechętnego odbębniania przez dziewczęta gam, zanim wyrówna tę stratę.

Wyciągnęła z torebki kartkę papieru i przybliżyła ją do słabego światła kominka, choć znała jej treść na pamięć.

„Domino pragnie się spotkać za dwa dni z panem Kelmsleyem pod dwiema szpadami w Brighton, żeby pomówić z nim o sprawie, która obydwu przyniesie korzyść”.

Prawdziwe szczęście, że się w ogóle dowiedziała o tym zamieszczonym w „Timesie” ogłoszeniu.

Gdyby jej przyjaciółka Lizzie nie miała w zwyczaju przeglądać tych rubryk w każdej gazecie czy plot-karskim magazynie, jakie wpadły jej w ręce, mogłoby ono umknąć uwadze Audrianny.

Nazwisko napisano z błędem, ale była pewna, że wspomniany tam „pan Kelmsley” to jej ojciec, Horatio Kelmsleigh. Najwyraźniej ów ktoś, kto chciał się z nim spotkać, nie wiedział, że ojciec już nie żyje.

Jego obraz stanął Audriannie przed oczami. Serce się jej ścisnęło i zapiekły od łez powieki, jak zawsze, gdy ogarniały ją wspomnienia o nim.

Widziała, jak bawi się z nią w ogrodzie i bierze na siebie winę, gdy matka skarciła ją za ubrudzone buciki. Przywołała właśnie to mgliste, odległe wspomnienie, zapewne najdawniejsze ze wszystkich.

Był wtedy w wojskowym mundurze, a więc zanim jeszcze sprzedał swój patent oficerski po

narodzinach Sarah i objął stanowisko w Komisji Zbrojeniowej, która nadzorowała produkcję amunicji

podczas wojny.

Lepiej jednak pamiętała jego zgnębioną twarz z ostatnich miesięcy życia, gdy stał się obiektem powszechnej pogardy.

Włożyła kartkę z powrotem do torebki. Świstek przypomniawszy jej, po co tu przybyła. Nic innego się nie liczyło. Ani deszcz, ani badawcze spojrzenia, ani okazywana jej nieuprzejmość. Miała nadzieję, że jej domysły są słuszne i Domino wie o czymś, co pomoże przywrócić dobre imię ojcu.

Zdjęła granatowy luźny płaszcz bez rękawów oraz noszoną pod nim szarą pelisę i powiesiła je na kołkach, żeby wyschły. Otrzepała też z deszczu kapelusik. Potem postawiła lampę na stole koło drzwi, a jedyne w pokoju drewniane krzesło przesunęła w ciemny kąt za kominkiem. Gdy tam

usiądzie, od

razu zobaczy, kto wchodzi, ale ta osoba początkowo się nie zorientuje, kto jest w pokoju.

Postawiła na krześle torbę podróżną i otworzyła ją. Pamiętała ciąg dalszy lekcji Daphne: „Samodzielna kobieta to kobieta, której nikt nie broni, musi się ona zatem nauczyć, jak się samej bronić”.

Schyliwszy się, sięgnęła po pistolet schowany w torbie pod kilkoma sztukami skromnej garderoby.

Lord Sebastian Summerhays oddał swego wierzchowca pod opiekę przemoczonego do suchej nitki

stajennego, jednego z wielu oczekujących na gości w oberży Pod Dwoma Szpadami, i wszedł do

zatłoczonej głównej izby. Pod jej dachem znalazł się przekrój społeczeństwa. Deszcz zmusił

jeźdźców

do szukania schronienia, dylizanse się opóźniały. Kobiety i dzieci zajęły niemal wszystkie krzesła i ławki, a mężczyźni obstąpili kominek, usiłując osuszyć się przy ogniu.

Sebastian dołączył do nich. Z jego podróżnego płaszcza spływały strugi wody. W powietrzu unosiła się przykra woń mokrej wełny i niemytych ciał. Kilku służących starało się ratować przed

całkowitym

zniszczeniem damskie jedwabne kapelusze i czepki z krepy, inni podawali gościom drogie i

niesmaczne jadło. Sebastian powiódł wzrokiem po tym morzu twarzy, wypatrując kogoś, kto

wyglądałby podejrzanie, był cudzoziemcem lub, jak on sam, rozglądał się dookoła z zaciekawieniem.

W ogłoszeniu posłużono się pseudonimem, który go irytował i zarazem intrygował. Utrudniał mu wykonanie zadania i pośrednio wskazywał, że cała sprawa jest owiana tajemnicą. Ogłoszenie, skierowane do Kelmsleya, świadczyło, że jego autor nie wiedział, iż adresat od roku nie żyje.

Sugerowało to z kolei, że Domino nie jest kimś z Londynu, a może i nie z Anglii. Błędna pisownia nazwiska wskazywała zaś, że nie był ani przyjacielem, ani bliskim znajomym Horatia Kelmsleigha.

Sebastian miał nadzieję, że ów Domino nawet nie wie, jak Kelmsleigh wygląda.

Samobójstwo Kelmsleigha było nieszczęściem, i to z wielu powodów. Między innymi zbyt łatwo pozwalało wyjaśnić tajemnicę, za

którą, Sebastian był tego pewny, kryło się o wiele więcej niewyjaśnionych spraw. Dziś wieczór, jak na to liczył, okaże się, czy miał rację.

- Hej, przecież to Summerhays! Nie spodziewałem się spotkać ciebie w tej nędznej norze! - dobiegł go z bliska znajomy głos, odciągając jego uwagę od otoczenia. Grayson, hrabia Hawkeswell, mężczyzna

o niebieskich oczach i kunsztownie przystrzyżonych puklach czarnych włosów, stał przy nim z niemal już pustą szklanicą grzanego wina w ręku. Serdeczny uśmiech rozjaśniał jego twarz.

- Ulewa zaskoczyła mnie pięć mil stąd - wyjaśnił Sebastian. Hawkeswell był starym przyjacielem i kompanem w latach ich hulaszczęj młodości. W innych okolicznościach Sebastian ucieszyłby się ze spędzenia w jego towarzystwie tej nieciekawie zapowiadającej się nocy, ale teraz spotkanie tu Hawkeswella było dlań kłopotliwe. - Wyjeżdżasz z Londynu czy do niego wracasz?

- Wracam. Spotkałem się dziś rano w Brighton z agentem od kupna i sprzedaży nieruchomości.

- A więc sprzedajesz swoją posiadłość?

- Nie mam wyboru.

Sebastian wyraził mu swoje współczucie. Interesy Hawkeswella nie szły najlepiej, odkąd odziedziczył

tytuł, i większości majątku nieobjętego majoratem musiał się wyzbyć. Próba rozwiązania problemu dzięki małżeństwu skończyła się żałością, gdy jego bogata wybranka zniknęła bez śladu w dniu ślubu.

Hawkeswell rozejrzał się wokoło.

- Nie masz bagażu? Mam nadzieję, że nie zostawiłeś go razem z koniem. Do rana ukradną ci tu

wszystko, co ma jakąkolwiek wartość.

Sebastian uśmiechnął się nieznacznie. Nie miał żadnego bagażu, bo zamierzał wrócić do Londynu jeszcze tego samego wieczoru, nie zważając na fatalną pogodę i ciemności.

- Wynająłeś pokój na górze? Tam jest twój bagaż? Pytałem o jakiś, ale oberżysta oznajmił, że wszystkie już zajęte. Nawet mój tytuł mi nie pomógł. Moglibyśmy u ciebie popić sobie, zapalić i uciec od tego smrodu.

- Niestety, nie mam pokoju.

Brwi Hawkeswella się uniosły. W jego oczach dojrzał zrozumienie.

- Nie wynająłeś miejsca na nocleg? I założę się, że nie jedziesz do Brighton. A więc chcesz się tu spotkać z kobietą. No, nie zaprzeczaj. Rozumiem, że każda wymówka jest dobra. Wszystko przez markiza, co? Koniec z uganianiem się za spódniczkami. - Położył palec na wargach na znak, że będzie

milczał jak grób.

Było to całkiem niezłe wytłumaczenie, Sebastian zatem nie zaprzeczył. Był uprzejmy wobec przyjaciela, ale nadal bacznie obserwował wszystkie twarze. Żadna z nich nie pasowała do Domina.

Wyglądało jednak na to, że Hawkeswell nie da mu spokoju przez całą noc. Sebastian musiał się go jakoś pozbyć, uznał więc, że przypuszczenia przyjaciela będą dobrym do tego pretekstem.

- Pozwól, że cię na chwilę przeproszę. Muszę pomówić z oberżystą o osobie, z którą mam się tu spotkać.

Udało mu się wymknąć. Oberżysta nalewał właśnie piwo jakiemuś żylastemu mężczyźnie w brązowym kapeluszu z szerokim rondem.

- Czy nie pytał tu ktoś o pana Kelmsleya?

Oberżysta spojrzał na niego spod oka, licząc pieniądze za piwo.

- Na piętrze, w tylnej części, ostatnie drzwi. Ten gość to ktoś, kogo pan szuka, ale ja nie chcę wiedzieć dlaczego.

Sebastian skierował się ku schodom. Szkoda, że domysły Hawkeswella nie odpowiadały prawdzie.

Przeczekanie ulewy w wygodnym, suchym, miękkim łóżku, z kobietą w ramionach, byłoby miłą rekompensatą za tę okropną podróż tutaj i powrót już po wypełnieniu zadania. Niestety, zamiast tego czeka go obowiązek odbycia długiej rozmowy z kimś znanym mu jako Domino.

Audrianna, owinięta szalem, kuliła się na krześle w pogrążonym w półmroku kącie. Mizerny ogień na kominku nie zdołał przemóc wilgotnego chłodu w pokoju. Ale nie tylko z zimna wstrząsały nią dreszcze.

Zmęczona czuwaniem, jeszcze raz przeczytała ogłoszenie. Spojrzała teraz na swój plan z innej perspektywy, z perspektywy całego swego dotychczasowego życia, aż do ostatnich siedmiu miesięcy.

Z tego punktu widzenia jej dzisiejsze zachowanie było całkowitym szaleństwem i niewybaczalną lekkomyślnością.

Matka z pewnością byłaby tego zdania. Papa zapewne by się z nią zgodził. Roger przeraziłby się, gdyby o tym wiedział. Przyzwoite młode damy nie podróżują samotnie dyliżansem, nie zatrzymują się w oberżach i nie czekają w ciemnych pokojach na spotkanie z nieznanymi mężczyznami.

Cała ta wyprawa zaczęła przypominać dziwaczny sen. Audrianna z wysiłkiem opanowała się jednak i znów poczuła w sobie poprzednią determinację i wolę działania.

Znalazła się tutaj, bo nikt inny nie mógł tego zrobić. Świat pogrzebał dobre imię ojca razem z jego ciałem. Samobójcza śmierć była dostatecznym dowodem winy i prawdziwości rzucanych na niego

oskarżeń. Wszyscy sądzili, że to wyrzuty sumienia, a nie głęboka melancholia, kazały mu się targnąć na własne życie.

Na całej rodzinie nadal ciążyła infamia. Matka opłakiwała utratę przyjaciół, mimo że mężnie broniła pamięci męża. Nawet stryj Rupert przestał do nich pisywać w obawie, że i na niego, jako krewnego, może paść cień podejrzenia. A Roger - no cóż, jego dozgonna miłość też nie przetrwała skandalu.

Usiłowała udawać obojętność, ale głęboki smutek rozdzierał jej serce na myśl o Rogerze. Miała jednak nadzieję, że smutek z czasem przeminie. Czerpała niejaką pociechę ze świadomości, że drugi raz nie dozna podobnego rozczarowania. Żaden mężczyzna już się jej nie oświadczy, odkąd ich życie przybrało taki obrót.

Oznajmiła matce, że zamieszka z kuzynką Daphne, żeby nie być ciężarem po śmierci ojca, skoro teraz jedynym źródłem utrzymania rodziny były tylko procenty od skromnego majątku powierniczego

matki. W rzeczywistości pragnęła zerwać z dawnym życiem, pełnym

przygnębienia, i rozpocząć nowe, które dałoby jej zadowolenie, choć już niewiele od życia oczekiwała.

Z dołu dobiegał gwar wielu głosów, ale tu, na piętrze, panował spokój, czasem tylko rozlegało się trzaśnięcie drzwiami. Ta cisza, paradoksalnie, rozwiewała jej obawy. Dobrze, że w innych pokojach też byli jacyś podróżni. Gdyby Domino zamierzał zrobić coś niestosownego, pomoc nadeszłaby, jak ufała, szybko.

Otuliła się szczerzej szalem, by opanować dreszcz. Pod tą ciepłą wełnianą osłoną zacisnęła dłoń na pistolecie Daphne. Wzięła go, by dodać sobie odwagi. I Daphne nie będzie mogła jej później besztać za to, że się nie potrafiła obronić.

Niestety, pistolet był tak ciężki, że przejął ją jeszcze silniejszy dreszcz.

Sebastian nacisnął klamkę. Ku jego zaskoczeniu drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzył je i wszedł do pokoju.

Silne światło stojącej tuż za progiem lampy prawie go oślepiło. Pozostała, znajdująca się poza kręgiem światła, reszta pokoju wydawała się pogrążona w całkowitej ciemności. Postąpił krok naprzód, by wyjść z tego jasnego kręgu. Powoli jego wzrok zaczął się przyzwyczajać do mroku.

Przygasający ogień na kominku rzucał na pokój migotliwe światła i cienie. Jednak im dłużej

Sebastian się wpatrywał w półmrok, tym wyraźniej zaczęły się z niego wyłaniać, podobnie jak na obrazach mistrzów światłocienia, rozmaite kształty.

Na wprost kominka stało łóżko z zasłonami. W ścianie koło drzwi były wbite kołki, na których wisiały jakieś ubrania. Rozpoznał też, co kryło się w ciemnych kątach pokoju. Stoliczek do korespondencji.

Masywna szafa.

Miękki zarys sylwetki w kolejnym kącie, na który nie padało światło kominka, też przybrał znajomy kształt. Kobiety.

Zatrzymał się. Przypuszczał, że Domino to mężczyzna. Wybaczalna pomyłka, jak mu się zdawało, lecz musiał przyznać, że jego przypuszczenia były bezpodstawne.

Odkrycie, że Domino jest kobietą, od razu poprawiło mu nastrój. Szybko dowie się tego, co chciał wiedzieć, i spotkanie na tym się skończy.

Zdobył się na uśmiech, którym niegdyś oczarował tyle kobiet, i podszedł do kominka.

- Proszę zostać tam, gdzie pan stoi - powiedziała. - Nalegam. Nalega? Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Miała głos młodej osoby,

choć już nie kilkunastolatki. Widział ją teraz wyraźniej.

Ciemne włosy. W interesującym odcieniu rudawego brązu, jak sierść kasztanka. Trudno mu było

określić jej wiek, ale nie miała więcej niż dwadzieścia pięć lat. Twarz wydawała się ładna, lecz w tym świetle większość kobiet wyglądałaby atrakcyjnie. Ciemny szal okrywał jej piersi i kolana.

Suknia

była szara albo lawendowobłękitna i, jak zauważył, całkiem niewyszukana.

- Chciałem się tylko ogrzać przy ogniu - wyjaśnił. - Przemokłem na wskroś podczas jazdy.

Po namyśle skinęła głową.

- Dobrze, ale proszę nie podchodzić bliżej.

Zdjął kurtkę do konnej jazdy, co ją wyraźnie zaskoczyło.

- Powiesiłbym ją, żeby wyschła, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Znowu skinęła głową przyzwalająco.

Umieścił kurtkę na jednym z kołków. Przyzwyczyił się już do słabego oświetlenia i mógł teraz stwierdzić, że wisały tam kobiece płaszcze i pelisa. Stał przy ogniu i, pozornie zajęty samym sobą, obserwował ją kątem oka.

Znowu się do niej uśmiechnął, gdy odwrócił się plecami do kominka. Poruszyła czymś schowanym pod

szalem. - Muszę pana ostrzec, że mam pistolet - powiedziała drżącym głosem, wyraźnie zaniepokojona. - Zapewniam, że nie będzie pani potrzebny.

Nie wyglądała na przekonaną. Miała zielone oczy. Widniała w nich determinacja i lekki strach. To, że się bała, świadczyło, że nie jest głupia. Strach bywa czasem użyteczny.

- Spodziewałem się zastać mężczyznę.

- Pan Kelmsleigh nie mógł przybyć, jestem tu zamiast niego. Sądzę, że pragnie pan wynagrodzenia za swoją informację, i jestem gotowa za nią zapłacić, jeśli suma okaże się rozsądna.

Postarał się nie okazać zdumienia. A więc ona go brała za Domino! Co oznaczało, rzecz jasna, że nim nie była.

Nigdy nie wierzył, że wadliwy proch wysłany na front znalazł się tam wyłącznie z powodu niedopatrzenia Kelmsleigha, choć takie karygodne zaniedbanie obowiązków każdego by zgubiło.

Sebastian podejrzewał jakąś szalbierczą intrygę, choć wątpił, by to Kelmsleigh ją uknuł i za nią odpowiadał. Nigdy się jednak nie spodziewał, że wplątane w nią były jakieś kobiety. A teraz okazało

się, że co najmniej jedna brała w tym udział.

Kim jednak, u diabła, ona jest? Gdyby to wiedział, mógłby dojść do innych uczestników spisku.

Patrzyła na niego podejrzliwie. Teraz jej strach stał się bardziej widoczny. Nie była tym, kogo się spodziewał tu zastać, ale - jak się domyślał - on również okazał się dla niej niespodzianką.

Przyjechał tu, żeby podać się za Kelmsleigha. A tymczasem jeszcze ktoś przeczytał ogłoszenie i się zjawił, by zdobyć informację.

Zmienił plany. Nie może być Kelmsleighem. Ale może być Domino.

O Boże! O nieba!

Wydarzenia tego dnia potoczyły się całkowicie inaczej, niż sobie wyobrażała.

Nie spodziewała się, że Domino jest dżentelmenem. A już z pewnością nie spodziewała się, że jest wysokim, przystojnym młodym dżentelmenem o zniewalającym uśmiechu.

Nie była pewna, czego się spodziewała, wiedziała tylko, że nie tego.

Najwyraźniej wcale się nie przejął tym, że zastał tu ją, a nie jej ojca. Nie zrobiło też na nim wrażenia ostrzeżenie, że jest uzbrojona w pistolet. Kiedy grzał się przed kominkiem, zachowywał się

uprzejmie.

I wciąż z jego twarzy nie schodził łagodny, uspokajający uśmiech.

Tylko że wcale jej nie uspokoił. Przeciwnie, ten człowiek wydał się jej bardzo niebezpieczny.

Może dlatego, że w migotliwym blasku kominka jego sylwetka rysowała się ostro, jakby składała się z

samych kanciastości. A może dlatego, że jego oczy patrzyły uważniej i czujniej, niż na to by wskazywało jego zachowanie.

Może też jej niepokój wzbudzało to, że miała do czynienia z człowiekiem bogatym, o czym

świadczyły krój i wykonanie szarej jeździeckiej kurtki, pierwszorzędne wysokie buty do konnej jazdy i doskonale uszyte dopasowane spodnie z łosiowej skóry. Zamożności dowodziły nawet jego krótko przycięte wprawną ręką drogiego fryzjera, swobodnie rozwichrzone, kręcące się ciemne włosy.

Deszcz i wiatr raczej dodały uroku fryzurze, niż ją zburzyły.

Mniejsza zresztą o jego wygląd. Nie mogła nie zauważyć zmiany atmosfery w pokoju, gdy do niego wkroczył. Powietrze stało się tak naelektryzowane, jakby z tego mężczyzny wystrzeliwały

niewidzialne iskry energii.

- Sądzę, że powinniśmy ustalić, w jakim celu się tu spotykamy,

sir.

- W taką pogodę nie mamy powodów do pośpiechu. Żadne z nas stąd szybko nie odjedzie.

Żałowała, że pozwoliła mu podejść tak blisko. Stał zaledwie o kilka kroków od niej i górował nad nią.

Był wysoki, mocnej postury, i poczuła się przy nim mała i krucha. Znalazła się doprawdy w trudnym położeniu. Miał nad nią przewagę i ta gra nie była uczciwa.

- Mimo wszystko chciałabym, żeby spotkanie trwało jak najkrócej. I znów na jego twarzy ukazał się dyskretny uśmiech, skrywający

myśli, snujące mu się po głowie.

- Kim pani jest?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Może mieć, i to nawet duże. Sądziła pani, że chciałem się tu spotkać z Kelmsleighem, i chce pani opuścić to miejsce, poznawszy fakty, których znać nie powinna. Niewinny i niepodejrzewający niczego człowiek mógłby mieć o to głęboki żal.

- Zapewniam, że tak się nie stanie - odpowiedziała ostro. Ten mężczyzna mówił tak, jakby to, co miał do zakomunikowania, nie było dobrą wiadomością. - Skoro jednak boi się pan ujawnić informację osobie postronnej, powiem, że ów Kelmsleigh był zatrudniony w Komisji Zbrojeniowej. Sądzę, że pańska informacja dotyczy jego pracy w tym urzędzie.

Tym razem uśmiechnął się mniej serdecznie. Wręcz drapieźnie, prawdę mówiąc. Oczywiście, mogło się jej tak tylko zdawać, bo pokój tonął w półmroku, ale... Z przerażeniem ujrzała, że ruszył ku niej, nie odrywając oczu od jej twarzy.

- Proszę się nie zbliżać!

Wbrew jej woli w tym żądaniu pobrzmiwał strach. Szedł dalej.

Zerwała się na równe nogi. Szal opadł na podłogę. Ścisnęła kurczowo w dłoni pistolet, choć nie skierowała go w jego stronę.

- Ani kroku dalej. Wiem, jak użyć tej broni.

Zatrzymał się na odległość wyciągniętego ramienia. Tak blisko, że widziała, iż ma ciemne oczy.

Bardzo ciemne. Tak blisko, że gdyby doń strzeliła, nie mogłaby chybić. Nie zwracał najmniejszej uwagi na pistolet i nadal wpatrywał się w jej twarz.

- Kim pani jest? - spytał ponownie.

- Pan ukrywa się pod jakimś głupim pseudonimem, takim jak Domino, i żąda ode mnie, żebym wyjawiała własne nazwisko? A kim jest pan? Też chciałabym to wiedzieć.

- Jaką rolę odgrywa pani w tym wszystkim? Jest pani współpracowniczką? Kochanką? A może krewną

któregoś z tych poległych żołnierzy? Nie chciałbym, żeby to spotkanie stało się początkiem wendety.

Przeszywał ją wzrokiem, a ona, słysząc jego badawcze pytania, straciła nieco kontenans. I choć jej nie ufał, znów się uśmiechał leciutko, urzekająco. Ten uśmiech oferował... przyjaźń i... podniecające przeżycia... i coś, o czym nie powinna myśleć w tym momencie. Był mężczyzną, na którego widok kobiety tracą głowę. Czuli się zdeprymowani odkryciem, że nie pozostała obojętna na jego urok, a to było niedopuszczalne w sytuacji, w jakiej się znalazła.

Uniosła pistolet, ale tylko na wysokość biodra. Spojrzał na broń i ponownie przeniósł wzrok na jej twarz. Ten mężczyzna wiedział, że choć rzucono mu wyzwanie, w tym starciu wygra on.

- Co takiego pan wie?

- Ile pani ma pieniędzy?

- Tyle, ile trzeba.

- A ile, pani zdaniem, trzeba?

- Nie jestem na tyle głupia, żeby się targować. Proszę wymienić cenę.

- Po co ten pistolet? - wskazał na broń. - Czy sądzi pani, że zmusi mnie nim do wyjawienia czegokolwiek, obojętne czego?

Nagle podszedł jeszcze bliżej. Prawie dotykał ciałem lufy pistoletu. Niewiele większa odległość dzieliła go od niej. Spojrzała na niego zaskoczona.

Wstrzymała oddech. Teraz groziło jej z jego strony o wiele większe niebezpieczeństwo. I żadne tam pistolety. Miały ją zauroczyć, miały uwieść spojrzenie i uśmiech, emanująca z niego niewidzialna aura. Żadna kobieta nie mogłaby się oprzeć temu mężczyźnie. Ona też. Tak jakby jego męski urok działał na jej najbardziej pierwotne instynkty, a rozum nie miał na to żadnego wpływu.

Ciało jej zareagowało, choć z całej siły starała się, by rozum wziął górę. Fala erotycznego

pobudzenia opłynęła ją całą. Usiłowała się opanować, ale fala nadal się w niej unosiła, pokonując opór, jaki

przystoi damie.

- Lepiej niech pani odłoży ten pistolet - powiedział spokojnie. - Spotkaliśmy się tu jako para sojuszników, a nie wrogów. Przyjaciół, a nie przeciwników.

Słowo „przyjaciół” wypowiedział aksamitnie miękkim głosem. Jeszcze mocniej zacisnęła dłoń na pistolecie.

- Niech mi go pani da - powiedział łagodnie, ale tonem rozkazu. Jego spojrzenie wyrażało pewność,

że postawi na swoim zarówno pod tym względem, jak i każdym innym.

W odruchu desperackiego buntu odwiodła kurek.

- Klik, klak. Rzeczywiście wie pani, jak użyć tej broni - stwierdził ponuro. Nie był już „przyjacielem”.

Był bezwzględny i rozgniewany. - To głupie, co pani robi. Niech pani chociaż skieruje lufę w inną stronę, nie we mnie. Mógłby przypadkiem wystrzelić.

- Użyję go, jeśli będę musiała. Niech pan nie wypróbuj mojej odporności.

- Nie wyczuwam w pani odporności.

- A więc wycucie pana myli.

- Jeśli chodzi o kobiety, nigdy mnie nie myli.

To była niewątpliwa aluzja do jej nieoczekiwanego podniecenia i zapierającego dech w piersiach lęku.

Wiedział o tym. Gorzej, nie wahał się o tym powiedzieć!

Przyglądał się jej uważnie, rozważając coś w myśli. To spojrzenie jednocześnie ją kusilo i przerażało.

Znów się uśmiechnął. Chciał ją tym uśmiechem uspokoić i wyrazić nieme uznanie.

- Nie odważę się wyjawić niczego, póki się nie dowiem, jaka jest pani rola w całej sprawie. Nie spodziewałem się ujrzeć tu pani.

- Skoro dostanie pan pieniądze, czy to ważne, kto usłyszy pańskie rewelacje?

- Wątpię, czy ma pani dość pieniędzy, by je kupić, nawet gdybym chciał je sprzedać.

Obawiała się, że on ma rację. Wszystko na nim było w najlepszym gatunku, najwyższej jakości. Złoty łańcuszek na gustownie wyszywanej kamizelce bez wątpienia przytwierdzony był do złotego zegarka.

Dziesięć funtów i złoty medalion schowany w jej torebce nie zrobiłyby na tym człowieku wrażenia.

A więc przejechała tak długą drogę, ryzykując zaczepki i utratę reputacji, na próżno, bo Domino żądał

za wiele! Obserwował ją, tak jakby słyszał jej myśli.

- Czy bardzo pani zależy na zdobyciu tej informacji? Jest pani taka ładna, że mógłbym ją wyjawić w

zamian za pocałunek.

- Pocałunek! Zaczynam podejrzewać, że jest pan oszustem, skoro wystarczy panu tak mała zapłata.

- Tak nisko ceni pani swoje pocałunki?

- Każdy pocałunek jest czymś ulotnym, obojętne, jaką miałby cenę.

- Co za smutny morał. A także, mam nadzieję, nieprawdziwy. Poeci mówią, że są pocałunki, które mogą na zawsze zatrzymać duszę.

- Poeci to głupcy.

Ta rozmowa zaczęła przybierać osobliwy obrót.

- Obawiam się, że pani ma, niestety, rację, lecz nadal pokładam nadzieję, że tak nie jest. Oto moja oferta. Moja dusza mówi mi, że pani może być tą jedyną kobietą, której pocałunek nigdy nie straci na wartości, przez całą wieczność.

Cóż to za śmieszny nonsens. Obydwoje wiedzieli, że on prawi jej pochlebstwa z jakichś sobie tylko wiadomych powodów, i że wcale mu nie chodzi o pocałunek. Wyraz jego twarzy świadczył, że bezwstydnie prowadzi z nią jakąś grę.

Powinna trzymać go na dystans i dowieść, że nie jest głupią gąską, która mdleje i wzdycha tylko dlatego, że flirtuje z nią przystojny mężczyzna o pięknych oczach i uwodzicielskim uśmiechu.

Prawdę mówiąc, mimo że karciła samą siebie w duchu, czuła, że trochę jej zawrócił w głowie.

Rzeczywiście, niewiele brakowało, a zaczęłyby wzdychać! Nie pozostała obojętna na komplementy.

- Muszę się oczywiście przekonać, czy naprawdę jest pani tą właśnie kobietą - ciągnął. - A skoro nie chce pani zapłaty, jestem zmuszony do kradzieży.

Nachylił się nad nią i musnął wargami jej usta. Zdrętwiała zszokowana. W piersi zatrzepotało spłoszone serce. Po raz kolejny poczuła, jak fala podniecenia podnosi się i rozlewa

w całym ciele. Roger pocałował ją parę razy i choć było to bardzo miłe, w niczym nie przypominało tego pocałunku. Ale Roger nie był dla niej kimś obcym, a jego pocałunki nie miały w sobie nic skandalicznego, niebezpiecznego i rozkosznie zakazanego.

Wargi nieznajomego nie spoczęły nieruchomo na jej ustach. Delikatnie się po nich przesuwają, naciskały, drażniły. Frywolnie, leciutko przygryzł je zębami, a wtedy serce w niej gwałtownie podskoczyło. To nowe doznanie oszołomiło ją. Zdumiało. Nowa była miękkość, wilgotność,

diabelska przewrotność. Wielkie nieba, on teraz koniuszkiem języka drażni wrażliwy brzeg dolnej wargi, a jej ciałem wstrząsa kaskada dreszczy!

Oszołomiona poczuła, że łagodnie ujmując dłoń jej nadgarstek i unosi ramię, kierując lufę pistoletu w ścianę po jej prawej stronie.

Pistolet już ich nie rozdzielał ani jej nie chronił. Jego silna dłoń miała kontrolę i nad nią, i nad pistoletem, ale pocałunek był o wiele bardziej interesujący niż nakazujący ostrożność wewnętrzny głos, który rozbrzmiał w jej głowie pełnym paniki protestem.

Przysunął się jeszcze bliżej. Serce podjechało jej do gardła.

Jego prawa ręka powoli przesuwała się wyżej, ku jej szyi, w zdumiewająco pieśczośliwym geście fizycznego kontaktu. Ostrożnie, ale zdecydowanie. Czule, ale stanowczo. Jego skóra stykająca się z jej skórą, delikatna szorstkość jego dotyku hipnotyzowały ją. Ta dłoń wywoływała w niej cudowne dreszczyki. Aż wreszcie mocno objęła jej kark. Znowu ją całował.

Tym razem mocniej. Bardziej władczo. Bardziej agresywnie. Igrał z jej bezbronnością, okazywał dominację, której - niech niebiosy ją strzegą! - nie umiała się oprzeć. Już nie zważała na to, że zezwalając mu na takie zachowanie, grzeszy, że w niewytłumaczalny sposób traci rozum. Chaos rozkosznych doznań przyćmił w niej rozsądek.

Uniósł lewą rękę i nakrył nią jej dłoń, w której ścisnęła pistolet, i pieśczośliwymi, delikatnymi ruchami palców wyłuskał z niej broń. Gdy poczuła, że jej ręka jest pusta, ogarnął ją lęk.

Cóż ona wyprawia?

Otworzyła oczy, dosłownie i w przenośni. I zobaczyła coś, co sprawiło, że nagle oprzytomniała.

Drzwi stały otworem. A oni nie byli już w pokoju sami. Za Dominem stał jakiś mężczyzna.

Jej uwodziciel przestał ją całować. Zmarszczył brwi i, widząc jej osłupiały wzrok, obejrzał się przez ramię. Krzyknął, zaalarmowany.

- Co u diabła...

Intruz spostrzegł pistolet i skoczył naprzód. Domino błyskawicznie odwrócił się, odpychając ją gwałtownie na bok. Audrianna opadła z łoskotem na krzesło.

To, co się stało, mignęło jej tylko przed oczami. Przybysz rzucił się na Domino i obydwaj potoczyli się po podłodze. Czyjaś dłoń sięgnęła po pistolet, gdy w morderczym uścisku zmagali się ze sobą.

Rozległ się donośny odgłos wystrzału. Intruz zerwał się z podłogi i wybiegł, znikając w ciemnym prostokącie otwartych drzwi.

Domino oglądał swoje ramię. Krew przesączała się przez podarty, osmalony rękaw koszuli ponad łokciem.

- Niech to diabli!

Skoczył na równe nogi i podbiegł do drzwi. Audrianna, trzymając się kurczowo poręczy krzesła, starała się opanować gwałtowne bicie serca.

Jakieś odgłosy. Coraz donośniejsze. Krzyki na dole, płacz i nawoływanie z sąsiednich pokoi.

Domino cofnął się do pokoju i zatrzasnął drzwi.

- Pańskie ramię! - zawołała.

- Kula utkwiała tam, w ścianie. - Wskazał na ciemną dziurę ziejącą w tynku koło okna. -

Wystarczyłoby pół cala bliżej, by...

I znów krzyki. Coraz bliżej. Spojrzał na nią uważnie.

- Czy będzie pani zachowywać się rozsądnie? Proszę wziąć się w garść i nie mdleć w mojej obecności.

- Jestem rozsądna. Tylko że w tej chwili nieco wytrącona z równowagi i zszokowana.

- Do licha, przecież miała pani naładowany pistolet i odwiodła kurek! Nie powinno panią szokować to, że w końcu wystrzelił.

Uniósł jej podbródek energicznym ruchem, żeby - tak przynajmniej przypuszczała - sprawdzić, czy naprawdę zachowała rozsądek, i jak bliska jest zemdlenia.

- Zaraz tu wejdą. Za kilka sekund. Proszę się nie odzywać. Ja będę odpowiadał na pytania.

Rozejrzała się po pokoju. Oczywiście, będą ich pytać. Padł strzał i każdy w obojętności go słyszał.

Zgiełk narastał. Czyjeś podniecone głosy, ciężkie kroki, ogólne zamieszanie. Nagle zapadła cisza.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

- Proszę milczeć - rozkazał jej ponownie Domino.

W drzwiach stanął wyraźnie zaniepokojony oberżysta. Niepokój ustąpił miejsca uldze, a potem na jego twarzy pojawił się gniew. Spoza jego pleców wyzierało mnóstwo innych twarzy. Wszyscy też chcieli zajrzeć do pokoju.

- Nikt nie zginął - oznajmił oberżysta, oglądając się za siebie. Gdy informacja obiegła cały korytarz, wszedł do środka i złożył ręce na piersi. Spojrzał przelotnie na zranione ramię gościa, przeniósł

wzrok na krzesło, gdzie siedziała Audrianna, a wreszcie na pistolet, wciąż leżący na podłodze.

Potem skupił całą uwagę na Audriannie.

- Wiedziałem od początku, że napyta mi pani kłopotów. Prowadzę porządną zajazd i nie będę...

- Summerhays! Co u diabła... ? - W tłumie przy drzwiach pojawiła się nowa twarz. Przystojny

mężczyzna o niebieskich oczach i z burzą ciemnych włosów na głowie przepychał się przez tłum, aż wreszcie przestąpił próg. Powiódł wzrokiem po pokoju i pokiwał głową.

- To fatalne, Summerhays. Fatalne.

Audrianna z przerażeniem zdała sobie sprawę, jak cała sytuacja wygląda. Mężczyzna i kobieta sama

sam w oberży... Mężczyzna zraniony strzałem z pistoletu... Wszyscy sądzą, że Audrianna i Domino są kochankami i że pokłócili się, i że ona do niego strzeliła!

- Krwawisz, Summerhays - powiedział ów dżentelmen. - Dostałeś kulkę?

Zrozumiała, że ten mężczyzna o imponującym wyglądzie zwraca się do Domina, a nie do oberżysty.

Summerhays! Członek parlamentu o tym nazwisku brał udział w śledztwie dotyczącym jej ojca. Lord Sebastian Summerhays, brat markiza Wittonbury'ego, okazał się człowiekiem bezwzględny,

okrutny i nieubłagany.

Jakże mógł jednak być Dominem? Przecież lepiej od wszystkich wiedział, że jej ojciec nie żyje i...

Wpatrywała się w niego, oswajając się z gorzką prawdą.

- Kula tkwi tam, w ścianie. - Oberżysta nachylił się, żeby obejrzyć uszkodzoną własność. - Ale celowano w ramię, a może nie tylko w ramię, to jasne. Strzelała bez wątpienia ta kobieta. Miał

szczęście, że niecelnie.

Tłum za drzwiami zgodził się z tą opinią. Podawano sobie z ust do ust, że jakaś kobieta próbowała zastrzelić kochanka. Oskarżenie rozniosło się po całej oberży.

- Wcale tak nie było. - Lord Sebastian oddał to, co zostało z jego rękawa, i przycisnął szmatkę do rozległej, ciemnej szramy na ramieniu. - Wdarł się tu jakiś intruz. Chyba złodziej. Próbowałem się bro-nić, ale napadł na mnie. Podczas walki pistolet wypalił.

- Niewiarygodne - mruknął oberżysta.

- Czy podaje pan w wątpliwość moje słowo dżentelmena? - spytał groźnie lord Sebastian.

- Niczego nie podaję w wątpliwość, sir. Zostawię to sędziemu pokoju, jeśli nie ma pan nic przeciw

temu. Niech jemu pan opowiada o zuchwałym złodzieju, który wtargnął do zajętego pokoju tylko po to, żeby strzelić, a potem uciekł bez pieniędzy. - Oberżysta spojrzął na Audriannę z pogardą. - Czy życzy pan, żebyśmy posłali do Brighton po chirurga? A może opatrzy ranę ta niewiasta, kiedy będzie pan czekał na sędziego? Spodziewam się, że jako dżentelmen poczeka pan na niego i nie wymknie się stąd wcześniej.

Lord Sebastian odjął od ramienia szmatę i przyjrzał się ranie.

- Ma pan moje słowo. Poradzimy sobie z tą raną. Proszę tylko o świeżą wodę i czysty bandaż. Ta dama

potrzebuje osobnego pokoju na noc, niech się pan więc o taki postara.

- Wszystkie są zajęte, a ja nikogo nie wyrzucę, żeby jej dogodzić. Nie chcę też, żeby sobie chodziła po mojej oberży, zważywszy, co zrobiła. Nie mam czasu, żeby się bawić w strażnika więziennego.

Zostawiam to panu i trzymam za słowo, że jej pan przypilnuje, żeby nie czmychnęła, nim przyjedzie sędzia.

- Niech i tak będzie, skoro pan koniecznie chce. A teraz proszę odejść.

Zażądał tego spokojnie, ale tak władczo, że oberżysta od razu znalazł się przy drzwiach. Tłumek za drzwiami zaczął rozstępować się przed nim, robiąc przejście.

- Zostaw nas i ty, Hawkeswell - powiedział Sebastian. - Chcę mieć teraz trochę spokoju, na osobności.

Liczę również na twoją dyskrecję, choć nie spodziewam się, żeby wiele mi ona pomogła. Na pewno rozumiesz, co mam na myśli.

- Chętnie ci służę jednym i drugim. Mam też zapasową koszulę w bagażach. Przyniosę ci ją. - Skłonił się lekko Audriannie i w ślad za oberżystą wyszedł z pokoju.

Sebastian zamknął drzwi tuż przed nosem kilku ostatnim ciekawskim, którzy zaglądali do środka.

Potem podszedł do kominka i dokładniej obejrzał ranę.

- Czemu jest taka czarna? - spytała Audrianna.

- Od prochu. Kula ledwie mnie musnęła, ale za to nieźle przypiekła. - Skierował uwagę na nią. - Pani nazwisko! Muszę je teraz znać i proszę nie kłamać. Sędzia pokoju na pewno je z pani wydusi, a ja, niech to licha, też wolałbym wiedzieć, z kim właściwie mam do czynienia.

Była zbyt zaskoczona i przerażona, żeby kłamać.

- Jestem Audrianna Kelmsleigh, córka Horatia Kelmsleigha. Wpatrywał się w nią, bezbrzeżnie zdumiony.

- Zobaczyłam w gazecie ogłoszenie dane przez kogoś, kto nazwał siebie Dominem, skierowane najwyraźniej do mojego ojca. Postanowiłam stawić się w wyznaczonym miejscu zamiast niego, żeby się przekonać, czy ten człowiek wie coś, co pomogłoby oczyścić imię ojca. - Jakie to wszystko wydawało się jej słuszne i konieczne jeszcze wczoraj. - A czemu pan się tu zjawił?

- Ja również zauważyłem to ogłoszenie i też chciałem porozmawiać z tym Dominem.

- Po co? Mój ojciec nie żyje. Upłynęło sporo czasu.

- Sądzę, że coś się za tym jeszcze kryje.

- Nie pojmuję, jak pan mógł dowiedzieć się czegoś o Dominie, skoro pan się za niego podawał.

- Zamierzałem podać się za Kelmsleigha. Gdy pani uznała, że to ja jestem Dominem, postanowiłem nie wyprowadzać pani z błędu i przekonać się, kim jest kobieta, której wcale się tu nie spodziewałem, oraz jaką rolę może odgrywać w spisku, mającym szerszy zasięg.

Szerszy zasięg?

Drzwi znowu się otwały. Służąca wniosła miskę oraz kubeczek wody. Położyła na łóżku kilka kawałków czystego płótna.

- Dżentelmen na dole prosił, żebym przyniosła także tę czystą koszulę - powiedziała, kładąc ją obok płótna. Spojrzała uważnie na Audriannę, a potem prędko wyszła.

Sebastian postawił kubek przy kominku, usiadł na łóżku, zdjął kamizelkę, a następnie ściągnął z siebie zniszczoną koszulę. Skrzywił się, gdy tkanina otarła się o ranę.

Audrianna zamrugła, nie wierząc własnym oczom. Ten mężczyzna się przy niej rozbierał! Siedział na łóżku, zajęty oglądaniem odniesionej rany, nie w pełni ubrany, prawdę mówiąc, na wpół nagi.

Zdawał się wcale nie przejmować tym, że ona siedzi na krześle tuż obok niego.

Nigdy jeszcze nie widziała mężczyzny bez koszuli. Próbowwała zachować wyniosłą obojętność, musiała jednak przyznać, że jeśli dama musi już oglądać na wpół obnażonego dżentelmena po raz pierwszy w życiu, to lord Sebastian jest odpowiednim mężczyzną! Już nie młodzieniec, zachował jędrną smukłość właściwą młodości, a mięśnie muskularnego torsu były napięte i prężne.

- Potrzebne mi będzie teraz to krzesło, panno Kelmsleigh. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Zerwała się z krzesła. Odwrócił je, przesunął w stronę kominka i siadł na nim okrakiem. Ciepłą wodą

z mydłem zaczął obmywać ranę na ramieniu.

Przypuszczała, że go to boli, ale nie dał tego poznać po sobie. Sprawiał wrażenie, że nie zwraca uwagi na jej obecność, ale to były chyba pozory.

- Zejdę na dół, gdy pan...

- Dałem słowo, że pani nie opuści tego pokoju. Poza tym czekają tam na panią tylko słowa wzgardy, albo i coś gorszego. Zostanie pani tutaj aż do przybycia sędziego pokoju. Zastanówmy się, co mu powiedzieć.

Podeszła bliżej. Nie udało mu się obmyć sporego fragmentu skóry z tyłu ramienia.

- Proszę pozwolić, żebym panu pomogła. Niech mi pan da tę szmatę. Podał jej płótno. Starła nim czarny pył. Teraz rana stała się lepiej

widoczna. Nie była głęboka, ale okalał ją szeroki pas spalonej skóry. Chirurg też nie zrobiłby nic więcej poza oczyszczeniem rany.

- Przyjrzała mu się pani dobrze? - spytał. - Temu Dominu?

- Sądzi pan, że to był on.

- Z pewnością. Musiał podsłuchać, jak pytałem o drogę do tego pokoju, i myślał, że Kelmsleigh tu jest.

Widziała pani jego twarz? Rozpoznałaby go pani?

Usiłowała przypomnieć sobie bieg wypadków. Twarz intruza mignęła jej przez moment pod kapeluszem z szerokim rondem, gdy

padł na nią odblask ognia. Zauważyła jego zaskoczenie, gdy zobaczył ją, zasłoniętą przez lorda Sebastiana, a potem pistolet w ręku lorda.

- Tak. Sądzę, że mogłabym. Myśli pan, że on tu wciąż jest?

- Strzelał do człowieka. Teraz jest już daleko od tej oberży. Dobrze, że choć jedno z nas go widziało.

Może się to później przydać.

Głos miał stanowczy i gniewny. Jednak nie sądziła, że jego zainteresowanie osobą Domina w czymkolwiek jej pomoże.

Kiedy dokładniej przemywała i oczyszczała mu ranę, siedział zamyślony, ale potem oderwał wzrok od

ognia i spojrzał na nią nachmurzony.

- Nie powinna tu była pani przyjeżdżać. Cóż sobie pani właściwie myślała?

- Że nikomu nie zależy na poznaniu prawdy, a w takim razie lepiej będzie, gdy ja się tym zajmę.

- Niepotrzebnie pani wszystko skomplikowała i narobiła kłopotów.

- Nie wierzę, żeby człowiek z pańską pozycją społeczną miał kłopoty. Ani że jakikolwiek mężczyzna zapomniał się z mojego powodu. Przypominam więc panu, że to pan napytał sobie kłopotów i stąd pańska rana.

Oczy mu gniewnie zabłyśły, gdy usłyszał to oskarżenie, ale gniew szybko przygasł. Nadal miał surową twarz, jednak już jej o nic nie winił.

Audrianna też była wzburzona. I niedawne wydarzenia, i pewne słowa wymagały wyjaśnienia.

- Wspomniał pan o spisku o szerszym zasięgu, lordzie Sebastianie. Co miał pan na myśli?

- Nie wierzę, by pani ojciec był winny tylko zaniedbania obowiązków. Nie wierzę, by dostarczenie żołnierzom wadliwego prochu, który pozbawił ich możliwości obrony, było dziełem przypadku.

Odpowiedź ją przeraziła. On sugerował, że ojciec świadomie wysłał na front zły proch!

- Jak pan śmie! Czy nie wystarczy, że został okryty hańbą wskutek niesprawiedliwego oskarżenia, co

go pchnęło do popełnienia desperackiego czynu? Żeby go jeszcze obwiniać o...

- To on był ostatnim ogniwem w łańcuchu kontroli jakości. Dostawa nie mogła być wysłana bez jego podpisu. Obojętne, czy był winien zaniedbania, czy udziału w spisku, oskarżenie nie było bezpodstawne, panno Kelmsleigh. Przykro mi, ale tak wygląda prawda.

Chciała go spoliczkować za tę zniewagę. Przycisnęła płócienną szmatkę mocniej do rany, a łzy gniewu zamąciły jej wzrok.

- Nie, to nieprawda. Pan się myli. Mój ojciec nie był niczemu winien.

Nagle przytrzymał jej dłoń na swoim ramieniu. To dlatego, że zadała mu nieświadomie ból. Ale jego ręka ściskająca mocno jej dłoń i bliskość jego twarzy, nadal nieporuszonej mimo bólu,

nieoczekiwanie wytworzyły atmosferę intymności.

Jego insynuacje dotyczące ojca zatrwożyły ją. Ale zaskoczył ją po raz kolejny. Nadal trzymał jej dłoń w swojej i zrozumiała, że chciał tym gestem ją uspokoić i pocieszyć.

Nikt, jak dotąd, nie starał się jej pocieszyć, odkąd wybuchł skandal. Nie matka, tak zgnębiona najpierw rozpaczą, a potem żalem. Z pewnością nie Roger. Nawet nie kuzynka Daphne, która potraktowała całe to wydarzenie jak książkę, którą lepiej byłoby zamknąć na zawsze.

A teraz mężczyzna, przez którego jej ojciec się powiesił, próbował ją uspokoić, ukoić. Powinna strząsnąć z siebie jego rękę i zignorować dobre chęci. Powinna mu powiedzieć, że jest ostatnią osobą, od której oczekuje pocieszenia.

Nie zrobiła tego. Przez kilka chwil się nie poruszyła. Przymknęła oczy i przyzwoliła mu na okazanie troskliwości. Spłynęła na nią niczym strumień ciepłej wody. Wzruszona, uspokoiła się. Już nie dbała o to, od kogo doznaje pociechy, bo rozpaczliwie pragnęła ukojenia.

Uniósł jej rękę, wyciągnął zakrwawioną szmatę z zaciśniętych na niej palców, a potem sięgnął po czystą.

- Proszę mi pomóc obwiązać ranę, żebym mógł powitać naszego gościa w ubraniu.

Drżącymi dłońmi obwiązała mu ramię. Nawet nie drgnął.

Wstał. Nagle jego obnażona pierś znalazła się na wprost jej twarzy. Widok tego muskularnego ciała, jego skóry w blasku ognia, rzeźby silnego męskiego ramienia na moment ją oszołomił.

Zmusiła się, żeby podnieść wzrok, i zobaczyła, że obserwował ją, gdy wpatrywała się w jego obnażone ciało, i dostrzegł, jak zareagowała na jego bliskość. Poczowała, że krew napływa jej gwałtownie do twarzy. Cofnęła się i odwróciła, żeby ukryć zażenowanie.

Jego spojrzenie nie wyrażało potępienia. Nie było w nim też dwuznacznej insynuacji ani lubieżnej zachęty. Było w nim coś o wiele bardziej zdumiewającego.

To było zafascynowanie i milcząca zgoda na wspólny sekret. A także pewność siebie, jakby wiedział,

że jest wart przyglądania mu się, jakby uznał jej zainteresowanie za coś, czego się po niej nie spodziewał w przeciwieństwie do innych kobiet.

Słyszała, jak się ubierał, a potem znów przesunął krzesło.

- Panno Kelmsleigh.

Zmusiła się, żeby na niego spojrzeć. Prezentował się teraz bez zarzutu. Miał na sobie nie tylko koszulę i kamizelkę, ale także kurtkę do konnej jazdy, którą zdjął po wejściu. Halsztuk zawiązał całkiem

porządnie, choć ramię musiało go przy tym porządnie zabołec.

- Panno Kelmsleigh, przykro mi z powodu śmierci pani ojca. Przykro mi, że pogrzyżała panią w rozpacz. Przykro mi też, że dochodzenie przeze mnie prawdy przysporzyło pani rodzinie cierpień.

Jednakże jeszcze dzisiejszej nocy lub jutro rano miejscowy sędzia pokoju zada kilka kłopotliwych pytań. Muszę panią prosić, by mi zaufała i pozwoliła odpowiedzieć na nie za nas oboje.

Wzmianka o śmierci ojca wzbudziła w niej na nowo gniew, który pchnął ją do całej tej nieszczęsnej podróży. Choć była mu wdzięczna za chwilową pociechę, w gruncie rzeczy niczego to jednak nie zmieniało.

- Wtrącił pan mego ojca do grobu, lordzie Sebastianie. Pan i inni członkowie parlamentu, którzy wciąż rozprawiali o tym prochu. Nie chciał pan słuchać żadnych wyjaśnień i nastawał, by Komisja Zbrojeniowa znalazła kozła ofiarnego, którego mógłby pan publicznie napiętnować. Zrobiłabym głupstwo, ufając panu.

- Rozumiem to, ale w tej chwili tylko ja mogę panią ochronić. Moje słowo dżentelmena, tytuł brata i moje stanowisko oszczędzą pani przykrości.

- Oszczędzą przykrości? Padnę ofiarą skandalu niezależnie od tego, kim pan jest, gdy się rozejdzie wieść, że byliśmy tu sami we dwoje, a pańska pozycja społeczna zwiększy tylko moją kompromitację.

- To jeszcze najmniejszy kłopot. Lepiej, by sędzia pokoju uznał to za kłótnię kochanków. Bo kiedy się

dowie, że jest pani córką Ho-ratia Kelmsleigha, gotów będzie uznać, że spotkanie pani ukartowała, żeby mnie zabić i pomścić śmierć ojca.

Już miała mu się zaśmiać w twarz, gdy nagle ujrzała całe to ponure zajście okiem oberżysty. Lord Sebastian miał słuszność. Po zidentyfikowaniu jej jako córki Kelmsleigha interpretacja wypadków tej

nocy byłaby dla niej o wiele bardziej niekorzystna.

Słabo się jej zrobiło na samą myśl o tym. Nie powinna była w ogóle opuszczać bezpiecznego schronienia w domu Daphne. Nie powinna była buntować się przeciw niesprawiedliwym rządzeniom

losu. Jak mogła być tak głupia, by sądzić, że zdoła go odmienić?

Lord Sebastian wskazał na łóżko.

- Nie wiadomo, kiedy przybędzie sędzia. Postaram się tak przygotować posłanie, by mogła pani nieco

odpocząć, odgradzona ode mnie, a ja się w tym czasie zastanowię, jak panią uchronić przed aresztowaniem za usiłowanie morderstwa.

Zaciągnął kotary łóżka zdrową ręką. Potem uniósł dolny rąbek materii z jednej strony i podwinął w połowie szerokości łóżka. Powstał w ten sposób wąski, ale wygodny tunel, w którym mogła znaleźć odrobinę odosobnienia, ukryta przed jego wzrokiem.

- Proszę się tam ułożyć, panno Kelmsleigh. Może uda się pani zasnąć. Nie będę pani przeszkadzał.

Jest pani całkowicie bezpieczna.

Przyjrzała się z namysłem łóżku.

- A gdzie pan się położy?

- Z drugiej strony tej przegrody.

- To byłoby bardzo niestosowne.

- Nie uważa pani, że nie czas teraz na ceregiele?

Skrzywiła się z rezygnacją, owinęła szalem, uniosła skraj kotary i zniknęła za nią. Istotnie, znaleźli się w sytuacji bez wyjścia i nie było sensu się certować. Nie mógł przecież przesiedzieć ze zranioną ręką całą noc na drewnianym krześle i zapewne nie pozwoliliby też, by siedziała tam ona, a on leżałby

w

łóżku.

Położyła się na boku i zamknęła oczy. Mimo wyczerpania była napięta jak struna. Słyszała, jak chodził po pokoju.

Potem zaś siennik ugiął się za jej plecami i podwinęła zasłonę. Czowała jego ciepło, choć ich ciała się nie stykały. Próbowwała zasnąć. Na próżno. Był tuż obok, tak blisko. Zbyt blisko. Wyobraziła sobie, że wyciąga rękę ku niej i...

Myśl o tym wstrząsnęła nią. I żar, który poczuła nagle w całym ciele. Próbowwała myśleć o czymś innym, o matce, o Sarah, o ich ojcu. Nawet o Rogerze. Niewiele jej to pomogło. Intymność sytuacji ją przytłaczała. To było gorsze niż podróż w zatłoczonym dylizansie z obcymi sobie ludźmi. Tam każdy udawał, że innych pasażerów wokół niego nie ma, ignorując ich fizyczną bliskość, co byłoby

niewłaściwe w każdej innej sytuacji. Pasażerowie pozostawali sobie obcy, nawet jeśli któryś

zagadnął

do drugiego, bo były to rozmowy bez znaczenia. Na końcu podróży wszyscy znikali, a wraz z nimi ulatniała się chwilowa bliskość.

Lord Sebastian nie zniknie. Będzie go musiała ujrzeć rano i nie może wtedy udawać, że nic się nie zdarzyło. Nie był już także kimś obcym, a ich rozmowa dotyczyła bardzo ważnych spraw.

I pocałował ją. A ona mu na pocałunek pozwoliła! Właśnie tym się naprawdę przeraziła i, nie ma co ukrywać, czekała, co się jeszcze stanie. Miał prawo myśleć, że gdyby wyciągnął rękę i ją objął, nie wzięłaby mu tego za złe. Właśnie to przyzwolenie na pocałunek sprawiło,

że coraz silniej odczuwała bliskość jego ciała. Bliskość zaskakującą, niepokojącą, nieustającą. On także nie spał, dobrze o tym wiedziała. Nie odważyła się więc nawet drgnąć. Przez całą noc.

Sebastian odczekał kwadrans, siedząc na drewnianym krześle. Dokuczało mu zranione ramię. Potem położył się, w ubraniu i butach, na drugiej połowie łóżka. Starannie unikał najlżejszego nawet dotknięcia tkaniny, która ją osłaniała.

Pomogło mu już samo wygodniejsze ułożenie barku i ramienia. A może to bliskość kobiecego ciała odwróciła jego myśli od zranionej ręki? Jak większość mężczyzn, a może nawet jak wszyscy, był

uwodzicielem, zdobywcą kobiecych serc. Uśmiechnął się, ubolewając nad sobą, gdyż już sam szmer jej oddechu wywołał u niego oznaki podniecenia.

Do licha, leżał tu, w ubraniu i butach, i zachowywał się tak przyzwoicie, jak na to pozwalała fatalna sytuacja, a jednak ciało zachęcało go do rozmyślania, co by było, gdyby...

Co gorsza, choć leżała nieruchomo, miał pewność, że również nie śpi. Żadna kobieta równie

niewprawna w pocałunkach jak ona nie zachowywałaby się tak spokojnie, przebywając w jednym pokoju z mężczyzną, i to oddzielona od niego jedynie tkaniną.

Jej brak doświadczenia w tych sprawach wskazywał, rzecz jasna, że wszelkie spekulacje są nonsensowne. Nie mówiąc już o tym, że ledwie mógł poruszać ręką.

Zmusił się, żeby nie myśleć o kotarze i kobiecie za nią, która swoim ciałem przyjemnie ogrzewała łóżko. Zaczął wpatrywać się w ledwo tłący się ogień na kominku, póki nie przygasł ogień w jego żyłach.

Gdy myśli o niej odpłynęły, ramię zaczęło go znów wściekle rwać, a on rozmyślał o tym, jak ta noc raptownie przybrała katastrofalny obrót.

Podziwiał odwagę panny Kelmsleigh, która ośmieliła się spotkać z Dominem, ale w miarę odtwarzania w myśli przebiegu wypadków zaczęła narastać w nim irytacja. Gdyby, jak każda inna kobieta, została

w Londynie, zdołałby urzeczywistnić swoje plany i poznać prawdę o spisku. Byłoby mu miło przekazać bratu wnioski z tego płynące. Niestety, teraz wszystko diabli wzięli.

Ciągle czuł jej obecność obok siebie. Zapewne i ona nie zapominała, że on tu jest. Świadomość wzajemnej bliskości wypełniała cały pokój. Atmosfera intymności wymuszona przez wypadki tej nocy otaczała ich oboje coraz gęstszą niewidzialną siecią

Rozmyślał wciąż o niedawnym pocałunku. Namacalna obecność Audrianny kazała mu wciąż wracać myślą do niego i do fizycznego dyskomfortu, jaki, leżąc przy niej, odczuwał, niezaspokojony.

Początkowo przypuszczał, że jest kobietą doświadczoną w grze miłosnej, którą z nią zaczynał prowadzić, ale omylił się, jak zresztą nieraz tej nocy.

Jej zaskoczenie, pełne zdumienia oszołomienie oczarowały go, wręcz zachwyciły. Niewinność może niezwykle pociągać mężczyzn, niewątpliwie. Pocałunku, jakże rozkosznego, nie zapomni długo. Tak mu zawróciła w głowie, że prawdziwy Domino zdążył dojść aż do połowy pokoju, nim oboje spostrzegli, że nie są już sami.

Próbował sobie przypomnieć cokolwiek z wyglądu intruza, były to jednak tylko niejasne, zamglone strzępy obrazów. Dostrzegł jedynie nasunięty na oczy, ciemny kapelusz z szerokim rondem. Podejrzewał, choć nie był pewien, że człowiek, płacący za piwo, gdy on rozmawiał z oberżystą, miał właśnie taki kapelusz. Gdyby istotnie był Dominem, mógł podsłuchać, gdzie powinien pójść, i sam

już

nie musiał o nic pytać.

Choć jej udział w całym tym wydarzeniu przysporzył mu kłopotów, jego irytacja nie trwała długo.

Opadła, gdy wspomniał pocałunki. Rozumiał też jej pragnienie, by oczyścić ojca z zarzutów.

Pojmował, czym jest miłość rodzinna i poświęcenie, jakiego może wymagać. Musiał przyznać, że jej zamiar, choć nierozważny, dobrze o niej świadczył, nawet jeśli był daremny. Horatio Kelmsleigh nie miał syna, który mógłby walczyć o dobre imię ojca, podjęła się więc tego zadania córka.

Przypomniał sobie wszystko, co wiedział o rodzinie Kelmsleighów, łącznie z tym, czego się

dzisiejszej nocy dowiedział od Audrian-ny. Obserwował pogrzeb Horatia Kelmsleigha. Samobójcę pochowano w niepoświęconej ziemi. Żałobników było niewielu. Człowiek potępiony przez opinię publiczną nie ma licznych przyjaciół.

Widział wdowę w ciężkiej żałobie i dwoje towarzyszących jej dziewcząt. Jedna tuliła się do matki, szukając w jej ramionach pociechy. Druga stała nieco dalej, jakby chciała przez to zaznaczyć emocjonalną izolację. Znajdował się dość daleko od niewielkiej grupy uczestników pogrzebu i dojrzał tylko tyle, że kobiety były ciemnowłose.

Tego dnia szpiegował żałobników, bo sądził, że inni konspiratorzy, przyjaciele lub znajomi zmarłego mogą się pojawić przy jego grobie. To mężczyźni skupili jego uwagę, nie kobiety.

Zona i córki Kelmsleigha straciły nie tylko męża i ojca. Najbliższe miesiące miały im przynieść kłopoty zarówno finansowe, jak i towarzyskie. Nie obchodziło go zbytnio, jakie będą konsekwencje prowadzonego przez niego śledztwa i śmierci głowy rodziny dla tych Bogu ducha winnych kobiet.

Prawdę mówiąc, w ogóle o tym nie myślał.

A teraz jedna z tych kobiet leżała przy nim na łóżku, w pokoju, gdzie nie powinni się razem znajdować.

Skrzyżował nogi. Ciekaw był, czy sędzia pokoju okaże się człowiekiem rozumnym, czy też ograniczonym.

Przesłuchanie, jakie go czekało, mogło się zakończyć wydaniem dwóch różnych wyroków, lecz każdy z nich był niepomysłny dla panny Kelmsleigh.

Zapukano energicznie do drzwi. Sebastian zbudził się z niespokojnego snu, w jaki zapadł. Kiedy zerwał się na nogi, rana zaboląła go bardzo dotkliwie. Spojrzał w okno. Słabe światło przesączało

się przez szpary w zamkniętych okiennicach. Wkrótce miało świtać.

Panna Kelmsleigh również wstała. Wygładziła suknię, wyrównała pościel, a później podeszła szybko do kołków, żeby zdjąć z nich

pelisę. Począł, póki jej nie włożyła. Pospiesznie próbowała przygładzić rozwichrzone włosy, patrząc w lustro.

Pukanie rozległo się ponownie. Porozumieli się spojrzeniem. Wyglądała na przygnębioną, zrezygnowaną i zażenowaną tą wspólnie spędzoną nocą. Bez wątplenia po długich godzinach rozmyślenia o tym, co się wydarzyło, uświadomiła sobie, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazła.

Otworzył drzwi. Na progu stał Hawkeswell, a nie oberżysta.

- Koniecznie chciałem zajrzeć tu pierwszy - wyjaśnił.

- Dobrze zrobiłeś. Dziękuję ci.

- Sędzia pokoju jest na dole. Czy zejdziesz do niego, czy też on powinien przyjść tutaj?

- Nie jest to najodpowiedniejsze miejsce, ale lepsze niż inne. Nie potrzeba nam wkoło gapiów.

Hawkeswell przytaknął skinieniem głowy.

- A jak twoje ramię?

- Ledwie draśnięte. Jeśli chcesz mi pomóc, dowiedz się, kiedy odjeżdża najwcześniejszy dyliżans do Londynu i daj mi o tym znać.

Hawkeswell wyszedł pospiesznie. Sebastian zamknął drzwi.

- Punkt dziewiąta - odezwała się panna Kelmsleigh. - Wtedy odjeżdża stąd pierwszy dyliżans.

Zamierzałam nim wrócić. Dobrze potrafiła ukryć zdenerwowanie. Gdyby nie zaciskanie dłoni i poważny wyraz twarzy, nikt by się nie domyślił, że za chwilę czekają przesłuchanie.

Sebastian, uznawszy, że jej postawa i poprawne maniere zrobią na sędzim lepsze wrażenie niż

cierpiętnictwo, otworzył okiennice, żeby rozproszyć resztki mroku. Potem odwrócił się ku Audriannie i po raz pierwszy przyjrzał się jej dokładnie w świetle poranka.

Włosy miały głęboki, kasztanowaty odcień, a rdzawe błyski migotały w nich nawet teraz. Oczy były zaskakująco zielone, rysy bardzo regularne i delikatniejsze, niż się mu wydawało w blasku ognia padającego z kominka. Twarz, o dojrzałej i jedynej w swoim rodzaju urodzie, można było nazwać raczej ładną niż piękną.

Na tyle ładną, że zatrzymał się na moment i przypomniał sobie ich pocałunek. Później ustawił krzesło przy kominku, ale tak, by znalazło się naprzeciw ognia.

- Proszę tu usiąść. Sędzia, już wchodząc tu, zobaczy, że jest pani damą, co będzie miało wpływ na całą rozmowę.

Usłuchała go. Sebastian wziął pistolet, który przez całą noc leżał na stole, i położył go na gzymsie kominka, tuż przy ścianie, tak żeby nie rzucał się od razu w oczy.

Rozległo się kolejne pukanie do drzwi, ale dużo mniej energiczne niż Hawkeswella. Dobry znak.

Sir Edwin Tomlison był wysoki i szczupły, a czarne, gęste włosy zaczęła mu już przyprószać siwizna.

Wszedł do pokoju i przedstawił się, a zrezygnowany wyraz jego twarzy powiedział Sebastianowi sporo o tym człowieku. Cenił on sobie funkcję sędziego pokoju z powodu statusu, jaki mu dawała w hrabstwie, ale nie lubił obowiązków, które się z nią łączyły.

- Lordzie Summerhays - sir Edwin złożył mu ukłon. - Miałem zaszczyt poznać niegdyś pańskiego brata, nim wyruszył na wojnę i... - tu sędzia zawiesił głos, przybierając pełną współczucia minę.

- Pan również wiele zdołał podczas wojny, sir Edwinie, za co dostał pan tytuł szlachecki.

Sir Edwin się rozpromienił. Uszlachcony właściciel ziemski był rad, że brat markiza znał powody jego wyniesienia na wyższy szczebel hierarchii społecznej.

Sebastian przedstawił mu pannę Kelmsleigh. Sir Edwin okazał zaskoczenie, ale i zrozumienie, słysząc

jej nazwisko.

- Fatalna historia - rzekł do Sebastiana. - Na dole zebrał się już niegorszy tłum podniecony wypadkami, w których pan wziął udział. Opowieści tych ludzi dotrą w południe do Brighton, a do Londynu nocą, musimy więc porozmawiać całkiem szczerze.

- Zamierzam tak właśnie zrobić. Powiedziałem już oberżyscie, a teraz powtarzam panu, że wtargnął tu

jakiś intruz, który postrzelił mnie podczas walki. Uciekł od razu.

- Czy może go pan opisać lub rozpoznać?

- Nie widziałem go zbyt dobrze. Wszystko stało się zbyt szybko. Zapewne sądził, że w pokoju są tylko bagaże, a ludzie, którzy go wynajęli, spożywają kolację na dole. Wydawał się tak samo

zaskoczony

moją obecnością, jak ja jego - wyjaśnił Sebastian. - Nosił charakterystyczny kapelusz. Brązowy, wydaje mi się, i niezbyt elegancki.

I to był cały opis.

Sir Edwin zamyślił się. Spojrzał bystro na Audriannę, po czym podszedł w zadumie ku oknu. Światło z szarawego stało się już całkiem jasne i w jego blasku można było dostrzec konsternację sędziego.

Sebastian stanął obok niego. Sir Edwin wyrzwał przez okno i powiedział przyciszonym głosem:

- Czy to czasem nie córka Horatia Kelmsleigha? Wszyscy w Anglii znają jego nazwisko. Jej

obecność

tutaj wzbudzi wątpliwości.

- Pojmuję. Proszę mi zadawać pytania, a ja odpowiem na nie jak dżentelmen, w granicach tego, co dżentelmenowi wolno mówić.

- Czy mam rozumieć, że na niektóre pytania w tej kwestii dżentelmen nie będzie chciał

odpowiedzieć?

Sebastian milczał. To było wymowne milczenie. Bez względu na reputację Audrianny.

- Mam obowiązek panu powiedzieć, że oberżysta twierdzi, iż to panna Kelmsleigh oddała strzał, który

pana zranił.

- Oberżysty tu wtedy nie było, nie może więc znać faktów. Daję panu słowo, że wtargnął tu ktoś

- mężczyzna, jak już wspomniałem. Poręczę za jej niewinność, jeśli pan tego zażąda. Mogę to zrobić na rozprawie, jeśli do niej dojdzie, ale wolałbym oszczędzić pannie Kelmsleigh konieczności

odpierania bezpodstawnego oskarżenia.

Sir Edwin poczerwieniał. Żądanie poręczenia od dżentelmena, który dał słowo honoru, byłoby

obrazą.

Przeraził się, że Sebastian mógł insynuować mu podobny zamiar. Mimo to raz jeszcze spojrzął na Audriannę.

- Zważywszy pańską rolę w tamtym śledztwie, lordzie Sebastianie, jej obecność tutaj jest osobiwa.

Nie spodziewałbym się, że obydwójcie... hm... zaznajomiliście się ze sobą.

- Ale interesowanie się tą znajomością nie wchodzi w zakres pańskich obowiązków, nieprawdaż?

- Nie, ma pan słuszość - oczywiście jeśli był tutaj ów intruz. Postaram się nie mieszać jej do tego, ale gdyby mi się nie udało... Być może powinienem powiedzieć, że moim zdaniem znalazła się tu, by udzielić informacji o poczynaniach swojego ojca. Może to powstrzyma innych od snucia

przypuszczeń, że jej obecność miała inne przyczyny.

- Może pan powiedzieć, co uzna za stosowne, inni niech sobie przypuszczają, co chcą, ale to nie ona strzeliła z tego pistoletu.

Sir Edwin skinął głową na znak zgody.

- Sądzę, że rozumiem, w jakich okolicznościach do tego doszło. Sebastian spojrzał na swój kieszonkowy zegarek.

- Pierwszy dyliżans odjeżdża stąd za kwadrans. Panna Kelm-sleigh pragnie wrócić do Londynu.

Niech

pan z nią zejdzie na dół i wyprowadzi ją stąd bezpiecznie, tak żeby ciekawscy i grubianie nie nękali jej pytaniami. Sir Edwin wyprostował się dumnie.

- Z całą pewnością. Spodziewam się, że wkrótce tych pytań będzie o wiele więcej. Z miłą chęcią oszczędzę jej dziś rano najgorszego.

Jego spojrzenie mówiło jednak coś przeciwnego. To właśnie dżentelmenowi naprzeciw niego stanowczo należało oszczędzić najgorszego, a panna Kelmsleigh niech ponosi wszystkie koszty niefortunnego epizodu.

Niewypowiedziane potępienie Audrianny przez sędziego rozdrażniło Sebastiana. Nikt nie uwierzy, że spotkał tu Audriannę wsku

tek przewrotnego zrzędzenia losu. Najważniejsze jednak było to, że sir Edwin nie zamierzał zatrzymać jej pod zarzutem próby zabójstwa brata markiza.

Podszedł do krzesła.

- Panno Kelmsleigh, sir Edwin skończył nas już przesłuchiwać. Uzyskał zadowolające go wyjaśnienie.

Odprowadzi panią teraz do dyliżansu.

Uniosła wzrok wbity we własne kolana. Na jej twarzy, dotąd obojętnej, pojawiła się wyraźna ulga.

W

zielonych oczach tlił się jednak skrywany przestach.

- Jestem wolna? - wyszeptała.

Skinął potwierdzająco głową i podał jej rękę, żeby pomóc wstać. Delikatny dotyk jej dłoni nasunął wspomnienie milczącej intymności tej nocy. Wysunęła dłoń z jego ręki, by sięgnąć po płaszcz.

Sir Edwin z jej bagażem czekał u drzwi. Audrianna podeszła do niego, ale nim opuściła pokój, spojrzała za siebie, prosto w oczy Sebastiana, z wyrazem twarzy, którego nie potrafił odgadnąć.

Dochodziła już północ, gdy wynajęta przez Audriannę w przydrożnym zajeździe dwukółka dowiozła ją do domu.

W świetle latarni powoziku budynek wyglądał jak wysokie, czarne pudło. Odetchnęła z ulgą na widok

jego prostej, rustykalnej bryły. Stał z dala od drogi i na tyle daleko od Londynu, że można było sądzić, iż stołeczne plotki tu nie docierają. I dom, i jego mieszkańcy oferowali bezpieczeństwo, spokój i i

pocieszenie, jak prawdziwy dom z prawdziwą rodziną.

Mieszkała w nim zaledwie od pół roku, ale czuła się tu dużo lepiej niż w jakimkolwiek innym miejscu

na ziemi.

Budynek był nieoświetlony, jedyne światło padało z okna bawialni. Nie łudziła się, że Daphne zostawiła zapaloną lampę i udała się na spoczynek. Kuzynka z pewnością ceruje lub czyta, czekając na powrót jednej z mieszkankiej osobliwego domostwa.

Trudno było określić rolę, jaką Daphne w nim odgrywała. Trochę była jak matka, trochę jak gospodyni czy pani domu, a jego mieszkanki traktowała niczym siostry. Ustalony przez nią regulamin, regulujący życie domu, ustalał równe prawa i obowiązki dla wszystkich, pod każdym względem. W istocie wszystkie były zależne od jej hojności.

Audrianna weszła do bawialni i postawiła torbę podróżną na krześle.

Daphne siedziała przy kominku, a jej niezwykle jasne włosy, rozpuszczone na noc, spływały na ramiona jedwabistą falą. Miała na sobie blado-żółtą suknię domową, która układała się swobodnie na

smukłym ciele. Uniosła wzrok znad książki i na jej delikatnej, ładnej twarzy ukazał się uśmiech ulgi.

Spostrzegła zabłocony skraj płaszcza Audrianny i ubrudzoną torbę.

- Jesteś zmęczona i zapewne głodna. Idź do kuchni i zjedz coś. To było typowe dla Daphne: nie karciała, ale też nie kryła, że widzi

wystarczająco dużo, by skarcić, jeśli uzna to za stosowne.

Audrianna poszła za nią w głąb domu wąskim korytarzykiem wiodącym do kuchni. Niegdyś kuchnia mieściła się w odrębnym budynku, ale połączono ją z domem właśnie tym wąskim przejściem, gdy Daphne zdecydowała się powiększyć oranżerię.

Na wielkim kuchennym palenisku tliło się kilka ostatnich polan. Daphne dorzuciła do ognia.

- Pan Trotter dał mi trochę pieniędzy dla ciebie, gdy mu dziś zaniiosłam twoją nową piosenkę.

Dwadzieścia szylingów. Pan Trotter był londyńskim wydawcą nut, który ostatnio zgodził się wydrukować kilka piosenek Audrianny.

- To dużo więcej, niż się spodziewałam.

- Powiedział, że *Mój niestały kochanek* ma spore powodzenie. I że twoje melancholijne melodie sprzedają się wyjątkowo dobrze.

- Wcale nie mam pewności, czy chciałabym tworzyć same melancholijne piosenki, ale spróbuję napisać jeszcze kilka.

- Jestem pewna, że wszystko, co skomponujesz, odniesie sukces, jeśli tylko będzie płynąć prosto z serca. *Mój niestały kochanek* sprzedaje się dobrze właśnie dlatego.

Zapewne była to prawda. Audrianna skomponowała tę piosenkę zgnębiona niestałością Rogera, w tydzień po tym, jak z nią zerwał z powodu infamii ojca. Oczy jej wilgotniały, gdy nad nią pracowała.

Daphne otworzyła kredens i przyjrzała się jego zawartości.

- Myślę, że pani Hill zamierza zużyć resztki szynki na jutrzejszy obiad, lepiej więc ją zostawmy.

Zobaczmy, co by tu się jeszcze dało podkraść.

- Trochę sera i chleba mi wystarczy.

- Jesteś pewna? Przecież wracasz z podróży...

- Chleb i ser całkiem mnie zadowolą.

Daphne podała jej jedzenie, a potem siadła przy stoliku do robótek naprzeciw niej.

- Czy pojechałaś do Londynu, żeby odwiedzić matkę?

- Przecież wiesz, że ją o swoich wizytach uprzedzam z góry i odwiedzam prawie wyłącznie w niedziele.

- Nie wiem o niczym, a zwłaszcza o twojej ostatniej wyprawie. Nie zostawiłaś żadnego wyjaśnienia ani listu. Gdyby Lizzie nie zauważyła braku twojej torby, mogłabym pomyśleć, że wpadłaś do rzeki!

A więc Daphne zamierzała jednak dać jej nauczkę. Odjazd bez słowa był czymś nierozważnym, ale owo słowo musiało by za sobą pociągnąć inne, dużo więcej, niż Audrianna by sobie życzyła.

- Przypominam ci o twoim regulaminie, Daphne. Według niego przede wszystkim nie należy wsadzać nosa w cudze sprawy. Ten dom, w którym żyły wyłącznie samotne i niezależne kobiety, zapewniał

dzięki regulaminowi Daphne ład i bezpieczeństwo. Podobnie jak reguła zakonna dawnych mnichów, owe przepisy kierowały zachowaniem jego mieszkanki i zapobiegały sprzeczkom, do jakich łatwo mogłoby między nimi dochodzić. Audrianna tuż po

swoim przyjeździe uznała, że regulamin jest dość niemądry, ale szybko zaczęła doceniać jego zalety.

- Masz słuszość. To podstawowa reguła regulaminu - stwierdziła Daphne. - Ale nie zabrania ona, byśmy czuwały wzajemnie nad sobą i dbały o siebie jak siostry. Właśnie dlatego regulamin zawiera też pouczenie, że jeśli zamierzamy się gdzieś oddalić na dłużej, powinniśmy powiadomić o tym inne mieszkanki, żeby się nie martwiły.

To nie było karcenie. Daphne mówiła tonem o wiele na to za łagodnym, pełnym troski i współczucia, choć może i z wyrzutem, tak jakby skrytość Audrianny świadczyła o braku zaufania.

Audrianna wolała zająć się jedzeniem i nie patrzeć na Daphne. Kuzynka wiedziała o życiu dużo więcej, niż można było się spodziewać po kobiecie niemającej jeszcze trzydziestu lat. Audrianna nie była więc pewna, czy zdoła ukryć swoje przygnębienie, jeśli Daphne zajrzy jej w oczy.

Biała dłoń dotknęła delikatnie jej ramienia.

- Czy spotkałaś się z jakimś mężczyzną, Audrianno?

Audrianna musiała jej spojrzeć w twarz. Zdumiało ją nie tylko samo pytanie, ale też otwartość, z jaką Daphne je zadała. Jakby całkiem normalne było to, że Audrianna spędziła noc z mężczyzną.

Tylko że, prawdę mówiąc, właśnie tak się stało.

Poczuła, że twarz jej płonie, gdy zdała sobie z tego sprawę.

- Nie pytam dlatego, bym chciała wtrącać się w twoje życie lub upewniać się co do twojej cnoty -

odparła Daphne, udając, że nie widzi rumieńca ani zmieszania Audrianny. - Właściwie wątpię, czy cnota - rozumiana w tym akurat sensie - powinna być aż tak ceniona, jak się ją ceni. Tylko że...

- Tylko że co?

- Wiem, że bolejesz nad utratą Rogera i że nadal jesteś gorzko rozczarowana tym, co zrobił -

powiedziała cicho Daphne. - Nie obchodzi mnie specjalnie, czy widziałaś się z jakimś mężczyzną.

Ważniejsze jest to, dlaczego chciałaś się z nim spotkać. Mam nadzieję, że nie pozwoliłaś sobie na nierozważny postępek tylko dlatego, że jesteś

pogrążona w smutku. Nie osiągniesz szczęścia ani zadowolenia, wdając się w romans, powodowana rozgoryczeniem, urazą czy buntem.

- Zapewniam cię, że nie wdałam się w żaden romans, z żadnego powodu. Bardzo mi u ciebie dobrze, droga kuzynko, i jestem ci wdzięczna. Nawet bardziej, niż sądzisz. Zniknęłam na dwa dni z powodów czysto osobistych. Nie ma to nic wspólnego z jakąś aferą miłosną. Proszę cię jednak, byś mi oszczędziła wyjaśnień.

Daphne zrezygnowana, skinęła głową na znak zgody. Nie wyglądała na urażoną. Jednakże Audriannę nadal martwiło, że obraziła kuzynkę. Zazwyczaj miały podobne zdanie, a tym razem ich rozmowa zanadto przypominała sprzeczkę.

Audrianna chętnie zwierzyłaby się Daphne, ale nie bardzo wiedziała, jak teraz ma się tłumaczyć i co powiedzieć. Chciała porządnie odpocząć, nim przemyśli wszystko, co się wydarzyło podczas tej fatalnej wyprawy, a także jej konsekwencje. Wstała i włożyła talerz do miednicy. Daphne nadal siedziała przy stoliku, opanowana i z pogodnym wyrazem twarzy.

Audrianna nachyliła się i mocno objęła kuzynkę. Ten gest zawsze uspokaja.

- Pójdę się położyć. Zobaczymy się rano. Dziękuję ci za troskę. Przepraszam, że cię zmartwiłam.

Daphne odwróciła głowę i ucałowała ją.

- Śpij dobrze, moja droga.

Gdy Audrianna miała już wyjść, odezwała się jeszcze raz:

- Och, muszę ci jeszcze coś powiedzieć, żebyś nie zapomniała. Zniknął gdzieś pistolet, który trzymałam na górze w bibliotece. Jeśli na niego trafisz, powiedz mi o tym zaraz.

Sebastian skrzywił się, wkładając granatowy surdut, który podał mu lokaj. Ramię buntowało się przeciw gwałtownemu ruchowi.

Chirurg zjawił się o świcie, posmarował ranę maścią, założył świeży opatrunek i oznajmił, że w ranę nie wdało się zakażenie. Prawdopodobnie rezultatem postrzału będzie tylko nieznośna sztywność całej ręki, co potrwa jeszcze parę dni.

Wyjął z kieszonki zegarek, żeby się upewnić, czy już jest dziesiąta, i skierował się do apartamentów swego brata Morgana.

Wprawdzie nie musiał odwiedzać go każdego dnia podczas swojej bytności w Londynie, ale mimo

wszystko nie uchylał się od tych wizyt. Wiedział, że brat wyczekuje tej wspólnie spędzanej godziny.

Czekał na wspólne picie kawy, w milczeniu, czytanie gazet, przeglądanie poczty. Na rozmowy o plotkach i o tym, jakie kroki zamierza podjąć rząd. Na podtrzymanie złudzenia, że prowadzi normalne życie, choć zbyt wiele rzeczy przypominało, że niewiele mu z takiego życia pozostało.

Doktor Fenwood wychodził właśnie od brata, gdy Sebastian wszedł do salonu. Fenwood w istocie nie

był wcale lekarzem, tylko służącym o imponującej sile i należytej ostrożności. Morgan przezwał go raz dla żartu „doktorem” i tak już zostało.

Teraz zaś każdy nazywał go „doktorem Fenwoodem”, Morgan mógł więc utrzymywać, że osoba, która świadczy mu zgoła intymne usługi, jest profesjonalnym medykiem. W tym domu podtrzymywano wiele podobnych iluzji, gdyż wszyscy starali się nie odbierać jego bratu zwykłej ludzkiej godności.

- Markiz dobrze się dziś rano czuje - oznajmił Fenwood. Fałszywy tytuł uderzył mu nieco do głowy, bo powiedział to takim tonem, jakby fachowo potrafił określić różnicę między dobrym a złym samopoczuciem. - Jest też w pogodnym nastroju.

Właśnie to chciał wiedzieć Sebastian. Brat często podlegał atakom melancholii. Prawdziwy lekarz uprzedził Sebastiana już na samym początku, że z inwalidami często tak bywa.

Wszedł do komnaty, która w rozległych apartamentach markiza pełniła funkcję saloniku. Brat nie słyszał, że drzwi się otwały, i nadal przeglądał stos poczty. Socjeta wciąż przysyłała mu

zaproszenia, choć wiadano, że nigdy już ich nie przyjmie. Ale Morgan, trzeci markiz Wittonbury, czytał każde z

nich, jakby zamierzał wybrać się na któryś z proszonych obiadów.

Fotel Morgana stał koło okna, z którego rozciągał się widok na Londyn. Mały blat i ciemny pled zakrywały nieruchome nogi. Te no-gi uczyniły z niego więźnia tego pokoju, odkąd został przywieziony do domu z wojny, na którą wyruszył pełen szlachetnych ideałów, poniewczasie i bez zastanowienia.

To, że Morgan kupił patent oficerski tak późno, zawsze wydawało się Sebastianowi zdumiewającą ironią losu. Odwrót Francuzów z kampanii wojennej na Półwyspie Pirenejskim nastąpił akurat w tym czasie. Tak jakby ciężące nad Morganem fatum mogło właśnie wtedy zrujnować mu życie.

Zajął miejsce w fotelu naprzeciw brata i nalał sobie kawy z dzbanka, który stał na stole. Żaden służący ani lokaj nie śmiał zakłócić swoją obecnością tej co dzień spędzanej przez nich razem godziny.

Morgan uniósł wzrok znad listu.

- Cieszę się, że wróciłeś.

- Zatrzymała mnie wczoraj niespodziewana ulewa.

Utarło się, że gdy musiał opuścić tę codzienną wizytę, uprzedzał o tym Morgana. Poprzedniego dnia nie mógł, oczywiście, tego uczynić.

Sebastianowi nie przeszkadzał ten wymóg. Sam zresztą wprowadził ów zwyczaj, który Morgan uznał wręcz za obowiązek. Brata odwiedzało teraz tak mało gości, że przebywanie kogoś z rodziny stanowiło jedyną odmianę w jego monotonnym życiu.

A jednak Sebastian, usprawiedliwiając się z wczorajszej nieobecności, był w pełni świadom, jak bardzo jego życie zmieniło się, odkąd brat został kaleką. Sparaliżowany Morgan już nie opuści tych komnat, a wraz z tragicznie odmienionym jego życiem radykalnie odmienił się też los Sebastiana.

- Wybrałem się niedaleko Brighton - wyjaśnił Sebastian - żeby wyjaśnić pewną sprawę powiązaną z aferą z amunicją.

- To mogło być zwykłe zaniedbanie, jak wszyscy uważają.

- Ale nie ty.

- Nie. - Morgan wyrzwał przez okno, lecz nie świat za oknem go zaprzętał w tej chwili. Jak podejrzewał

Sebastian, brat zagłębił się we wspomnieniach wojennych.

Morgan śledził dokładnie aferę z amunicją i kiwał głową, gdy gazety donosiły, że cała kompania wojska straciła możliwość obrony wskutek dostarczenia jej wadliwego prochu. Markiz Wittonbury pragnął, by poległym żołnierzom oddano sprawiedliwość, Sebastian zaś - by jego brat został usatysfakcjonowany, iż jego towarzysze broni zostali w końcu pomszczeni.

- Dowiedziałeś się czegoś?

- Liczyłem na to, że spotkam człowieka, który wie o czymś, co pozwoliłoby nareszcie odkryć prawdę.

Morgan kiwnął w roztargnieniu głową i wziął do ręki jedną z gazet czekających na przejrzenie.

Sebastian zrobił to samo. Te wizyty miały zawsze taki sam przebieg. Zrytualizowany.

- Nasza matka zajrzała tu wczoraj wieczorem - powiedział Morgan, przeglądając uważnie dziennik. -

Chciała pomówić o tobie.

Teraz rozmowa już nie była rutynowa.

- No i co?

- Hm... Chce, żebym ci powiedział, że musisz się ożenić. Wybrała kilka dziewcząt, które są dla ciebie odpowiednie.

- Z pewnością to ona uważa, że są odpowiednie.

- Powiedziałem jej, żeby nie sądziła niemądrze, że ty aż tak bardzo się zmieniłeś. Podałem jej myśl, że to, co uważa za zmianę, ma tylko na celu ukrycie starych nawyków. Dyskrecja to nie to samo co skrucha lub poprawa.

- Dziękuję ci.

- Stała się jednak bardzo zdecydowana i władcza - sam zresztą wiesz, jaka potrafi być.

- Często cię teraz odwiedza? Morgan wzruszył ramionami.

- Częściej niż poprzednio.

- W takim razie za często. Gdy znów się tu zjawi, każ Fenwoodowi powiedzieć, że nikogo nie przyjmiesz. Nie pozwól, żeby tu wchodziła, kiedy się jej żywnie podoba.

Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że matka przeobrazi Morgana ponownie w dziecko, gdyby jej dać

choć cię szansy. Nachodziłaby go, rozpieszczęła i zamęczała swoją dominacją, póki nie straciłby prawa do własnej samodzielności.

Właśnie dlatego Sebastian wrócił do tego domu, gdy brata przywieziono z wojny. Obecność

Sebastiana gwarantowała, że matka nie zacznie tu despotycznie rządzić, zwłaszcza starszym synem.

- Zawsze lepiej sobie z nią radziłeś niż ja. Podobnie jak pod wielu innymi względami - stwierdził Morgan.

Nic tu już nie można było dodać, więc obydwaj wrócili do gazet.

- Mówisz, że byłeś wczoraj niedaleko Brighton? Czy słyszałeś o tym skandalicznym wydarzeniu w oberży Pod Dwoma Szpadami?

- Skandalicznym?

Morgan wpatrywał się w gazetę ze słabym uśmiechem.

- Jakaś kochanka postrzeliła swego amanta. Musiało to być niezłe widowisko. Zdaje się, że strzał nie był śmiertelny, ale pewnie wszyscy tam teraz o niczym innym nie mówią.

- Gdzie o tym wyczytałeś? Morgan lekko poczerwieniał.

- W jednej z plotkarskich gazetek naszej matki.

- Wbrihtońskiej?

- W londyńskiej.

Niech to diabli. Sir Edwin miał rację. Plotki dotarły do stolicy wcześniej niż ich ofiara.

Najwyraźniej w brukowcu nie wymieniono jednak żadnych nazwisk. Jak dotąd.

Rytualna wizyta kończyła się punktualnie o jedenastej. Sebastian pożegnał się i wrócił do siebie.

Lokaj powitał go z zapieczętowanym listem w ręce.

- Adres był niewłaściwy, sir.

Sebastian wziął od niego list. Napisał go do panny Kelmsleigh i wysłał przez posłańca do domu jej ojca.

- Czy już tam nie mieszkają?

- Pani Kelmsleigh owszem, mieszka razem z panną Sarah Kelmsleigh, ale panny Audrianny

Kelmsleigh już tam nie ma. Lokajowi odpowiedziano, że przeniosła się do hrabstwa Middlesex i zamieszkuje teraz niedaleko wioski Cumberworth.

Sebastian zaniósł list do salonu. Wysunął szufladę i spojrzął na pistolet, który zabrał z oberży Pod Dwoma Szpadami. Cały wysiłek, żeby go dyskretnie zwrócić, poszedł na marne.

Mógł wysłać lokaja do Cumberworth. Jeśli panna Kelmsleigh zakopała się na prowincji, wkrótce ją odnajdzie. Mógł też dołączyć do listu paczkę z pistoletem, dać ją lokajowi i skończyć raz na zawsze z tym wszystkim.

Widział jeszcze tę broń w delikatnej, kobiecej dłoni. Widział zielone oczy, rozjarzone fascynacją i namiętnością, a potem przyćmione smutkiem. Wyobraził ją sobie, jak idzie przez oberżę do dylizansu, usiłując nie zauważać, że inni goście gapią się na nią i szepczą między sobą.

Poleciał służącemu, by osiodłano mu konia.

CTumberworth nadal było jeszcze wioską, lecz Londyn przybliżał się do niej z każdym rokiem.

Wkrótce miał ją wchłonąć jako jedną z licznych małych osad w Middlesex, gdzie nowi przybysze osiedlali się między starymi mieszkańcami, a inwestorzy ziemscy dzielili farmy na wiele małych posiadłości dla zamożnych londyńskich rodzin.

Zjawienie się tam Sebastiana nie wzbudziło większego zainteresowania. Przejechał główną ulicą, mijając sklepy w starych budynkach z pruskiego muru i kamienne domy stojące jeden obok drugiego.

Rozglądał się za gospodą.

Nie było w niej wielkiego tłoku o drugiej po południu i Sebastian nie musiał długo czekać na piwo.

Wypił je na stojąco, podczas gdy właściciel przypatrywał mu się z zaciekawieniem.

- Czy w Londynie też tak leje? - spytał go, wycierając kufle.

- Jeszcze bardziej - odparł Sebastian.

- Szuka pan może jakiegoś miejsca, żeby obeschnąć?

- Nie, przyjechałem tu, bo szukam kogoś. Może zna pan pannę Kelmsleigh?

- A jakże - zaśmiał się szynkarz - i ją, i jej przyjaciółki. Każdy w Cumberworth zna rezydentki pani Joyes.

- Naprawdę? Myślałem, że panna Kelmsleigh jest jej kuzynką, a nie rezydentką.

- Nie bardzo wiadomo, jak te panie zwać. Nie sędzę, żeby pozostałe były jej krewnymi. To gromada bab, które przyjeżdżają z wizytą i już tam zostają.

- Czy pani Joyes mieszka we wsi?

- Nie, ale ma posiadłość niedaleko. Niebrzydki dom i spory kawałek gruntu. Hoduje kwiaty w takiej dużej cieplarni i posyła je szykownym kwiaciarniom w Londynie. Dom stoi trochę na uboczu, za zakrętem drogi zobaczy pan malowany szyld: „Najrzadsze Kwiaty” -tak nazwała ten swój interes.

Szynkarz zaśmiał się ponownie. - Nie powiem, miłe niewiasty. Razem się trzymają. Nic im złego zarzucić nie można, ale ludzie i tak będą gadać.

Bez wątpienia. Sebastian dopił piwo i spytał, jak dojechać do Najrzadszych Kwiatów.

Kwadrans później skręcił na prywatny trakt, którym dojechał do domu pani Joyes.

Był to solidny dom, z rodzaju tych, jakie można spotkać w całej Anglii. Ładny budynek z gładko

ociosanego szarego kamienia, za duży jak na wiejski dworek, ale za mały, by go nazwać dworem. Był

piętrowy, miał stromy dach i skromną fasadę, którą zdobiły jedynie okna o starannie wyważonych proporcjach.

Żaden chłopiec stajenny nie wyszedł, by zająć się jego koniem, Sebastian okręcił więc wodze wokół słupka przy wejściu. Zastukał i długo czekał, aż mu ktoś otworzy, co świadczyło, że nie ma tu za wiele służby, choć posiadłość wyglądała na siedzibę osoby zamożnej

Wreszcie drzwi się otwały i bardzo chuda gospodyni w średnim wieku spojrzała na niego uważnie spod falbaniastego czepka. Przeczytała jego bilet wizytowy i jeszcze raz mu się przyjrzała,

zatrzymując wzrok na podłużnym, drewnianym pudełku, które trzymał pod pachą.

- Powiedziano mi, że mieszka tu panna Kelmsleigh - odezwał się pierwszy. - Chciałbym jej zwrócić coś, o czym zapomniała.

W drzwiach stanęła ładna, jasnowłosa dziewczyna. Ona również przeczytała jego bilet.

- Ja się tym zajmę, pani Hill.

Starsza kobieta się cofnęła. Blondynka zaprosiła go gestem do środka.

- Powinien pan pomówić z panią Joyes - powiedziała - właścicielką tego domu. Jest w oranżerii.

Zaprowadzę pana do niej.

Przeszła spokojnie wraz z nim w głąb domu. Minęli bibliotekę pełną regałów i skórzanych foteli. Na tyłach domu znajdował się drugi salon. Sebastian dojrzał oranżerię przez jedno z jego okien.

Od domu dzieliło ją jakieś dwadzieścia jardów i była o wiele większa, niż można było się spodziewać

po takiej wiejskiej siedzibie. Co innego, gdyby chodziło o bardzo dużą posiadłość. Górną część ścian oranżerii stanowiła mozaika prostokątnych szyb połączonych żelaznymi ramami.

Wejście do oranżerii znajdowało się na końcu korytarza prowadzącego z saloniku. Jego

przewodniczka otwarła drzwi i owionęło go wilgotne powietrze. Spojrzał w górę. Połowa spadzistego

dachu również składała się z małych, szklanych szybek.

- Proszę tu poczekać.

Dziewczyna zniknęła za wielką palmą w donicy. Chwilę później wróciła, kiwnęła ku niemu dłonią i wskazała go pani Joyes, a potem odeszła.

Pani Joyes pracowała przy stole zastawionym doniczkami pełnymi ziemi. Fartuch, ręce i czepek miała

powalane ziemią. Gdy do niej podszedł, usiłowała kawałkiem szmaty usunąć przynajmniej jej część.

Miała piękną twarz. Bardzo jasna cera. Perfekcyjnie regularne rysy. Ciemnoszare oczy. Cechowała ją wrodzona elegancja, widoczna nawet w jej postawie. Gdyby tej kobiety nigdy przedtem nie widział, oniemiałby na jej widok. Tylko że już ją widział. Był tego pewien.

- Zaszczyca nas pan swoją wizytą, lordzie Summerhays. Nieczęsto miewamy takich sławnych gości.

Czy szuka pan jakiegoś specjalnego kwiatu, żeby go ofiarować ukochanej? Mamy rzadką odmianę pelargonii, krzyżówkę wyhodowaną przez nas, powszechnie cenioną.

- Szukam kobiety, która - jak mi powiedziano - mieszka tutaj. Panny Kelmsleigh - wyjaśnił, wskazując przy tym na niesione przez siebie pudełko. - Muszę jej zwrócić coś, co do niej należy.

- Panny Kelmsleigh nie ma w domu, ale spodziewam się, że wkrótce wróci, jeśli zechce pan poczekać.

Może pan też przekazać to pudełko mnie.

Ano cóż. Mógł położyć pudełko na stole i się wycofać. Nie wątpił, że pani Joyes przekaże je pannie Kelmsleigh po jej powrocie. Jeśli Sebastian zażąda, by go nie otwierała, to zapewne pani Joyes uda się powściągnąć ciekawość.

- Jeżeli panna Kelmsleigh ma niebawem wrócić, powinienem jej to przekazać osobiście.

- W takim razie zawiadomię ją, żeby przyszła tu jak najprędzej. Odwróciła głowę.

- Lizzie, czy mogłabyś... och, gdzie ona się podziała? Była tu, nim Celia pana przyprowadziła, czytała nawet pański bilet wizytowy... -pani Joyes cmoknęła językiem z irytacją. - Proszę poczekać, lordzie Sebastianie, sama poproszę, żeby tutaj przysłano pannę Kelmsleigh.

I zostawiła go w oranżerii. Powietrze było intensywnie wilgotne, przesycone aromatem przeróżnych roślin. Cytryn, róż, a nawet zapachem świeżej trawy. Upajające. Włożył palec do jednej z doniczek, nad którymi pracowała pani Joyes, i natrafił na jakąś cebulkę.

Przeszedł wzdłuż oranżerii, obok cytrynowych drzewek w donicach i stołów pełnych kwitnących ozdobnych roślin. Na jej końcu ujrzał winorośl wijącą się wewnątrz szklarni. Wyrastała co prawda z

gruntu na zewnątrz oranżerii, lecz jej gruby główny pęd wnikał do środka przez otwór wybity u dołu ceglanej ściany. Liczne cieńsze pędy oplatały się wokół mocnych podpór i pięły po żelaznych prętach na sporą wysokość ponad jego głowę. Kamienny stół i cztery foteliki stały pod listowiem tego rosnącego wewnątrz budynku pnącza, tworząc scenerię godną Toskanii.

- To był eksperyment - wyjaśniła pani Joyes, podchodząc do niego. - Nawet nie przypuszczałam, że się uda. - Miło się chyba siedzi zimą przy tym stole w słoneczne dni. Mają tu panie godny podziwu zimowy ogród.

- To jest oranżeria. Ludzie często nazywają zimowymi ogrodami oranżerie. Może dlatego, że „oranżeria” brzmi egzotycznie, niewłaściwe określenie szeroko się przyjęło. W zimowym ogrodzie, zgodnie z nazwą, przechowuje się rośliny przez zimę, gdy są uśpione. Mamy tu zresztą jeden, w dalszej części ogrodu. Twarz jej znów przyciągnęła uwagę Sebastiana.

- Przepraszam, nie chciałbym być nieuprzejmy, ale jestem pewien, że gdzieś już panią widziałem, tylko nie mogę sobie przypomnieć, gdzie.

- Istotnie, spotkaliśmy się kilka lat temu. Byłam wtedy guwernantką u księcia Becksbridge.

Przedstawiono nas sobie podczas przyjęcia w ogrodzie. Pozwolono w nim uczestniczyć mojemu najstarszemu wychowankowi, a ja mu towarzyszyłam. Ma pan doskonałą pamięć, jeśli chodzi o osoby

bez znaczenia, które spotkał pan na swojej drodze, lordzie Sebastianie.

Gdyby istotnie była taką osobą, zasłużyłby sobie na tę pochwałę, ale wątpił, by jakikolwiek mężczyzna mógł zapomnieć, że ją spotkał.

- Ale były tam również inne przyjęcia, w których uczestniczyły dzieci, ja zaś nie pamiętam, żebym panią na którymś z nich widział.

- Pracowałam u nich tylko rok, a potem spotkałam kapitana Joyesa, co zmieniło moją sytuację życiową.

Nikt mu w Cumberworth nie powiedział, że w tym domu mieszka jakiś mężczyzna.

- Czy pani mąż służy w marynarce?

- Służył w wojsku. Zginął na Półwyspie Pirenejskim.

Pytanie w niczym nie zmieniło jej uprzejmego sposobu bycia, ale oczy pani Joyes pociemniały, jakby ten temat wciąż ją smucił.

- Jeśli pan pozwoli, pójdę zobaczyć, gdzie się podziewa Audrianna. Powinna była już do tej pory wrócić.

Audrianna wlepiała oczy w bilet wizytowy, który Daphne przesała przez Celię. Lord Sebastian Summerhays jest tutaj. Dlaczego? I jak ją w ogóle znalazł?

Odpowiedź nasunęła się sama. Musiał się najpierw udać do domu matki. A ta zapewne do niej wkrótce

napisze, chcąc się dowiedzieć, co pchnęło prześladowcę ojca do zwrócenia na nie ponownie uwagi.

- Usiądź, Audrianno. Nie dosięgnę twoich włosów, nawet stojąc na palcach - poprosiła Celia.

Audrianna osunęła się na krzesło i Celia mogła ją już uczesać. Celia najlepiej z nich wszystkich układała włosy. Własne jasnoblonde loki prezentowała upięte na coraz to inne sposoby.

- Powiedziała, żebym zaraz tam przyszła - Audrianna przypomniła Celi o tym, co sama Celia oznajmiła jej, gdy wróciła do domu.

- Daphne nie będzie miała nic przeciwko temu, że twoje doprowadzanie się do porządku potrwa chwilę dłużej - odparła Celia, nadal czesząc ją z magiczną wręcz zręcznością. - To brat jakiegoś markiza. No i członek parlamentu. Tak mówi jego bilet wizytowy.

Skoro Celia nie wiedziała, że lord Sebastian bynajmniej nie jest obcym dla niej człowiekiem, Audrianna uznała, że milczenie będzie najlepszą odpowiedzią.

- To jakaś ważna osobistość, ciągle o nim piszą w gazetach. Nie możesz przyjąć jego wizyty, wyglądając, jakbyś całe popołudnie spędziła na pokładzie statku, wystawiona na podmuchy wiatru.

Audrianna wcale nie chciała tej wizyty. Modliła się w duchu, żeby nie przyniósł jej złych wiadomości od sędziego pokoju. Co będzie, jeśli sir Edwin uzna, że ona jednak musi stawić się na sesji sądowej?

- Robię, co mogę, ale chyba zacznę od nowa. To twoja wina, bo zdjęłaś kapelusz, wracając do domu

-
odparła Celia, robiąc krok w tył. - Jeszcze raz spróbuję ułożyć ci fryzurę, jak należy!

- Nie róbże tego - rozległ się głos Daphne.

Audrianna obejrzała się. Daphne stała w drzwiach salonu, tych, które wychodziły na korytarz

wiodący

do oranżerii. Wciąż miała na sobie pobrudzony ziemią fartuch i stary czepek, a jednak wyglądała zjawiskowo. Eteryczna i zachwycająca. Nawet w łachmanach wyglądałaby pięknie.

- Musisz iść ze mną, Audrianno, bo on koniecznie chce się z tobą widzieć.

- Czy powiedział, po co tu przyjechał?

- Tylko tyle, że zwraca ci coś, o czym zapomniałaś.

- O niczym nie zapomniałam.

- Podłużne pudełko. Jak pudełko na rękawiczki. Jak duże pudełko na rękawiczki.

Pistolet!

Audrianna poczuła, że krew napływa jej do twarzy. Daphne nie odrywała od niej szarych oczu.

- Skąd u lorda Sebastiana Summerhaysa w ogóle wzięła się jakaś twoja rzecz? - Celia zmarszczyła brwi, jakby sobie nagle uświadomiła dziwny charakter tej wizyty.

- Nie mam pojęcia - wybąkała Audrianna. Daphne nadal była anielsko spokojna.

- Czy któraś z was widziała Lizzie?

- Była tu parę minut temu - odparła Celia.

- Ma talent do znikania w najmniej odpowiedniej chwili. Chodźże, Audrianno. Twój dżentelmen czeka.

- On nie jest żadnym moim dżentelmenem - mruknęła Audrianna, gdy szły korytarzem.

Oczy Daphne skryły się za opuszczonymi powiekami. Na ułamek sekundy.

Daphne zatrzymała się przed przejściem między dwoma rzędami stołów zastawionych pelargoniami, liliami i hiacyntami. Audrianna była szczęśliwa, że zyskała choć chwilę, by się opanować.

Z tego miejsca mogły już dojrzeć lorda Sebastiana. Siedział w jednym z fotelików przy kamiennym stole, pod winoroślą, zwrócony twarzą w przeciwną stronę. Swobodny, pewny siebie, przystojny, prezentował się tu równie wytwornie jak w tamtej wiejskiej oberży.

- Nie wygląda na rozgniewanego ani niezadowolonego. Zachowuje się nadzwyczaj uprzejmie. A

jednak nie jest kimś, kogo można byłoby zlekceważyć. Ani sobie z nim igrać - zauważyła półgłosem Daphne.

- Nie igrzm z nim.

- Oczywiście. Nie masz doświadczenia. Za to on jest prawdziwym w tym mistrzem.

- Znasz go?

- Słyszałam o nim i spotkaliśmy się raz, dawno temu. Raczył o tym pamiętać. Mówiono, że bardzo się zmienił przez ostatnie kilka lat. Ciekawa jestem, czy to prawda.

Zamilkła i podeszła razem z Audrianną do gościa. Lord Sebastian wstał, gdy się zbliżały. Daphne przedstawiła mu Audriannę, a potem się wycofała.

- Muszę skończyć wysadzanie cebulek, póki jest jeszcze dobre światło - wyjaśniła.

Audrianna zaczekała, aż Daphne się oddali. Z pewnością jednak nie odeszła daleko. Mogła słyszeć, o czym rozmawiają, jeżeliby nie ściszyli głosu do szeptu.

Audrianna wskazała na drewniane pudełko.

- Jest tam? - wyszeptała.

- Tak - odparł równie cicho.

- Dziękuję za jego zwrot. Należy do Daphne i zauważyła, że zniknął. Będę musiała wyjaśnić, że go pożyczyłam, ale teraz łatwiej mi to przyjdzie zrobić.

Sebastian dotknął końcami palców wieka.

- Czy ona nie wie o pani wyprawie?

- Miałam nadzieję, że uda mi się oszczędzić jej szczegółów.

- Lepiej, że dowie się o nich od pani, a nie od kogoś innego.

- Tak. Powinnam powiedzieć jej o wszystkim. Sądzę, że przynajmniej części się domyśla.

- Jakiej części?

- Tej związanej z panem.

Spojrzał w tę stronę, gdzie Daphne - niewidoczna dla nich - zajmowała się cebulkami.

- Na zewnątrz rozciąga się ładny ogród. Wygląda na osłonięty od wiatru, a słońce przygrzewa. Czy nie zechciałyby mi go pani pokazać, panno Kelmsleigh?

Sebastian szedł obok niej, gdy spacerowali po ogrodzie.

- Czy najpierw wybrał się pan do mojej matki?

- Wysłałem tam umyślnego z listem. Wątpię, czy pani matka wie, że to był list ode mnie. Posłaniec nikomu go nie oddał.

Wyglądała na ucieszoną informacją, że matka nie wie, iż lord Sebastian Summerhays interesuje się jej córką. Nic dziwnego. Nie tylko był jednym z wrogów ojca, ale i mężczyzną o reputacji lowelasa, co

żadnej matce by się nie spodobało.

- Od dawna tu pani mieszka, panno Kelmsleigh?

- Od sześciu miesięcy. Daphne jest moją kuzynką. Napisała do mnie po śmierci mojego ojca, proponując mi zamieszkanie razem z nią. Domyśliła się, że chciałabym opuścić Londyn. Była to duża uprzejmość z jej strony. My nie byliśmy tak uprzejmi wobec niej, gdy wcześniej ona, jako młodzianka dziewczyna, musiała opuścić dom rodzinny.

- To ładna posiadłość. Czy pomaga pani przy uprawie kwiatów?

- Wszystkie się tym zajmujemy w miarę możliwości, ale główne prace wykonują Daphne i Lizzie. Ja daję lekcje muzyki, żeby się przyczynić do utrzymania domu. Właśnie tym byłam zajęta, kiedy pan przyjechał. Uczyłam gry na fortepianie niedaleko stąd mieszkającą dziewczynkę.

Znaleźli się teraz w części ogrodu otoczonej bukszpanowym żywopłotem i ceglany murem porośniętym bluszczem. Ścieżka wiała się między grządkami i wokół bezlistnych jeszcze drzew owocowych. Wyobraził sobie pastelowe barwy wiosny i bogactwo kolorów późnego lata, a ją i Daphne siedzące w altance okrytej teraz tylko nagimi pędami pnącej róży.

Panna Kelmsleigh stąpała z gracją. Pod jej stopami, obutymi w pantofelki na niskich obcasach, szeleściły gałązki i zeschnięte liście. Uprzejmie towarzyszyła mu w przechadzce po ogrodzie, ale nie podtrzymywała rozmowy. Zaciśnęła lekko wargi. Podobnie zaciskała wargi jego matka, gdy składał im wizytę niechciany gość, którego musiała tolerować ze względu na jego towarzyską pozycję.

Wjaskrawym świetle dnia wyglądała znacznie dojrzalej niż w półmroku pokoju oberży czy o świcie.

Był już pewien, że ma około dwudziestu pięciu lat. Sporo jak na niezamężną pannę. Być może straciła

starającego się o jej rękę na wojnie, jak zbyt wiele kobiet w jej wieku.

- Przywiozłem pistolet osobiście z jednego powodu - powiedział, czując, że ma obowiązek

wytłumaczyć się z tego najścia. - Chciałem panią uprzedzić, że pojawiły się już pierwsze plotki. Dziś rano w jednym z brukowców ukazała się wzmianka o wydarzeniach w oberży.

Zatrzymała się i tupnęła gniewnie małą stopką. Na jej twarzy pojawił się przestach.

- Już teraz?

- To tylko plotki z oberży. Bez nazwisk. Może nic z tego nie będzie.

- Albo będzie dużo gorzej, bo podadzą nazwiska, albo czynić będą tak wyraźne aluzje, że każdy się domyśli, o kogo chodzi. Jak szybko się dowiemy, jaki obrót przybrały sprawy?

- Po jakichś czterech dniach albo wszystko ucichnie, albo też nabierze rozgłosu. Tak zwykle bywa. W tym drugim wypadku przyślę pani ostrzeżenie i, rzecz jasna, zrobię, co będę mógł, by pani reputacja nie ucierpiała.

- Mama z pewnością zawiadomi mnie pierwsza, lordzie Sebastianie. Jeśli zostanie wplątana w duży skandal, nie będę wiedziała, jak mam ją za moje nierozważne postępowanie przeprosić. Ale ona jest zbyt dobrą osobą, by mnie karcić za moją wyprawę. Choć kierowały mną szlachetne pobudki,

wykazałam się lekkomyślnością. Nie zwróciła najmniejszej uwagi na jego słowa, że będzie ją chronił.

To było oczywiste. Nienawidziła go za to, że przyczynił się do okrycia niesławą jej ojca. Nie dopuszczała myśli, że taka ochrona może okazać się koniecznością, nie mówiąc już o tym, że się na nią nie godziła. Bez wątpienia wolałaby utracić reputację, niż przyzwolić na jego ochronę.

- Owszem, była pani lekkomyślna. I nieroztropna. A wyprawa niebezpieczna i, jak się okazuje, fatalna w skutkach. Jak też...

- Nie musi pan dłużej wyliczać. Mam sobie zbyt wiele do zarzucenia i nie potrzebuję pańskich upomnień.

- .. jak też dowiodła, że jest pani odważna. Podziwiam pani chęć walki o dobre imię ojca, nawet gdyby pani myliła się, wierząc w jego niewinność.

Spojrzała na niego nieufnie, marszcząc podejrzliwie czoło. Bez wątpienia uważała, że znów schlebia jej w sobie tylko wiadomym celu. Może i tak było. Sam jeszcze się nie zdecydował.

- Ciągle się zastanawiam, kim jest Domino - odezwała się. Na wzmiankę o ojcu zaczęła tolerować jego

obecność, choć wolałby, żeby jej tolerancja wynikała z jakiegokolwiek innego, a nie z tego powodu.

-

Usiłuję sobie uprzytomnić, co zapamiętałam z jego wyglądu. Jestem prawie pewna, że miał rude włosy. I był chyba cudzoziemcem.

Ścieżka biegła teraz wokół prostego kamiennego budynku z wielkimi oknami we wszystkich ścianach. Domyślił się, że to właśnie jest zimowy ogród, o którym wspominała pani Joyes. Weszli na tyły ogrodu, gęściej porośnięte krzewami i drzewami.

- Dlaczego pani sądzi, że to cudzoziemiec?

- Nosił dziwny kapelusz. Miękki i z szerszym rondem, niż się widuje u nas. Płaszcz miał dziwny krój.

Był uszyty z jakiegoś ciężkiego materiału. - Wzruszyła ramionami. - Nie umiem tego określić, ale on po prostu nie wyglądał na Anglika.

- Może rzeczywiście Domino jest cudzoziemcem.

- Mogłoby to ułatwić jego odnalezienie. Przecież w Anglii jest dużo mniej cudzoziemców niż Anglików. - Niestety, nie zawsze uda się ich rozpoznać po kapeluszach.

- Ale cudzoziemcy zbierają się w Londynie w pewnych miejscach. W pewnych oberżach i tawernach.

Lizzie - ona również mieszka w naszym domu - mówi, że lubią się też zatrzymywać w niektórych hotelach. Gdybym mogła się tam wybrać, to może...

Staął przed nią, przerywając spacer, tak że ona również musiała się zatrzymać.

- Nie wolno pani. To może być niebezpieczne.

Wyraz jej twarzy dobitnie świadczył, co ona sądzi o jego żądaniu.

- Ależ nic mi się nie stanie. Tym razem wezmę kogoś ze sobą. No i mam ten pistolet.

Nie wiedział, czy się z nim przekomarza, czy też naprawdę zamierza ponownie zrobić coś nierozważnego.

- Uprzedzę panią Joyes, żeby trzymała pistolet pod kluczem. Broń tylko zwiększy ryzyko. Jeśli raz jeszcze wyceluje pani z niej do mężczyzny, może on nie zachować się jak dżentelmen.

- To ważne ostrzeżenie, lordzie Sebastianie. Pan dobrze wie, o czym mówi.

Nie mógł od niej oderwać wzroku. Od kpiących z niego oczu. Od lekko wygiętych warg. I ten jej bezceremonialny sposób bycia, który nasuwał wspomnienie ich wzajemnej bliskości tamtej nocy w oberży.

- Ach, chodzi pani o ten pocałunek. - Pamiętał go lepiej, niżby to dyktował rozsądek. Znow poczuł

przyptyw podniecenia, stopniowo narastające w nim napięcie. - Należą się pani przeprosiny, ale pani zachowanie było doprawdy niezrozumiałe.

- Cóż w nim było niezrozumiałego? Nie zrobiłam nic, by ośmielić pana do takiej zuchwałości.

- Nie zrobiła też pani nic, by temu przeszkodzić. A pani obecność w tym miejscu, samej,

usprawiedliwia moją pomyłkę. Jednakże... -ukłonił się jej lekko. - Panno Kelmsleigh, szczerze panią przepraszam za moje zuchwalstwo tamtego wieczoru. Proszę o wybaczenie.

Wsparła ręce na biodrach.

- Zdumiewa mnie pan. To wprost niebywałe, że pan tu się zjawił, żeby mnie nadal obrażać.

- Przyjechałem, żeby zwrócić pistolet, który pani we mnie wymierzyła, naładowany i z odwiedzionym

kurkiem - przypomniał.

Opanowała się. Jej gładkie, blade policzki się zarumieniły. Jak podczas spaceru w mroźny dzień. Lub pocałunku, o którym chyba już zapomniała. W każdym razie chciała, żeby on myślał, że zapomniała.

- Nie powinnam tego robić. To był błąd z mojej strony. I ja powinnam pana przeprosić. Przyznaję, że ponoszę winę za wszystko, prawie wszystko, co się wydarzyło w czasie tego naszego szczególnego spotkania.

Uśmiechnął się najserdeczniej, jak potrafił.

- Proszę o to winić wyłącznie mnie. Niech pani sędzi o tamtych wydarzeniach, co pani chce. Nie będę

niczego korygował. Niech pani jednak nie wymaga, bym okłamywał siebie samego, jeśli nawet względy przyzwoitości wymagają, by pani okłamywała siebie.

Znów się rozgniewała. Łatwo jej to przychodziło.

- Nikogo nie okłamuję, sir. Nawet siebie.

- Sądzę jednak, że chce pani siebie samą przekonać, że ten pocałunek nie sprawił jej przyjemności i że go wymogłem prawie siłą. Ja zaś szczerze przyznaję, że nie żałuję, iż do niego doszło. Żałuję tylko, że moją uwagę odciągał pistolet w pani ręku.

Patrzyła na niego, a w jej wzroku dostrzegł zmieszanie, zaskoczenie i trochę strachu. Miała powody, by się bać, choć zapewne nie zdawała sobie z tego jeszcze sprawy.

- Kuzynka mówiła mi, że nie tak dawno cieszył się pan opinią zdobywcy kobiecych serc, lordzie Sebastianie. Czyżby pan teraz ze mną flirtował? Uważam, że to niedorzeczne.

Skierował wzrok gdzieś poza nią, w daremnej próbie pohamowania narastającego w nim podniecenia.

Stali na samym końcu ogrodu. Widać było stąd tylko róg domu. Zimowy ogród przesłaniał całkowicie oranżerię. Miał pewność, że znajdują się poza zasięgiem wzroku mieszkańek tego domostwa.

Doskonale!

- Może i flirtuję, panno Kelmsleigh. Starych nawyków trudno się pozbyć.

Roześmiała się.

- Sądzę, że dawniej miał pan większe szanse wywarcia wrażenia na kobiecie. Jeśli nawet byłam trochę... rozkojarzona wtedy w oberży, to teraz nie jestem i daremnie sili się pan na uwodzicielski uśmiech. Proszę pamiętać, że nic o panu nie wiedziałam, kiedy pan mi się... naprzykrzał.

Znów zaczął się jej przyglądać. Włosom, rozwiewanym przez wietrzyk, zielonym oczom, w których przetrwało wspomnienie tamtej nocy. Łagodne światło, przenikające przez gałęzie, nadało jej skórze śnieżnobiały odcień.

- Ale teraz już pani wie, kim jestem, panno Kelmsleigh. A ja wiem, kim jest pani. I co z tego? To dziwne, nie sądzi pani, że właściwie prawie niczego to nie zmienia?

Nie zmieniało, sądząc z jej reakcji. A przynajmniej nie tak bardzo, jak powinno. Starła się przybrać pozę wystudiowanej obojętności, ale nie miała wprawy w udawaniu.

- Przeciwnie, zmienia, i to bardzo, z powodu, który powinien być dla pana oczywisty. - Jej głos lekko drżał.

- Naprawdę? Nie jestem o tym przeświadczony.

- Prędzej mógłby pan swoimi pochlebstwami i uwodzicielskim urokiem wzruszyć skałę. Nigdy

więcej

nie pozwolę, żeby mi pan zawrócił w głowie.

- Czyżby?

Podszedł bliżej, choć doskonale wiedział, że nie powinien tego robić.

- Nigdy więcej? Wcale?

Jej oczy się rozszerzyły. Była wprost uroczo w swej niewinności zdumiona. Obróciła się gwałtownie i

o mało nie upadła. Nie mógł do tego dopuścić.

Pochwycił jej ramię, przyciągnął ją do siebie i zamknął w objęciach.

Miał to być krótki pocałunek, udowodnienie, że to on ma rację. Nic więcej. Tak sobie przynajmniej mówił.

Nie opierała się ani nie walczyła. Zesztywniała na moment, zaskoczona, a potem, gdy ją całował, jej ciało stało się uległe. Zareagowało tak, jakby ciepło jego ramion przegnało z niego chłód.

Miękkie wargi. Zaciekawione, niewprawne. Nie żądał, by odwzajemniła pocałunek. Wszystko, co chciał wiedzieć, zdradzał jej oddech, przyspieszony puls i chętnie przyzwolenie.

To nie był krótki pocałunek. A potem drugi. I trzeci. Ogarniało go pożądanie i tylko jej niewinność powstrzymywała go przed zaspokojeniem żądz. Z kobietą innego pokroju - wiadomo, jakiego - nie zawracałby sobie głowy uwodzeniem, ale teraz sprawiało mu przyjemność drażnienie jej

pieszczotliwymi muśnięciami palców, igranie z nią delikatnymi dotknięciami. Dostrzegł jej zdumiony zachwyty, gdy leciutko przesunął dłońmi po jej plecach i biodrach.

Coraz większy żar. Płonący w nim ogień. Obrazy tego, co mogło się za chwilę stać. Pragnienie, by już nie zważać na nic. I walka między ciałem a rozumem, jakiej nie toczył od lat, choć w tej walce nie było zwycięzcy.

Leżała, całkowicie bezwolna, w jego ramionach, przytulona doń piersiami i całym ciałem. Czuł, jak drży. Drżał i on. Przyłgął ustami do pulsującej na jej szyi żyłki i słyszał jej przyspieszony, urywany z podniecenia oddech. Ten dźwięk zmusił go do nieustępliwego dążenia ku pełni zaspokojenia.

Uniósł jej głowę, żeby dosięgnąć ust, zapominając, jak bardzo jest niedoświadczona. Zesztywniała, zanim się poddała magii pocałunku.

Była uległa. Nie zważał już na nic i - wyobrażając ją sobie nagą, otaczającą go nogami i wydającą krzyki, które teraz usiłowała stłumić - pieścił ją coraz śmielej, aż jego dłoń ześlizgnęła się na jej gładką pierś.

Wtedy krzyknęła. Cudowny krzyk kobiecej rozkoszy. A potem kolejny i jeszcze kolejny, gdy drażnił pieszczotliwie palcami stwardniałe sutki, przesłonięte tkaniną.

I ona, jak on, traciła zmysły. Wspierała się o niego, by nie upaść, i wyginała plecy w łuk, zachęcając go, by nie ustawał w pieszczotach. Próbował zebrać rozproszone myśli. Musi ją natychmiast stąd zabrać, znaleźć jakieś miejsce, obojętnie gdzie, by mógł ją posiąść. Musi...

Nagle przesywający ból zmałował mu myśli do końca. Wściekły, zaklął głośno.

Lekko oprzytomniał. Lewe ramię paliło go żywym ogniem. Panna Kelmsleigh stała nieco dalej, zasłaniając usta rękami, niczym uosobienie zgrozy.

- Przepraszam! Nie chciałam pana urazić w zranione ramię! - wyszeptała przerażona. - Usłyszałam, że ktoś otwiera drzwi, i chciałam się tylko uwolnić, i... - rozejrzała się niespokojnie po ogrodzie. Wiatr przywiał ku nim kobiece śmiechy i gwar rozmów.

Oprócz bólu w ramieniu czuł równie dotkliwy ból... dużo niżej.

- Nieważne. Nic mi nie jest.

- Na pewno? Strasznie pan pobałdł.

Bez wątpienia. Ciało zadawało mu wręcz piekielne cierpienia. Przyszedł do siebie po dobrej minucie.

Patrzyła na niego ze strachem. Uspokoila się, widząc, że już z nim lepiej.

- Gdyby tak zobaczyła nas Daphne albo Celia... byłoby to okropne. Na pewno pan mnie rozumie.

Niespodziewanie wyszły z domu. Zazwyczaj nie opuszczają go o tej porze, bo są zajęte kwiatami w oranżerii. Wyobraził sobie bladolicą kobietę skapaną promieniami słońca. Powinien pamiętać, żeby kiedyś podziękować pani Joyes.

- Doprawdy, nie powinniśmy byli... to było bardzo niewłaściwe z pana strony... - konsternacja panny Kelmsleigh ustąpiła miejsca wyrzutom. Nie chciał teraz ich wysłuchiwać.

- Oczywiście, że powinniśmy - wychrypiał. - Pragnęliśmy tego, więc powinniśmy to zrobić, więc to zrobiliśmy. Proszę tylko nie udawać, że zmusiłem panią do całowania mnie.

Nadal czuł w ciele ćmiący ból, dlatego powiedział bez obsłonek to, co myślał. Niech panna Kelmsleigh nie szuka wymówek i ujrzy wszystko w jak najgorszym świetle. Całą prawdę.

Skierowała się ku domowi.

- Widzę, że jest pan tak okrutny, jak sądziłam. Pańskim celem jest upokorzenie mnie. Nie wiem tylko, dlaczego.

Wlókł się z tyłu za nią, z trudem powściągając chęć ponownego pochwycenia jej w ramiona, żeby dowieść, że to on miał rację.

- Uległem impulsowi i pokusie zrodzonej z bardzo miłego wspomnienia. A moim celem, jeśli pani

tego nie zauważyła, była obopólna satysfakcja. Ma pani jednak słuszość. Nie powinienem był tego robić, muszę więc przeprosić ponownie.

Wyłonili się z głębi ogrodu i zatrzymali na jego skraju, tuż za narożem budynekczku zimowego ogrodu.

Dwa czepeczki dwóch kobiet nawet nie drgnęły, jakby ich właścicielki nie zauważyły, że on i panna Kelmsleigh w ogóle tu są. Nie mówiąc już o tym, że razem.

Panna Kelmsleigh wskazała ręką na odległy załom ogrodowego muru.

- Nie chcę pańskich przeprosin, lordzie Sebastianie, chcę tylko, żeby pan już wreszcie sobie stąd poszedł. Tam jest wyjście z ogrodu. Nie musi pan wracać przez dom.

- Niewątpliwie. Do widzenia pani i dziękuję.

- Za co?

- Za spacer po ogrodzie. Za pani gościnność.

Uklonił się jej. Spiorunowała go wzrokiem. Uśmiechnął się. Poczerwieniła. Spojrzał jej w oczy.

Odwróciła się i pobiegła ku oranżerii.

Muszę dziś wcześniej wyjść - oznajmił Sebastian. - Mam się spotkać w City z Castlefordem.

- Obowiązki przede wszystkim - odparł Morgan. - Cieszy mnie, że gotów jesteś pertraktować z

Castlefordem. Obawiam się, że nigdy nie potrafiłem ukryć mojej niechęci do tego człowieka i jego niegodnych postępów. Właśnie dlatego tak dobrze dajesz sobie radę z rządem, że potrafisz

przestawać z łajdakami, nie okazując im swojej pogardy. W każdym razie oni jej nie dostrzegają.

- Pewnie dlatego, że również mnie uważają za łajdaka, a więc sądzą, że nimi nie gardzę. Mają mnie za jednego ze swoich.

- Nonsens. W młodości musiałeś się wyszumieć, to normalne. Nigdy nie postąpiłeś naprawdę haniebnie. W przeciwieństwie do Castleforda.

Sebastian nie miał zamiaru spierać się o to, jaki naprawdę jest jego charakter, a już bynajmniej nie chciał przekonywać Morgana, że ma na sumieniu więcej grzechów, niż brat sądził. Księżę Castleford uważał Sebastiana za swego kompana, bo w przeszłości obydwaj brali udział w niejednym szaleństwie.

Teraz jednak, choć sprawiali wrażenie, że pozostają w dobrej komitywie, byli dwoma przeciwnikami

obchodzącymi się wkoło i szukającymi słabego punktu rywala. Castlefordowi nie podobało się, że Sebastian zajął miejsce Morgana w życiu publicznym. Gdy bowiem Morgan musiał podjąć walkę polityczną, z reguły się wycofywał.

- Przyjdą tu Kennington i Symes-Wilvert, nie odczuję więc braku twojej osoby - zapewnił go Morgan.

- Będę miał dziś rano mnóstwo zajęć.

- W takim razie pójdę już.

Lokaj Sebastiana, czekający nań pod drzwiami apartamentu Morgana, podał mu kapelusz i rękawiczki. Sebastian skierował kroki do wyjścia na ulicę. Czekał go kolejny dzień.

Percival Kennington i Bernard Symes-Wilvert właśnie wchodzili do rezydencji markiza, gdy

Sebastian ją opuszczał. Obydwaj byli drugimi synami baronów i przyjaźnili się z Morganem od czasów szkolnych. Odwiedzali go przynajmniej raz w tygodniu, zawsze razem, tak jak tego dnia, i zawsze rano, bo Morgan po południu był już zmęczony. Obydwaj jasnowłosi, rumiani i tęgawi, wyglądali jak bracia, choć różnili się wzrostem. Kennington był największym, a Symes-Wilvert najmniejszym ziarnkiem w strączku grochu.

Zdaniem Sebastiana, nie byli interesującymi ludźmi, ale w ciągu ostatniego roku nabrał do nich sympatii, bo okazali się oddanymi przyjaciółmi jego brata.

- Wybierasz się gdzieś, Summerhays? - spytał Kennington. - Mieliśmy nadzieję, że dasz się namówić na partyjkę kart.

- Niestety, muszę dzisiaj odmówić.

Uczucie ulgi mieszało się z przykrym dlań poczuciem winy. Te partie wista zazwyczaj były nudnawe.

Kennington i Symes-Wilvert zaczęliby zapewne opowiadać stare plotki o znajomych i wypytywać go, co rząd robi, on by zaś musiał udzielać wykrętnych odpowiedzi, bo nie zamierzał wtajemniczać ich w sprawy wagi państwowej. To nie ich interes. Morgan cieszył się jednak z towarzystwa przyjaciół.

- No, to idziemy na górę - odparł Kennington. - Może jeszcze nas zastaniesz, kiedy wrócisz.

- Nie omieszkam sprawdzić. Wejdźcie. Morgan na was czeka. Goście brata skierowali się ku schodom. Sebastian dosiadł swego

wierzchowca. Miał spotkać się z Castlefordem dopiero za godzinę, ale musiał przedtem udać się w całkiem inne miejsce.

- Jeśli będziemy tu stały dłużej, wszyscy mieszkańcy tego hotelu zaczną sobie Bóg wie co wyobrażać

- stwierdziła Celia.

- Co masz na myśli? - spytała Audrianna. Celia wzniosła oczy do góry.

- Dwie młode kobiety, które pozwalają się oglądać każdemu, kto tylko wyjrzy przez te okna? No, pomyśl tylko.

Audrianna pojęła w lot uwagę Celi.

- To wstrętne przypuszczenia.

Stały na Jermyn Street przed Hotelem Millera dopiero od dziesięciu minut, ale sama czuła, że zanadto rzucają się w oczy.

- Po co tu w ogóle przyszłaś? - dopytywała się Celia. - Gdybym wiedziała, że zamierzasz wystawać przed hotelem, nigdy bym się nie zdecydowała towarzyszyć ci w tej wyprawie do miasta.

- Liczę na to, że zobaczę tu mężczyznę, który wdarł się wtedy do mojego pokoju w oberży. -

Audrianna opowiedziała już współmiesz-kankom domu Daphne, choć nie ze wszystkimi szczegółami, co się stało w oberży Pod Dwoma Szpadami. Tylko tak mogła im wyjaśnić powód wizyty lorda

Sebastiana i szczerze porozmawiać z Daphne na temat pistoletu. - Sądzę, że Domino jest cudzoziemcem. Mówiono mi, że oni często się zatrzymują w tym hotelu. Miałam nadzieję...

Na co? Że jeśli wystarczająco długo będzie się wpatrywać w fasadę Hotelu Millera, to Domino się tu

zjawi?

Musiała w duchu przyznać, że liczyła właśnie na to. Liczyła na cud.

- Chodźmy już stąd! - zażądała Celia.

I właśnie wtedy z hotelu wyszedł mężczyzna, którego wygląd od razu przyciągnął uwagę Audrianny.

Miał kapelusz podobny do tego, jaki nosił Domino, z niskim denkiem i miękkim, szerokim rondem.

Przyglądała mu się bacznie, gdy przechodził na drugą stronę ulicy.

Nie był wprawdzie rudy, ale co do koloru włosów napastnika mogła się mylić, bo w pokoju panował półmrok. Tylko że ten mężczyzna wydał jej się wyższy od tamtego. I jego ruchy...

- Och, Boże - mruknęła pod nosem Celia - cóż za interesujący zbieg okoliczności!

Audrianna spojrzała tam, gdzie patrzyła Celia. Ulicą jechał konno lord Sebastian Summerhays.

- Chodźmy stąd. Natychmiast! - Audrianna odwróciła się gwałtownie i pociągnęła Celię w przeciwną

stronę.

- To bardzo niegrzecznie, nie przywitać się z nim - powiedziała Celia. - Jestem pewna, że cię zobaczył.

- Nie chcę z nim rozmawiać. Pospieszmy się.

- Ależ się zarumieniłaś, Audrianno - Celia stłumiła z trudem chichot. - Co się zdarzyło podczas jego wizyty? Czy o wszystkim nam opowiedziałaś?

- Nic się nie zdarzyło. Zachował się nieuprzejmie, a ja...

- Czy to panna Kelmsleigh? Ach tak, rzeczywiście. Poznałem panią po płaszczu.

Na dźwięk tego głosu, dobiegającego z bliska, stanęła jak wryta.

Gdy się odwróciła, zobaczyła wysoki, skórzany but do konnej jazdy i bok wspaniałego karego konia.

Spojrzała w górę, na twarz jeźdźca. Lord Sebastian uniósł kapelusz w geście pozdrowienia.

Wyglądał

niczym zdobywca dokonujący przeglądu łupów wojennych.

- Cóż za nieoczekiwane spotkanie, lordzie Sebastianie.

Nie sądziła, że jeszcze go kiedykolwiek ujrzy. Policzki jej pałały rumieńcem. Naszło ją wspomnienie jego pieszczot w ogrodzie. Przedstawiła mu Celię.

- Spaceruje pani po mieście dla zdrowia, czy w jakimś interesie? - spytał.

- Po trosze i to, i to.

Rozejrzał się wokoło i jego spojrzenie padło na hotel.

- Ciekawe, że spacer zaprowadził panią właśnie tutaj. Czy przypadkiem nie zamierzała pani dowiedzieć się czegoś o naszym wspólnym znajomym?

- Czemuż miałabym to robić?

- Często zatrzymują się w tym hotelu kupcy z zagranicy. Mówiła mi pani, że chciałyby sprawdzić takie miejsca, w nadziei, że na niego natrafi. Czy na pewno nie po to przyszła pani tutaj?

- Bynajmniej. Zawrócił konia.

- No cóż, boja właśnie dlatego tu jestem.

- Ukradł mi pan pomysł!

- Ten pomysł łatwiej może zrealizować mężczyzna. Dostała już pani nauczkę, więc proszę nie robić więcej głupstw. Jeśli pani przyszła tu dziś, żeby kontynuować swoje śledztwo, będę zmuszony panią ukarać za nieposłuszeństwo.

Uklonił się lekko i podjechał bliżej hotelu. Celia obserwowała go uważnie.

- Zwracał się do ciebie bardzo ostro. Czy Daphne wie, że... Audrianna ruszyła za Sebastianem, nie zwracając uwagi na Celię.

- Co ty robisz?! - Celia schwyciła ją za łokieć.

- Zamierzam się przekonać, co on robi.

Lord Sebastian spostrzegł ją, gdy przywiązywał wodze konia do słupka. Uśmiechał się tym swoim przeklętym uśmiechem. Audrianna udawała, że jego uśmiech nie wywiera na niej żadnego wrażenia.

Celia za to wpadła w zachwyty.

- Jeśli ma pan zamiar stać i patrzeć, kto tu wchodzi lub wychodzi, powinnam panu towarzyszyć - oznajmiła Audrianna. - Przecież tylko ja miałam okazję przyjrzeć się Dominu.

- Tylko dlatego, że byłem zajęty czym innym. - Błysk w jego oczach zmusił ją do przypomnienia sobie, czym był wtedy zajęty i dlaczego. - Nie zamierzam tu wcale wystawać. To by nic nie dało.

Wejdę do środka i pomówię z właścicielem hotelu, a także ze służbą, żeby się przekonać, czy zatrzymał się tu ktoś odpowiadający pani opisowi.

- Ja też bym mogła z nimi pomówić.

- Ale nie otrzymałaby pani odpowiedzi, a ja tak.

Ruszył w stronę hotelu. Audrianna również, ciągnąc za sobą Celię. Lord Sebastian zatrzymał się w drzwiach. - Powiem pani, czego się dowiedziałem.

- Dowiem się sama, dziękuję.

- Daję słowo, że niczego przed panią nie zataję.

- Nasze poglądy całkowicie się różnią. Cele, które chcemy osiągnąć, także, pod każdym względem.

- Chcę poznać prawdę.

- Nie, pan chce dowieść, że ma rację. Usłyszysz pan to, co chce usłyszeć, i właśnie dlatego muszę polegać tylko na sobie, dochodząc prawdy.

Nie był zadowolony, ale przytrzymał drzwi, przepuszczając przed sobą Audriannę i Celię.

Nikommu innemu by się nie powiodło. Ale ten mężczyzna zawsze osiągał to, czego chciał. Na widok biletu wizytowego osoby z najwyższych sfer hotelowa służba prześcigała się w uprzejmościach.

- Rude włosy, mówi pan? - zamyślił się właściciel, słysząc pobieżny opis poszukiwanego. - Pan van Aelst nie jest co prawda rudy, ale nosi kapelusz bardzo zbliżony do tego, o jakim pan wspomniał.

Nie widuje się tu takich nakryć głowy, jeśli chce pan znać moje zdanie. Dopiero co wyszedł, ale mógłbym

z nim pod jakimś pretekstem pomówić, tak by mu się pan dobrze przyjrzał.

- To na pewno nie ten mężczyzna, którego szukamy - stwierdziła Audrianna. - Ale skąd przyjechał pan

van Aelst?

- Z Holandii. Z Amsterdamu.

- Czy ma pan jakichś innych gości z Amsterdamu? - spytał lord Sebastian.

- W tej chwili nie.

- A może miał ich pan ostatnio? W ostatnim tygodniu albo nieco wcześniej?

Hotelarz pokręcił przecząco głową.

Niczego więcej się nie dowiedzieli. Gdy znów wyszli na ulicę, Audrianna zaczęła się zbierać do odejścia.

- Niewiele tych informacji, ale jednak coś już wiemy. Domino mógł przyjechać z Holandii.

- Albo i nie - uciął Sebastian. - Czy może mi pani obiecać, że nie spędzi pani dzisiejszego wieczoru na wypytywaniu każdego służącego w każdym hotelu czy oberży o tego człowieka? Nie spotkałaby się

pani z dobrym przyjęciem i niczego by nie uzyskała.

- Nie. Niczego nie będę obiecywać. Nie oczekuję też od pana podziękowań, gdybym, po zobaczeniu pana van Aelsta, uznała, że można go skreślić z listy podejrzanych. Ja mogę to uczynić, w przeciwieństwie do pana. Miłego dnia, lordzie Sebastianie.

Pożegnawszy lorda Sebastiana, Audrianna i Celia załatwiły resztę spraw w Londynie. Właścicielom dwóch eleganckich kwiaciarni w dzielnicy Mayfair przypomniały, że winni są pieniądze firmie Najradsze Kwiaty. Zazwyczaj Daphne sama wykonywała ten nieprzyjemny obowiązek, ale dziś zatrzymała ją w Cumberworth prywatna wizyta.

Potem poszły na Albemarle Street do sklepu pana Trottera. Audrianna napisała nową piosenkę i liczyła na to, że wydawca ją opublikuje.

- Czy cię pocałował? - spytała Celia. - To znaczy lord Sebastian.

- Co za niesłychane pytanie, Celio.

- Pocałował cię czy nie?

- Przypomnij sobie regulamin Daphne. Nie wolno wtrącać się w...

- Zrobił to. Wiedziałam! Potrafię takie rzeczy rozpoznać.

- Wątpię.

- Gdybyś była bardziej doświadczona, to może bym nie mogła, ale że jesteś w tych sprawach całkiem zielona...

- Och, ty za to jesteś bardzo doświadczona - przekomarzała się z nią Audrianna.

- Bardziej od ciebie.

A jednak Celia naprawdę wyglądała na dziewczynę bardzo doświadczoną. Na jej twarzy, nad wiek dojrzałej, snuł się cień... Czego? Wspomnień? Straty?

- On cię pragnie - powiedziała Celia. - Widać to w jego oczach, kiedy na ciebie patrzy. Z pewnością sama zauważyłaś.

- Nie jestem pewna, co zauważyłam. - To, co zauważyła, nie zapowiadało nic dobrego. Przerazało ją.

I fascynowało. A nie powinno, zważywszy na krzywdę, jaką wyrządził jej rodzinie. - Nie obchodzi mnie, czego lub kogo on pragnie - dodała.

W polu widzenia pojawił się zawieszony wysoko szyld sklepu muzycznego Trottera: dwa skrzyżowane flety na tle rulonu papieru nutowego.

- Lord Sebastian jeszcze nie tak dawno miał opinię rozpustnika - powiedziała Celia. - Nie z tych najgorszych. Nie był okrutny. Ale jednak rozpustnik. Mówią, że się poprawił, ale tacy mężczyźni nigdy się nie poprawiają, musisz więc być ostrożna.

Audrianna odwróciła się ku Celi, gdy zatrzymały się przed wejściem do sklepu:

- Twierdzenie, że ktoś nie jest w stanie się poprawić, jest cyniczne. Może on jednak się zmienił. -1

choć wszystko świadczyło, że się nie zmienił, nie chciała oceniać go zbyt surowo. - A skąd tyle wiesz o nim i o jego reputacji? Czytujesz wszystkie te plotkarskie gazety, które kupuje Lizzie?

Sądziłam, że mogłabyś lepiej...

- Audrianno! Spójrz! - Celia już jej nie słuchała, wpatrzona w witrynę sklepu.

Audrianna też tam spojrzała. Pan Trotter wystawiał w witrynie rozmaite małe instrumenty muzyczne, które oferował na sprzedaż, a do dużej, obitej aksamitem planszy przypinał najnowsze partytury. Był tam obszerny wybór hymnów kościelnych i starych, popularnych melodii, starannie wydrukowanych

na ozdobnych kartach. Wiele kart zdobiły małe wizerunki z wizerunkami ptaków, kwiatów i symboli religijnych.

Ale to nie one przyciągnęły uwagę Celi.

Egzemplarz utworu Audrianny *Mój niestały kochanek* znajdował się na czołowym miejscu, w samym środku planszy. Jednakże zamiast girlandy róż, które poprzednio go zdobiły, teraz widniały w nagłówku dwie postacie ludzkie.

Mężczyzna bardzo podobny do lorda Sebastiana słaniał się na nogach i trzymał za krwawiące ramię.

A

kobieta, dzierżąca pistolet, z którego do niego strzelono, była uderzająco podobna do Audrianny.

Sebastian wiercił się na krześle w ogromnej garderobie księcia Castleford. W sąsiadującej z nią sypialni chichotała kobieta.

Sam domagał się spotkania z księciem. Próbował nie myśleć, co zatrzymywało Castleforda w sypialni. Zajął się oglądaniem widoku londyńskich ulic, roztaczającego się z okna garderoby.

Rusztowania

ciągnęły się aż po Apsley House na krańcu Piccadilly Street. Mówiono, że Wellington zamierza powiększyć plac o połowę.

Drzwi otwały się wreszcie. Stał w nich Castleford, tylko w samej koszuli i spodniach. Ciemne, rozczochrane włosy opadały mu na czoło i zasłaniały twarz. Igraszki w sypialni niewątpliwie oderwały go od porannej toalety.

- Świetnie, że przyszedłeś, Summerhays. Przepraszam, że musiałeś czekać, ale...

- Castleford! - zaszczębiotał czule kobiecy głos.

Castleford obejrzał się. Sebastian ze swego miejsca na krześle też widział wewnątrz sypialni. Naga postawna brunetka leżała rozciągnięta na łóżku, kiwając na księcia uwodzicielsko zagiętym paluszkiem. Za nią widać było drugą młodą kobietę, dla odmiany drobną blondynkę.

- Mówiłem już, że nie mam więcej czasu na zabawy - upomniał czarnulkę Castleford. - Ubierzcie się i

zabierajcie stąd. Kusicielka zrobiła nadąsaną minkę i spojrzała na księcia filuternie. Przeciągnęła się tak, by ukazać w całej okazałości swoje bujne ciało, a potem, na czworakach, odwróciła się do nich tyłem. Wyginając grzbiet, wypięła pośladki w ostentacyjnie erotycznej pozie.

Castleford zamilkł. Blondynka zauważyła, że ktoś jest w garderobie, i zmieniła pozycję na taką samą, jaką demonstrowała jej przyjaciółka. Castleford spojrzał na Sebastiana.

- Nie będzie ci przeszkadzało, że poczekaś jeszcze trochę?

- Bynajmniej. Castleford wskazał mu obie.

- Mała Kate ma ochotę na zabawę w większym gronie. Dołącz do nas. Jeden obok drugiego, jak za dawnych czasów.

Sebastian nie był obojętny na kobiece wdzięki i chętne tyłeczki. Poczul suchość w ustach, a jego ciało stwardniało.

- Dziękuję uprzejmie. Idź, ja poczekam.

Castleford cofnął się w głąb sypialni i klepnął Kate delikatnie w pośladek.

- On odmawia. Cóż na to poradzę? Stał się świętoszkiem.

Kąty, nadąsana, odwróciła głowę. Castleford nachylił się i ucałował ją.

- Nieładnie, prawda? Coś wam powiem. Kiedy ja będę robił dobrze Janie, chciałbym patrzeć, jak ona

dogadza tobie.

Sebastian wstał, żeby zamknąć drzwi. Nim się zatrzasnęły, zobaczył, że Kate ułożyła się przy głowie Janie z szeroko rozsuniętymi nogami i uniesionymi biodrami, żeby przyjaciółka mogła dosięgnąć ustami, gdzie trzeba. Castleford zajął pozycję za okrągłymi, bujnymi pośladkami Janie i ściągał spodnie.

- Nie sędzę. - Odpowiedź Castleforda padła po długiej chwili milczenia. Rozmowa toczyła się dotąd po myśli Sebastiana, ale po tych słowach przybrała niewłaściwy obrót.

Może Castleford, odprężony i zaspokojony, nie zrozumiał go, na wpół śpiący i niebiańsko

zadowolony. Sebastian nie był w tak dobrym nastroju. Całkiem niedawno musiał wysłuchać całego koncertu dobiegających z sypialni księcia kobiecych jęków, pisków i krzyków, bardziej donośnego, niż może to znieść jakikolwiek mężczyzna, który nie jest ich sprawcą.

- Jeśli nie poprzysz tej ustawy w Izbie Lordów, ja ci nie zdołam pomóc, kiedy ty będziesz potrzebował

poparcia w Izbie Gmin - przypomniał mu.

Castleford przeciągnął się leniwie w fotelu, nadal odziany tylko w koszulę i spodnie. Wzruszył powoli ramionami.

- Nie sądzę, byś zdołał mi pomóc w jakimkolwiek przypadku, po co więc mam tracić polityczny kapitał, żeby zyskać twoje poparcie?

Trzeba mu to było wbić wyraźnie do głowy.

- Wiesz, że mam wpływy w Izbie Gmin. Liczą się tam z moim zdaniem. Wystarczająco często wyrażałeś zdanie przeciwne do mojego, by się o tym przekonać.

- Owszem, owszem. Masz donośny głos. I dar przekonywania. Kto by się po tobie spodziewał, że dorównasz zręcznością Machiavel-lemu. Wszyscy też szybko zapomnieli o twojej przeszłości. Ale Izba

Gmin... no cóż, ona się składa z małostkowych ludzi niezdolnych do zachowania lojalności. Nigdy nie

wiadomo, co skłoni ich do zajęcia takiego lub innego stanowiska.

- Zaryzykuj. Przekonasz się, czy nadal odnoszę zwycięstwa.

- Wątpię w to. Wydaje mi się, że stajesz się politykiem drugiego planu. Odchodzisz w przeszłość.

Ale mimo wszystko zastanowię się nad twoją propozycją i zdecyduję, co będzie dla mnie bardziej korzystne.

Dalsza rozmowa nie miała sensu. Sebastian, zirytowany stratą czasu, wrócił do domu.

Ledwie przestąpił próg, podszedł do niego kamerdyner.

- Sir, polecono, by udał się pan do brata od razu po powrocie. Markiz koniecznie chce pana widzieć.

- Czy źle się poczuł? Czy wezwano doktora? - spytał zaniepokojony Sebastian.

- Nie wiem. Pańska matka jest już u niego. To ona zażądała, by pan się tam zjawił.

- Trzeba było posłać kogoś po mnie! - warknął Sebastian, biegnąc ku schodom. Przeskakiwał po dwa stopnie naraz. Otworzył gwałtownie drzwi do apartamentów Morgana i zajrzał do małej biblioteki i salonu. Nikogo w nich nie było, skierował się więc do sypialni brata, ogarnięty lękiem, co tam zastanie.

Pchnął drzwi i stanął jak wryty. Nikt nie wzywał doktora i nic złego się nie działo z Morganem. Jego brat siedział w wyściełanym fotelu, bezwładne nogi nakryte miał pledem, i wyglądał tak jak

dzisiejszego ranka, gdy Sebastian stąd wychodził.

W drugim fotelu, tuż przy Morganie, siedziała sztywno wyprostowana ich matka. Jak zawsze miała wygląd iście królewski i jak zawsze była w białej sukni, która podkreślała czerń włosów, a na jej bladej twarzy malował się przepojony bólem niewzruszony spokój, który zawsze okazywała w obecności Morgana.

Esther, markiza Wittonbury, skierowała wzrok ku drzwiom. Jedną z brwi o idealnie zarysowanym łuku uniosła się nad ciemnobrązowym oknem.

- Ach, oto i on.

Ton jej mówił więcej niż słowa. Ach, oto i on, syn, który sprawił jej wielki zawód. Samowolny, nie niewart. Tak jak ojciec czerpiący pełną garścią z uciech życia grzesznik.

To jemu powinna była przypaść w udziale śmierć lub kalectwo.

Sebastian powitał matkę i zwrócił się do Morgana:

- Powiedziano mi, że chciałeś mnie koniecznie widzieć. Na szczęście nic ci chyba nie jest.

- Twój brat potrzebuje cię nie tylko wtedy, gdy jest umierający, Sebastianie. Jako markiz nadal decyduje o tym, co dzieje się w rodzinie i w kraju.

- Oczywiście. O co chodzi, Morganie?

Morgan wziął do ręki ulotkę leżącą na jego kolanach.

- Matka mi ją przyniosła. Mam nadzieję, że potrafisz to wytłumaczyć. Mówi, że są i inne. Trochę się różnią od tej. Dobrze się sprzedają.

Sebastian czekał. Delikatne wargi markizy się zacisnęły. Morgan odwrócił ulotkę.

Na drugiej stronie widniał prymitywny rysunek, pospiesznie wykonany i niezdarnie pokolorowany.

Ukazywał pannę Kelmsleigh, młodą, bezbronną i przerażoną, na którą nastawał agresywny

uwodziciel o diabelskiej twarzy Sebastiana Summerhaysa. Kartka z napisem „Inwentarz amunicji”

płonęła na kominku za nimi.

Jak się dowiadujemy, lady G. przez cały tydzień nie opuszczała swojej posiadłości w Surrey, mając za towarzyszy wyłącznie kilkoro zaufanych sług i jednego tylko gościa, sławnego poetę. Być może już wkrótce ukaże się kolejny epicki poemat. Lizzie odczytała tę plotkarską notatkę bezbarwnym, znudzonym tonem. Wsparła podbródek na dłoni i przysunęła gazetę ku

lampie. Jej zachwycający profil przyciągnął wzrok Audrianny. Ciemne włosy Lizzie były upięte w węzeł na czubku głowy, a blask lampy podkreślał błękit oczu i delikatne rysy.

Lizzie westchnęła i odwróciła stronę. Z wyraźną niechęcią czytała na głos nowinki z życia wyższych sfer na żądanie Celi, która uwielbiała tę rozrywkę. Można było odnieść wrażenie, że Lizzie jest zażenowana własną fascynacją życiem socjety. Tylko jej cichy głos przerywał ciszę biblioteki.

Daphne czytała przy kominku, Celia cerowała rozdartą suknię. Uwagę Audrianny przykuła ponownie biała kartka papieru na stolyczku do korespondencji, przy którym siedziała. Usiłowała jak najtrafniej dobrać słowa listu, w którym zamierzała uprzedzić matkę o rycinie w nagłówku nut.

„E.C., jak mówią, wydał ponad dwieście funtów na parę koni, którą kupił od lorda M. - czytała Lizzie.

- Choć wszyscy się zgadzają, że są to znakomite rumaki, krążą plotki, że lord M. spłacił nimi znaczną część honorowego długu”.

Doprawdy, nie było sposobu, żeby właściwie sformułować ten list. Audrianna głowiła się, ile może w

nim wyjawić. Wolałaby o wiele mniej wyznać matce, niż wyznała kobietom, siedzącym teraz z nią w bibliotece, ale nawet one nie wiedziały o długiej nocy spędzonej sam na sam z lordem Sebastianem w

pokoju oberży Pod Dwoma Szpadami.

Kto by pomyślał, że miły pan Trotter będzie tak łasy na pieniądze, że posunie się aż do umieszczenia na nutach jej utworu skandalicznego obrazka? Niestety, sprzedaż nut zwiększyła się dziesięciokrotnie, a pan Trotter nie chciał nawet słyszeć o przywróceniu winietki z kwiatkami na jej prośbę.

„Dwóch wiejskich chłopców z hrabstwa Middlesex znalazło w pobliżu miasta Trilby szczątki...”

Choć Audrianna była zajęta układaniem listu, a nie słuchaniem, o czym Lizzie czyta, sposób, w jaki Lizzie zawiesiła głos, zwrócił jej

uwagę. Jakby utwór muzyczny urwał się nagle tuż przed finalnym akordem.

- Zmęczyło mnie już to czytanie na głos - mruknęła z niezadowoleniem Lizzie, odkładając na bok gazetę. - Litery zaczęły mi tańczyć przed oczami.

- Mogłabyś chyba doczytać do końca tę wiadomość i zaspokoić naszą ciekawość - narzekła Celia. -

Skoro Audrianna i ja przytasz-czyłyśmy te pisemka aż z Londynu, gdzie wyszukałyśmy je dla ciebie, powinnaś przynajmniej przeczytać nam co ciekawsze kawałki.

- A może byś zabawiła nas czymś innym, Celio? - zaproponowała Daphne. - Na przykład śpiewem.

Audrianna napisała nową piosenkę. Mogłabyś nas jej nauczyć.

Celia odłożyła cerowanie, wstała, podeszła do Lizzie i wyrwała jej gazetę.

- Najpierw chcę się dowiedzieć, co ci chłopcy znaleźli. Odszukała notatkę.

- „Dwóch wiejskich chłopców z hrabstwa Middlesex znalazło w pobliżu miasta Trilby szczątki zniszczonej damskiej torebki zaplątane w konarach powalonego drzewa na brzegu Tamizy” -

odczytała głośno. - Torebka? Och, to nic nadzwyczajnego. Sądziłam, że chodzi o zwłoki. - Spojrzała ponownie na gazetę. Dalszy ciąg tekstu przykuł jej uwagę.

- No i co jeszcze tam piszą? - spytała Daphne. Celia, zdumiona, wzdrygnęła się.

- „Rozpoznano w niej własność zaginionej panny młodej, poślubionej lordowi Hawkeswell, jak twierdzi miejscowy sędzia pokoju”. - Och, Boże, widocznie znaleziono jednak i ciało. Jakie to smutne.

Daphne powróciła do swojej lektury. Celia podeszła do Audrianny i spojrzała na list.

- Jaką ty masz wyrobioną rękę, Audrianno. Podziwiam, doprawdy, twój charakter pisma. To pismo damy, od razu widać.

Podziwiając nieistniejący list, Celia położyła pisemko na stolyczku obok czystej kartki papieru, nad którą biedziła się Audrianna i stwierdziła:

- Fatalnie to wygląda, prawda? Ta torebka i zaginiona dziewczyna. Rozumiem, czemu Lizzie nie chciała dalej czytać po natknięciu się na tę tragiczną historię.

Palec jej wskazywał jednak nie relację o torebce, tylko inną notatkę, tuż obok.

„Najnowsze wiadomości z Brighton wielu wprawiły w zdumienie. Pewien znakomity dżentelmen,

jakiś czas temu słynący z hulaszczego trybu życia, choć ostatnio jakoby z nim zerwał, skrycie figluje takjak dawniej. Tożsamość jego ofiary każe się domyślać najgorszego typu uwiedzenia, ze

zniewoleniem i narażeniem na kompromitację”.

Audrianna wpatrywała się w tekst, osłupiała. Choć informacja była dość ogólnikowa, miała

pewność,

że mowa jest o niej i o lordzie Sebastianie. Cóż za bzdurne kłamstwa tu wypisują! Nie było żadnego zniewolenia, żadnych figli. Do ich spotkania doszło tylko i wyłącznie w wyniku żalostnego nieporozumienia.

Spojrzała na Lizzie, która zerknęła na nią spod oka, a potem uniosła wzrok ku Celi, niezdolna ukryć zdumienia. Na dziewczęcej twarzy Celi znów pojawił się wyraz nadspodziewanej dojrzałości, a jej spojrzenie mówiło: „Sprawy przybrały niedobry obrót”.

- Skoro tylko ja jedna nie znam przyczyny wszystkich tych znaczących spojrzeń i min, może któraś z was zdradzi mi sekret - odezwała się Daphne.

Audrianna obejrzała się. Daphne już zamknęła książkę. Obserwowała je uważnie.

- Pokaż jej to, Audrianno - uznała Celia. - Zresztą ona i tak się wkrótce dowie. Wszystko na to wskazuje.

Nie tylko Daphne się dowie. Każdy się dowie.

Audrianna wstała i podeszła do półki z książkami. Wyjęła tom, w którym schowała kartkę z piosenką, przyniesioną ze sklepu Trotte-ra, i podała ją Daphne.

Daphne rozłożyła kartkę i się jej przyjrzała.

- A to plotkarskie pisemko? - spytała, nie odrywając oczu od winiety.

Celia podała jej bulwarówkę. Lizzie podeszła do nich i też się przyjrzała kartce z winietą.

- Obawiam się, że jesteś absolutnie skompromitowana. - Łagodna twarz Lizzie wyrażała głębokie współczucie dla przyjaciółki, mimo że jej słowa brzmiały brutalnie. Pokiwała głową ze smutkiem. -

Wybuchnie niebywały skandal.

- Czego mam się jeszcze obawiać? - spytała Audrianna. - Już i tak skompromitowała mnie infamia ojca i zerwanie ze mną narzeczeństwa przez Rogera.

- Tym razem to coś dużo gorszego - odparła Lizzie. - Bez porównania gorszego. Skandal dotknie również twoją siostrę, matkę i przyjaciół. Kobiety będą cię unikać, bojąc się, że znajomość z tobą narazi na szwank ich własną reputację.

- Obawiam się, że ona ma rację - przyznała Celia. - Dobrze o tym wiesz, Audrianno.

Czy i one zaczną jej unikać? Byłaby zdolna przeciwstawić się temu, co ją czeka, gdyby znalazła wsparcie w mieszkankach tego domu, ale jeśli i one ją odepchną...

- Owszem, dużo gorszego - zgodziła się Daphne. - Ale widzę też

i dobre strony tej sytuacji.

- Nie zgadzam się z Lizzie. Jej przepowiednie się nie spełnią - powiedziała Audrianna, choć w duchu przyznawała Lizzie rację. Nadrabiała miną, ale w głębi duszy była przerażona. - Nie rozumiem jednak, jakie są dobre strony, Daphne.

- Lord Sebastian może się nie przejmuje tym, że jest publicznie wyśmiewany i potępiany -

odpowiedziała Daphne, wskazując na winietę. - Ale jego matka i brat na pewno bardzo dbają o

dobre

imię rodziny. Tym razem jednak możesz domagać się zadośćuczynienia za swoje upokorzenie, czego nie mogłaś uczynić, gdy sprawa dotyczyła twego ojca i niegodnego postępu Rogera. Jeśli twoja matka mi zezwoli, zajmę się tym.

- Wolalabym, żebyś tego nie robiła.

Daphne przyjrzała się jej uważnie. Potem wstała, dając do zrozumienia, że ta rozmowa już się skończyła, zamknęła książkę i wstawiła ją na miejsce w mahoniowym regale.

- Dzisiejszej nocy będzie bardzo zimno - stwierdziła. - Lizzie, idź, proszę, i rozpal w piecykach w oranżerii. Celio, byłabym ci wdzięczna, gdybyś jej pomogła.

Obydwie wyszły. Audrianna wpatrywała się w ogień płonący w kominku i próbowała sobie

wyobrazić, jak będzie wyglądało jej życie, gdy skandal wybuchnie. Ogromny skandal, jeśli Lizzie się nie myliła.

Może jednak jego zasięg ograniczy się do Londynu? Żyłaby sobie wtedy dyskretnie na wsi. Iluż w końcu przechodniów, mijających sklep pana Trottera, słyszało również tę plotkę? Obrazek przedstawiający kobietę strzelającą do mężczyzny całkiem dobrze pasował do piosenki zatytułowanej *Mój niestały kochanek*. Wszystko zapewne rozejdzie się po kościach i...

- Audrianno, obawiam się, że muszę złamać mój własny regulamin - głos Daphne rozległ się tak blisko

niej, tuż za jej plecami, że podskoczyła przestraszona.

Daphne obeszła wokół jej krzesła i ponownie usiadła na własnym. Nachyliła się i ujęła Audriannę za

rękę.

- Jako moja krewna i młoda kobieta, która dopiero od niedawna stała się samodzielna, nie jesteś w

tym domu tylko gościem. Twoja matka zgodziła się, byś ze mną zamieszkała, bo uważała, że zapewni ci to

bezpieczeństwo.

- No i byłam tu bezpieczna.

- Istotnie. A jednak ta rycina... muszę cię ponownie spytać, co się właściwie zdarzyło Pod Dwoma Szpadami, Audrianno. Ale tym razem, błagam, nie mów mi jedynie połowy prawdy.

Sebastian przeglądał plik kartek leżących na biurku. Prócz ulotki wręczonej mu przez Morgana leżało tam pięć innych przyniesionych przez służbę z miasta na polecenie Sebastiana. Kolejna zdobiła nagłówek nut wydanych przez Thomasa Trottera, właściciela sklepu na Albemarle Street.

Muzykę i słowa napisał nie kto inny, jak panna Kelmsleigh we własnej osobie. *Mój niestały kochanek*

Sebastian zanucił w duchu melodię, czytając słowa. Piosenka była przejmująca, przepojona bólem płynącym ze złamanego serca. Najwyraźniej panna Kelmsleigh przeżyła wielki zawód miłosny i dała temu wyraz w owym smutnym utworze.

Następnie Sebastian przeczytał kilka wzmianek w plotkarskich pismach z ostatniego tygodnia. W żadnej nie wymieniono wprawdzie jego nazwiska, lecz każdy, kto zasłyszał plotki o wydarzeniach Pod Dwoma Szpadami - a jak przypuszczał, słowo „każdy” oznaczało wszystkich z kręgów londyńskiej socjety - bez trudu domyśli się, o kogo chodzi. Najwyraźniej skandal stawał się coraz głośniejszy.

Oskarżaniem go o uwiedzenie panny Kelmsleigh, choć wcale tego nie uczynił, zbytnio się nawet nie dziwił. W końcu sam się o to prosił, sugerując sir Edwinowi, że ona i on spotkali się tam dlatego, że byli kochankami. Wszyscy wiedzieli, że nie jest świętym, nie mógł więc oczekiwać, że ktokolwiek potraktuje to spotkanie inaczej. Rysunki i treść wzmianek w pisemkach nie sugerowały jednak

romansu. Oskarżano go, że wykorzystał swój udział w śledztwie dotyczącym jej ojca, by zaciągnąć ją do łóżka. Stąd już krótka droga prowadziła do przypuszczenia, że odkrył podczas dochodzeń

dotyczących dostawy wadliwego prochu więcej, niż publicznie wyjawiał, ale ukrył dowody, by w zamian zapewnić sobie względy panny Kelmsleigh.

Tak postępuje najgorszy łajdak. Przedstawiono go jako mężczyznę, który nie tylko cynicznie

wykorzystał niewinną istotę, lecz także zapomniał, do czego go zobowiązuje jego pozycja społeczna, i zataił prawdę, by niegodziwie się zabawić.

Panna Kelmsleigh zaś, której samowola, w co nie wątpił, przyczyniła się do wybuchu tego

nieszczęsnego skandalu, była we wszystkich tych pełnych insynuacji wobec niego publikacjach traktowana z największym współczuciem. Rysunki ukazywały ją jako słodką, niewinną, przerażoną, skonfundowaną, skonsternowaną, stawiającą opór, napastowaną brutalnie istotę - nawet te, na których trzymała w ręku pistolet.

To oskarżanie go i przypisywanie mu najgorszych cech zdenerwowało go tak bardzo, że gdy wybiła godzina dziesiąta, jeszcze nie był w pełni ubrany. Udał się jednak jak zwykle do apartamentów Morgana, choć bez surduta i halsztuka.

Morgan nie okazał dezaprobaty na widok jego niekompletnego stroju, Sebastian jednak nie wątpił, że bratu to się nie spodobało. O tej porze, mimo kalectwa, Morgan był już w pełni ubrany.

- Jak tam twoje ramię?

- Nadal sztywne i boli, ale rana goi się dobrze, niezainfekowana. Podczas śniadania zamienili niewiele słów. Nie rozmawiali ze sobą od dwóch dni, odkąd Morgan pokazał mu ulotkę.

- Nie jest dobrze - odezwał się w końcu Sebastian. - Skandal przybiera na sile.

- Wiem. Matka przyniosła mi wczoraj kilka innych rysunków.

- Jak uprzejmie z jej strony.

- Wysoka pozycja w wyższych sferach wiele dla niej znaczy. To jedyne, co jej pozostało.

- Mam większe zmartwienie niż to, że nasza matka usłyszy kilka złośliwych insynuacji podczas wizyty towarzyskiej. Zmieniło się nastawienie do mnie, to, jak mnie postrzegają. Zmiana subtelna, ale wyraźna. Tracę wpływy, podobnie jak panna Kelmsleigh reputację.

Ale zmiana była o wiele większa. Castleford natychmiast wycofał się z proponowanego mu układu.

W

oczach innych członków parlamentu Sebastian dostrzegał teraz błysk satysfakcji, gdy wchodził.

Jeszcze bardziej wymowne było to, że nie został zaproszony na ważne spotkanie mające się odbyć tego dnia, na które normalnie by go zaproszono.

Morgan się zamyślił.

- Zdaniem jednych twoje wejście do polityki było zbyt nagłe, a zdaniem drugich zbyt szybko zacząłeś się wybijać jako polityk.

Zawsze znajdują się tacy, którzy zazdroszczą człowiekowi przerastającemu ich formatem i bardziej

zasłużonemu.

Zasługi się liczyły w politycznej karierze, ale bardziej się liczyło arystokratyczne pochodzenie.

Każdy wiedział, że choć Sebastian aktywnie działał w Izbie Gmin, znalazł się w parlamencie zamiast brata,

markiza Wittonbury. Morgan zaś był nie tylko markizem, ale i ofiarą, złożoną na ołtarzu boga wojny, co zwiększało wpływy Sebastiana.

Sebastian podejrzewał jednak, że ten pośredni atak na niego, a dokładnie zarzucanie mu niegodziwego

postępowania wobec kobiety, ma inne przyczyny oprócz zawiści. Każdy odnoszący sukcesy polityk ma wrogów. Jeśli są zwycięzcy, to muszą być też pokonani.

Skoro zaś Sebastian na ogół należał do tych pierwszych, bez wątpienia nie brakowało takich, którzy chcieli zyskać na tym skandalu, ile tylko się da, w nadziei na rewanż. Jediną niewiadomą było tylko to, czy w końcu uda im się całkowicie go unieszkodliwić. Jak powiedział Castleford, Sebastian stałby się politykiem odchodzącym w przeszłość.

- Nasza matka nie chce utracić swojej pozycji w towarzystwie - powiedział Morgan. - Jak

wspomniałeś, przeżyje zapewne parę nieprzyjemnych chwil, może nawet sporo. Ty bez wątpienia dasz sobie radę, nawet gdyby doszło do najgorszego. Nie obawiam się, że wpadniesz w pijaństwo.

Jediną osobą, której naprawdę może stać się krzywda, jest panna Kelmsleigh.

Morgan przyglądał się przez chwilę ulicy pod swoim oknem. Potem wsparł się na poręczach fotela i zmienił nieco pozycję. Wreszcie sięgnął po kawę i dokończył śniadanie. Jego słowa o panie

Kelmsleigh zawisły w powietrzu.

Morgan zawsze był trochę nudnym, ale też zawsze absolutnie uczciwym człowiekiem. Otwartym, szczerym i honorowym, bardzo prostolinijnym. Zawile ludzkie sprawy życiowe wywoływały w nim zakłopotanie. Wszystko to sprawiało, że nie potrafił prowadzić zawoalowanej rozmowy.

Dziwne, że ten dobry, prawy człowiek, któremu nic nie można było zarzucić, przyszedł na świat w takiej rodzinie. Z pewnością nie

wrodził się w ojca. Sebastian zaś był nieodrodnym synem swego ojca, ku wielkiej zgrzyocie matki.

Morgan jednak nie miał też cech charakteru matki, nic z jej bezlitosnej obojętności na cudze

cierpienie.

- Ależ ja jej nie skrzywdziłem - odparł bratu Sebastian. - Nie zyskałem jej względów w żadnych okolicznościach, a już na pewno nie w takich, jak insynuują to plotki.

- Nie przypuszczałem, byś to zrobił.

- Do diabła! Mam nadzieję, że nie! Ostry ton Sebastiana zaskoczył Morgana.

- Niezależnie od tego, co się wydarzyło, ona już drugi raz stała się ofiarą. Najpierw z powodu swego ojca, a teraz przez te plotki.

- Wszyscy przestępcy mają rodziny, które padają ofiarą ich czynów.

- Tak właśnie wyraziła się nasza matka. Nie odpowiedziałem jej nic, bo ona i tak nigdy nie słucha odpowiedzi. Tobie jednak mówię: nie podoba mi się, że ten przestępca - jeśli w ogóle nim był - ma rodzinę, która teraz jeszcze bardziej cierpi, bo twoi wrogowie bawią się tym... nieporozumieniem.

Morgan wbił wzrok w Sebastiana. Ten wytrzymał jego spojrzenie. Reszta spotkania minęła w milczeniu. Obaj wrócili do kawy i przeglądania poczty.

- Ujawnię całą prawdę o tym, co zaszło w oberży Pod Dwoma Szpadami - oświadczył Sebastian i wstał, zamierzając odejść. - Ze względu na wszystkich będzie to najlepsze.

- Prawda jest zawsze najlepsza, Sebastianie. Niech to diabli! Niewątpliwie.

Skandal wprowadził jej towarzyszkę w niezrozumiałe podniecenie, przekonała się Audrianna następnego dnia. Wszystkie były śmiertelnie poważne i jednocześnie strasznie przejęte.

Lizzie i Celia do późna w nocy rozprawiały o tym, jak można uratować Audriannę, ale miały dwa krańcowo różne punkty widzenia. Lizzie uważała, że trzeba wielu lat nieskazitelnego życia i

oddawania

się dobroczynności, by okupić utratę cnoty. Celia była zdania, że pewność siebie, wykwinny styl życia i liczący się w świecie kochanek pozwolą kobiecie odzyskać pozycję towarzyską o wiele szybciej i o wiele wyższą.

Żadna z nich nie spytała, co wolałaby sama Audrianna, która siedziała po prostu na łóżku, słuchając, jak drobiazgowo analizują koszmar, jakim stało się jej życie.

Następnego ranka obie poszły do Cumberworth, żeby nadać list, który Audrianna napisała w końcu do

matki. Pół godziny później list przestał być potrzebny, bo wynajęty powóz zatrzymał się przed fron-

tem domu Daphne. Audrianna, zerknąwszy przez okno, od razu rozpoznała jego pasażerki.

Razem z Daphne, która pojawiła się u jej boku, obserwowała zbliżające się do drzwi wejściowych matkę i siostrę.

- Jest strasznie zdenerwowana - rzekła Daphne, widząc wyraz twarzy matki Audrianny.

Audrianna nigdy jeszcze nie widziała matki tak bardzo zgnębionej. Nawet po śmierci ojca, nawet podczas bezlitosnego przesłuchiwanie przez lorda Sebastiana i innych nie załamała się. Teraz szła tak, jakby samo istnienie sprawiało jej ból. Nadal ubierała się na czarno, choć ci nieliczni z przyjaciół, którzy jej nie opuścili, usiłowali ją przekonać, że czas ciężkiej żałoby może być krótszy, jeśli mąż targnął się na własne życie.

- Twoja siostra wygląda na zagniewaną - rzuciła Daphne. - Gryzie się tym, co cię spotkało, jak sądzę.

- Nie tym. Wie, ile to ją samą będzie kosztowało.

Dotąd istniała jeszcze szansa, choć niewielka, że Sarah uniknie najgorszych konsekwencji ojcowskiej infamii. Po kilku latach nienagannego życia mogłaby przyzwolicie wyjść za mąż, nawet jeśli nie tak dobrze, jakby sobie życzyła. Jednym z powodów opuszczenia przez Audriannę rodzinnego domu i zamieszkania z Daphne było właśnie to, by matka mogła spędzić swoje ostatnie lata z córką, która miała jeszcze przed sobą widoki na przyszłość.

Audrianna podeszła w ślad za Daphne do drzwi. Kiedy się otwarły, i matka, i Sarah ukryły to, co naprawdę czuły, za maską współczucia.

- Droga ciociu Meg - powitała ją Daphne, nachylając się do pocałunku. - Jak się dobrze składa, że przyjechałaś. Musimy porozmawiać o wielu sprawach.

- Lordzie Sebastianie, doszły mnie zdumiewające pogłoski. John Pond, astronom królewski, mówiąc to, jednocześnie oglądał

niebo przez nowy, ogromny teleskop, obracający się o sto osiemdziesiąt stopni w płaszczyźnie pionowej. Nastawił go nieco ostrzej i znów w niego spojrział. W górze nad nimi pułap

obserwatorium

Greenwich Meridian Building otwierał się na gwiazdy.

- Chodzi o te zdarzenia w obozisku Pod Dwoma Szpadami na obrzeżach Brighton - kontynuował. -

Krążą o nich jakieś fantastyczne opowieści. O tajemniczym intruzie i przypadkowym spotkaniu.

Pańscy przyjaciele powinni wymyślić jakieś bardziej wiarygodne wyjaśnienie owych zdarzeń dla usprawiedliwienia pana poczynań.

Sebastian znał Ponda od przeszło dziesięciu lat. Spotkali się, kiedy studiował na uniwersytecie.

Sławny astronom wtajemniczył go wówczas w arkana swojej dziedziny wiedzy, których próżno

byłoby szukać w książkach czy poznać na wykładach. Zawiązała się między nimi przyjaźń, dzięki której Sebastian miał teraz swobodny wstęp do obserwatorium, ale też i Pond mógł sobie pozwolić na

szczerłość w rozmowie z dawnym uczniem.

- Nie mam przyjaciół obdarzonych na tyle bujną wyobraźnią, by sklecić podobną historyjkę. Ani też na tyle głupich, by się spodziewać, że w tak absurdalną prawdę uwierzy się szybciej niż w perfidne łągarstwo. Wersja, którą pan słyszał, pochodzi ni mniej, ni więcej tylko ode mnie.

Pond odwrócił głowę od teleskopu i spojrzał na niego z ukosa.

- Mówi pan, że naprawdę tak wyglądało spotkanie z tą młodą kobietą?

- Owszem. Daję panu słowo dżentelmena. Pond wrócił do obserwacji niebios.

- Nikt temu nie uwierzy.

Zapewne nikt. Nikt też jednak nie powie, że to kłamstwo. Równałoby się to pojedynkowi. Dyskretne uśmieški i uniesione brwi mówią jednak wszystko, nawet wtedy gdy milczą usta.

Niech to diabli! Słowa prawdy, które wypowiedział, zanim wybuchł skandal, stały się okazją do snucia złośliwych przypuszczeń wskutek niekorzystnego zbiegu okoliczności i faktu, że cała sprawa miała związek z ojcem panny Kelmsleigh.

Lepiej już było milczeć.

- Niebo jest bezchmurne, jak rzadko - odezwał się Pond. - Dobrze, że przyszedł pan właśnie dziś wieczór. Zbyt długo tu pana nie było.

Zbyt długo nie robił wielu innych rzeczy. Zbyt długo obywatel się bez kobiety, z wyjątkiem

sporadycznych kontaktów utrzymywanych w największej, dławiącej wręcz dyskrecji. Zbyt długo nie galopował konno po polach bez żadnego celu. Zbyt długo zaniedbywał swoje zainteresowania, które wymagały poświęcenia im czasu, jak choćby te obserwacje astronomiczne, które niegdyś uznał za coś mniej ważnego od pogoni za cielesną satysfakcją.

Odkąd zajął w parlamencie miejsce brata, powinien był wypełniać jego powinności, ale nie powinien

pozwolić, by te powinności i rządowe sprawy pochłonięły go bez reszty. Morgan nigdy by tak nie postąpił. Ale Morgan był markizem i nie musiał niczego udowadniać.

Pond odsunął się od teleskopu i zanotował coś na kartce papieru leżącej obok jego fotela.

- Skończyłem. Kolej na pana. Zostawię tu listę gwiazd, które obserwuję. Niech pan robi notatki.

Pomoże mi pan udowodnić Brinkleyowi, że jego teoria jest funta kłaków warta.

Sebastian wyregulował fotel, tak skonstruowany, aby można było ustawić go pod odpowiednim kątem

do trajektorii teleskopu. Usiadł w nim, odchylił się do tyłu i spojrzął w koniec długiej, metalowej tuby umocowanej dwiema masywnymi śrubami z obu stron.

- Proszę, wychodząc, polecić dozorczy, żeby zamknął budynek obserwatorium - poprosił Pond.

Sebastian nastawił okular. Spojrzął w ciemne niebo i przejął go pełen nabożnego szacunku podziw dla

kosmosu i poczucie wieczności, jakim tchnął jego bezmiar. Nic w tym małym, podległym przemijaniu ziemskim świecie nie wydawało mu się ważne, gdy wpatrywał się w gwiazdy. A już na pewno nie

decyzja, która kazała mu dzisiejszego wieczoru wyruszyć do Greenwich w poszukiwaniu odprężenia.

8

Przyjechał! - oznajmiła Celia, wbiegając do oranżerii. - Właśnie przechodziłam koło okna w

bibliotece i zauważyłam ruch na drodze. Przyjechał konno. Wygląda doprawdy wspaniale.

- Oczywiście, że przyjechał - stwierdziła Daphne, odwiązując fartuch. - Gdyby z tym zwlekał, musiałybyśmy same wybrać się do niego. A tego by nie chciał.

Audrianna wołałaby, żeby się tu w ogóle nie zjawiał. To wszystko zaczynało być okropne.

- Nie wytrzymam tego - powiedziała do Daphne. - To nieuczciwe oczekiwać od niego zapłaty, w dosłownym znaczeniu tego słowa, za coś, czemu nie zawinił.

- Zostałaś skompromitowana, nieważne, czy chciał tego, czy nie chciał, czy można tego było uniknąć, czy nie. Co gorsza, wszyscy przypuszczają, że doszło do czegoś gorszego niż w rzeczywistości. On wie, że nie może tego tak zostawić.

- Nie zgodzę się, żeby zapłacił mi za ten skandal. Stałabym się wtedy... współwinna. Zbrukana. A w jego przekonaniu wyrachowana.

- Ale zgodzi się twoja matka w twoim imieniu. Założę się, że on zamierza zrobić to dla zachowania pozorów. Nie ma wyboru.

Daphne skinieniem ręki nakazała jej iść za sobą do głównego salonu. Celia pobiegła do drzwi, żeby wpuścić lorda Sebastiana.

Wszedł do salonu sam. Był opanowany, pewny siebie, zdecydowany. Bez wątpienia nie zjawił się tu po to, by prowadzić towarzyską pogawędkę. Celia się nie myliła. Wyglądał wspaniale: wysoki, ciemnowłoso, o imponującej postawie. Pozdrowił Daphne i Audriannę.

Daphne poprosiła go, żeby usiadł. On jednak wolał stać. Daphne, jak zawsze zjawiskowo piękna, siadła przy oknie, dając wyraźnie do zrozumienia, że zamierza pozostać na miejscu jako przyzwoitka i ne-gocjatorka. Audrianna siadła jak najdalej od lorda Sebastiana, krańcowo upokorzona.

- Bez wątpienia powodem pańskiego przybycia są coraz powszechniejsze plotki - zaczęła Daphne, odczekawszy długą chwilę.

- Po części.

Audrianna mogła sobie wyobrazić tę pozostałą część. Zapewne powodowała nim wściekłość, że go obmawiano z powodu córki Kelmsleigha.

- Moja ciotka, pani Kelmsleigh, słusznie uważa, że znieważono całą jej rodzinę - ciągnęła Daphne. - I to tuż po nieuzasadnionym oskarżeniu jej męża. Obawia się więc, że oznacza to dla jej rodziny ostateczną klęskę. Uważa, że nawet przyszłość młodszej córki, Sarah, została zrujnowana, tak jak i Audrianny. Ciotka Meg obawia się też, iż ona i jej córki znajdą się na skraju nędzy.

Lord Sebastian uśmiechnął się, ale nie był to jeden z tych jego triumfalnych uśmiechów. Ściągnięta twarz świadczyła, że wie, do czego Daphne zmierza, i że nie będzie wysłuchiwać dalszego ciągu, nawet jeśli mówi to Daphne.

- Biorę na siebie odpowiedzialność za ten skandal, pani Joyes. I nie ma to nic wspólnego z czymkolwiek, co zaszło, zanim spotkałem pannę Kelmsleigh tamtej nocy, choć pani i jej matka chciałyby może dopatrywać się związku między jednym i drugim.

- Ograniczmy więc naszą rozmowę do owej nocy, kiedy to spotkał pan moją kuzynkę, i wypadków będących jej konsekwencją.

- Stawiłem się tu, by porozmawiać z samą panną Kelmsleigh, choć niewątpliwie w każdych innych okolicznościach rozmowa z panią sprawiłaby mi niewymowną przyjemność.

- Moja kuzynka jest zbyt niedoświadczona, by wiedzieć, jak taką rozmowę prowadzić. W jej imieniu powinien z panem rozmawiać ojciec lub brat, ale, ponieważ Audrianna nie ma nikogo takiego, wzięłam na siebie ten obowiązek...

- Przecież ja tu jestem, Daphne - przerwał jej Audrianna - i słyszę każde słowo. Nie mów tak, jakby mnie w ogóle nie było w tym pokoju.

Daphne rozejrzała się wokół, jakby istotnie zapomniała o jej obecności.

- Sądzę, pani Joyes, że panna Kelmsleigh poradzi sobie dzisiaj sama - oświadczył lord Sebastian. -

Skoro sama wybrała się do Brighton na spotkanie z nieznanym mężczyzną, uzbrojona w pistolet, krótka rozmowa ze mną okaże się w porównaniu z tym błahostką.

- Przyznaję - oznajmiła Audrianna - że to rozmowa tylko między mną a lordem Sebastianem.

Jej protest zaskoczył Daphne.

- Zważywszy, co będzie tematem rozmowy, jest to krańcowo niestosowne.

- Droga kuzynko, już od paru miesięcy przestałam zważać na to, co stosowne lub niestosowne.

Samodzielne kobiety, jak się tutaj dowiedziałam, tak powinny postępować.

Lord Sebastian najwyraźniej przestał się przejmować Daphne.

- Mamy dziś piękną pogodę, panno Kelmsleigh. Może przeszli-byśmy się znów po ogrodzie?

Audrianna wolałaby nigdy więcej nie znaleźć się w żadnym ogrodzie z tym mężczyzną.

- Wolałabym przechadzkę wiejską drogą, jeśli to panu odpowiada.

- Jak pani sobie życzy.

Audrianna zdjęła szarą pelisę i liliowy szal z kołków przy bibliotece, a potem podeszła do drzwi, przy których na nią czekał. Daphne

pozostała w salonie. Jej twarz była nieprzenikniona za maską spokoju i łagodności, jak zawsze.

Trawa przy ścieżce dawno już obeschła z porannej wilgoci. Ciepłe promienie słońca obiecywały dalszą poprawę pogody, ale wiał wiatr tak chłodny, że Audrianna była rada, że wzięła ze sobą szal.

Lord Sebastian szedł obok niej. Jego buty do konnej jazdy kruszyły zeschnięte gałązki zaścielające drogę.

Powaga na twarzy świadczyła o tym, że ta wizyta nie ma kurtuazyjnego charakteru i że nie zamierza składać nakazanych przez wymogi grzeczności przeprosin ani przyznawać się do winy.

Audrianna spojrzała za siebie, na malejący w miarę oddalania się dom, i wydało się jej, że w jednym z okien widzi złotowłosą główkę obserwującą ich Daphne. Nikt jednakże w nim nie stał.

- Sprawy wzięły zły obrót - odezwał się w końcu lord Sebastian. - Skandal staje się coraz większy.

Chciałbym, by poznano prawdę, w jakich okolicznościach zostałem postrzelony. Jednak zarówno sir Edwin, jak i oberżysta uważają, że nie mówię prawdy, i że wyjaśnienie, kto mnie postrzelił, jest bardziej banalne.

- Zauważyłam w gazetach kilka aluzji odnoszących się do tego

i wiem, co się dzieje. Dobrze jednak, że zjawił się pan tutaj, by mnie ostrzec.

- Przykro mi, ale wszyscy o tym mówią.

- Nie powinno do tego dojść, ale w życiu nieraz tak bywa. Zniosę to jednak, podobnie jak wszystkie inne moje nieszczęścia. Jestem pewna, że pan również jakoś sobie poradzi.

- Jest pani zbyt wyrozumiała.

- Wątpię, bym się na to zdobyła, gdyby nie szczególne okoliczności, w jakich doszło do kompromitacji. Jak sądzę, normalne reguły nie mają tu zastosowania.

- Ludzi nie obchodzi, co o tym myślimy, panno Kelmsleigh.

- A mnie nie obchodzi, co inni sobie myślą.

- Bardzo to odważne z pani strony. I bardzo głupie.

Satysfakcja Audrianny z własnej prawości ulotniła się bez śladu, a zamiast niej pojawiła się złość.

Utarła mu nosa, a on znów ją obraża!

- Powinien pan być rad z mojej głupoty, sir. Daphne i moja matka zażądałyby od pana odszkodowania.

Gdybym nie nalegała na rozmowę w cztery oczy, byłby pan teraz uboższy o sporą sumę pieniędzy.

- Pani Joyes niczego by nie wskórała. Nie zamierzam zapłacić ani pensa.

- Oczywiście, że nie. Przecież pan tu w niczym nie zawinił. Dlaczego miałby płacić właśnie pan?

Uśmiechnął się sardonicznie, słysząc, jak kładzie nacisk na ostatnie słowo.

- Och, ja zapłacę, panno Kelmsleigh, w taki czy inny sposób wyrównamy nasze rachunki. Tylko że nie

zamierzam ani pani, ani jej rodzinie płacić pieniędzmi. To byłoby dla mnie najmniej korzystne rozwiązanie.

- W takim razie jesteśmy jednakowego zdania. Nie przejmujemy się plotkami, niech będzie, co będzie.

Wróćmy teraz do mojej kuzynki, wyjaśnijmy jej wszystko i skończmy z tym raz na zawsze.

Zawróciła w stronę domu, ale zanim zdążyła uczynić następny krok, zatrzymał ją, chwyciwszy z całej siły za ramię.

- Nie rozumiała mnie pani, panno Kelmsleigh.

Spojrzała na dłoń w rękawiczce, która z taką łatwością i bezwzględnością nią kierowała. Nie pozwalał

jej odejść. Nie tak dawno uczynił to samo w ogrodzie. Odważyła się spojrzeć mu w twarz i dostrzegła

w jego oczach znajomy błysk. On także o tym pamiętał.

Puścił wprawdzie ramię Audrianny, ale zagroził jej drogę. Było jasne, że nie zamierza pozwolić jej na powrót do domu Daphne. Ma jeszcze coś do powiedzenia.

- Pięć lat temu, może nawet dwa, załatwiłbym to właśnie tak, jak pani mówi. A nawet tak, jak chce pani kuzynka. Dziś nie mogę na to pozwolić. Posądza się mnie o niegodziwe postępowanie, pozbawia

honoru, znieważa mnie.

Wyjął z kieszeni jakiś papier.

- Mam na myśli to.

Rozłożyła kartkę. Widniała na niej prymitywna, sprośna rycina. Kobieta podobna do niej siedziała na łóżku w negliżu, z jedną piersią już obnażoną, stawiając opór zakusom mężczyzny, który bardzo przypominał lorda Sebastiana. Za oknem widać było sztyld oberży Pod Dwoma Szpadami. Po oknem, ledwo widoczne w poświacie księżyca, stały na wpół ukryte baryłki prochu.

Audrianna wpatrywała się w nagą kobiecą pierś.

- Niesłychane. Pan Trotter również ozdobił ryciną nuty mojej piosenki, ale nie tak obrzydliwą.

- Nie chodzi o pana Trottera. Właściciele drukarni wręcz prześcigają się w produkowaniu podobnych

rysunków, a jeszcze wstręt-niejsze można kupić za kilka pensów.

Oddała mu ulotkę.

- Może powinnam jednak zażądać zadośćuczynienia, skoro przedstawiono mnie w tak skandaliczny sposób?

- Niczego to nie zmieni. Potwierdzi jedynie najgorsze plotki, a z mojej strony będzie przyznaniem się do winy. - A więc nie ma żadnej nadziei. Postąpił pan jednak uczciwie, pokazując mi ten rysunek, za co dziękuję. Myślę, że jedynym dla mnie wyjściem będzie wyjazd. - Zaśmiała się krótko, żeby ukryć konsternację. - Być może do Brazylii.

Odwróciła się od niego i ruszyła ku domowi. Nie chciała z nim już rozmawiać, nigdy. Paliły ją policzki. Miała w oczach ten ohydny rysunek. Dopiero teraz zaczęła sobie uzmysławiać, co może znaczyć zwrot „jeszcze wstrętniejsze” ryciny. Ogarnęło ją przerażenie, że jej podobizna, w najbardziej obscenicznych sytuacjach, pojawi się na tysiącach odbitek.

Zeschłe gałązki zatrzeszczały głośno z tyłu za nią.

- Panno Kelmsleigh, nie po to zjawiłem się tu dzisiaj, by przynieść pani złe wieści i pozostawić ją w rozpacz.

- Jak mogłabym nie rozpaczać? - rzuciła gniewnie przez ramię.

Dłoń w rękawiczce znów objęła jej ramię.

- Proszę się zatrzymać. Niech pani wysłucha, co jeszcze mam do powiedzenia.

Jego dłoń, jak poprzednio, nie pozwoliła jej odejść. Stała, zwrócona jednak twarzą ku domowi, a nie ku niemu. Czy mogłaby znów spojrzeć mu w twarz, mając jednocześnie przed oczami obrazek, na którym lord Sebastian pożądliwie patrzy na jej nagą pierś i pieści ją?

- Jesteśmy obydwój skompromitowani, panno Kelmsleigh. Obydwój też za to zapłacimy. Dużo mniej będzie nas to jednak kosztowało, jeśli się pobierzemy.

Zabrakło jej tchu, a świat zawirował. Nawet zwiędłe liście przestały szeleścić na ścieżce. Miała pustkę w głowie i nie mogła pojąć słów, które dopiero co wypowiedział.

Wreszcie zrozumiała je, aż za dobrze. Odwróciła się.

- Pan, oczywiście, żartuje.

- Bynajmniej. To, według mnie, jedyne wyjście. Dużo lepsze, niż wręczyć pani pieniądze niczym jakiejś mleczarce, której zrobiłbym dziecko. Jest pani córką dżentelmena i to się pani należy. Zresztą pewnie się pani tego spodziewała, gdy przydarzyła się nam ta nieszczęsna historia. Podobnie jak pani matka i kuzynka.

- Ta „nieszczęsna historia” - cóż za dyplomatyczne określenie, lordzie Sebastianie - wystawiłaby

nasze małżeństwo na pośmiewisko. Drukarnie nie nadałyby z produkcją ulotek, a właściciele sklepów wystawiający je na sprzedaż mieliby zajęcie przez długie lata.

- Dzięki małżeństwu nasz związek nie będzie już wzbudzał sensacji i skandalu ucichnie, nim się zacznie nowy sezon towarzyski. Małżeństwo jest naturalną kontynuacją naszej znajomości, zgodną z wersją, jaką przedstawiłem sir Edwinowi w obergerzy Pod Dwoma Szpadami. Ludzie uznają, że była to

szadźka miłosna, a nie spotkanie, do którego doszło, jak się obecnie sądzi, z niskich pobudek.

- Takie rozwiązanie jest korzystne dla pana. Już by nikt nie oskarżał pana o użycie przemocy. Ale ja nadal będę kobietą, której względy

mężczyzna zyskał przed ślubem. W dodatku mężczyzna, który wpędził jej ojca do grobu. Dziękuję.

Wolę już wyjazd do Brazylii. Machnął ręką, zniecierpliwiony.

- Niechże pani będzie rozsądna. Nie wyjedzie pani do Brazylii. Zostanie tu pani do końca swojego życia. W Londynie już się pani nie pokaże. Nawet w tej wsi. Nie mogłaby już pani, okryta niesławą, dawać lekcji muzyki. Będzie pani skazana na łaskę i niełaskę kuzynki. Ten dom stanie się klasztorem, w którym dokona pani żywota.

Okrutne, bezlitosne przepowiednie były niczym wymierzane jej policzki. Taka właśnie rysowała się przed nią przyszłość. Czekala ją ponura, beznadziejna egzystencja. Rozpacz, która ją ogarnęła, przeważała nad usprawiedliwionym gniewem na tego człowieka.

- Chce pan koniecznie wygrać.

- Czasem muszę.

Podszedł do niej tak blisko, że niemal dotykała nosem jego piersi.

- Proszę posłuchać. Małżeństwo ze mną nie będzie najgorszym złem - powiedział już łagodniej. -

Niczego pani nie zabraknie i będzie pani żyła, jak się jej spodoba. - Dłoń w miękkiej rękawiczce unio- sła jej podbródek, tak by mogła spojrzeć mu w oczy. - I obydwójce się nawzajem pragniemy, cokolwiek by pani o tym myślała. Bywa, że nie od razu kobieta w całej pełni doświadcza rozkoszy małżeńskiego łoża. Nienawidziła go, bo wiedział, że się jej podoba. Czemuż jest tak przystojny!

Czemuż jej serce zaczyna tak niemądrze łomotać, gdy patrzy w jego oczy!

Pochylił głowę i dotknął jej ust wargami. Nie odrywał wystarczająco długo, by wezbrało w niej podniecenie. Z pełną premedytacją zmuszał ją do przypomnienia sobie, czego doświadczała w jego objęciach wtedy, w ogrodzie.

Nie opierała się, w ulotnej nadziei, że i tym razem straci głowę. Ale teraz już nie była zaskoczona,

tak jak w ogrodzie. I nie mogła zapomnieć, kim jest.

Dostrzegła w jego oczach błysk pożądania i zwycięstwa, gdy rozłączyły się ich usta. Cofnęła się, by znaleźć się jak najdalej od jego

ciała i ramion, i spojrzała na niego z ukosa. Ogarnął ją przedziwny spokój.

- Ma pan chyba rację, lordzie Sebastianie. Brak mi odwagi, żeby zostawić wszystko, co znam, za sobą

i zacząć nowe życie w dalekim kraju. Wciąż mam jednak do wyboru jedno z dwóch wyjść w tej sytuacji.

- Oczywiście.

Nie wierzył w to, a ona wiedziała, że jego zdaniem istnieje tylko jedno wyjście.

- Proszę mnie nie traktować protekcyjnie, sir. Naprawdę mam wybór. O bardziej dalekosiężnych skutkach, niż się panu zdaje. Mogę nadal pędzić tę smutną, opisaną przez pana egzystencję, ale wtedy straci pan swoje wpływy w rządzie i w wyższych sferach. Albo mogę żyć w luksusie po poślubieniu mężczyzny, który, mając ku temu możliwości, wyrządził ogromną krzywdę mojemu ojcu i całej mojej rodzinie. Honorowe wyjście z tej sytuacji jest chyba oczywiste, czyż nie?

Nie zdziwił się. Ani nie rozgniewał. Nie odrywał tylko od niej oczu.

Ruszyła szybkim krokiem ku domowi.

- Miłego dnia, lordzie Sebastianie.

Audrianna postanowiła za wszelką cenę odszukać Domino. Mógł przecież wiedzieć coś, co przywróciłoby cześć imieniu jej ojca. Istniały również, choć małe, szanse na to, by potwierdził, że nie było żadnych powodów do oskarżania go.

Ale nie miała co na to liczyć. Odrzucając ofertę małżeńską lorda Sebastiana, godziła się na najgorsze.

Nie miała złudzeń. Jej los był przesądzony.

Wieczorem, po wizycie lorda Sebastiana, siedziała w bibliotece razem z innymi współmieszkankami i

próbowała ułożyć ogłoszenie do „Timesa”. Jeśli Domino przebywał w Londynie, mógł je zauważyć.

Szukał już przecież kontaktu z jej ojcem w taki właśnie sposób.

Zajęło jej to całe pół godziny, bo nie mogła znaleźć słów, które miałyby ukryte znaczenie, a jednocześnie były całkiem zwyczajne. Zniechęcona złożyła kartkę i odsunęła ją na bok. Musiała też napisać list do matki. Okazało się to jeszcze trudniejsze.

Dużo łatwiej przyszłoby jej stworzyć nową piosenkę. Mogłaby ją zatytułować *Moja skandaliczna niewinność*, *Wazon wyszczerbiony, ale nie zbity*, albo *Zwycięstwo losu nad dumą*. Albo...

- No i co? — spytała Celia. Jej słowa przerwały ciszę, zalegającą w bibliotece od przeszło godziny.

-

Czy ktoś mi wyjaśni, po co właściwie lord Sebastian złożył tu wizytę?

- To prywatna sprawa, Celio - odparła Daphne, nie odrywając oczu od książki.

- Och, co za bzdury. Wszystkie wiemy, dlaczego przyjechał. Czy zaproponował jakieś

odszkodowanie? Ile chciał dać? Czy mogłabyś za to nabyć posiadłość, Audrianno, czy też żyłabyś z odsetków? A może fundusz powierniczy? Czy też mogłabyś z tymi pieniędzmi zrobić, co zechcesz?

- Nie proponował mi piętniężnego odszkodowania - powiedziała Audrianna, ostentacyjnie zanurzając pióro w kałamarzu i skupiając się na liście.

- Dziwne. Mówiono, że jest człowiekiem honoru. Sądziłam, zważywszy na niektóre ryciny widziane przeze mnie w Londynie, że zaofiaruje ci co najmniej dwadzieścia tysięcy funtów.

Jej słowa zainteresowały Daphne.

- A są jakieś inne ryciny? Celia skinęła głową.

- Raczej niedwuznaczne.

- Gdzieś tyje widziałaś, Celio? Kiedy byliśmy w Londynie, zostawiłaś mnie samą najwyżej na dziesięć minut - zdziwiła się Daphne.

Celia wzruszyła ramionami.

- Trzeba wiedzieć, gdzie ma się zajrzeć, i to wszystko. Audrianna niemal namacalnie czuła zaniepokojenie Daphne.

Znów zanurzyła pióro w kałamarzu.

- Prawdę mówiąc - spokojnie odezwała się Lizzie - zważywszy, że jest człowiekiem mającym wysoką

pozycję społeczną i że Audrianna jest młodą, dobrze urodzoną kobietą, powinien był zaoferować jej w

tych okolicznościach małżeństwo. Odszkodowanie pieniężne byłoby czymś obraźliwym.

Audrianna pochyliła się nad biurkiem. „Droga Mamo...”

- Jesteś czasami bardzo dziecinna, Lizzie - uznała Celia. - Powinnaś już wiedzieć, że w wyższych sferach mało jest osób wyjątkowych.

- Obie macie rację - powiedziała Daphne. - Wiem, że ciotkę Meg nękały wątpliwości pod tym

względem. Wiedziała, że powinna się domagać, by tak właśnie postąpił, ale po skandalu z jej mężem on nie uczyni tego.

Audrianna odłożyła pióro. Daphne ujęła to w niewłaściwy sposób. Dokładnie na odwrót.

- Czy chcesz powiedzieć, że zdaniem mamy lord Sebastian nie zachowa się, jak przystało, z powodu oszczerstw rzucanych na mojego ojca? A to dopiero! Przecież on sam je rzucał.

- Uspokój się, droga kuzynko. Małżeństwo z nim by cię unie-szczęśliwiło.

- Dużo lepiej byś wyszła, dostawszy pieniądze - zgodziła się z nią Celia.

- Jeśli go nienawidzisz, to zapewne byłabyś z nim nieszczęśliwa - uznała Lizzie. - Miałam na myśli tylko to, że pieniądze nie zmyją hańby, jaką się okryłaś, a małżeństwo by ją z ciebie zdjęło.

- Dziękuję, Lizzie - powiedziała Daphne. - Jednakże tak bezwzględnie wyrażane opinie nic tu nie

pomogą.

Łagodnie upomniana, Lizzie wróciła do lektury. Daphne również. Celia natomiast nie ustępowała.

- No *więc*, ile ci dawał?

- Nic - przyznała Audrianna.

- Nic? - wyjąkała zdumiona Celia.

- Nie chciałam od niego żadnego pieniężnego odszkodowania, a i on nie był skłonny do oferowania mi

jakiegokolwiek.

Lizzie się zamyśliła.

- Dziwne. Wszyscy uważają, że cię uwiódł, a on nie jest gotów niczego w związku z tym zrobić?

- On mnie wcale nie uwiódł — Audrianna z desperacją spojrzała na swoje towarzyszki. - Chyba mi wierzycie, prawda?

Celia schyliła się, żeby poprawić sznurowadło w pantofelku. Lizzie skinęła głową, wpatrzona w obraz

na ścianie. Daphne przewróciła stronicę w książce.

- Oczywiście, że wszystkie w to wierzymy, moja droga.

Oburzenie Sebastiana nie miało granic. I rosło w miarę zbliżania się do Londynu. Przez kilka następnych dni nie mógł się uwolnić od denerwującego wspomnienia o ostatnim spotkaniu z panną Kelmsleigh.

Zazwyczaj nie lubił się nikomu zwierzać, a jednak tydzień później u Brooka, gdzie panowie z socjety uprawiali hazard, opowiedział wszystko Hawkeswellowi, jedynemu człowiekowi, który znał przynajmniej część prawdy, bo też znajdował się wówczas w oberży Pod Dwoma Szpadami. Był

również

jednym z niewielu, na których dyskrecję Sebastian mógł liczyć.

- Odrzuciła mnie. Zrobiła to z zemsty.

Hawkeswell, zajęty obserwowaniem toczącej się kostki do gry, odparł:

- Nie możesz się temu dziwić. Ona ma za co ciebie nienawidzić i nie odpowiada jej małżeństwo z tobą

jako sposób na uniknięcie kompromitacji, niezależnie od tego, co nakazują powszechnie przyjęte reguły. Ten skandal zaszkodził jej mniej niż tobie. Dlaczego miałyby ci pomóc w odzyskaniu dobrego imienia?

A jednak Sebastian był zaskoczony. Nie pierwszą odmową, ale ostatnią. Przypuszczał, że pocałunkiem przypieczętuje swoje nad nią zwycięstwo. Na to wskazywała przecież jej wcześniejsza reakcja.

Ciągle ją widział, jak, odsunawszy się od niego, stoi dumnie wyprostowana, opanowana, ale wciąż zarumieniona, i mówi mu, jakiego wyboru dokonała. Aż do tamtego momentu nie sądził, że okaże taką siłę charakteru. Nie w pełni też docenił jej determinację co do pomszczenia ojca, choć dała tego dowód, odważając się na wyprawę do oberży Pod Dwoma Szpadami.

Odeszła bez chwili wahania. Był pod wrażeniem, ale zarazem diabelnie rozzłoszczony.

- Powinieneś być wybrać się do niej z podarkiem w postaci gustownego klejnotu - uznał Hawkeswell.

- Jeśli nie dała się kupić propozycją małżeństwa, to nie skusiłyby jej klejnoty.

- Konkretnie przedmioty sprawiają, że idee nabierają konkretności. Odrzuca propozycję bezpiecznego życia w luksusie, ale tak naprawdę nie wie, czego się wyrzeka.

- Pewnie dlatego masz takie powodzenie u kobiet. Przekupujesz je, gdy się wahają, rubinami i perłami.

Obydwaj wybuchnęli śmiechem. Każdy w Londynie wiedział, że przystojnemu Hawkeswellowi nie są

potrzebne klejnoty, a i tak nie miał pieniędzy na ich kupno.

- A jeśli już mowa o powodzeniu u dam, czy widziałeś się ostatnio z Castlefordem? - spytał Hawkeswell.

- Tydzień temu.

Sebastiana nawiedziło wspomnienie dwóch ponętnych tyłeczków. I, w ślad za tym, nasunęły się gorączkowe myśli o poślądkach panny Kelmsleigh.

- Boja mam go już dosyć. Lubię zdrowy hedonizm, ale u niego zaczyna to stawać się wręcz chorobliwe. Pograża się w rozpuście. Tak jakby niesława sprawiała mu przyjemność.

- Dręczy go demon, choć nie wiem jaki.

- Jakiż demon mógłby go dręczyć? On nie ma naszych kłopotów. Niechby tak znalazł się na moim miejscu. Rozłożyłoby to go na obie łopatki.

Hawkeswell po raz pierwszy od ponad roku zrobił aluzję do ucieczki panny młodej sprzed ołtarza i podejrzeń, jakie na niego ściągnęło jej zniknięcie. Nikt co prawda nie wierzył, by ją gdzieś sam odprawił lub dopuścił się czegoś jeszcze gorszego, ale wątpliwości nie rozwiały się, a nawet przybrały na sile w ostatnich dniach.

- Czy to była jej własność? - spytał Sebastian, ryzykując, że przyjaciel zareaguje wybuchem wściekłości. - Ta damska torebka znaleziona nad Tamizą?

Hawkeswell nabrał głęboko tchu i spojrzał tępo przed siebie. Przejechał ręką po włosach i wrócił do kart.

- Jej opiekun mówi, że tak. Nie jest to dobry znak i obawiam się najgorszego. Biedna dziewczyna.

Biedny Hawkeswell. Ożenek z tą dziewczyną oznaczał bowiem dla niego bardzo lukratywną umowę małżeńską, której tak bardzo potrzebował. Zniknięcie panny młodej w dniu ślubu wtrąciło go w otchłań rozpacz. Nie mógł się powtórnie ożenić, nie mógł też korzystać z umowy, bo opiekun dziewczyny upierał się, że nie można wypłacić pieniędzy, póki sąd nie uzna jej za zmarłą.

Hawkeswell uśmiechnął się sardonicznie.

- Fatalna sprawa, no nie? To ja powinienem się zapić na śmierć, a nie Castleford.

- Pewnie on też ma swoje powody, ale przyznaję, że nie potrzeba mu ani moich rad, ani współczucia.

Nie każda przyjaźń trwa bez końca.

- Smutne, ale prawdziwe - i Hawkeswell uniósł w górę kieliszek. - Za zdrowie Tristana St. Ivesa, księcia Castleford, żeby zwyciężył tego demona.

Sebastian wypił łyk, a potem z kolei on uniósł swój kieliszek.

- Za zdrowy hedonizm i za twoją obecną faworytę, kimkolwiek jest owa dama.

- Za pannę Kelmsleigh i za nadzieję, że pozwoli się przekupić.

- A jeśli nie, to za te inne, które pozwolą.

Jak zawsze podczas tego rytuału Hawkeswell wzniosł jeszcze raz kieliszek. Pozostało jednak jego prywatną tajemnicą, na czyją cześć to uczynił, zanim wysączył do dna jego zawartość.

Lady Wittonbury rzadko zaglądała do drugiego syna. Jej nagłe pojawienie się w bibliotece, gdzie Sebastian był zajęty korespondencją, zaskoczyło go zatem.

Usiadła dostojnie na sofie, stojącej naprzeciw biurka, przy którym pisał list. Jak zwykle była od niej pewność siebie.

Sebastian przywitał się z nią, spytał o zdrowie i ostentacyjnie powrócił do pisania listu, przekonany, że skłoni to matkę do opuszczenia biblioteki. Tak się jednak nie stało.

- Pragnę powiedzieć, że jestem ci wdzięczna za względy okazywane bratu.

- Chętnie je okazuję.

- Oczywiście jesteś mu je winien.

- Z pewnością.

- Wszyscy wiedzą, że nigdy nie powinien był kupować tego patentu oficerskiego. Jest markizem i nie musiał tego robić. Powinieneś kupić ty lub ktoś inny.

Sebastian odłożył pióro. Za oknem uparty, drobny deszczyk przeobrażał ogród w paletę szmaragdowej zieleni i stalowej szarości.

- Wiele czasu zabrało ci sformułowanie tego oskarżenia. Może teraz, kiedy już to zrobiłaś, czujesz się lepiej?

Nie była kobietą, która dałaby się komukolwiek zastraszyć, a już najmniej własnemu synowi.

- Jeśli jakaś rodzina w ogóle wysyła syna na wojnę, nie powinien to być pierworodny i lord.

- Niektórzy tak jednak uczynili. Dalhousie. Uxbridge. Inne przykłady też oboje znamy. Nie był jedynym arystokratą, który przywdział mundur.

- Tamci pochodzili jednak z rodów o tradycjach militarnych. Nie zaprzeczysz chyba, że ponosisz winę

za tę tragedię?

Jeśli chciała przypisać jego złożone uczucia względem Morgana poczuciu winy, niech i tak będzie.

Nie było sensu się z nią spierać.

- Ale co się stało, to się nie odstanie - stwierdziła.

Podejrzewał, że ta zgoda na wyroki losu nie jest z jej strony rozgrzeszeniem. Najpewniej przeszła z jednego frontu swojej prywatnej batalii na drugi.

- Mówiono mi, że dobrze wypełniasz swoje obowiązki. I że dzięki tobie trwa potęga rodu

Wittonbury.

- Staram się.

- Sprawa z tą kobietą może ci w tym przeszkodzić. Powszechna opinia cię potępia. A już sądzono, że się zmieniłeś na lepsze.

Sebastian nie zamierzał się bronić. To również byłoby bez sensu.

- Sądzę, że powinieneś się ożenić.

- Wzrusza mnie twoja troska o moje szczęście. Nie jestem tylko pewien, czy podoba mi się zmiana tematu naszej rozmowy. Chcesz mówić ze mną o winie, skandalu, czy też o małżeństwie? Wina, skandal, małżeństwo. Przyznam, że wszystkie te tematy konwersacji są mi niemiłe. Zawsze miałaś talent do czynienia naszych rozmów przykrymi.

- Wcale nie zmieniłam tematu, dobrze o tym wiesz - odparła, zmrużywszy oczy. - Wkrótce zajmiesz miejsce brata. Wiesz, jak wygląda jego zdrowie, powinieneś się więc ożenić, bo wkrótce ty

zostaniesz markizem. Ten skandal zaszkodzi twojej działalności w polityce. Teraz i w przyszłości.

Poza tym

małżeństwo przygotowuje cię do przejęcia tytułu, do czego nieuchronnie dojdzie, zapewni sukcesję i odwróci uwagę od twoich ostatnich erotycznych eskapad.

Zwykle rozmawiała w taki sam sposób z ojcem. Nie był to udany związek.

- Rozważam, prawdę mówiąc, myśl o małżeństwie - powiedział po dłuższej chwili.

Zdumiona, uniosła brwi. Zaniepokoiło ją to podejrzanie łatwo odniesione zwycięstwo. Potem jednak przeważało przekonanie, że udało się jej go podporządkować.

- Cieszy mnie to niezmiernie. Dopilnuję, by cię przedstawiono najodpowiedniejszym młodym damom. Wybierzemy którąś podczas tego sezonu.

- Już wybrałem.

Znów spojrzała nań podejrzliwie.

- Odpowiednią osobę. Oby.

- W tych okolicznościach jest właściwą osobą - odparł. - A teraz muszę cię przeprosić, bo spóźnię się na śniadanie z Morganem.

Wyszedł, nim zdążyła zasypać go pytaniami.

Wszedł do pokoju brata i usiadł koło Morgana przy oknie. Wypił trochę kawy i rozłożył „Timesa”.

Jak miał w zwyczaju, przejrzał najnowsze wiadomości i ogłoszenia zamieszczone na pierwszej stronie. Przebiegł wzrokiem długą kolumnę i przeczytał uważnie jedno z ogłoszeń.

- Czy coś jest nie w porządku? - spytał Morgan. Sebastian wyjął z kieszonki zegarek i sprawdził godzinę.

- Wszystko w porządku, ale muszę cię dziś opuścić nieco wcześniej. Mam się z kimś spotkać kwadrans przed jedenastą.

Audrianna udawała, że przygląda się książkom w księgarni. Kierowała wzrok ku ich grzbietom, ale wciąż ukradkiem zerkała na stojącą pośrodku księgarni okrągłą ladę.

Oczywiście mogła niewłaściwie zrozumieć tę wzmiankę. Bardzo zagadkową. Nie wątpiła jednak, że skierowano ją właśnie do niej, Audrianny.

„Jeśli mego przyszłego partnera interesują szpady, czarna sztuka i plotki, proszę o spotkanie w siedzibie muz, w czwartek, za kwadrans jedenasta”.

„Czarna sztuka” oznaczało wytwarzanie prochu, a siedziba muz - wielką księgarnię na Finsbury Square, powszechnie zwaną Świątynią Muz. Była niemal pewna, że to nowe ogłoszenie zamieścił

Domino.

Uważała też, że sformułował treść ogłoszenia z myślą o niej. Jeśli Domino wiedział o skandalu, wiedział również teraz, że jej ojciec nie żyje i że to ona jest tą kobietą, która czekała na niego w oberży Pod Dwoma Szpadami, teraz zaś stała się obiektem plotek.

Z trudem hamowała podniecenie. Niechże wreszcie jakiś rudowłosy mężczyzna pojawi się w drzwiach księgarni. Rozważała, w jaki sposób mają ze sobą rozmawiać, kiedy się spotkają. Mogliby podziwiać rozłożone na okrągłym kontuarze książki, stojąc blisko siebie, i rozmawiać przyciszonym głosem, a wtedy nie zwróciliby na siebie uwagi innych klientów.

Spojrzała ukradkiem na zegarek w kopercie ukryty wewnątrz rękawiczki. Powinien już tu być. Ale w polu widzenia nie pojawiał się żaden rudowłosy mężczyzna. W księgarni znajdowały się tylko

jeszcze

dwie inne kobiety i dwaj dżentelmeni, z których żaden nie wyglądał na Domina.

Może obserwuje księgarnię, ukryty w jakimś jej załomie. Może nie spodziewał się, że ona przeczyta jego ogłoszenie. Znowu powróciła do przeglądania książek. Zainteresował ją tomik z nutami starych piosenek.

- Nie wątpię, że pani też tu będzie - usłyszała dobiegający z bliska głos. Lord Sebastian stał tuż obok niej.

- Niechże pan stąd idzie! - syknęła z wściekłością. - Znowu pan wszystko zepsuje!

- Nigdzie nie pójdę. Ja również chcę spotkać naszego dobrego znajomego. I nie zostawię pani bez opieki.

- To jest licznie uczęszczane i bezpieczne miejsce. Poza tym mam pistolet.

- Do diaska, panno Kelmsleigh. Pani próby obrony skończą się kiedyś na tym, że z pani ręki ktoś zginie. Mogę się tylko modlić, żebym to nie był ja.

- Jeśli nie będzie wtrącał się pan w cudze sprawy, z pewnością nic się panu nie stanie. Proszę stąd wyjść. On się tu nigdy nie pokaże, jeśli pana zobaczy.

- A czy on w ogóle widział to pani ogłoszenie? Sądząc z tego, co wiemy, może być w Amsterdamie.

- Bardzo sprytna uwaga. Ale to nie ja zamieściłam ogłoszenie. Zrobił to on.

Odwrocił od niej wzrok i rozejrzał się po księgarni, uważnie obserwując wszystkich klientów. i

- Nie ma go tutaj.

- Skąd ta pewność? Przecież nie wie pan, jak on wygląda. Pokręcił w zamyśleniu głową, nadal rozglądając się po sklepie.

Wyciągnął kieszonkowy zegarek.

- Już jest kwadrans po umówionej porze.

- Zepsuł pan wszystko. Pewnie spojrział do środka przez witrynę, zobaczył pana i uciekł.

Czuła się rozczarowana, nie wiedziała, co robić, a ponad wszystko pragnęła się go pozbyć.

- Przepraszam, ale muszę wracać do Daphne. Będzie się o mnie niepokoić.

Skierowała się ku drzwiom. Na ulicy ujrzała, że tuż obok niej kroczą wyglansowane męskie buty.

- Niechże mi pan da wreszcie spokój. Bo w końcu nie powstrzymam się i naprawdę pana zastrzelę.

Zrobię to, a potem niech się dzieje, co chce!

- Prawdę mówiąc, już pani do mnie strzelała. Przecież odwiedła pani kurek. W przeciwnym razie ten pistolet nigdy by nie wypalił.

- Błagam. Nie chcę, żeby mnie z panem widziano. Nie chcę, żeby ktoś zaczął myśleć, że to ja wyznaczyłam panu spotkanie.

- Już panią ze mną widziano. Za godzinę cała londyńska socjeta się o tym dowie.

- Wspaniale. Bardzo panu dziękuję.

- Proszę się uspokoić, ten skandal już i tak nie stanie się przez to większy. Nawiasem mówiąc, nasze dzisiejsze spotkanie jest szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

- A mnie doprowadza do wściekłości. Kuzynka czeka tam na mnie - powiedziała, wskazując sklep modystki. - Muszę pana pożegnać.

Nie dał za wygraną. Znow ujrzała obok siebie jego buty.

- Niech pani pozwoli sobie wytłumaczyć, czemu to szczęśliwy zbieg okoliczności. Mój brat zainteresował się pani sytuacją. Chciałby panią poznać. Zamierzałem wysłać zaproszenie pani i pani matce.

- Mojej matce!

- Oczywiście. Skoro jednak jest pani dzisiaj w Londynie, mogę z panią złożyć wizytę bratu, jeśli pani wyrazi zgodę.

- Dlaczego pańskiego brata miałyby interesować spotkanie ze mną?

Wyobraziła sobie, jak markiz poddaje ją oględzinom. Mogłoby mu się nie spodobać to, co widzi.

- Zapewne chce pani wyrazić swoje ubolewanie, że stała się pani celem okrutnych plotek. To bardzo współczujący człowiek.

- Czy mimo choroby przyjmuje gości?

- Odniósł na wojnie ciężkie rany, z powodu których nie może chodzić. Jest bardzo wątłego zdrowia.

Nie jest jednak aż tak chory, by nie mógł się z nikim spotykać.

Zawahała się. Byłoby z jej strony ogromną niegrzecznością, gdyby nie przyjęła zaproszenia od przykutego do łóżka inwalidy do złożenia mu wizyty. Który w dodatku martwił się z powodu tego, co ją spotkało. - Ach, oto i pani kuzynka. Pani Joyes, zaprosiłem właśnie pannę Kelmsleigh do mego brata. Mam nadzieję, że pozwoli jej pani tam pójść i zechce jej towarzyszyć, żeby znow nie wzięto nas na języki. Daphne nie zdziwiła się na jego widok, gdy wyszła od modystki; nie zaskoczyło jej też

niespodziewane zaproszenie.

- To bardzo ładnie z pana strony, lordzie Sebastianie. Niestety, muszę jeszcze zajrzeć w kilka miejsc.

- Szkoda. Będę więc musiał poczekać z innymi zaproszeniami, panno Kelmsleigh.

Daphne uniosła głowę, zaciekawiona.

- Lord Sebastian zamierzał zaprosić mamę razem ze mną - wyjaśniła Audrianna.

Oczy Daphne się rozszerzyły. Bez wątpienia wyobraziła sobie reakcję ciotki Meg na to zaproszenie i chłodną atmosferę takiej wizyty, gdyby matka Audrianny w ogóle się na nią zgodziła. Musiałaby jednak. Nie odmawia się markizowi.

- Mogę jednak towarzyszyć Audriannie aż do pańskiej rezydencji - rzekła Daphne. - Jeśli markiza, pańska matka, też tam przebywa, nikt nie może kwestionować, że wizyta odbędzie się zgodnie z regułami dobrego wychowania.

- Wspaniale. A gdy już tam się znajdziemy, musi pani się zgodzić, że pojedzie w te inne miejsca moim powozem. Nasz stangret odwiezie też was obydwie do domu.

Wittonbury House stał przy Park Lane, naprzeciw Hyde Parku, w otoczeniu innych rezydencji arystokratycznych rodów. Fasadę zdobiły dyskretne dekoracje dodane do budowli w poprzednim stuleciu. Audrianna powiodła wzrokiem w górę. Rezydencja miała cztery kondygnacje i duże woluty sięgające niemal gzymsu, które podkreślały wystającą lekko część środkową fasady.

Nigdy jeszcze nie była w tak wielkim pałacu. Roger miał nieco znajomości w wyższych sferach, ale że

przez większą część ich narzeczeństwa służył w wojsku, nigdy nie miała sposobności otrzymać zaproszenia na urządzane w domach socjety bale i przyjęcia.

Gdy Daphne znalazła się już w powozie, weszli do środka. Lord Sebastian powiedział coś po cichu do

kamerdynera, a potem zaprosił ją do salonu na piętrze.

- Pójdziemy od razu do mego brata, bo on nie opuszcza swoich apartamentów-wyjaśnił, gdy szli po schodach. - Spodziewam się, że nie będzie pani miała nic przeciwko temu.

- Chyba nie jestem aż tak źle wychowana, bym żądała od inwalidy przyjścia do mnie.

Obeszła wokół salon, pełen cennych tkanin i mebli. Nawet ściany świadczyły o bogactwie. Wisiały

na

nich olejne obrazy Rafaela, Tycjana i Poussina.

- Czy pan zawsze tu mieszkał?

Obserwował, jak zwiedza ten ogromny salon, nie odrywając oczu od jej sylwetki.

- Wróciłem tu, gdy mój brat został przywieziony z Hiszpanii. Przedtem przez kilka lat mieszkałem w Londynie gdzie indziej.

Powiodła końcami palców po lśniących jedwabnych frędzlach jednej z zielonych draperii.

- I nie zamierzał pan wrócić?

Ten cały wspaniały dom był jednym wielkim luksusem, ale wracając tu, musiał czuć to samo, co czułaby ona, gdyby teraz ponownie zamieszkała z matką. Kochała ją, ale już by nie mogła z nią żyć pod jednym dachem. Chciała być niezależna.

Co innego dorośli mężczyźni. Nic ich nie krępowało, obojętne, gdzie żyli. Powrót do tej rezydencji, do życia u boku brata, mógł być jednak, jak podejrzewała, niedogodny dla lorda Sebastiana z kilku względów. Zwłaszcza dlatego, że trudno by mu było tutaj zaspokajać erotyczne zachcianki.

- Uznałem, że teraz jestem tu potrzebny - odparł.

- Dobrze pan zrobił. Spojrzała na ogród przez okno.

- Mam nadzieję, że nie powiedział pan bratu o naszej ostatniej rozmowie, tej na drodze przy domu mojej kuzynki.

- Ani słowa.

- Dziękuję. Byłoby to zresztą bardzo kłopotliwe dla pana.

- Mój brat rozbawiłby się, słysząc, że odrzuciła pani moje oświadczenia. Mógłby uznać tę nowinę za najzabawniejsze wydarzenie dnia.

Uśmiechnął się przy tych słowach, jakby też uznał je za zabawne, choć najprawdopodobniej poczuł ulgę, kiedy dała mu kosza. Wypadło to wręcz idealnie - chciał uczynić to, co należało, ale w końcu nie musiał tego robić.

- Nie spodziewałam się, że wprawi to pana w tak dobry humor, gdy pana znów zobaczę.

- Rozumiem pani decyzję, panno Kelmsleigh. Nie uraziła mnie za bardzo. Trochę, ale nie za bardzo.

Znów się uśmiechnął. Zmusiła się do zachowania jasności umysłu. Przecież nie może wpatrywać się

w niego jak zauroczona gąska.

W drzwiach stanął lokaj. Nie odezwał się, ale lord Sebastian wiedział, z jaką wieścią przychodzi.

- Mój brat czeka na panią, panno Kelmsleigh. Zaprowadzę panią do niego.

Apartamenty Wittonbury'ego były rozległe. Nie spotykało się takich w innych rezydencjach. Weszli do komnaty, która, jak się wydawało, stanowiła przedpokój. Jasne ściany i ciemnoczerwone obicia pozwalały zapomnieć, że nie miał okien.

Przywitał ich krępy mężczyzna o rumianej twarzy. Lord Sebastian przedstawił go jako doktora Fenwooda.

- Czy mój brat czuje się dobrze, doktorze Fenwood?

- Bardzo dobrze, sir. Cieszy się, że przyprowadził pan gościa. Oczekuje w bibliotece... - Doktor Fenwood urwał. - Lady Witton-bury właśnie przed chwilą tam weszła.

- Czy mój brat posłał po nią?

- Nie sędzę, sir.

- Ależ sprzyja nam dzisiaj szczęście, panno Kelmsleigh, skoro i moja matka się tu zjawiała - powiedział, prowadząc ją ku drzwiom z przedpokoju do pomieszczeń po lewej.

Biblioteka, znacznie większa od przedpokoju, miała duże okna w dwóch ścianach. Była dwa razy obszerniejsza od biblioteki w rodzinnym domu Audrianny, która zaczęła się zastanawiać, jak też może

wyglądać ta właściwa piętro niżej, służąca nie tylko jednemu człowiekowi.

Przestała się przyglądać wystrojowi wnętrza, regałom z ciemnego drewna, tureckiemu dywanowi i wysokim oknom, gdy ujrzała markizę siedzącą przy kominku.

Lady Wittonbury wyglądała imponująco. Wszystkie inne określenia byłyby drugorzędne. Audrianna z miejsca z nich zrezygnowała. Piękna, choć już w wieku średnim, miała ciemne oczy, jak jej młodszy syn, smukłe, giętkie ciało i burzę czarnych włosów. Władcza - co wyczuwało się już w sposobie, w jaki siedziała ze sztywno wyprostowanymi plecami - miała postawę godną królowej. Przykuła uwagę Audrianny tak całkowicie, że dopiero po dłuższej chwili dostrzegła mężczyznę w głębokim fotelu obok markizy.

Z wyjątkiem twarzy, halsztuka i kołnierza koszuli wszystko w nim było ciemne. Twarz, łagodniejsza wersja rysów brata, wyglądała dużo starzej i świadczyła o wyczerpaniu oraz znużeniu. Czarny surdut stykał się z ciemnym pledem zakrywającym dolną partię ciała. Fotel też był ciemny. Można by rzec, że byłby niewidoczny w spowijającym go mroku, gdyby nie olśniewająca matka, siedząca tuż obok

niego i roztaczająca wokół blask witalności.

- Proszę usiąść, panno Kelmsleigh - poprosił, gdy już mu ją przedstawiono. Wskazał na krzesło po swojej prawej stronie. Lord Sebastian wolał nadal stać.

- Czy mieszka pani w Londynie, panno Kelmsleigh? - spytała markiza.

- Nie, w Cumberworth, w hrabstwie Middlesex.

Markiza uniosła brwi. W geście bardziej pogardy niż zdziwienia.

- Cumberworth? Nie przypominam sobie, aby gazety wspomniały, że pani ojciec miał tam posiadłość.

Wzmianka o ojcu i o tym, że pisano o nim w gazetach, nie była przypadkowa. Audrianna poczuła szczerą niechęć do kobiety, która uznała za konieczne uczynić tę wzmiankę, tak jakby zapomnienie o tych sprawach czymś groziło.

- Mieszkam tam razem z kuzynką.

- Ta kuzynka, pani Joyes, hoduje kwiaty w dużej oranżerii - wyjaśnił lord Sebastian. - Rośnie tam nawet winorośl.

- Winorośl? - zdziwiła się lady Wittonbury. - Jakież to... rustykalne.

- Żyjemy na wsi, madame. Tak, istotnie jest to nieco rustykalne.

- Ogród wcale nie jest rustykalny - wtrącił się Summerhays. - Z pewnością w porze kwitnienia byłby chlubą każdej rezydencji.

Audrianna uznała, że ładnie postąpił, stając w obronie ogrodu i domu Daphne, choć podejrzewała, że bardziej bawiło go przeciwstawianie się matce niż prawienie komplementów Audriannie.

- A więc nie mieszka pani ze swoją matką - powiedziała z zadumą lady Wittonbury. - Dwie niezamężne młode kobiety same na wsi... to niespotykane.

- Bynajmniej - sprzeciwił się jej markiz. - Od czasu wojny bywa nazbyt częste.

- Pani Joyes, kuzynka panny Kelmsleigh, jest wojenną wdową - dodał Sebastian.

Lady Wittonbury zamilkła, ale nie przestała się jej uważnie przyglądać. Audrianna poczuła się pod tym spojrzeniem niczym nędzny robak.

- Jakie kwiaty rosną w tej oranżerii? - spytał markiz.

Audrianna opisała mu kwiaty cebulkowe, pojawiające się pod koniec zimy, jesienne amarylisy, a

także różne odmiany pelargonii, które Daphne rozmnażała, a nawet krzyżowała.

- Wasz ogrodnik musi być bardzo zapracowany - stwierdziła lady Wittonbury.

- Robimy wszystko same, madame. Większość prac wykonują Daphne i Lizzie, a ja i Celia pomagamy im.

- Lizzie? Jeszcze jedna młoda kobieta? Całkiem jak w klasztorze.

- Moja kuzynka uważa, że jej dom przypomina nie tyle klasztor, co wspólnotę beginek. Wiele ich było

w średniowiecznej Francji. Świeckie kobiety mogły tam wspólnie żyć, my robimy podobnie.

Niektórym z nich wolno się było zatrudniać na zewnątrz, żadna nie składała ślubów zakonnych, tyle że mieszkały razem.

- A zatem pani kuzynka zrobiła dobry użytek ze swojej posiadłości - uznał markiz.

Matka jego wstała. Wyglądała teraz jeszcze bardziej imponująco, bo górowała nad Audrianną i markizem.

- Miło mi było panią poznać, panno Kelmsleigh, i dowiedzieć się o istnieniu tego niezwykłego domu.

Dziwi mnie co prawda ta samodzielność, o wiele za nowomodna jak na mój gust, ale jestem kobietą staroświecką. Muszę panią teraz przeprosić, bo wzywają mnie pilne sprawy.

Nachyliła się i ucałowała markiza w czoło, jakby był dzieckiem, a na Sebastiana wychodząc, spojrzała przenikliwie.

- Odprowadzę cię - powiedział. - Panno Kelmsleigh, mój brat ucieszy się, że dotrzyma mu pani towarzystwa, gdy was na krótko opuszczę.

- O tak, proszę zostać - potwierdził jego propozycję markiz - i opowiedzieć mi o tej winorośli.

- Skąd ona się tu w ogóle znalazła?

Pytanie, zadane cierpko, ale półgłosem, padło, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi.

- Bo ją zaprosiłem.

- Och, nie nadużywaj mojej cierpliwości. Mówisz całkiem jak ojciec, jakbym słyszała te jego sardoniczne riposty!

Nie udała się jednak do własnych komnat, tylko do biblioteki na parterze i zaczęła po niej chodzić

tam i z powrotem, mierząc go wzrokiem.

- Chyba nie zrobiłeś czegoś nieprzemyślanego? - spytała. -Czym innym jest flirt z córką człowieka okrytego niesławą, jak jej ojciec, a czymś całkowicie innym próba zadośćuczynienia za nierozważny czyn przez...

- Przez co?

Zatrzymała się na wprost Sebastiana.

- Jak mogłeś ją tu przyprowadzić? Zaczną tobą jeszcze bardziej pogardzać. Ona jest najmniej odpowiednią kandydatką na twoją żonę, pod każdym względem. Nawet gdyby nie dotyczył jej ten upokarzający skandal, nawet gdyby jej ojciec nie był zhańbiony. To nie jest sytuacja, w której honor nakazywałby ci ją poślubić. A poza tym, bez względu na to, co zaszło między tobą a tą kobietą, musisz temu położyć kres. Nawet nieformalny z nią związek zaszkodziłby naszej rodzinie. Utracisz wpływy.

- Jeśli mówię całkiem jak ojciec, to dlatego, że ty mówisz całkiem jak ty - odparł Sebastian. Kąśliwa ocena panny Kelmsleigh zirytowała go znacznie mocniej, niż powinna.

- Przypominam ci jedynie o twoich obowiązkach.

- Nie zniosę, żebyś w ten sposób traktowała moich przyjaciół.

- Przyjaciół? Zaliczasz ją do nich? Czy masz zamiar przyprowadzić mnie o apopleksję?

- Mam zamiar ci przypomnieć, że istotnie jestem podobny do ojca, i dlatego nie będę potulnie godził się na wtrącanie się przez ciebie w moje sprawy. Przynajmniej pod tym względem nie zajmę miejsca Morgana.

Oczy matki zwęziły się, bladą twarz pokrył rumieniec.

- Tak jakbyś mógł zająć jego miejsce pod jakimkolwiek względem.

- Oczywiście. Nie jestem nim.

- Z pewnością!

- Sama sobie jesteś winna. Zostawię cię teraz, żebyś pławiła się we własnej wściekłości. Możesz pouczać mego brata, ile ci się tylko podoba, ale mnie nie próbuj.

Opuścił bibliotekę i wszedł na piętro. Matka zepsuła mu nastrój dużo bardziej, niż chciałby przyznać.

Obydwoje wiedzieli, że pod wieloma względami zajął miejsce Morgana. To była prawdziwa przy-

czyną jej gniewu.

A czasami i jego.

Morgan i panna Kelmsleigh nie zauważyli go, gdy otworzył drzwi. Śmiali się do rozpuku.

Był to dźwięk tak niezwykły w tym pokoju, że Sebastian zatrzymał się w progu.

- Dobrze, że mojemu panu tak wesoło - rozległo się mruknięcie Fenwooda. Sebastian odwrócił się i ujrzał go tuż przy sobie. Sługa wyciągnął szyję, chcąc zerknąć w głąb biblioteki Morgana przez otwarte drzwi.

Morgan, w doskonałym nastroju, był całkowicie odmieniony. Twarz jego nabrała kolorów, gdy zaśmiewał się z zarciku panny Kelmsleigh. Rozmawiał z większym ożywieniem niż kiedykolwiek w ciągu wielu poprzednich miesięcy.

Czy sprawiła to obecność kobiety? Prócz matki i kilku pokojówek żadna nie weszła do jego apartamentów od bardzo dawna.

Sebastian cofnął się, by wyjść i zamknąć ponownie drzwi, ale Morgan spostrzegł go, nim brat zrejterował.

- Nie uprzedziłeś mnie, braciszku, że panna Kelmsleigh jest taka dowcipna.

Podszedł do nich.

- Wiem, owszem, że ma cięty język, i zazdrość mnie bierze, że tak dobrze się dzięki niej bawisz, bo mnie, niestety, dostawały się dotąd od niej tylko przytyki.

- Chętnie bym ci wszystko powtórzył, ale często żarty na tym tracą - odparł Morgan i oczy mu rozblęły, kiedy wymienił z panną Kelmsleigh porozumiewawcze spojrzenia.

- Czy mam przez to rozumieć, że żart dotyczył mnie? Zaśmieli się znów obydwójce.

- Pani towarzystwo cieszy mnie niczym piękna pogoda, panno Kelmsleigh. Proszę mi obiecać, że znów mnie pani odwiedzi - powiedział Morgan.

Ta prośba ją zaskoczyła.

- Postaram się. Dziękuję.

Sebastian wiedział, że nie będzie się wcale starać. Nie zamierzała tu wracać.

- Może obejrzy pani dom i ogród? Będzie pani musiał towarzyszyć mój brat, bo ja nie mogę.

- Co za szkoda, jest taka ładna pogoda. Poczulby się pan jeszcze lepiej. Czy nie może pan

przynajmniej patrzeć na nas przez to okno?

- Chyba tak. Odegram rolę przyzwoitki, pilnującej was z wysoka, mój brat nie będzie więc musiał prosić o to mojej matki. Poproszę doktora Fenwooda, żeby mnie tam przeniósł.

- Ja to zrobię - rzekł Sebastian i uniósł brata z fotela. Dopiero gdy poczuł jego zaskakująco lekkie ciało w ramionach, zdał sobie sprawę, że pomaganie mu w obecności panny Kelmsleigh było czymś niestosownym.

Przenosił go jednak tak często, że Morgan nie odczuł teraz żadnego zażenowania. Panna Kelmsleigh również. Ustawiła fotel tuż przy oknie, a Sebastian posadził w nim brata.

- Otwórz okno, proszę - zwrócił się do niego Morgan. Sebastian pamiętał, że ostatnim razem Morgan się zaziębił, siedząc przy otwartym oknie.

- Na pewno?

- Otwórz je.

Zrobiła to panna Kelmsleigh. Sebastian okrył ramiona brata pledem, który wyciągnął z komody.

- Poślę po Fenwooda. Niech się zatroszczy o to, żebyś się nie przeziębził - powiedział Sebastian.

- Nie rób tego. Zamknij okno, nawet gdybym miał na sobie dziesięć pledów i futro. Powiedz mu, żeby

tu nie wchodził przez pół godziny.

Sebastian nie miał wprawdzie do dyspozycji dziesięciu pledów, ale otulił Morgana jeszcze jednym.

- Nie chciałabym, żeby z powodu otwartego przeze mnie okna naraził się pan na chorobę - zastrzegła się panna Kelmsleigh.

- Ależ świeże powietrze jest takie cudowne! Mogę zachorować, nie dbam o to.

Morgan odetchnął głęboko i przymknął oczy, delektując się lekkim wietrzykiem.

- No, a teraz idźcie sobie. Musi mi pani potem napisać, panno Kelmsleigh, co pani sądzi o naszym ogrodzie. Może dzięki Najrzadszym Kwiatom uda się w nim coś ulepszyć?

Ogród był oczywiście wspaniały, większy od wiejskich ogrodów. Na jego tyłach wydzielono część specjalnie utrzymywaną w stanie dzikim. Audrianna wiele się dowiedziała od Daphne o zakładaniu ogrodów. Kręte ścieżki i swobodne rozplanowanie rabat i trawników świadczyło, że ten jest dziełem prawdziwego mistrza w tej dziedzinie, w dodatku powstałym niezbyt dawno temu.

- Co pani myśli o tej rezydencji? - spytał idący obok niej Sebastian.

Oprowadził ją już po dużej bibliotece i jeszcze większej sali balowej. Najciekawszy okazał się okrągły salonik muzyczny, gdzie stał znakomitej marki fortepian.

- Jest wspaniała. Może bardziej wyrafinowana dama nie wpadłaby w taki zachwyt, jak ja, ale nie jestem nią, przyznaję.

- Jest pani niesprawiedliwa wobec siebie. Doskonale sobie pani radzi, jeśli tylko chce. Mój brat znalazł się całkowicie pod pani urokiem, a mojej matce nie pozwoliła się pani zastraszyć.

A więc zauważył, że markiza próbowała to zrobić!

- Nie była zachwycona moją obecnością w jej imponującej posiadłości. Sądzę nawet, że ją ta wizyta zaskoczyła. Pańskiego brata, jak się zdaje, także. I wcale mnie nie oczekiwał.

- Czemu pani tak uważa? Był wielce rad z pani towarzystwa.

- Bo go spytałam i powiedział mi prawdę.

- Cały on.

Obejrzał się za siebie i spojrzał, nieco nachmurzony, na okno, w którym była widoczna twarz brata.

- Przyłapała mnie pani na kłamstwie. On jednak pani bardzo współczuje. Dobrze, że go pani poznała, i moją matkę, a także obejrzała dom. Powinna pani wiedzieć, jakie panią czeka tu życie po naszym ślubie. Będzie ono miało i dobre, i złe strony.

Po naszym ślubie!

- Nie przyjął pańskich oświadczeń.

- Była pani zszokowana.

- Nie spodziewałam się ich, ale zszokowana nie byłam.

- Nie rozumie pani, co odrzuca.

- Rozumiem doskonale. Pana.

Tylko że istotnie nie rozumiała. Tutaj się nie mylił. Pokazując jej ten dom, ten komfort, wodził ją na pokuszenie. I skusił.

Odsłonił przed nią zresztą dużo więcej niż tylko luksus, który ich otaczał, choć chyba nie zdawał

sobie z tego sprawy. Gdy zobaczyła jego matkę i jego brata, wszystko nagle nabrało kształtów, a on sam stał

się kimś bardziej realnym i ludzkim. Tak delikatnie uniósł w ramionach brata, tak troskliwie okrywał

go pledami - nie, ten mężczyzna nie jest kimś z natury okrutnym i bezwzględny.

- Panno Kelmsleigh, niech pani jeszcze raz się zastanowi nad przyjęciem moich oświadczeń.

A ona chciała odrzucić je kolejny raz, tak samo stanowczo jak przedtem. Tylko że już nie mogła. Jego chytra strategia była skuteczna.

- Lordzie Sebastianie, moja matka nigdy nie usankcjonuje tego mariażu po tym, co się zdarzyło z moim ojcem. Jeszcze raz spojrział przez ramię ku tamtemu oknu. Potem zaś ujął jej rękę i poprowadził inną ścieżką, wijącą się wokół gęstych krzewów tarniny. Stała tam ławka. Przytrzymał rękę, by pomóc

Audriannie usiąść.

- Jeśli powie pani matce o moich oświadczeniach, uzna zapewne, że dobrze się stało. Pragnie przecież, by pani zyskała zabezpieczenie

finansowe i pozycję w towarzystwie. Mało która z matek żądałaby od córki, żeby odrzuciła brata markiza. Z jakiegokolwiek powodu.

- Mój ojciec...

- Matka w końcu przekona samą siebie, że to się pani i jej należy. Oskarża mnie o niesprawiedliwość.

Mariaż będzie, jej zdaniem, zadośćuczynieniem za cierpienia waszej rodziny, do których się przyczyniłem. Dobrze pani wie, że wyrazi zgodę na to małżeństwo. Właśnie dlatego zaniepokoiła panią wzmianka, że ją tu zaproszę.

- A moje własne zdanie?

- Niech pani podzieli zdanie matki. To pragmatyczna osoba. Nie ma lepszego - nie ma innego - sposobu, żebym zapłacił za swoje czyny.

- Będę pana za nie obwiniała także po ślubie, nawet jeśli uznam, że już pan za nie zapłacił. Czy to nie zniechęca pana?

- Ten dom jest ogromny, panno Kelmsleigh, większy niż inne. Może pani w nim zamieszkać, tolerując moje towarzystwo przez najwyżej dziesięć godzin tygodniowo, jeśli pani sobie tego życzy. Proszę mi wierzyć, że w małżeństwie można żyć osobno. Widziałem już, jak się to robi.

Nie mogła zaprzeczyć, że jego argumenty były przekonujące. Stałaby się sprawiedliwość, gdyby mężczyzna, który tak bardzo skrzywdził jej rodzinę, przyczynił się do jej wyniesienia. Mariaż by

także uciszył skandal i zapewnił jej samej poczucie bezpieczeństwa, o jakim przedtem nie mogłaby nawet

marzyć. A co do luksusu - próbowała się oprzeć chęci zaznania go, ale była tylko człowiekiem. W wyobraźni ujrzała suknie, jakich nigdy nie nosiła, i bale, w których nigdy nie uczestniczyła. Miał na pewno własne łóżko w teatrach, no a te długie, wspaniałe kolacje w blasku świec, te jedwabie, najlepsze towarzystwo...

A co do owych dziesięciu godzin tygodniowo...

Palce jego ujęły ją pod brodę. Tym razem nie było na nich rękawiczek i czuła dotknięcie męskiej dłoni. Odwrócił jej twarz ku sobie.

Usiadł koło niej. Spojrzenie jego mówiło, że wie, o czym ona myśli.

- Będzie o wiele lepiej niż tylko znośnie. Obiecuję.

Poczuła jego wargi na swoich. A więc to obiecywał. Niechże się więc wreszcie upewni, co zyskuje na

małżeństwie z nim.

O tak, lepiej niż znośnie. Dużo lepiej. Nie opierała się dłużej. Czuła, że ten pocałunek jest zdecydowany, a jego dłonie przytrzymują jej głowę zarazem delikatnie i nakazująco. Niejasno zdała sobie sprawę, że jego wargi zmuszają ją do rozchylenia ust - łagodnie, ale jednak zmuszają. Przejął ją rozkoszny dreszcz i, już lekko oszołomiona, pomyślała, że zapewne długiej praktyki wymaga nauczenie się całowania kobiety w ten sposób, i przyznała sama przed sobą, że jego bliskość sprawia jej niesłychaną przyjemność.

A potem nie myślała już o niczym. Nie była do tego zdolna, przepelniona przemożnym pragnieniem.

Grzeszne pragnienie. Niesłychane pragnienie. Ciało jej już je znało i nie opierało się. Niewidzialne piórka muskały ją drażniąco. Piersi stały się ciężkie, i gwałtownie zapragnęły się wyzwolić z krępującego je stroju.

Unosiła się w przestworza, wysoko, jakby nie działało już prawo ciężenia. Ale jego silne ramię otoczyło ją i nie pozwoliło ulecieć, a ona, uwięziona w tym uścisku, powróciła znów na ziemię.

- Pański brat...

- Opuściliśmy go ponad pół godziny temu. Nie ma go w oknie. Fenwood odsunął stamtąd jego fotel.

Jakże nierozważnie postąpił markiz, pozostawiając ją sam na sam z bratem!

- Pańska matka...

Czy to ona mówi? Jak to możliwe? Obsypywał pocałunkami jej szyję, a od tej pieszczoty traciła oddech.

- Przyjmuje teraz wizyty. Nikt nas nie zobaczy z okien salonu. Usiłowała sobie przypomnieć, co widziała, wyglądając przez te

okna.

Dotknął końcami palców jej ust, jakby chciał ją uciszyć. Tylko że wcale nie to było jego zamiarem.

Rozchyliła wargi.

- Tak. Właśnie tak.

Tym razem pocałunek był zaborczy. Intymnie głęboki. Poczowała gwałtowny przypływ podniecenia i zalała ją fala niewysłowionej błogości. Znów straciła kontrolę nad sobą i pogrążyła się w mrocznej otchłani pierwotnego pożądania.

Nie zważała już na to, że przyciągnął ją bliżej. Bardzo blisko. Z bezwstydną satysfakcją odkrywała oznaki męskiej namiętności. Nie zamierzała protestować, gdy pieścił jej pierś. Pragnęła tego. Niemal go o to błagała.

Jakież to cudowne doznania! Nieziemskie. Zdumiewające. Jego wprawne palce dotykały jej tak, że z ledwością powstrzymywała się od krzyku. Błogość w niej narastała i doprowadzała ją na skraj szaleń-

stwa. Zar pulsował w głęboko ukrytym zakątku i ogarnięta tym żarem część ciała, stykająca się z kamienną ławką, wręcz boleśnie ją drażniła.

- Czy to jest znośne? - szepnął, z ustami przy jej uchu, nie przerywając namiętnego pieszczona jej piersi. Była tak zafrapowana jego poczynaniami, że nie docierało do niej to, co do niej mówi.

I nagle wstał, a ona nadal siedziała na kamiennej ławce, zarumieniona. Zawiał chłodny wiatr.

Poczuwszy jego podmuch, przymknęła oczy.

Nie odszedł. Ukląkł naprzeciw niej. Oprzytomniała na tyle, by pomyśleć, że on ma zamiar oświadczyć

się jej powtórnie, przyklękając na jedno kolano. Była zachwycona. Ogromnie.

Tylko że wcale się nie oświadczał i wyraz jego twarzy nie wskazywał, że takie są jego intencje. Nie były tak szlachetne. Wpatrywał się w nią, nie odrywając od niej oczu, a ona znieruchomiła,

zaalarmowana.

Uniósł jej lewą stopę, ściągnął z niej pantofelek i wsparł ją o swoje kolano. Nim zdołała się opamiętać na tyle, by zaprotestować, zaczął unosić jej suknię.

Zszokowana, zsunęła ją na dół.

- Co pan robi?

- To, co pani chce, żebym zrobił, a przynajmniej to, na co pozwala w tej chwili sytuacja.

- Nie rozumie pan, czego chcę.

Doskonale rozumiał. Ponownie unosił suknię, gładząc jednocześnie jej nogę. To, co robiły jego ruchliwe palce, szybko zaczęło ją interesować bardziej niż suknia.

- Na zbyt wiele pan sobie pozwala!

Próbowała opuścić suknię, którą unosił cal po calu, ale zachwycająca przyjemność, jaką jej sprawiały jego dłonie, wędrujące w górę nogi, oszołomiła ją.

- Tak. - Suknia odsłaniała teraz całą nogę, aż do uda, obnażonego powyżej krańca pończoszki.

Nachylił się i pocałował jej kolano, a potem wewnętrzną stronę uda, tuż nad podwiązką.

O mało nie zeskoczyła z ławki. Zaparło jej dech. Nie odrywała od niego oczu, gdy znów pocałował ją

tam, pełna lęku, że wszystko uległo tak nagłej odmianie. Stało się poważne i bardzo groźne. Poczowała się tak, jakby została wrzucona na głęboką wodę, ale już jej nie obchodziło, czy utonie.

Usta Sebastiana zastąpiła teraz jego ręka. Pieszczota wyrwała z jej piersi bezwiedny jęk. I choć wszelkimi siłami starała się ten jęk powstrzymać, nie zdołała.

Śledził jej daremne wysiłki, gdy sięgnął w pieszczocie dłonią wyżej. Zadygotała. Czowała tam teraz wyraźnie pulsowanie, gorąco, niespełnione pragnienie, oczekiwanie na coś, co powinno nastąpić.

Jego palce odsunęły brzeg bielizny i dotarły do szczytu uda. Zamknęła oczy i usiłowała nie utracić resztek samokontroli.

- Nie wolno panu - wyszeptała.

- Nie wolno mi, ale nie przestanę, bo nie jestem aż tak porządnym człowiekiem. Ale nie jestem też całkowicie złym. Zresztą w oczach świata pani już do mnie należy, więc nie ma pani wyboru i musi poddać się wyrokowi losu - mówił, gładząc rąbek bielizny. - Powinna pani wiedzieć, co się wtedy stanie.

Palce jego wślizgnęły się pod bieliznę i dotknęły pulsującego w niej miejsca. Wstrzymała oddech, bo to doznanie było silniejsze niż wszelkie inne.

Pieścił ją, a jej umysł wprost eksplodował od intensywności doznawanych wrażeń. Zaciśnęła powieki

i rozkosz ogarnęła ją całą. Mówił coś, ale nie słyszała jego słów albo nie docierały do jej świadomości.

Przegrała walkę. Już nie była w stanie się pohamować. Odchyliła się w tył na ławce tak mocno, jakby

jej ciało nic nie ważyło i jakby nie miała kości. Wygięła ku górze biodra, aby odczuwać jeszcze więcej, zapamiętała się całkowicie w ekstazie.

Rozkosz, wręcz nie do zniesienia, skoncentrowana w jednym miejscu, rozpalonym i rozdrażnionym.

Z jej ust wydobywały się okrzyki. Jeden tak głośny, że z pewnością rozbrzmiał w całym ogrodzie.

Ta drażniąca pieszczota nagle ustała. Teraz delikatnie gładził jej udo. Wydała okrzyk rozczarowania i tym razem go usłyszała. Zatkąła usta dłonią, by nie wydarł się z nich już ani jeden więcej.

Pozwalała mu nadal łagodnie się pieścić, choć chciała go uderzyć, żeby przestał i nie rozniecał już w niej

pożądania.

Tłumiła jego falę w sobie, póki nie powróciła jej przytomność umysłu. Czuła powiew wietrzyka na nodze. Otworzyła oczy i usiadła, prostując się, znów zażenowana. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem obecność tego mężczyzny ją krępowała.

Nie pieścił już jej uda. Owinął je łańcuchem.

Złotym łańcuchem z zielonymi kamieniami. Na jej udzie zawisł szmaragdowy naszyjnik.

Nie mogła oderwać od klejnotów oczu.

- Czy to zapłata?

- Nie, przekupstwo.

Dotknęła drogocennych zielonych kamieni, a one zakołysały się delikatnie na jej ciele. Doprawdy, zadał sobie mnóstwo trudu!

- Z jakiej przyczyny?

Wstał z kolan i usiadł koło niej. Odpięła zameczek i zdjęła naszyjnik, podziwiając urodę klejnotów w świetle słońca.

- Ponieważ pani zasługuje na coś więcej niż na skandal i infamię, i ponieważ ja nie mogę dłużej pozwolić na to, by widziano we mnie rozpustnika i łajdaka.

- A czy naprawdę przestał pan być i jednym i drugim?

- Wolałbym uważać, że łajdakiem nie byłem nigdy.

Ale rozpustnikiem - tak, pomyślała, słysząc tę odpowiedź. Co równało się ostrzeżeniu jej, że poza owymi obowiązkowymi godzinami spędzonymi razem, on też wiódłby własne, niezależne życie.

Opuściła suknię i włożyła z powrotem pantofelek

- Daphne z pewnością na mnie czeka. Muszę już iść.

Skierowali się ku domowi. Powinna odczuwać większe zażenowanie. Po tym sam na sam z lordem

Sebastianem zaczęła dostrzegać różne implikacje jego oświadczeń, a także potęgę zmysłowości.

Zaznając rozkoszy, którą tak umiejętnie w niej wzbudzał, na chwilę zapominała o swojej niechęci do niego. Oszołomienie brało górę nad gniewem. Może to krótkotrwałe zapomnienie mogłoby uczynić owo małżeństwo znośnym? Czy zgoda na małżeństwo z tym człowiekiem oznaczałaby zdradę ojca?

Nawet gdyby zapewniło matce bezpieczeństwo, a Sarah dało szansę na lepsze życie? Nie sądziła, by ojciec nie wyraził na to małżeństwo zgody. Cała rzecz w tym, czy ona sama godzi się na nie.

Z drugiej strony łatwiej byłoby jej oczyścić ojca z zarzutów, gdyby zyskała nowy, zaofiarowany jej wysoki status.

- Jeśli się pobierzemy, będzie to małżeństwo partnerskie, o jakich się słyszy w dobrym towarzystwie

-

powiedziała. - Pan mógłby mieć kochanki, a ja, po urodzeniu panu potomka, kochanków.

Przekonała się, że o wiele łatwiej jest kobiecie prowadzić szczerą rozmowę z mężczyzną, z którym połączyła ją chwila skandalicznej poufałości.

Przeszedł kilka kroków, nim odparł:

- Oczywiście.

Gdy zbliżali się do rezydencji, wciąż trzymała w ręce naszyjnik.

- Nie mogę go przyjąć.

Wyjął naszyjnik z jej dłoni, wziął od niej torebkę, włożył do niej klejnoty i zwrócił jej torebkę.

- Jeśli ponownie nie przyjmie pani moich oświadczeń, naszyjnik będzie jedynym odszkodowaniem, jakie pani otrzyma. A jeśli przyjmie je pani, jest to całkiem stosowny prezent zaręczynowy.

Daphne istotnie już wróciła. Zaproszona do pałacu, by tam zaczekać na Audriannę, odmówiła jednak uprzejmie i pozostała w powozie lorda Sebastiana.

On zaś odprowadził Audriannę, wspartą na jego ramieniu, aż do pałacowych drzwi, przy których stał lokaj. Pożegnała się i odeszła, ale po kilku krokach zatrzymała się i odwróciła do Sebastiana.

- Myślę, że te kilka godzin w tygodniu okażą się całkiem znośne - powiedziała.

- Dzisiejszy dzień to tylko zapowiedź tego, co czeka nas w naszym związku, panno Kelmsleigh. Czy przekaże mi pani swoją decyzję do końca tygodnia?

- Tak, zrobię to.

Wsiadła do powozu. Daphne miała pogodną minę i wcale nie narzekała, że musiała czekać.

- Czy poznałaś markiza? - spytała, gdy powóz ruszył.

- O tak, potraktował mnie bardzo życzliwie. Daphne poprawiła się na ławeczce powozu.

- A czy markiza była w domu?

- Tak, zgodnie z tym, co obiecał lord Sebastian. Poznałam również i ją - odparła Audrianna, marszcząc z niechęcią nos.

Daphne zaśmiała się i odsunęła zasłonkę przy okienku, a potem zaczęła przyglądać się wystrojowi wnętrza.

Przez chwilę wyglądała przez okienko, aż wreszcie spojrzała Audriannie prosto w oczy.

- A więc, droga kuzynko, kiedy wesele?

Sebastian otrzymał od Audrianny list ze zgodą na przyjęcie oświadczyn dwa dni po jej wizycie.

Następnego dnia nadszedł list od pani Kelmsleigh, w którym powściągliwie wyrażała radość i zapraszała go do siebie. Wybrał się tam od razu, poznał młodszą córkę, Sarah, i napił się ponczu w ich lśniąco czystym salonie przy Russell Square, one zaś przez pół godziny udawały, że go przestały

nienawidzić.

Następnie pani Kelmsleigh przeszła do omawiania szczegółów. Zażądała dyskretnego, cichego ślubu, bo od śmierci męża nie upłynął jeszcze rok. Poprosiła również, by zapłacił za nową garderobę Audrianny oraz za weselne stroje dla niej i drugiej córki.

Nie dyskutowano o żadnej konkretnej sumie. Rozmowa na ten temat byłaby niestosowna. Sebastian zgodził się pokryć te koszty i dał obydwu *carte blanche*. Pani i panna Kelmsleigh, rozdarte między chęcią odwetu a sposobnością do zaspokojenia własnych potrzeb, były gotowe wpędzić go w długi!

Morgan wyraził satysfakcję na wieść, że Sebastian „postąpił, jak należy” wobec panny Kelmsleigh, ale Morgan miał bardzo prostolinijne poglądy na dobro i zło, honor i przyzwoitość. A Sebastiana tak cieszyło zadowolenie brata, że gdy nadszedł list od Audrianny, również poczuł zadowolenie.

Okazała się pełna życia, bystra, ładna i zmysłowa. Mogło być gorzej. Gdyby zaś później uznał, że znalazł się w pułapce, mógł pójść za przykładem ojca, zarówno pod tym względem, jak i wieloma innymi. Ona zresztą nawet się tego po nim spodziewała.

Matka nie powiedziała ani słowa, gdy Sebastian wieczorem poszedł ją o wszystkim zawiadomić.

Nawet nie spojrzała na niego. Kamienny posąg okazałby żywszą reakcję, ale i zawodowa aktorka nie odegrałaby tego lepiej.

Wreszcie, gdy już miał wyjść, oznajmiła beznamiętnym głosem, że zajmie się przygotowaniami do ślubu i przyjęciem weselnym, tak by rodzina uniknęła totalnego upokorzenia pod każdym względem.

A że spodziewał się długiej i przykrew sceny, ucałował ją z wdzięcznością, nim się pożegnał, i uwolnił

od jej lodowatej obecności.

Ogłoszenie zaręczyn wielu zdumiało i spowodowało nową falę plotek, ale skandal zaczął przygasać.

Rzecz jasna, przez długie lata będzie się o nim od czasu do czasu wspominać, ale już w tydzień później Castleford przysłał mu list ze zgodą na korzystny dla obu układ, który przedtem odrzucił.

Oznaczało

to, że Sebastian odzyskał swoją pozycję w parlamencie i polityczne wpływy.

Jeden z jego kolegów w Izbie Gmin, Nathan Proctor, nawiązał zerwane przedtem gwałtownie stosunki, zwracając się do Sebastiana, gdy pewnego wieczoru obaj wychodzili od Brooka.

- Ten chłopak z mojego hrabstwa wrócił w końcu do domu. Sebastian miał głowę zaprzątniętą czym innym, więc zbył te słowa dość obojętnym uśmiechem.

- Ten z trzeciego pułku, o którym ci wspominałem w zeszłym roku. Odniósł straszliwe rany od wybuchu. O mało nie umarł, opiekowano się nim w jakimś klasztorze aż do jesieni. Wreszcie wydo-brzał na tyle, że jest w stanie wyruszyć w podróż i wrócić do domu oraz do swoich bliskich.

Wkrótce przyjedzie na jakiś czas do Londynu razem z siostrą.

W skład trzeciego pułku wchodziła kompania, którą wadliwy proch pozbawił możliwości obrony.

Sebastian przez dwa lata szukał tych nielicznych żołnierzy, którym udało się przeżyć, w nadziei, że rzucą światło na tę sprawę. Nie usłyszał jednak niczego nowego, prócz opowieści o śmierci,

beznadziejności sytuacji, o działach, które nie chciały strzelać, i bezużytecznych muszkietach.

Zrobił w myśli przegląd wszystkich dowodów i faktów, jakie zdołał zebrać.

- Był może kanonierem?

- A jakże. Cudem ocalał. Oczywiście tamci wypalili ze swoich dział w nasze, a on przeżył tylko dlatego, że właśnie się schylał, żeby otworzyć kolejną baryłkę z prochem i wypróbować go.

Kanonierzy przez cały czas mieli do czynienia z prochem. Ten młodzieniec mógł wiedzieć więcej niż inni, którzy przeżyli.

- Kiedy przyjedzie do Anglii?

- Za dwa tygodnie, jak mi mówiono. Rodzina zdołała wreszcie zebrać pieniądze, żeby wysłać po niego

kogoś, kto by go przywiózł. On sam, rzecz jasna, nie zdołałby wrócić o własnych siłach.

Sebastian podziękował Proctorowi i poprosił, by go powiadomiono, gdy żołnierz będzie już w domu, i

ponownie zajął się własnymi sprawami. Kaprys losu sprawił, że w sprawie Kelmsleigha mogło

dojść

do istotnego zwrotu tuż po jego zaręczynach z córką zmarłego.

Nie przypuszczał, niestety, że się dowie o czymś, co mogłoby oczyścić imię ojca Audrianny. Raczej przeciwnie.

Gdy wrócił na Park Lane, sprawdził, co słyhać u Morgana, i okazało się, że przyszli do niego z wizytą Kennington i Symes-Wilvert. Nie mógł się więc wykręcić od godzinnej partyjki wista.

Przyjaciele

Morgana nie omieszkali nawiązać w rozmowie do jego ślubu.

- Diabło porządnie postąpiłeś, Summerhays - stwierdził Kennington.

- O tak, diabło porządnie - zawtórował mu jak echo Symes-Wilvert.

- Mój brat żałuje jedynie, że nie ogłosili swoich zaręczyn, nim zaczęły krążyć te nieszczęsne plotki - powiedział Morgan. - Chcieli zaczekać, aż dobiegnie końca okres żałoby w rodzinie panny

Kelms-leigh. Sądziłi też, że im więcej czasu upłynie od śmierci jej ojca, tym mniej pojawi się plotek na temat uczucia, które ich połączyło wskutek kaprysu losu. I przez to nieświadomie umożliwili snucie najgorszych domysłów.

Sebastian utkwiał wzrok w kartach. Morgan skłamał. Uciekł się do kłamstwa, choć nie miał

całkowitej

pewności, czy nie było między nimi romansu jeszcze przed nocą spędzoną w oberży Pod Dwoma

Szpadami, ale... Audrianna zauroczyła jego brata i ten, jak się wydawało, teraz naginał fakty, by jej pomóc.

- Słyszałem, że to ładna dziewczyna, jestem więc pewny, że ten mariaż nie jest wynikiem żadnego kaprysu - odparł Kennington. - Zetknąłeś się z nią, jak przypuszczam, podczas prowadzenia dochodzeń w tej fatalnej sprawie z jej ojcem? - zwrócił się do Sebastiana.

- Tak. - Rzeczywiście tak było.

- Pewnie dasz już temu teraz spokój, podobnie jak inni. Nie wygląda na to, żeby dało się tu jeszcze dużo zrobić, bo przecież skoro on się powiesił, to tak jakby się przyznał - stwierdził Symes-Wilvert.

Sebastian wyłożył kartę na stół.

- Jeśli byli w to zamieszani jacyś inni ludzie, to nie sądzę, żeby mogli spać spokojnie - powiedział

Morgan. - Mój brat bardzo sumiennie wypełnia swoje obowiązki. Jest nieustępliwy w dochodzeniu do

prawdy.

- Oczywiście. Wcale nie utrzymuję, że on je źle wypełnia - Symes-Wilvert lekko poczerwieniał. - Po prostu jego narzeczona chyba nie chce, żeby całą tę sprawę ponownie rozgrzebywać. Myślałem..

Symes-Wilvert nie mógł wiedzieć, że decydując się na poślubienie panny Kelmsleigh, Sebastian, wbrew sobie, zmuszał się do nieustępliwości, o której wspomniał Morgan. Gdyby zrezygnował teraz ze śledztwa, musiałby przyznać, że te ryciny trafnie ukazywały jego charakter.

Zauważył, jak Morgan spoważniał, gdy rozmowa zeszła na temat wydarzeń związanych z owym nieszczęsnym prochem. Zawsze tak było. Odkąd pierwsze wieści o masakrze dotarły do Londynu,

Morgan bardzo żywo się nią zainteresował. Pewnego razu nawet stracił swoje zwykłe opanowanie, mówiąc o budzącej grozę sytuacji, w jakiej znaleźli się ci żołnierze wskutek czyjegoś niedbalstwa lub czegoś jeszcze gorszego. Sympatia, jaką w nim budziła Audrianna, niczego tu nie zmieniła.

- Panna Kelmsleigh zna moje poglądy i zamiary - powiedział Sebastian. - Jestem wam jednak wdzięczny za troskę o harmonię w moim małżeństwie.

- Myślę, że Summerhays zamierza osiągnąć tę harmonię w inny sposób - i Kennington zarechotał przy tej aż nadto oczywistej aluzji. Ale że był Kenningtonem, zadbał o to, by pozostali ją w pełni pojęli. -

Czas już wykorzystać własne doświadczenie w dobrym celu, co, Summerhays? Wtedy twojej damy nie będzie obchodzić, co zdziałasz w tamtej sprawie, no nie?

Symes-Wilvert parsknął śmiechem. Morgan uśmiechnął się powściągliwie do wiernego, choć głupawego przyjaciela. Sebastian zaśmiał się zdawkowo i zerknął dyskretnie na zegarek kieszonkowy.

- Myślę, że przesadziłyśmy - stwierdziła Audrianna.

- Z pewnością nie.

Błada, łagodna twarz matki, okolona nowym, obszytym koronką czepkiem, pochyliła się nad również nową, spacerową suknią w kolorze płomiennej czerwieni, którą przymierzała. Mogła ją co prawda

-podobnie jak większość nowych strojów - włożyć dopiero w kwietniu, po zdjęciu żałoby. Było jednak oczywiste, że z utęsknieniem czeka na ten dzień.

- A zresztą dlaczego miałybyśmy się ograniczać w tych zakupach? Choć się ograniczyłyśmy. Nowa garderoba to o wiele za mało, żeby nam wynagrodzić to, co się stało.

- O wiele za mało - zgodziła się z nią Sarah i zachichotała. - Z pewnością należą nam się dwie albo trzy szafy nowej garderoby!

Matka stłumiła uśmiech. Odłożyła strój spacerowy i uniosła w rękach elegancką suknię domową z brązowiofioletowego jedwabiu. - Co myślisz o tej, Daphne? Długo się zastanawiałam nad zdobieniami przy obrąbku. Czy uważasz, że dokonałam mądrego wyboru?

Daphne skomplementowała rozłożoną suknię, przyglądając się jej bez podnoszenia się z fotela.

Matka

zaprosiła ją specjalnie po to, żeby zechciała ocenić nowo nabyte stroje.

Ich ilość zdumiewała Audriannę, choć pomagała matce i siostrze w dokonywaniu zakupów. Czapki i kapelusze, szale i torebki rozwieszono na krzesłach i pokrywały stół. Suknie rozpakowano i ułożono w stosach na sofie, ale wiele innych wciąż jeszcze czekało w swoich muślinowych

pokrowcach na obejrzenie.

- Chciałam, żeby Lizzie przyszła tu dziś z tobą - rzuciła nadąsana Sarah, przymierzając kapelusz ozdobiony strusimi piórami. - Ona ma wyśmienity gust, a ja coraz bardziej ją lubię.

- Teraz, kiedy dni są już dłuższe, znów zaczęły ją męczyć bóle głowy - wyjaśniła Daphne. - Doktor mówi, że musi je po prostu przeczekać, wypoczywając, bo w przeciwnym razie uzależni się od

laudanum. Z pewnością dokładnie jej opiszę każdą suknię, każdy kapelusz i wszystkie inne dodatki.

- Pokaż Daphne tę z różowego atłasu, Audrianno - poleciła matka. - To odpowiednia pokuta dla lorda Sebastiana.

Audrianna uniosła swoją nową, wieczorową suknię z kosztownego materiału i zademonstrowała w całej krasie, żeby Daphne mogła ją podziwiać.

- Mamo, jeśli już o to chodzi, tylko ja będę pokutować za wszystkie te piękne stroje.

Twarz matki przybrała wyraz pełnej żalu czułości. Uścisnęła córkę i ucałowała ją.

- No tak, moja droga. Niestety, tak. Bardzo dzielnie się trzymasz, ale zawsze byłaś z nas wszystkich najsilniejsza. Mimo jego wysokiej pozycji nigdy bym się nie zgodziła na to małżeństwo, nawet po tym, jak cię w niewybaczalny sposób potraktował. Jednakże on pochodzi z jednej z najlepszych rodzin

i możesz od niego wiele wymagać, niezależnie od tego, jak odrażające mogą ci się wydać małżeńskie

obowiązki.

Audrianna zarumieniła się, słysząc tę perorę, ale nie z tych powodów, które miała na myśli matka.

- Sądzę, że odpokutuję, bo rachunki za te stroje przyślą nam tuż po ślubie.

- Nie martwiłabym się tym - powiedziała Daphne. - Wątpię, by lord Sebastian był nimi zaskoczony lub

uznał te sumy za tak wysokie, jak się nam wydaje.

- No widzisz, Daphne też uważa, że nie przesadziliśmy - uznała matka, choć Daphne wcale tego nie powiedziała. - Och, czy ci mówiłam? Dostałam list od mojego brata Ruperta. Ogromnie go ucieszyła wiadomość o zaręczynach i chce przyjechać do Londynu, żeby być na ślubie. Najwyraźniej,

Audrianno, dzięki tobie ochłodzenie stosunków między nim a nami to już przeszłość, nie mówiąc o tym, ile innych dobrych rzeczy nas spotyka dzięki twemu poświęceniu.

Wyraz twarzy Daphne nie zmienił się, Audrianna wyczuła jednak, że zmroziła ją wzmianka o wuju Rupercie. Wyraźnie była niezadowolona, że spotka go na ślubie. To on pozostawił Daphne własnemu losowi, gdy zmarł jej ojciec, brat mamy i Ruperta.

Audrianna odłożyła różową suknię.

- Chyba już dosyć sukien obejrzałaś? Mama i Sarah mogą ciągnąć tę zabawę same, a my przejdźmy się

po skwerze.

Daphne spodobała się ta propozycja. Włożyły kapelusze i pelisy, i wyszły z domu.

- Lepiej znosiłam obecność mamy, zanim się od niej wyprowadziłam i przekonałam się, jak wygląda życie bez niej - zwierzyła się Audrianna przyjaciółce, gdy szły ulicą. Ujęła Daphne pod rękę.

-Strasznie mi ciebie brakowało.

Gdy przyjęła oświadczyzny lorda Sebastiana, matka zaczęła nalegać na jej powrót do rodzinnego domu. „Musisz we własnym domu przygotować się do ślubu. Jeśli pozostaniesz na wsi, daleko od Londynu, będzie to o wiele trudniejsze”.

Ale jej powrót do domu wcale nie ułatwiał przygotowań. Russell Square był niemal tak samo odległy od eleganckiej dzielnicy Mayfair, gdzie znajdowała się rezydencja jej przyszłego męża, jak i od Cum-berworth. Matka nigdy nie zgodziłaby się na zamieszkanie daleko od wytwornych, zachodnich dzielnic, gdyby nie to, że ten dom leżał niedaleko Tower, gdzie pełnił obowiązki jej mąż.

- Ona po prostu chce cię mieć przy sobie przez kilka ostatnich dni. Wkrótce wyfruniesz z klatki -

powiedziała Daphne.

- Raczej przefrunę z jednej klatki do drugiej. Miesiące spędzone w Najrzadszych Kwiatkach wydają mi

się najszcześniejszymi w moim życiu. Czułam się wolna i swobodna.

Daphne uścisnęła jej dłoń.

- Zawsze nas tam znajdziesz. Odwiedzaj Cumberworth często.

- Czy będziecie ze mną w niedzielę? Dodałoby mi to odwagi.

- Myślę, że będziemy tam obie, Celia i ja.

- A Lizzie?

- Nie liczyłabym na nią. Te jej bóle głowy pojawiają się w najmniej oczekiwanych momentach.

Zbliżały się do Bedford Square z jego skromnymi, czystymi domami stojącymi rzędem z każdej jego strony. Przychodziła tu nieraz z Rogerem, nim wyruszył na wojnę. Po zaręczynach zaczął mówić o wynajęciu jednego z nich, kiedy już się pobiorą. Długie godziny po jego odjeździe spędzała na wyobrażaniu sobie, jak będzie im się tam mieszkać. Skwer budził w niej dostatecznie wiele przykrych

wspomnień, by unikała go całymi miesiącami po zwolnieniu Rogera z danego jej słowa.

Weszły do ogrodu i zaczęły się przechadzać wśród bezlistnych jeszcze drzew, krzewów bukszpanu i porastającego pnie bluszczu.

- Czy bardzo ci będzie przeszkadzała obecność wuja Ruperta i ciotki Clary na moim ślubie? - spytała Audrianna.

- Kimże jestem, by mi to przeszkadzało? Afronty, które was od nich spotkały niedawno, były bardziej dotkliwe niż te, których ja dawniej od nich doznałam.

Istotnie, brat matki zachował się wobec nich nie fair. Audrianna zastanawiała się, jak długo owo pojednanie potrwa. Po śmierci papy wuj Rupert nie zrobił nic, by im pomóc materialnie lub by chociaż wesprzeć na duchu.

- Boję się, że mama uważa jego postępowanie za usprawiedliwione.

- To tylko znaczy, że rozumie, jakimi pobudkami kierują się ludzie z wielkiego świata. Może nie usprawiedliwia brata, tylko rozumie, dlaczego tak postąpił. A to znaczy, że rozumie również, czemu on teraz chce korzystać z koneksji, jakie dzięki tobie zyska rodzina.

- Jestem niewymownie rada, że mogę się im do czegoś przydać - Audrianna nie zdołała się powstrzymać od ironicznej uwagi.

- A ja byłabym niewymownie rada, kuzynko, że cieszysz się z tego małżeństwa, choćby tylko z powodu nowych sukien i koneksji, które wywołują taki entuzjazm twojej rodziny - odparła Daphne.

- W tych okolicznościach nie miałaś wprawdzie wielkiego wyboru, ale...

- Owszem, cieszę się i nie mogę się wprost doczekać, kiedy skończy się miesiąc narzeczeństwa.

Uwolnię się wtedy od mamy. Im wcześniej, tym lepiej.

To nie matka jednak była prawdziwą przyczyną zniecierpliwienia Audrianny. Irytowało ją, że teraz i ona, i lord Sebastian, jako narzeczeni, byli zobowiązani do przestrzegania surowych reguł, przyjętych w wielkim świecie. Każde ich spotkanie przypominało występ na scenie w sztywnym kostiumie

etykiety. Wszystkie słowa były zaplanowane, komplementy - łatwe do przewidzenia. Nie tak się zachowywali, nie tak ze sobą rozmawiali wcześniej, zanim zostali narzeczonymi.

Nie miała okazji lepiej poznać przyszłego męża w ciągu miesiąca narzeczeństwa. Sebastian przestał odnosić się do niej z taką swobodą, jak przedtem. Obawiała się, że jeśli to dłużej potrwa, poślubi człowieka całkowicie jej obcego.

- Nie potrafię tylko polubić lady Wittonbury - przyznała.

- Czy jest wobec ciebie niegrzeczna?

- A czy określenie „niegrzeczna” można stosować do królowej? Każdym spojrzeniem, każdym gestem, każdym słowem daje mi do zrozumienia, że nie nadaję się na żonę jej syna. W zeszłym tygodniu przysłała mi stos książek o etykiecie i właściwym zachowaniu.

- No, to było rzeczywiście niegrzeczne.

- Też tak sędzę. W załączonym liście wyjaśniła, że przeznaczone są dla ludzi starających się nabrać ogłady, a ich autorzy już tę ogładę mają i weszli w kręgi najlepszego towarzystwa, ale książki mimo to zawierają błędy, które dostrzeże osoba z najwyższych sfer. Zatem ona te błędy skorygowała.

- Dopisała coś?

- O, tak. Pełno tam jej własnoręcznych uwag na marginesach! Daphne wybuchnęła śmiechem, Audrianna też się więc roześmiała, choć wcale jej nie było do śmiechu.

- Większość komentarzy to wyjaśnienie, że tylko prości ludzie uznaliby tę czy ową radę za właściwą.

Daphne przystanęła, by podziwiać kilka krokusów wyłaniających się spomiędzy bluszczu porastającego ziemię.

- Czy twoja matka rozmawiała z tobą, Audrianno, by dać ci bardziej użyteczne rady niż markiza?

Wiesz, co mam na myśli.

- Mama uważa, że takie rady już mi nie są potrzebne. Byłoby mi miło, gdyby ktoś, kto mnie zna, uwierzył, że plotki nie miały podstaw.

- To nie ciebie podejrzewa się o niegodziwe postęпки, tylko jego. Przepraszam, że i ja miałam wątpliwości. Jeśli masz jakieś pytania, spróbuję na nie odpowiedzieć, skoro twoja matka się do tego nie kwapi.

Audrianna miała wiele pytań, ale nie na tematy, do których robiła aluzję Daphne. Lord Sebastian już dał jej poznać ten zakres małżeńskich obowiązków i przekonała się, że będzie całkiem znośny. Martwiła się nie o noce, tylko o dni.

Jak zdoła ukryć gniew, który wciąż w niej budził los ojca?

Jak zdoła powstrzymać markizę przed czynieniem jej afrontów?

Czy znajdzie przyjaciół w tym nowym świecie, do którego wkracza?

Czy etykieta przewiduje, jak ma się zachowywać żona, gdy jej mąż bierze sobie kochankę? Książki nic na ten temat nie mówiły. Może spyta o to kiedyś markizę. Lady Wittonbury na pewno ma spore doświadczenie, jak postępować w takim przypadku.

Zatrzymała się i spojrzała na bezlistny krzew. Na jego licznych gałązkach nabrzmiewały już pączki, gotowe zakwitnąć w ciepłe pierwszych wiosennych promieni słońca.

Była to forsycja, najpospolitszy z kwiatów. Audrianna ją przypominała. Pospolita i przeciętna.

Gdyby nie zbieg okoliczności, lord Sebastian nigdy nie zwróciłby na nią uwagi, a już na pewno by się jej nie oświadczył.

Uważano, że Audrianna wręcz się pławi w swoim nieoczekiwanym szczęściu. Nie było to zresztą całkowitą nieprawdą. I ona, i matka, i Sarah przebrały miarę w zamawianiu nowych toalet. I ona, tak jak matka i siostra, z zachwytem brała udział w tej istnej orgii zakupów. Wreszcie mogły zaspokoić naturalne kobiece pragnienie strojenia się.

- Mam jedno pytanie. Nie dotyczy jego ani mojego przyszłego życia. Dotyczy mnie.

Daphne nadstawiła uszu, niezmiernie zaciekawiona.

- Cóż to takiego?

- Czy to źle o mnie świadczy, że bardzo lubię całować się z mężczyzną, którego nigdy nie pokocham?

Daphne uśmiechnęła się lekko.

- Uspokołam się po tym pytaniu. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Nie, w tym nie ma nic złego. Kobiety uważają, że pożądanie musi się łączyć z miłością, mężczyźni, że nie. A tymczasem pożądanie niekiedy rodzi uczucie, co ubarwia życie.

Cmoknęła Audriannę w policzek.

- Przyjemność, którą ci sprawiają te pocałunki, nie jest również zdradą wobec twego ojca, jeśli to właśnie miałas na myśli. On by wcale nie chciał, żebyś żyła w ciągłym przygnębieniu.

Daphne nieraz okazywała się bardzo mądra. Rozumiała wszystko bez słów.

- A czemuś się uspokoiła?

- Bo gdybyś tych pocałunków nie lubiła, twoje życie stałoby się piekłem. Cieszę się, że ci to nie grozi.

No, a teraz muszę wrócić i pożegnać się z twoją matką. Pochodziłam trochę po Londynie i będę mogła

sprawić wam na ślubie małą niespodziankę.

Dzień ślubu Audrianny nie zaczął się pomyślnie. Od świtu w Londynie padał drobny deszcz i wiał ostry, północny wiatr. Matka poleciła, by rozpalono w kominkach, i narzekała, że deszcz zniszczy jej obuwie.

Audrianna wykąpała się, ubrała i zawezwała nową pokojówkę, by ułożyła jej włosy. Wołała nie pytać

matki, ile ta nowa służąca będzie kosztowała. Bez wątpienia, gdy lord Sebastian złożył obowiązkową wizytę po zaręczynach, matka narzekała, że trudno jej będzie poczynić przygotowania do ślubu, skoro przyszło im obywać się bez służby. Miały tylko jednajedyną służącą.

Była gotowa wcześniej od innych i poszła do pokoju Sarah, żeby ją przynaglić do wyjścia. Zastała tam siostrę i matkę. Sprzeczały się o to, jaką suknię Sarah ma na siebie włożyć, chociaż dawno to już ustaliły podczas jednej z wizyt u krawcowych, u których zamawiały toalety, nie licząc się z kosztami.

Audrianna wkroczyła między nie, wyrwała fiołkową suknię z rąk Sarah, rzuciła ją na łóżko i podała bladożółtą.

- Włóżysz tę, jak ustaliłyśmy, kiedy ją zamawiałaś, albo nigdzie nie pójdziesz. Powóz już czeka przed drzwiami, a ja nie zamierzam paść ofiarą twoich fanaberii.

- Ta fiołkowa jest dużo ładniejsza! - biadała Sarah. - W tej wyglądam jak dziecko!

- Panowie zauważą cię dużo szybciej w tej żółtej - tłumaczyła jej Audrianna.

Sarah przestała się dąsać i zaczęła rozważać opinię siostry.

- Wyjeżdżam za kwadrans - powiedziała Audrianna - i mam nadzieję, że do mnie dołączysz. Mamo, ty

też już powinnaś skończyć toaletę.

- Kwadrans to o wiele za mało. Przyjedziemy do kościoła jako pierwsze i ośmieszmy się - narzekała

matka.

- Nie od razu pojedziemy do kościoła. Najpierw chcę być na grobie papy.

Matka westchnęła tak głośno, że westchnienie słychać było w całym pokoju.

- Audrianno, przy tym deszczu... to doprawdy niemądre...

- Po wyjściu z kościoła nie będzie już sposobności, a potem zapewne zabraknie mi czasu, żeby się tam wybrać. Włożę długi płaszcz i zmienię później zwykłe pantofle na atłasowe. Możesz zostać w powozie, aleja pójde na jego grób, żeby wiedział, że o nim nie zapomniałam.

Sebastian zjawił się przed kościołem Świętego Jerzego w towarzystwie Hawkeswella. Goście rozstąpili się przed nim, składając mu życzenia.

- Los wyznaczył ci najpaskudniejszy dzień od wielu tygodni - narzekał Hawkeswell - aleja nie jestem przesądny.

Sebastian też nie był przesądny. Uważał, że natura pozostaje całkowicie obojętna wobec ludzkich poczynań, i że pogoda sprzyja jednym, a drugich doświadcza. Nie mógł jednak nie dostrzec śmiesznej zbieżności kaprysów aury. Gdy zatrzymał się wraz z Hawkeswellem na kościelnym progu,

przypomniał sobie, że ostatnim razem było tak brzydko w dniu, gdy pierwszy raz spotkał pannę Kelmsleigh.

Przestał jednak myśleć o deszczu i wietrze, gdy zobaczył wnętrze kościoła. Ktoś przeobraził go w ogród.

Wzdłuż głównej nawy ustawiono w równych odstępach obrośnięte zielonym bluszczem drzewka.

Stojąc w progu kościoła, widział przed sobą tunel z liści, sięgający sufitu.

Wejście otaczały wazy wypełnione tulipanami w żywych kolorach. Bukiety wiosennych kwiatów pokrywały ołtarz, a krańce każdej ławki ozdabiały pęki żonkili i hiacyntów. Zachwycone oczy oglądały przebogate, barwne malowidło jaśniejące setkami kwiatów.

- Imponujące - mruknął Hawkeswell. - Chciałeś cichego, dyskretnego ślubu, Summerhays, ale tego nikt prędko nie zapomni. Twoja matka zainauguowała nową modę.

Matka nie miała z tym nic wspólnego. Obfitość kwiatów wcale nie była w jej stylu. Zapewne nie pochwalałaby takich teatralnych efektów, zwłaszcza podczas Wielkiego Postu.

Kościół udekorowała pani Joyes, zapełniając go roślinami z własnej oranżerii. Socjeta, jak sądził, będzie pod wrażeniem i wyrazi jej bez wątpienia uznanie, ale nie przypuszczał, by Daphne zrobiła to akurat w tym celu. Audrianna nie potrafiłaby rozpoznać większości gości weselnych, znała za to każdy wazon i kwiat.

Usłyszawszy jakieś odgłosy za ich plecami, Hawkeswell się odwrócił.

- Przejdźmy bliżej ołtarza. Nadjechał powóz twojej narzeczonej. Sebastian ujrzał, jak otwierają się drzwi i wysiadają pani Kelmsleigh i jej młodsza córka. Sarah pisnęła, gdy wiatr o mało nie porwał

jej kapelusza. Na najwyższym stopniu schodków ukazała się elegancka nóżka i biały rąbek sukni.

Pani

Kelmsleigh krzyknęła, wskazując na coś, co okazało się tłustą plamą na śnieżnobiałej tkaninie.

- Przepiękny powóz - mruknął Hawkeswell. - Wygląda na nowy. Damy też wystrojone wedle najnowszej mody. Żaden wydatek nie będzie ci oszczędzony.

- Absolutnie żaden. Niestety. I dobrze wiem, dlaczego. Rachunki zaczęły już napływać. Rozrzutność pani Kelmsleigh nie

miała granic. On za to płacił. Musiał.

- Gdybym miał siostrę, bardzo by mnie cieszyła twoja hojność. Do diabła, Summerhays, szkoda, że nie możesz ożenić się ze mną!

Skierowali się w stronę ołtarza, nim Audrianna wysiadła z powozu i weszła do głównej nawy.

Drużba

Sebastiana już tam czekał.

- Głowa do góry, Summerhays - szepnął Hawkeswell. - Nie będzie to tak bolesne, jak sądziliśmy.

Lepsza gilotyna niż szubienica.

Audriannie stanęły łzy szczęścia w oczach na widok kwiatów. Rozjaśniły dzień i przepędziły zły nastrój. Kłaniały się barwnymi główkami, podczas gdy ci wszyscy obcy jej ludzie gapili się na nią.

Nerwowość kilku ostatnich dni, melancholia po wizycie na grobie ojca, irytacja na matkę i Sarah - wszystko znikło, gdy stanęła w kościelnych odrzwiach i ujrzała ogród, który Najrzadsze Kwiaty stworzyły na jej cześć.

Poszukała wzrokiem Daphne. Siedziała z boku, w bladoliliowej sukni, niewiarygodnie podkreślającej

jej pastelową urodę. Zaćmiłaby Sarah, gdyby ta nie włożyła sukni bladożółtej. Daphne była sama.

Wczoraj nadszedł list z wyjaśnieniem, że bóle głowy Lizzie powróciły i Celia będzie musiała zostać w domu, żeby ją pielęgnować.

Lizzie złożyła kilka dni temu nieoczekiwaną wizytę matce. Audrianna podejrzewała, że na ten jeden dzień zapomniała o bólach głowy, żeby pomóc Daphne zaplanować ten kwietny popis.

Zażywny, szpakowaty mężczyzna zbliżył się, by ją wziąć pod rękę. Wuj Rupert. Matka upierała się przy tym, mimo że potraktował je niegdyś tak bezwzględnie. Audrianna zgodziła się, ale w wyobraźni widziała na jego miejscu ojca. To on prowadził ją do ołtarza i przyjmował życzenia, przywrócony do czci. Czowała jego obecność u swego boku.

Lord Sebastian czekał na nią. Wyglądał wspaniale. Był wymarzoną partią dla każdej niezamężnej panny z wyższych sfer. Biały halsztuk lśnił na tle granatowego fraka, oczy błyszczały w świetle licznych świec.

Uśmiechnął się, gdy podeszła do niego. Był to uprzejmy uśmiech. Uspokajający, ale kryło się w nim coś takiego, że każdej kobiecie mogło zakręcić się w głowie. Jej również, jak się już zresztą stało.

Twarze gości majaczyły w tle, niewyraźne i zamglone. Nawet kwiaty zaczęły wyglądać niczym wyblakła akwarela. Wypowiedziała słowa ślubowania na wpół przytomna.

Audrianna weszła do swojej nowej sypialni. Było już po ślubie. Wrócili z wizyty u markiza złożonej przed przyjęciem weselnym, w którym Morgan nie mógł brać udziału. Goście się rozeszli. Dopełniono wszystkich rytuałów. Prócz jednego.

Przygotowano dla niej naprawdę piękne apartamenty. Markiza sama je na nowo udekorowała.

Marszczone tiulowe zasłony zdobiły okna i otaczały łożo. Poduszki na dwóch fotelach olśniewały ciemnym błękitem. Piękny stolczyk do korespondencji zdobiony chińskimi motywami stał pod oknem. Otworzyła go i znalazła w środku wszystkie akcesoria niezbędne do pisania.

W jednej ze ścian mieściły się drzwi do gotowalni. Wczoraj wniesiono tam jej rzeczy. Do domu matki

przybyła istna armia służących i pokojówek, by zapakować do kufrów wszystkie stroje. Znalazły się teraz w szafach umieszczonych wzdłuż ścian tego pokoju, dużo większego od jej poprzedniej sypialni.

Pokojówka Nellie była jedną z tutejszych służących. Wczoraj dowodziła wspomnianą armią, a do jej obowiązków należało teraz obsługiwanie Audrianny. Rudowłosa, krępa, z twarzą usianą piegami, uniosła głowę znad stojącej w kącie gotowalni deski do prasowania, gdy Audrianna weszła do pokoju.

- Lady Wittonbury powiedziała mi, żebym dziś pani usługiwała, madame. Uprzedzono mnie, że może będzie pani wolała własną pokojówkę, ale się spodziewam, że moje usługi też panią zadowolą.

Podobno markiza wybrała właśnie mnie, bo sądziła, że wolałaby pani angielską, a nie francuską pokojówkę. Daję słowo, nie mam w sobie ani kropli francuskiej krwi!

Nellie najwyraźniej uważała, że wybrano ją ze względów politycznych. Lady Wittonbury jednak, co było bardziej prawdopodobne, uznała, że prosta, zwykła kobieta będzie dla Audrianny odpowiednią służącą ze względu na pochodzenie synowej, niewywodzącej się z kręgów arystokracji.

Audrianna nie miała pojęcia, co jeszcze lady Wittonbury mogła polecić służącej. Musiała jednak przyznać, że markiza miała rację co do jednego. Dużo lepiej będzie się czuła obsługiwana przez służącą, która nie zadziera nosa.

Nellie podeszła do szafy i wyjęła z niej peniuar.

- Służyłam u jednej lady w północnej Anglii, madame, i nie znam londyńskich zwyczajów, ale umiem układać włosy i bardzo dobrze szyję. Może zechce pani teraz zdjąć suknię ślubną?

- Owszem, tak pewnie będzie najlepiej. Może wyszczotkujesz mi włosy.

Nellie zaczęła rozpinać jej suknię.

- Czy mam posłać pani łóżko, madame?

- Myślę, że tak.

Sebastian o tym nie wspominał, gdy wprowadzał ją dziś do pałacu. Miała jednak pewność, że z

ostatnim punktem rytuału nie będzie czekał do nocy. Było popołudnie. Jego zamiary były całkiem jednoznaczne. Serce zaczęło jej bić szybciej. Czuła w całym ciele dziwny dreszczyk, wzbudzający lekki lęk, ale także coś jeszcze innego.

- Czy chce pani włożyć tę nocną koszulę, którą właśnie przysłano? Nellie podeszła do stołu, uniosła jedno z kilku piętujących się na

nim pudeł i powróciła z nim.

W środku leżała przepiękna nocna koszula. Dołączona karteczka głosiła, że to prezent od

Najrzadszych Kwiatów. Audrianna uniosła gładką, lekką tkaninę. Koszula była o wiele bardziej elegancka od tych, które matka zamówiła dla niej. A także o wiele bardziej kobieca.

- Myślę, że właśnie tę. Przynieś mi i tamte pudła.

Lokaj Sebastiana zajrzał do gotowalni pana młodego. Nic nie powiedział, ale był to znak, że pokojówka opuściła pokoje Audrianny.

Rzecz jasna, mógł czekać. Przez całą tę noc, a nawet przez kilka następnych. Ale nie chciał. I ona także. Wiedziała, odkąd pocałował ją w drzwiach do jej apartamentów, że chce do niej przyjść teraz.

Okryty szlafrokiem z granatowego jedwabiu, otworzył drzwi do jej sypialni. Wejście to przebito, gdy

ustalono, że Audrianna będzie spała w pokoju sąsiadującym z jego sypialnią.

Kotary w oknach zaciągnięto, więc sypialnia była pogrążona w półmroku. Jedna pozostała nieco odsłonięta. Wpadała przez nią smuga

słonecznego światła pełna wirujących drobin kurzu, sięgająca łóżka. Gdy dojrzał, co oświetlała, poczuł natychmiast podniecenie.

Światło padało na piękną kobietę w przejrzystej szacie. Spoczywała na łóżku przybranym kwiatami.

Drobne kwiatki miała wpięte we włosy, a całe ciało było nimi obsypane. Dyskretnie naszyta koronka osłaniała przezroczysty stanik, nadając pozory skromności. Ale tylko pozory.

Spodziewał się, że będzie zdenerwowana i zalękniona. Zastanawiał się nawet, co robić, gdyby krzyczała. Ale tego się nie spodziewał.

Podszedł do kotar, rozsunął je nieco bardziej i teraz zobaczył wyraźniej tę Floreę. Nogi, biodra, pagórek w dole brzucha wyłaniały się dyskretnie spod mgielki gazy. Powściągnął nagłą chęć, by stanąć nad

nią, zedrzyć z niej prowokujący negliż i wziąć ją od razu.

- Wyglądasz bardzo pięknie, Audrianno.

- Bałam się, że uznasz, iż to głupi pomysł.

- Wcale nie jest głupi. Byłem zaskoczony, ale bardzo mile.

- Koszula jest prezentem. Kwiaty, przysłane przez moje przyjaciółki, także. Czekają na mnie, kiedy tu weślą.

- Wyglądasz niczym rusałka. Chciałbym cię bez przerwy oglądać, ale zasunę kotary, jeśli wolisz.

Spojrzała na swoje ciało i na jego szlafrok. Widział, jak się zastanawiała, czy on sam nie chciałby być oglądany w tej smudze światła i czy pragnie ujrzeć coś więcej niż kwiaty i mgielkę.

- Byłoby dziecinadą z mojej strony ukazywać swoje ciało, a potem kryć je w mroku.

- Rozumiem cię. Rad jestem, że stałaś się trochę śmielsza. Podszedł do łóżka i zaczął rozpinąć szlafrok. Zacisnęła powieki

i odwróciła twarz.

Całkiem śmiała jednak nie była. Odrzucił szlafrok i wsunął się pod kołdrę.

Koszula nocna odkrywała daleko więcej niż dotąd zobaczył. Była elegancko erotyczna. Ciemne sutki

prześwitywały przez nią, już

spęczniałe i stwardniałe. Nie był to strój na noc poślubną niewinnej dziewczyny, ale też i ona już nie była dziewczyną. Ucałował ją tam, gdzie koszula odkrywała ramię.

- Pani Joyes ma znakomity gust.

- Nie wiem, może to Celia wybrała tę koszulę. Kartka nic o tym nie mówiła, ale... myślę, że się nie mylę. Na pewno nie Lizzie.

Rozmowa zdawała się ją uspokajać. Mimo zachęcającego, teatralnego powitania Audrianna była wyraźnie spięta.

- A dlaczego nie Lizzie? - Kusił ją i uspokajał pocałunkami i słowami. Kontrolował też siebie. -

Dlatego, że jest chora?

Wstrzymała dech, gdy całował jej pierś, ale uniosła się nieco ku niemu. Chyba nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Jeden z kwiatków spadł z jej piersi na prześcieradło.

- Nie, nie dlatego, choć jej choroba oznacza, że nie miałyby czasu zamówić tego stroju. Jestem pewna, że to nie ona, bo dobrze wie, jakie książki przysłała mi twoja matka, a ta koszula jest trochę... skandaliczna.

- Wiedziałaś o tym, ale ją włożyłaś. Spojrzała na niego.

- Czy jest szokująca?

- Tak, ale będzie dla nas całkiem odpowiednia.

Pocałunek nieco zaspokoił trawiące go pożądanie. Z początku zareagowała niepewnie, ale pocałunek ją rozpałał. Jej oddech stał się przyspieszony, dyszała, leciutko jęczała, zaczęła się wyginać. Rozpiął małe guziczki umieszczone w bardzo odpowiednim miejscu z przodu stanika.

Spojrzała na jego dłoń, ledwie odważając się odetchnąć. Ciało jej nieznacznie się naprężyło, co świadczyło o tym, że narasta w niej podniecenie.

- Chcesz? - spytał, gdy jego palce sięgały po ostatni guziczek. Pragnął usłyszeć jej zgodę na to, co nastąpi.

Nie odpowiedziała od razu. Patrzyła nadal na miejsce, na którym spoczęła jego ręka.

- Tak - odparła w końcu.

Rozchylił nocną koszulę, żeby odsłonić jej piersi. Były zachwycające - wysokie, jędrne, z erotycznie

sterczącymi czubkami. Przeciągnął językiem po jednym z nich i wydała wtedy pełne rozkoszy westchnienie.

Pieścił jej piersi ustami i dłońmi, aż zapomniała się całkowicie. Zatraciwszy się we własnej zmysłowości, nie wiedziała, co się z nią dzieje. Zsunął z niej koszulę. Teraz leżała naga, a on nakrył ją sobą, czując, jak jej miękkość i ciepło wzmagają jego żądzę aż do bólu.

Zdołał jednak powstrzymać się przed zaspokojeniem tego nienasyconego głodu. Zanim sam pograży się w głębinach oceanu rozkoszy, doprowadzi ją do jeszcze większego szaleństwa, tak by mogła uznać

to, co nieuchronnie nastąpi, za... całkiem znośne.

Jego skóra na jej skórze. Czułość i intymność. Doświadczone dłonie, zdecydowane i kierujące nią z mistrzostwem i siłą. Woń ciała i kwiatów.

Zadziwienie nie ustępowało, ale jej ciało nie stawiało oporu. Rozkosz przeważała nad czujnością.

Rozkosz cudowna, a zarazem dręcząca, nie do wytrzymania. Pragnęła jednak, by trwała bez końca.

Budził w niej większy lęk niż kiedykolwiek, tak wielki, że opuściła ją wola walki. Zdumiewały ją jego barki i plecy, które czuła pod palcami, instynktownie go obejmując. Był obcy i znajomy, czuła go

ciałem i duszą.

Wsparł się na łokciu, a jej ramiona osunęły się z niego. Uniósł jej prawą nogę i zgiął ją w kolanie.

Spojrzał na nią z góry. Włosy spadły mu na czoło, w oczach widniało napięcie. W jej oczach również.

Co by było, gdyby mógł ujrzeć jej myśli?

Dotyk jego był taki sam jak wtedy w ogrodzie, delikatny i oczekiwany. Pragnęła, by jej dotykał.

Znów straciła oddech. Zamknęła oczy, nie chciała widzieć, jak patrzy na jej szaleństwo. Robił z nią coś

takiego, że krzyczała i zagryzała wargi, żeby nie krzyżeć. Bezskutecz-

nie. Robił bowiem jeszcze coś gorszego, tak że krzyk wypełnił całą jej głowę, a myśli zniknęły. A potem nie było już niczego prócz rozkoszy, ale w tej rozkoszy desperacko pragnęła czegoś jeszcze, czego nie umiała nazwać.

Uniósł się znów nad jej ciałem, z piersią nad jej piersiami i rozwarł jej uda nogami. Naparł na nią, a ona, choć oszołomiona, wiedziała, że tego właśnie pragnęła.

Spojrzała w jego twarz, poważną, o stwardniałych rysach. Pociemniałe z namiętności oczy i zaciśnięte usta świadczyły, że siłą się powstrzymuje.

Nie chciał jej sprawić bólu, była tego pewna. Ale sprawił. Zaciśnęła powieki, by nie widział, jak bardzo. A potem było po wszystkim, ból ustał, choć ciała nadal pozostawały złączone. Świadomość tego, co właśnie się stało, przeniknęła ją do głębi.

Ślady rozkoszy czuła jeszcze w sobie, gdy się poruszał w niej. Miała w dłoniach jego ciało.

Wszystko stało się aż za bardzo realne.

Jego ostrożne ruchy przywróciły jej rozkosz, nie było to więc takie straszne. Nie była już oszołomiona, a rozkosz nie zaćmiewała prawdy. Spontaniczna intymność przeważała nad wszystkim.

Poddała się jej z pokorą i bezradnie.

Nie odszedł potem. Myślała, że odejdzie, by oszczędzić im obojgu prawdy, która stała się naraz przeraźliwie oczywista.

Niczego już się teraz nie spodziewała, a podniecenie niczego nie maskowało. Leżała obok nagiego mężczyzny, ledwie jej znanego.

Nie potrafiła ukryć, jak bardzo uczynił ją bezsilną i bezbronną już na początku tej długiej gry. Nie w pełni zdawała sobie sprawę, że w końcu się na nią zgodziła.

Zamknęła oczy, żeby choć w ten sposób zapewnić sobie trochę prywatności, której została pozbawiona i w tym łóżku, i w tej koszuli. Właśnie to krępowało ją najbardziej, bardziej niż ból.

Pozbawiona została własnej odrębności, a na to już zgody nie wyraziła.

- Wyglądasz na pogrążoną w myślach - rozległ się jego głos tuż przy niej i wrażenie intymności powróciło.

- Rachuję w pamięci. Dodaję. Odejmuję. Usłyszała stłumiony cichy śmiech przy swoim policzku.

Otwarła oczy, ujrzała jego nagie barki i pierś. Gdy zaślepiały ją

tamte doznania, na nic nie zważała, ale teraz to ją zaskoczyło.

- Obliczam, jak często można to robić w ciągu dziesięciu godzin. I kiedy będziesz to chciał powtórzyć.

Spojrzał na nią łagodnie, jakby się domyślał, co ona czuje. Jak bardzo jest zmieszana i pozbawiona prywatności.

- Nie od razu. A przez kilka dni wcale.

Usiadł. Wiedziała, że chciałby odejść. Nie zrobił tego jeszcze. Dał jej czas, żeby zamknęła oczy.

Może kiedyś nie będzie już ich zamykać. Słyszała, jak chodzi po pokoju.

- Wezwij swoją pokojówkę, żeby ci przygotowała kąpiel. Zjemy wieczorem obiad z moim bratem w jego pokojach. Obiecałem mu to, bo nie mógł być na naszym weselnym przyjęciu.

Usłyszała, że staje tuż przy niej, a potem poczuła, że lekko całuje ją w policzek.

- Przepraszam za ból, który ci sprawiłem. Starłem się, żeby bolało jak najmniej. Potem już nie będzie bólu.

Wzruszyło ją, że się starał. Wyobraziła sobie, jak straszne by to wszystko było, gdyby się nie starał.

Otworzyła ponownie oczy i ujrzała granatowy szlafrok koło drzwi. Nie chciał żadnego przebaczenia.

Nie

prosił o nie, chciał ją tylko uspokoić. Zaczęła o nim inaczej myśleć teraz, kiedy nic jej nie chroniło.

- Nie sprawiłeś mi zbyt wielkiego bólu. Zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Jestem bardziej zszokowana niż zboląta, i bardziej zmieszana niż zszokowana. Było tak, jak mi obiecałeś. Całkiem znośnie.

Nie przyszedł do niej przez dwie noce. Potem zaczął przychodzić każdej nocy. Audrianna wyliczyła, że czas tych wizyt, plus ten spędzony wspólnie, ale nie w łóżku, w ciągu pierwszego tygodnia rzeczywiście nie przekroczył dziesięciu godzin.

Pod koniec tygodnia przyzwyczaiła się do obecności nagiego mężczyzny w swoim łóżku. Nie zatrzymywał się w nim na dłużej, ale też nie odchodził natychmiast. Przywykła do tego obowiązku, spełnianego po cichu w mroku i milczeniu. Być może rozpustny lord Sebastian miał na to bardziej liberalny pogląd. Przecież słynął z miłosnych przygód.

Aluzje do jego przeszłości czyniono podczas każdego towarzyskiego spotkania, w jakim brała udział.

Nikt wprawdzie głośno tego nie mówił wprost, ale wyczuwała pełne rozbawienia zdumienie, że się w

ogóle ożenił i że w dodatku zawarł małżeństwo z taką osobą jak ona, o podejrzanym reputacji.

Niektóre kąśliwe uwagi dam insynuowały, że to ona wciągnęła go w pułapkę. Stało się jasne, że lady Wit-tonbury też jest tego zdania.

Zazwyczaj udawało się jej unikać lady Wittonbury bo - jak Sebastian już wcześniej powiedział - dom był ogromny. Poza swoimi pokojami najlepiej czuła się w bibliotece i saloniku muzycznym. No i, oczywiście, w ogrodzie, tak wielkim, że się w nim ginęło. Gdy zaś pragnęła nieco większej odmiany otoczenia, brała ze sobą Nellie i szły do parku lub spacerowały po Oxford Street.

Zwykle musiała jednak znosić obecność lady Wittonbury przy śniadaniu. Trzeba było wtedy przejrzeć pocztę, a lady Wittonbury pouczała, jakie zaproszenia należy przyjąć. Niektóre z nich dotyczyły przyjęć i balów, które miały się odbyć w dość odległej przyszłości, dopiero za kilka tygodni, a nawet miesiący, kiedy sezon towarzyski będzie trwał już w pełni. Lady Wittonbury kilkakrotnie wyjaśniała jej, że ten sezon ma całkiem spokojny przebieg w porównaniu z innymi,

bo na królewskim dworze żałoba po księżniczce Karolinie jeszcze się nie skończyła.

Po przejrzaniu poczty Audrianna przeglądała przyniesione przez służbę gazety, poczynając od

ogłoszeń i wiadomości na łamach „Timesa”. Nabrała nawyku Lizzie, ale, w przeciwieństwie do Lizzie, miała konkretny cel. Domino dwukrotnie posłużył się ogłoszeniami, liczyła więc na to, że zamieści kolejne.

Sebastian nigdy nie uczestniczył w tych śniadaniach. Ósmego dnia jej małżeństwa lady Wittonbury wyjaśniła, że obydwaj bracia jadają śniadania w apartamentach markiza.

- Rzecz jasna, markiz Wittonbury musi bratu dawać instrukcje. Sebastian jedynie zastępuje mego starszego syna w parlamencie, bo sam nie ma tam własnego miejsca.

Audrianna z trudem mogła sobie wyobrazić, by lord Sebastian od kogokolwiek przyjmował

instrukcje

lub godził się na odgrywanie drugoplanowej roli w polityce. Chciała nawet wziąć męża w obronę, ale

markiza zmieniła temat.

- Musimy zrobić coś z twoją garderobą, moja droga. Powstrzymałam się przed powiedzeniem ci tego, póki mogłam. Zabiorę cię dziś po południu do mojej krawcowej.

- Moja garderoba jest nowa. Zmienianie jej tak szybko byłoby marnotrawstwem.

- Możesz ją komuś oddać, a wtedy nie będzie marnotrawstwa.

- Proszę mi wybaczyć, madame, nie chciałabym być nietaktowna, ale ja nie chcę jej zmieniać. Nie ma takiej potrzeby. Moje stroje mi się podobają. Dziękuję pani jednak za troskę o mnie.

Szczególnie lubiła suknię z bladożółtego indyjskiego muślinu i różowy spencerek, które tego właśnie dnia miała na sobie, i nie spodobało się jej wcale, że właśnie one zostały skrytykowane przez teściową.

Kobieta mniej ambitna od lady Wittonbury już by ustąpiła, lecz lady Wittonbury nie miała zamiaru.

- Troskam się o siebie i o mego syna w równym stopniu, co o ciebie. Niektóre z twoich sukien nie są w najlepszym guście, jeśli chodzi o kolor i fason.

Ton był uprzejmy, choć słowa ostre. Lady Wittonbury uśmiechała się jak ktoś, kto pobłaża upartemu dziecku, które należy zmusić do posłuszeństwa, jeśli nie usłucha ono rozsądnych uwag.

- Każdą z nich zamówiono u najlepszych krawcowych, madame. Fason wybrano na podstawie

najświeższych żurnali mody. Suknie w takim fasonie noszą też inne damy z towarzystwa. Nie

przywieziono mnie tu furmanką prosto ze wsi, a moja garderoba jest odpowiednia. Niektóre z sukien mogą nie być w pani guście, ale to inna sprawa.

- Słynę z dobrego gustu od wczesnej młodości. Podziwiano go, gdy byłam młodsza niż ty teraz.

Każdy

to powie. Chcę ci służyć dobrą radą, ale widzę, że popełniłam błąd.

- Została pani markizą, gdy była młodsza niż ja teraz. Nikt by się nie ośmielił krytykować pani gustu, niezależnie od tego, co by sobie myślał.

Insynuacja, że pochwały mogły być nieszczere, poruszyła do głębi lady Wittonbury.

- Widzę, że jesteś zuchwałą i niewdzięczną dziewczyną.

- Znów się nie zgadzam, madame. Nie jestem niewdzięczna, a dziewczyną przestałam już być. Jestem na tyle dorosła, żeby na przykład samej wybierać sobie stroje.

Lodowate spojrzenie lady Wittonbury mogłoby zamrozić ocean. Ostentacyjnie wstała i wyszła z pokoju.

Audrianna skarciła samą siebie w duchu, ale nie czuła się winna.

To nie ona obraziła lady Wittonbury. Przeciwnie, to ją obrażono. Podejrzewała jednak, że markiza opowiada właśnie o tym zdarzeniu synom, przypisując całą winę Audriannie. Postanowiła więc poszukać Sebastiana po jego wyjściu z apartamentów brata.

Zaczekała, aż nadejdzie pora. Żołądek skręcał jej się w bolesny supeł na myśl, co może się teraz wydarzyć. Znalazła męża w jego

sypialni, przeglądającego jakieś papiery. Był w stroju do konnej jazdy i wyglądał na bardzo zajętego.

Spojrzał na nią przelotnie, przerzucając strony, i uważnie wczytywał się w treść niektórych.

- Słyszałem, że pokłóciłaś się z moją matką.

- Nie była to kłótnia, tylko różnica zdań. Nie uchybiłam jej w niczym.

- Ale ona mówi, że nie chcesz uwzględnić jej życzeń. Nie słuchasz rad.

- To prawda.

Przeglądał jeszcze przez chwilę papiery, ale potem odłożył je i spojrzał na nią uważnie. Dotknął jej ramienia.

- Czy to jedna z tych sukien?

A więc wszystko mu dokładnie powtórzono. Przyglądał się jej. Jeśli jej powie, by się pozbyła ulubionego stroju, i każe się podporządkować matczynym fanaberiom, dzisiejszego poranka w tym domu może naprawdę dojść do kłótni.

- Nie jestem znawcą mody, ale i ta twoja suknia, i inne mi się podobają. Matka próbuje ci narzucić własne zdanie. To do niej podobne. W pewnych sprawach może ci pomóc, jeśli tego chcesz. Zrób, co uznasz za stosowne. Okazuj jej szacunek, na który zasługuje, ale to mnie jako jedynej osobie w tym domu winna jesteś posłuszeństwo.

Zaskoczył ją tak bardzo, że nie zastanawiając się, objęła go i ucałowała.

Zamknął ją w uścisku, na wpół rozbawiony, na wpół poważny, a potem wypuścił z ramion i zgarnął papiery w plik.

- Gotów jestem powiedzieć matce, żeby się z tobą częściej kłóciła.

- Mam nadzieję, że nie! Po co miałbyś to robić?

- Bo jeśli ma to być finał sztuki, wymaga ona i pierwszego aktu. Roześmiała się.

- Przecież to tylko pocałunek. Możesz ich mieć, ile zechcesz. Uśmiechnął się dziwnie i wrócił do swoich papierów.

- Myślę, że zechcę.

Ledwie Sebastian wyszedł z domu, posłał po Audriannę markiz. Znalazła go w bibliotece, w tym samym głębokim fotelu, w którym zawsze go widywała. Odłożył na jej widok książkę.

- Powiedziano mi, że doszło do jakiejś kłótni.

Lady Wittonbury musiała bardzo dramatyzować, skoro obydwaj bracia poczuli się zobligowani do rozmowy z nią.

- Zapewniam, że to była tylko drobna różnica zdań.

- Mój brat powinien przeprowadzić się z tobą do waszego własnego domu, ale nie robi tego, jeśli ja mu to podsunę. Gdybyś jednak mu powiedziała, że nie czujesz się tu dobrze, zastanowi się nad tym.

- Jeśli mówisz, że nie robi tego, to z moim zdaniem nie będzie się liczył.

- W takim razie powiem mu to sam w twoim imieniu.

- Nie rób tego. Nie chcę, żeby z mojego powodu doszło do niesnasek, a już na pewno nie między wami

dwoma. Morgan westchnął głęboko i spojrział na okładkę książki. Potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się niemiłych myśli.

- On tu mieszka tylko z mojego powodu. Ale teraz ma inne obowiązki. Powiedz mu, że wolałabyś mieć własny dom.

Siadła w fotelu naprzeciwko, tam gdzie zwykle siadała markiza.

- A co będzie z tobą? Przecież ty się również liczysz.

- Nauczyłem się godzić z wieloma rzeczami - odparł z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Przede wszystkim zaś z tym, że prawie wszystko, czego bym chciał, nie jest już możliwe.

Szczerze wyznanie wzruszyło ją.

- Czy musisz się z tym godzić? W jego oczach błysnął gniew.

- Czy mam się buntować przeciw okrucieństwu losu? Przeklinać moje kalectwo i bezużyteczność?

Blisko stąd do szaleństwa, droga siostrze.

- Nie jesteś bezużyteczny. Przemawia przez ciebie melancholia. Twój brat polega na twoich radach, pełniąc swe obowiązki. Kieruje się nimi zarówno w sprawach polityki, jak i finansów.

- Czy ona ci tak mówiła? - spytał, patrząc na nią. Był w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek podobny do brata, a w jego oczach błyszczała ponadprzeciętna inteligencja.

- Tak. Twój brat również.

- No cóż, niewiele w tym prawdy. Nie potrzeba mu moich rad. Jest znacznie przystojniejszy ode mnie,

a także dużo bystrzejszy. Ma nieodparty urok, a ja jestem niezgrabnym ponurakiem. Potrafi

lawirować

na krawędzi ryzyka, nie popełniając błędów. Nie grozi mu upadek. Nie wierzę w nieustanne opowieści matki o jego zależności ode mnie. To kłamstwo. I byłbym ci wdzięczny, gdybyś myślała tak samo jak ja. Jakże bym chciał nie udawać, choćby przed jedną osobą.

Jego uczciwość zaskoczyła ją i pochlebiło jej, że wybrał na powierniczkę właśnie ją.

Bezpretensjonalność Morgana pozwalała na odrzucenie sztywnych reguł zachowania. Czuli się tak, jakby mówiła z przyjacielem, który w zaufaniu powierza jej swój sekret.

- Z pewnością jest godny podziwu - odparła - ale nie zawsze mu się udaje uniknąć upadku. Musiał się

ze mną ożenić. Uśmiechnął się, doceniając jej żart.

- Może wymogło to niewidzialne ramię sprawiedliwości. Nie sądzę jednak, że będzie tego żałować.

Aprobata Morgana z nawiązką wynagrodziła jej upokarzające uwagi jego matki. Przynajmniej jeden człowiek w tym domu nie sądził, że Sebastian poślubił nieodpowiednią osobę. Jeszcze bardziej uradowała ją wzmianka o ramieniu sprawiedliwości. Jakby i on uważał, że jej rodzinie wyrządzono krzywdę.

- Jeśli nawet Sebastian naprawdę nie potrzebuje twoich rad, nie poproszę go, żeby się stąd wyprowadził. Nie mogę.

Ulga, jaka pojawiła się na jego twarzy, gdy usłyszał jej zapewnienie, była chyba większa, niż chciałby okazać. Wzruszyło ją to głęboko. Zapewne bardzo by mu brakowało i brata, i tych konsultacji, nawet

jeśli nie były bratu potrzebne. Chciał się poświęcić dla jej dobra, ale widziała, że był szczęśliwy, gdy mu odmówiła.

Wyciągnął rękę i poklepał ją po dłoni.

- Powiedział, że poradzisz sobie z naszą matką i że nie powinienem się martwić o twoją wygraną w tej grze. Sądzę, że się nie myli.

A więc Sebastian uważał, że ona może się przeciwstawić ich matce, jeśli będzie to konieczne. Chyba nawet nabrał o żonie dobrego zdania. Podniosło ją to na duchu bardziej, niż się spodziewała.

Dojrzała na stoliku obok szachy.

- Chciałbyś odpocząć, czy wolisz, żebym ci jeszcze przez jakiś czas dotrzymała towarzystwa? Nie sądzę, że się tu ukrywam przed lady Wittonbury, bo dziś jest zajęta innymi sprawami. Rozegramy jedną partię.

- Cieszyłbym się z twojego towarzystwa. Możesz się tu również ukryć w razie potrzeby.

- Byłoby tchórzostwem ukrywanie się przed nią. Zrobię to tylko wtedy, gdy uznam, że nic innego mi nie pozostało. Jednakże jeśli znów dojdzie do jakiejś drobnej sprzeczki, pozwól mi ci się zwierzyć.

Nie chcę być podobna do żony, która wiecznie użala się przed mężem, ale niekiedy samo opowiedzenie o strapieniu sprawia, że przestaje ono gnębić.

- Zawsze mnie tu znajdziesz.

Wezwał Fenwooda, żeby przysunął stół z szachami do jego fotela.

Sebastian przekroczył bramę Tower. Spotkanie, na którym mu od dawna zależało, doszło wreszcie do skutku.

Kiedy wieść o masakrze rozeszła się już szeroko, Komisja Zbrojeniowa zrobiła to, co robi każda rządowa instytucja, gdy ją ktoś atakuje. Wyparła się wszelkiej odpowiedzialności i zwarła szeregi.

Doskonała jakość prochu strzelniczego była sprawą najwyższej wagi we wszelkich działaniach

wojennych, a Komisja zasłaniała się swoim protokołem, zapewniając, że proch wyprodukowano prawidłowo i miał on należyłą siłę rażenia. Zdaniem jej członków obowiązywała odpowiednia procedura w procesie produkcji i przeprowadzano wystarczającą liczbę kontroli, więc tak fatalny przypadek, jak

dopuszczenie do użytku wadliwego prochu, w ogóle nie mógł się wydarzyć. A jeśli nie mógł się wydarzyć, to wcale go nie było.

Rozmowy Sebastiana z urzędnikami Komisji wprawiły go tylko we frustrację. Uznali oni, że skoro nie

znaleziono żadnych dowodów, iż przyczyną nieszczęścia był skontrolowany przez nich proch, to nie mają nic więcej do powiedzenia. Zaprzeczali relacjom cudem ocalonych z masakry żołnierzy, że działa brytyjskie nie były w stanie odpowiedzieć ogniem na ostrzał nieprzyjacielski, a także ignorowali opinię artylerzystów i podejrzenia wojskowych, że tylko zła jakość amunicji mogła to tłumaczyć.

Skoro zaś brakowało jednoznacznych dowodów, urzędnicy byli poza wszelkimi podejrzeniami. A że zakwestionowanego prochu nie dało się już zbadać, bo został rozsypany na hiszpańskim wzgórzu, nic im nie groziło.

Skądinąd nie kiwnęli palcem, by bronić Kelmsleigha, kiedy cała uwaga skupiła się na nim, bo to on jako ostatni zaaprobował jakość prochu przed wysłaniem amunicji na front.

A skoro nie bronili, uznano, że to on najprawdopodobniej przyczynił się do zaniedbania.

Zwierzchnicy Kelmsleigha nie udzielili mu wsparcia i pozwolili, by konsekwencje poniósł on, a nie oni.

Sebastian od dawna pogodził się z tym, że nie dowie się niczego od członków Komisji, i wcale nie on

zażądał tego spotkania. Poprosił o nie pan Singleton, główny magazynier i bezpośredni zwierzchnik Kelmsleigha.

Zaprowadzono Sebastiana do jednego z pomieszczeń w tej starej, średniowiecznej budowli, rzadko chyba używanego. Na stole nic nie leżało, nigdzie nie było widać żadnych rejestrów. Eskortujący go żołnierz pozostawił go tam samego i zamknął za sobą ciężkie drzwi. Sebastian pomyślał o

przetrzymywanych tu w dawnych stuleciach więźniach. Też słyszeli ten dźwięk.

Wyrzał przez niewielkie okno. Wychodziło na dziedziniec, gdzie przed wiekami ścinano toporem głowy. Wieża Tower pełniła wiele funkcji, ale najbardziej znana była właśnie z tego.

Spojrzał na zegarek. Nie odprawiłby Audrianny tak szybko, gdyby wiedział, że spotkanie się opóźni.

Stanął mu w oczach dzisiejszy ranek: zagniewana matka cała we łzach i twarz żony, kiedy weszła do jego pokoju.

Od razu zauważył, że Audrianna się boi. Na pewno obawiała się, że nakaże jej być posłuszną jego matce. Może sądziła, że na nią nakrzyczy, a nawet posunie się do rękoczynów.

O tak, w jej wzroku dostrzegł lęk przed tą ostatnią karą, co go bardzo zdenerwowało. Choć w ciągu ostatniego tygodnia tyle razy łączyli się w porywie namiętności, choć byli sobie tak bliscy fizycznie, wcale go nie znała.

Nie pojmowała też w pełni, co się dzieje, lub co się nie dzieje, między nimi. Dzisiejszy pocałunek był

pierwszym, jakim go obdarzyła z własnej woli. Nie zdawała sobie jednak z tego sprawy.

On zaś dostrzegł to od razu.

Nie mógł się skarżyć, że go traktowała niechętnie, gdy przychodził do jej sypialni. Nie protestowała, nie odmawiała mu niczego. Pozwalała na wszystko, namiętna i oddająca mu się chętnie. Zapewne też przystanie na to, w co jeszcze stopniowo ją wtajemniczy.

Jednakże zastanawiał się niekiedy, czy po jego odejściu, gdy już zaznała rozkoszy, nie wstaje czasem z łóżka i nie siada do biurka, by zapisać, jak długo u niej był i czy w tym tygodniu czas trwania jego wizyt zbliża się już do dziesięciu godzin.

Czym innym było mieć żonę, która akceptuje męża z obowiązku, a całkiem czym innym - taką, która ofiarowuje mu intymną zażyłość z własnej chęci. Zaskoczył go jej dzisiejszy uścisk oraz pocałunek i aż za bardzo ucieszył. Nadal go pamiętał.

Wolałby zostać z nią dzisiaj, a nie odchodzić. Ciekaw był, co mogłoby im przynieść następne dziesięć minut.

Albowiem, sądząc z tego, co wiedział o niej, mogła go już drugi raz nie pocałować z własnej woli przez następne pięć lat.

- Przepraszam najmocniej, ale ważne względy bezpieczeństwa nie pozwoliły mi stawić się na czas.

Chyba pan rozumie, że w naszych składach zawsze się może coś zdarzyć.

Singleton usprawiedliwiał się pospiesznie, a jego zaczerwieniona twarz świadczyła, że za nic nie chce, by Sebastian poczuł się obrażony.

Był to dobry znak.

- Ciekaw jestem, dlaczego teraz życzył pan sobie tego spotkania, panie Singleton. Starłem się o nie na próżno prawie przez rok. Singleton nie zaprzeczał.

- I za to również przepraszam, sir. Jestem, jak pan zapewne wie, pracownikiem państwowym.

Nie było jasne, czy to luźna uwaga, czy ostrzeżenie. Tak czy inaczej znaczyło to, że wykonuje rozkazy zwierzchników.

- Mam nadzieję, że markiz ma się dobrze.

- Tak, dziękuję panu.

- Proszę mu przekazać moje pozdrowienia. A pańska nowo poślubiona żona? Serdecznie życzę wszystkiego najlepszego obojgu państwu.

- Dziękuję.

Singleton przystąpił do rzeczy.

- Jeśli wolno mi mówić szczerze, a proszę mi wierzyć, że nie oznacza to braku szacunku...

- Oczywiście.

- Zważywszy pańskie zaangażowanie w pewnej sprawie, poznanie pańskich zamiarów byłoby dla nas interesujące. - Ma pan na myśli sprawę ojca mojej żony. No cóż, i ona, i ja pierwsi się zgodzimy, że los płata figle. Jego zrządzenia są nie do przewidzenia.

- O właśnie, właśnie. Nie do przewidzenia. Ciekawi nas jednak, czy podejmie pan dalsze działania w

tej sprawie.

Nie było jasne, jakiej odpowiedzi sobie życzył. To było dość dziwne, skoro Sebastianowi nie chciano

przedtem w niczym pomóc.

- Proszę mi powiedzieć, Singleton, czy pańskim zdaniem powinno się ich zaniechać? Czy sądzi pan, że to, co się powszechnie sądzi o Horatio Kelmsleighu, całkowicie wyjaśnia tę sprawę?

Singleton uśmiechnął się z przymusem.

- Utrzymujemy, że w tych murach ani w dziedzinie podległej naszej kompetencji nie wydarzyło się nic, co dawałoby mi podstawę do wysnuwania jakichkolwiek wniosków.

- A jednak czuję, że pan do jakichś doszedł.

- Prywatnie. Poufnie. Mogę powiedzieć tylko tyle, że prowadząc nadal swoje śledztwo, nie

przywróci

pan dobrego imienia ojcu pańskiej żony, gdyby nawet w imię szczęścia małżeńskiego podjął pan takie

próby.

A więc wiedzieli coś. Oczywiście, że wiedzieli. Amunicji nie wysłano bez starannego nadzoru i dokumentacji.

Sebastian pożegnał się wkrótce. Głowił się nad szczególnym charakterem poufnej informacji

Singletona, gdy schodził ze wzgórza, na którym wznosiła się Tower. Singleton sugerował, że

śledztwo

znalazło się na rozdrożu, a nie w ślepym zaułku. Oznaczało to, że Komisja Zbrojeniowa chciała uprzedzić pojawienie się jakiejś nowej informacji, która mogła wzbudzić zainteresowanie jednego z członków parlamentu.

Dwa dni później, gdy Sebastian ubierał się, szykując do wyjścia na bal, ostrożnie zapukano do drzwi od strony sypialni Audrianny. Uchyliły się ze skrzypnięciem i ukazała się w nich jej głowa.

Była już uczesana. Kasztanowe loki spływały po bokach twarzy spod skomplikowanego koka na czubku głowy. Oczy, ciemnozielone w świetle świec, szukały go.

- Czy mogę wejść? Chciałabym znać twoje zdanie.

Odłożył halsztuk i kazał lokajowi odejść. Gdy został sam, weszła do jego gotowalni.

Zaschło mu w ustach z wrażenia.

Miała na sobie czerwoną jedwabną suknię w odcieniu głębokiej purpury. Był to stonowany odcień, a krój sukni - niewyszukany.

Jednak jedwab opływał jej smukłe ciało tak wytworną linią, że wyglądała w niej jak osoba

światowa i

pewna siebie.

- Czy dokonałam złego wyboru? Zamówiłam ją, bo mi to życzliwie doradzono, i ona podoba mi się, ale po rozmowie z twoją matką zaczęłam mieć wątpliwości.

W wyobraźni widział już, jak okręca Audriannę wkoło i przechyla, a czerwony jedwab unosi się, unosi i...

- Nie podoba ci się.

- Mylisz się. Wyglądasz w niej zachwycająco. Komplement sprawił jej przyjemność, ale znów zaczęła się niepokoić.

- Czy masz pewność, że nie jest wulgarna? Obawiam się, że twoja matka byłaby tego zdania. Kolor jest modny, ale ona wolałaby mnie widzieć w bieli, zawsze w bieli. Jak dziewczynkę. A ja przecież dziewczynką nie jestem.

Nie. Nie była nią. W tej sukni wyglądała jak wcielenie kobiecości. Nie mógł oderwać od niej niecierpliwych dłoni, nawet się o to nie starał. Porwał ją w objęcia. Gładkość i ciepło jej ciała podniecały go coraz bardziej. Sprawdził, o której godzinie rozpoczyna się bal, i zastanowił się, jak długo może potrwać. Czy koniecznie muszą na niego pójść?

- To ładnie z twojej strony, że liczysz się ze zdaniem mojej matki. Aleja stanowczo sobie życzę, żebyś nosiła tę suknię. Czy to wystarczy, żeby cię upewnić, że twój wybór jest dobry?

- Przywracasz mi wiarę w siebie. Nie dbam, co sobie myślą inni, ale cieszę się, że suknia ci się spodobała. To mój pierwszy bal w kręgach socjety i wiem, że ludzie będą osądzać, czy jestem odpowiednią dla ciebie żoną. Odstąpiła kilka kroków od niego i spojrzała na purpurową tkaninę.

- Mówił, że ci się spodoba, ale chciałam się upewnić.

- Kto mówił?

- Twój brat - odparła i wyszła.

Ogarnęło go dziwne uczucie. Odeszła, nim zdołał je opanować.

Nie było to uczucie nowe ani mu nieznane. Ale dlaczego pojawiło się teraz?

Zazdrość. Właśnie ją poczuł. Zazdrość, że zwierzyła się ze swojego zmartwienia Morganowi wcześniej niż jemu.

Na widok tej sukni lady Wittonbury zareagowała dramatycznym wręcz powstrzymaniem się przed wyrażeniem swojej opinii, ale Audrianna nie dała się zastraszyć. Sebastianowi bardzo się to spodobało. Właśnie o to chodziło.

Bal wywarł na niej ogromne wrażenie. Jedwabie, migotliwy blask świateł, śmiechy, muzyka olśniły ją.

Markiza i Sebastian przedstawili ją tyłu damom, że z każdą z nich zdołała zamienić zaledwie parę słów. Woląca zresztą raczej podziwiać suknie i przybrania kobiecych głów, i doszła do wniosku, że jej suknia wygląda stosownie.

Sebastian zatańczył z nią dwa razy, ale potem lord Hawkeswell wciągnął go do rozmowy.

Rozglądała

się w poszukiwaniu jakiejś innej znajomej twarzy. Nagle ujrzała przed sobą tę, której najmniej by się tu spodziewała.

Roger zamarł w bezruchu w tym samym momencie, co ona. Stali naprzeciw siebie niczym dwie porcelanowe figurynki.

Ani trochę się nie zmienił, a jednak wyglądał jakoś inaczej. Rozstanie pozwoliło jej ujrzeć go wyraźniej, podobnie jak wtedy, gdy powrócił z wojny.

Choć był jej miłością, teraz nie mogła przemóc w sobie uczucia obcości. Obserwowała go, oczekując,

że cierpienie i bolesny zawód, jakie sprawił jej swoim nieoczekiwanym odejściem, znów powrócą.

Ożyły na nowo niektóre wspomnienia, teraz jednak zabarwione żalem i niechęcią do tego człowieka.

- Audrianno...

Błękitne oczy Rogera spojrzały na nią ciepło. Niegdyś traciła oddech, gdy tak na nią patrzył.

- Ślicznie wyglądasz. Jesteś teraz jeszcze ładniejsza.

On również prezentował się dobrze, ale mundur zdobi każdego mężczyznę. Z satysfakcją by stwierdziła, że jego złocistobrązowe włosy się przerzedziły, ale nadal miał gęstą czuprynę.

- Od dawna jesteś w Londynie, Rogerze? Czy tylko przejazdem?

- Mój pułk przeniesiono w styczniu do Brighton, pozwoliłem sobie więc na krótki urlop.

Na wzmiankę o Brighton twarz zaczęła ją palić. Jeśli tam teraz przebywa, to pewnie zna każdy szczegół skandalu. Może sobie nawet gratuluje, że w samą porę ją rzucił.

- Jak się miewa twoja matka? - spytał.

- Doskonale. Powinieneś ją odwiedzić. Nasza sytuacja bardzo się zmieniła, jak zapewne wiesz. Nie gniewa się już na ciebie. Będzie jej miło widzieć cię znowu.

Uśmiech Rogera przygasł, kiedy wspomniała o gniewie. Podszedł do niej bliżej.

- A ty, Audrianno? Czy ta nowa sytuacja złagodziła twój gniew? Mam nadzieję, że tak, i że zostaniemy przyjaciółmi.

Po co? - cisnęło się jej na usta pytanie, tylko że i tak знаła odpowiedź. Nie była już narzeczoną, której ojciec zaprzepaścił oficerską karierę i podejrzewany był o najgorsze. Teraz znajomość z nią dawała

szansę nawiązania cennych znajomości.

Rozżalona, zrozumiała, że Rogerowi od samego początku nie chodziło wcale o nią. Jego zaloty i oświadczyzny nie miały nic wspólnego z miłością. Zapewne biura Komisji Zbrojeniowej uznał za odpowiednie miejsce do zrobienia kariery po zakończeniu wojny, i chciał się tam dostać za pośrednictwem jej ojca.

Nagle znalazł się przy niej. Nie za blisko, ale dość blisko. Zaczął mówić szybko, stłumionym głosem:

- Proszę, powiedz, że pozostaniesz ze mną w przyjaźni. Wyglądasz dzisiejszego wieczoru tak pięknie, że mnie olśniłaś. Jestem ogromnie nieszczęśliwy, odkąd zerwałaś nasze zaręczyny.

Zdumiało ją jego zuchwalstwo. Rozejrzała się wkoło, czy nikt ich nie podsłuchuje.

- Nic nie poradzę, żeś taki nieszczęśliwy. Zresztą bardzo w to wątpię. No i nie zapominaj, skoro już mowa o zaręczynach, że to tyje zerwałeś. W wyjątkowo okrutny sposób.

Pamiętała ten dzień. Czekwała na jego powrót z wojny, stęskniona i szczęśliwa, że on żyje. Gdy wrócił, wykręcał się od spotkania. Kiedy zaś wreszcie przyszedł, był oficjalny, sztywny i niemiły.

Wyliczył

po kolei, w punktach, jak infamia jej ojca może mu zaszkodzić. Zniecierpliwiał się, kiedy wybuchała płaczem.

- Tak, i nie mam prawa oczekiwać teraz od ciebie niczego poza okrucieństwem. Nie miałem jednak wyboru. Myślę, że o tym wiesz.

- Wiem. Zrozumiałam wtedy, że nie jesteś, jak wierzyłam, lepszy niż inni. To była dziecinna wiara.

Nie potrafiła zniechęcić go za to, co uczynił tego dnia, choć usilnie się starała. Przez następne tygodnie opłakiwała stracone złudzenia i beznadziejną przyszłość, ale go rozumiała.

Zwiesił głowę i powiedział cicho:

- Nigdy nie przestałem cię kochać, Audrianno, ani też żałować mojego tchórzostwa. Ubolewam nad nim, zwłaszcza odkąd cię tu dziś ujrzałem, wyglądającą tak...

Zaśmiał się do siebie i potrząsnął lekko głową, jakby chciał odzyskać jasność myśli.

- Niestety, nic nie mogę na to poradzić, ale jeśli prosisz tylko o moją przyjaźń, nie odmawiam ci jej, ani teraz, ani w przyszłości, jeśli się jeszcze kiedyś zobaczymy - odparła. A jeśli zechcesz się na nią powołać, licząc na to, że ci w czymś pomoże, nie zaprzeczę, spytana o ciebie.

Odeszła, by szybko wtopić się w jak najgęstszy tłum. Miała nadzieję, że nie dała po sobie poznać, jakim niesmakiem przejęło ją to, o co naprawdę Roger prosił.

Kim on u diabła jest?

Mężczyzna o złotobrzowych włosach stał o jeden krok za blisko Audrianny, zdaniem Sebastiana. A ona nie wyglądała na kobietę rozmawiającą z nieznajomym.

- Słyszałeś, co mówiłem, Summerhays?

- Oczywiście. Mówiłeś, że Thompsonowie wynajęli agenta.

Z tej odległości nie mógł dobrze widzieć, ale wydawało mu się, że Audrianna oblała się rumieńcem.

- Przed pięcioma minutami. A teraz mówiłem, że ten agent wypytuje się o mnie! Thompsonowie ani myślą kryć się ze swoimi podejrzeniami, tak że niemal już postanowiłem wnieść skargę o zniesławienie.

Przykuło to, przynajmniej częściowo, uwagę Sebastiana. Wciąż jednak śledził rozmowę w sali balowej. Jeśli ten mężczyzna się zaraz nie cofnie, to on do nich podejdzie i...

I co? Czuł, że chwyta go gniew. A także zazdrość. Nieusprawiedliwiona i nieoczekiwana. Tylko że teraz jej powodem nie był kaleki brat, któremu mógł ufać, ale przystojny nieznajomy o błękitnych oczach, któremu zanadto spodobała się czerwona suknia. Instynkt, wyostrzony w tych kwestiach przez doświadczenie, mówił mu, że ten typ szuka sposobności do uwodzenia jej.

- Spodziewam się, że oni chcą kolejnego śledztwa - perorował Hawkeswell. - Nie bawi mnie, że ktoś

mnie się czepia i oskarża o zrobienie jej krzywdy.

- Mogą co najwyżej chcieć, żeby ją uznano za zmarłą.

- Nie można tego zrobić przed upływem siedmiu lat. Każdy o tym wie.

- Wciąż pojawiają się nowe dowody, co pozwoli na wcześniejsze ustalenie. W zeszłym roku szal, teraz

torebka. Jeśli agent znajdzie jeszcze coś, cała sprawa się zakończy.

- Jeśli tylko nie spróbuje mnie oskarżyć, będę szczęśliwy.

- Nie może cię o nic oskarżać, a więc próżne jego starania. Nie przejmuj się nim.

Audrianna coś powiedziała. Wyglądała takjak wtedy, gdy odrzucała jego pierwsze oświadczenia.

„No,

właśnie. Pokaż temu przekłętemu zuchwalcowi, gdzie jego miejsce”.

- Co cię, u diabła, tak rozprasza? - Hawkeswell spojrzał w stronę, w którą kilkakrotnie kierował wzrok Sebastian. - Nowa konkietka? Tak szybko? Ledwie wysechł atrament na świadectwie ślubu?

- Ten typ tam w głębi sali zaleca się do mojej żony. Hawkeswell spojrzał uważniej.

- Trudno się zorientować z tej odległości.

- Ja się dobrze orientuję.

- Masz w tym doświadczenie, co?

- Nigdy nie uwodziłem kobiety, która zaledwie od tygodnia jest mężatką.

Hawkeswell wybuchnął śmiechem.

- Ach, te twoje zasady! A on je narusza, sądząc z twego zgorszonego tonu. Czy naprawdę cię to obchodzi, czy też jesteś tylko jednym z tych nudnych, zaborczych małpisonów zazdrosnych o każdą swoją własność.

Czy go to obchodziło? Czy też była to tylko zaborczość względem nowego nabytku? Te pytania nie dawały mu spokoju.

Hawkeswell obszedł go wokół i celowo zasłonił mu widok na Audriannę.

- Jeśli kiedykolwiek zawarto jakieś małżeństwo z obowiązku, zrobiłeś to ty, Summerhays. Przez wzgląd na nią i na siebie. Wiesz przecież, że wcześniej czy później zechcecie sobie oboje wziąć kochanków. Idę o zakład, iż wcześniej zrobisz to ty, ona dużo później. Tak zazwyczaj bywa.

- Nie zawsze.

- Prawda, nie zawsze. Czasami żona dochowuje wierności i gorzknieje. No dobrze, podejdź tam i daj mu po pysku, niech ona wie, co o tym myślisz.

Nie okazało się to konieczne. Znow ją widział. Szła na ukos sali balowej. Sama.

- Czasami jesteś nie do zniesienia, Hawkeswell, draniu.

- Tylko wtedy, gdy robisz z siebie osła, Summerhays.

Audrianna oceniała w myślach bal, gdy Nellie rozpiniała jej suknię. Uznała, że wszystko poszło dobrze. W tak wielkim tłumie ona była osobą bez znaczenia, co stało się rodzajem ochrony.

Przedstawiono ją jednak wielu znakomitościom i posłano jej nawet kilka uprzejmych uśmiechów.

Może po paru miesiącach przestanie się czuć jak intruz wśród tych ludzi, choć nie wierzyła, że kiedykolwiek przyjmą ją do swego grona.

Chciała już zsunąć suknię z ramion i zdjąć ją z siebie, gdy usłyszała:

- Jeszcze nie teraz.

Zaskoczona, spojrzała przez ramię. Nellie już nie było. Sebastian stał w drzwiach wiodących do jej sypialni, oparty o framugę, z rękami założonymi na piersi. Zdjął już frak i halsztuk. Blask świecy podkreślał biel jego koszuli i czerń oczu w nią wpatrzonych.

Skoro nie chciał, by zdjęła suknię, to jej nie zdejmie. Nie mogła teraz zrobić nic innego, stała więc bez ruchu, a czerwony jedwab odsłaniał jej plecy.

- Wyglądałaś wspaniale w tym stroju. Wszyscy tak uważają.

- Nie sądzę, żeby w tym ścisku wiele osób zwróciło na mnie uwagę.

- Aleja to zrobiłem. Nie mogłem oderwać od ciebie oczu. Ciekawa była, czyją widział, gdy Roger narzucał się jej ze swymi

względami. Ta myśl tak ją wzburzyła, że zaczęła odpinać zameczek złotego naszyjnika, by ukryć zmieszanie.

- Myślę, że złoto do niej pasuje. Szmaragdy nie, choć bardzo chciałam je założyć.

Podszedł, żeby jej pomóc. Poczła ciepło na plecach i naszyjnik znalazł się w jej dłoni. Zrobiła krok

w kierunku toaletki, ale jego ramię objęło ją i odciągnęło w tył. Gorący pocałunek w szyję sprawił, że wstrzymała oddech.

Niespiesznie pieścił jej piersi osłonięte jedwabiem, a błogość rozlewała się w całym jej ciele szybkimi, pulsującymi falami. Naszyjnik wyslizgnął się jej z palców i upadł na podłogę.

Ręce jego przesuwały się po całym jej ciele, spowitym w jedwab. Mocno, zdecydowanie głaskały brzuch, biodra, uda, a jego stwardniałe ciało przywarło do jej pleców. Fale rozkoszy wznosiły się coraz wyżej. Omdlewała. Gdy drażnił w pieszczocie jej sutki, wygięła się w łuk i oparła o niego, by nie upaść, a jej ciało błagało o tę słodką torturę.

Pocałunki były jak ukąszenia, gorączkowe, bezwzględne i niecierpliwe. Parzyły jej szyję i ramiona, a ona odwróciła ku niemu twarz, pragnąc, by ich było więcej.

A potem uniósł ją w ramionach, w półprzytomną, i skierował się w stronę łóżka. Ale wcale nie chciał,

by się położyła. Chciał, by stała przy łóżku, choć ledwo się trzymała na nogach. Zachwiała się.

Wciąż obejmował ją ramieniem, podtrzymując, by nie upadła. Drugą ręką sięgnął po poduszki i ułożył

z nich stos przed nią na łóżku.

Uniósł ją lekko.

- Uklęknij tutaj.

Nie rozumiała, po co, ale go usłuchała. Wtedy przechylił ją do przodu, a ona opadła, klęcząc, na łóżko, z poduszkami podłożonymi pod biodra. I teraz już rozumiała, czemu zażądał, by znalazła się w takiej właśnie pozycji. Jej zdumienie nie miało granic. W głębi jej-ciała, gdzieś w dole, skręcała się sprężyna przeczucia tego, co nastąpi.

Jedwab powoli, w zmysłowej pieszczocie, sunął w górę jej nóg, i jeszcze wyżej, aż jego blada czerwień spiętrzyła się wokół jej talu, a potem pokryła fałdami łóżko. Ściągnął jej pantalonki poniżej kolan.

Najpierw dotknięcie. A potem jedno pewne, głębokie pchnięcie. Nie mogła powstrzymać jęku.

Zostawił ją tak, odsłoniętą i wyczekującą. Drżała ze zniecierpliwienia. Pożądanie, które ją ogarnęło, nie było w niczym podobne do

tego, czego doświadczyła dotąd. Obejrzała się i ujrzała spadającą na podłogę jego koszulę, a potem poczuła na sobie jego nagie ciało.

Brał ją brutalnie, a ona pragnęła, by czynił to jeszcze bardziej bezwzględnie. Wniknął tam, gdzie jeszcze nigdy niczego nie odczuwała. Gwałtowne pchnięcia wznieciły w niej nową żądzę, która rozpalala się coraz potężniejszym płomieniem, wraz z narastającą rozkoszą. Pragnęła tego, pragnęła jego i gniewnego nienasycenia, któremu mógł położyć kres tylko brak wszelkich hamulców. Było to coś szaleńczego, dzikiego i tak purpurowego, jak jedwab, który falował pomiędzy nimi.

Doznania stawały się coraz ostrzejsze. Straciła nad sobą wszelką kontrolę, szalała z pożądania.

Krzycząc, żądając wciąż więcej i więcej, poszybowała ku nieziemskiemu zenitowi intensywności, który przerodził się w przeciągły krzyk cudownego zaspokożenia.

Ściągnął suknię z jej bezwładnego, nasyconego ciała i odrzucił ją na bok. Chyba całkiem się zniszczyła. Nieważne.

Sięgnął po jedną z poduszek i ułożył ją w wezglowiu łóżka, a później padł na nie obok Audrianny.

Nie zasnął jednak. Zaspokożenie było tak pełne i zbyt doskonałe, by teraz poddać się senności.

Jakby wiedziona instynktem wyciągnęła ku niemu ręce. Objął ją ramieniem i przytulił.

Błogość niebiańska, ale ulotna. Audrianna zaczęła przyciągać wzrok mężczyzn. Znów zaczął w myślach porządkować wydarzenia tej nocy. Nie odstępowało go wspomnienie jej pośladków, obnażo-

nych i uniesionych, otoczonych spiętrzoną warstwą czerwonego jedwabiu, i podwiązek na rozchylonych zachęcająco udach, kiedy czekała na niego.

Nawiedzały go obrazy zapamiętane z balu, zwłaszcza jeden. Dwie godziny wcześniej o nic by jej nie pytał, dwie godziny później też nie, ale dziki erotyzm miłosnego aktu odmienił teraz wszystko, choć tylko na krótko.

- Kim on był? Ten mężczyzna na balu?

Leżała zwinięta w kłębek jak kotka. Wstrzymała oddech. Niemal słyszał, jak w jej głowie zabrzmiał ostrzegawczy dzwonek, jak dobiera słowa, decyduje, czy ma kłamać. Jej czujność powiedziała mu wszystko, czego potrzebował, by zapragnąć tego człowieka zabić.

- To mój dawny dobry znajomy. Jest oficerem. Przerwała milczenie po długiej pauzie.

- Zaręczyliśmy się, nim wyruszył do Francji.

- Ale po jego powrocie już nie byliście zaręczeni? Co się stało?

- Zwolniłam go z danego słowa. Upływ czasu wiele zmienił.

- W nim czy w tobie?

- W nas obojgu. Tak się na ogół dzieje, sędzę. Związki po długiej rozłące często się rozpadają.

Rzadko tak bywa. Prawie zawsze te związki trwają, bo kobieta nie godzi się na zmiany. A więc ona kłamie. Ten łajdak złamał jej serce. Piosenka, którą skomponowała, mówiła właśnie o tym.

- Czy zwolniłaś go ze słowa niedawno?

- Ponad rok temu. Przed ostatnim Bożym Narodzeniem. Czy to niedawno?

Na tyle niedawno, by ten mężczyzna wciąż był jego rywalem.

Nie chciał jej zmuszać, by powiedziała coś więcej. Wiedział, co się stało. Ten tchórz zażądał, by to ona zerwała zaręczyny, tak żeby nie ucierpiał z powodu infamii jej ojca.

We wszystkich rzucanych przez nią oskarżeniach, nawet w oberży Pod Dwoma Szpadami, nigdy o tym nie wspomniała. Tkwiło to w niej jednak, gdy go obwiniała o nieszczęścia, jakie spadły na jej rodzinę. I nadal w niej tkwiło.

- Czy go wciąż kochasz?

Trudno mu było zadać to pytanie. Trudniej, niż przypuszczał. I czemuż to czeka na jej odpowiedź jak ktoś, kto poczuje się wystrychnięty na dudka, jeśli odpowiedź okaże się nie taka, jaką chciałby usłyszeć?

- Nigdy bym za ciebie nie wyszła, gdybym kochała tamtego. To byłoby nieuczciwe, mimo racjonalnych powodów, dla których się

pobraliśmy. Dokładnie rozważyłam wszystko w swoim sercu, nim przyjął twoje oświadczenie.

Miała prawdziwy talent do zadziwiania go. Tylko nieliczni, jeśli ofiarowuje się im luksus, bogactwo, wysoki status i zadośćuczynienie krzywdzie, przejmują się dawną miłością.

- Czy powinnam powiedzieć ci o tym przed ślubem? Gniewasz się na mnie, że tego nie zrobiłam?

- Nie było powodu. To przeszłość i nie ma znaczenia. Jednak miało znaczenie, skoro o to pytał.

Ładnie z jej strony, że

mu tego nie wytknęła.

- Tak samo mówi Daphne. Był to jeden z punktów regulaminu, który nas obowiązywał w jej domu.

Nie pytałyśmy się wzajemnie o przeszłość, bo niektóre kobiety mają powody, żeby zostawić ją za sobą.

- Twój brak ciekawości mnie zdumiewa.

- Nie powiem, żebym nie była ciekawa. No i snuje się domysły co do różnych rzeczy. Ale nigdy nie pytałam o nic.

- Ten regulamin wydaje mi się niemądry. Przecież któraś z Najrzadszych Kwiatów mogła być na przykład morderczynią.

- Mogło być i tak.

Uniosła się na łokciu i spojrzała na niego. Splątane kasztanowe włosy opadły jej na twarz i ramiona.

- Ale to nie my się zwiemy Najrzadszymi Kwiatami. To nazwa firmy.

- wszystkie jesteście rzadkimi kwiatami, a mnie się dostał najrzadszy - odparł i przyciągnął jej głowę ku sobie, by ją pocałować. -No i najpiękniejszy. A teraz się odwróć, żebym mógł zdjąć z ciebie ten gorset.

- Zawołam Nellie.

- Nie zrobisz tego.

Odwrócił ją tyłem do siebie i zaczął rozsznurowywać gorset.

- Jeszcze stąd nie odchodzę, Audrianno.

Jednym z luksusowych podarków, jakimi obsypał Audriannę mąż, był powóz. Trzy dni później kazała go przygotować do drogi i poleciła stangretowi, by ją zawiózł do Najrzadszych Kwiatów.

Wszystkie przyjaciółki znalazła w oranżerii, gdzie sortowały doniczki z liliami i hiacyntami. Przez szyby widziała budzący się do życia ogród z rzędami wschodzących roślin.

Jej przybycie nie zrobiło wielkiego zamieszania. Mogłaby teraz na przykład wracać z jednej ze swoich lekcji muzyki. Przyjęły ją tak, jakby nigdy ich nie opuściła.

- Na początku sezonu towarzyskiego mamy mnóstwo pracy -powiedziała Lizzie, chcąc usprawiedliwić Daphne, pochłoniętą pracą nad doniczkami. - Poproszono nas, byśmy w dwóch ogrodach przygotowały dekorację kwiatową, taką samą jak na twoim ślubie.

- Ludzie są bardzo mało oryginalni - stwierdziła Celia. - Pewna dama zażądała nawet dokładnie takich samych kwiatów. Daphne musiała jej wyjaśnić, że wyglądałoby głupio, gdyby żonkile i tulipany

umieścić w donicach, skoro goście podczas przyjęcia mogą je oglądać swobodnie rosnące w ogrodzie.

- Ale po dwóch ostatnich zimnych latach każdy się obawia, że kwiaty w jego ogrodzie będą małe lub nie zakwitną wcale. Trzeba dużo czasu, by i nasz ogród w pełni odżył. - Daphne poniosła wtedy duże straty. Teraz policzyła rozkwitłe lilie, jedną po drugiej, i zadowolona zdjęła fartuch. - Pan Davidson może je już przetransportować. Są gotowe. Lizzie, dopilnuj, żeby zabrał wszystkie, kiedy przyjedzie.

Wróciły do saloniku na tyłach domu. Celia wyszła, żeby zaparzyć kawy. Daphne długo i uważnie przyglądała się Audriannie.

- Wyglądasz na zadowoloną z małżeństwa. Proszę, powiedz, że tak jest.

- Owszem. I to nawet bardziej, niż się spodziewałam. Oczywiście nie obyło się bez niespodzianek.

- Z pewnością chodzi ci o to, że lady Wittonbury wtrąca się w twoje sprawy.

Audrianna wcale nie miała na myśli lady Wittonbury. Zdumiewały ją zmysłowe doznania, ich różnorodność, które zawdzięczała małżeństwu. Więcej dla niej znaczyły niż powozy czy jedwabie.

Zapominała się całkowicie w rozkoszy i nawet okoliczności zawarcia tego związku przestawały być dla niej ważne.

- Lady Wittonbury jest dość niemiła, ale na szczęście nie tak bardzo, jak by mogła, a markiz stał się moim dobrym przyjacielem.

W istocie był najlepszym, a nawet jedynym. W porównaniu z nim Sebastian wydawał się jej wciąż trochę obcy. Nie mówiła z nim tak szczerze, jak z markizem. Nie wyzbyła się nieufności. Sebastian fascynował ją, ale też się go nieco lękała, a to, co robił w nocy, tylko potęgowało lęk.

- Czy ona chce cię sobie podporządkować?

- Oczywiście. Nie przyjechałam tu jednak, żeby się wypląkiwać na twoim ramieniu lub opowiadać o afrontach czynionych mi przez lady Wittonbury. Chcę spędzić trochę czasu z przyjaciółkami i przeczytać gazety i te wszystkie plotkarskie pisemka Lizzie.

Celia weszła, niosąc kawę na tacy.

- Przynies je, Lizzie! Ona ma ich już cały stos, bo często bywamy teraz w Londynie. Dzięki twemu ślubowi, Audrianno, ciągle otrzymujemy od osób z wyższych sfer nowe zamówienia. A Lizzie nawet bóle głowy nie przeszkadzają w lekturze tych wszystkich nowinek.

Lizzie poszła do gabinetu i wróciła z grubym plikiem gazet.

- Lubię wiedzieć, co się dzieje w wielkim świecie. Nie rozumiem, czemu tak ciebie to drażni, Celio.

- Celia się o ciebie martwi, i tyle - pospieszyła z odpowiedzią Audrianna. - Cieszę się, że dziś nic ci nie dokucza, Lizzie. Obawiałam się, że będziesz się źle czuła i cię nie zobaczę.

- Te bóle głowy nadchodzą nagle i bez powodu, prawda, Lizzie? - stwierdziła Daphne. - Myślę, że przyczyną są zmiany pogody.

Piły kawę i rozmawiały o zwykłych sprawach. Audrianna delectowała się tą swobodną,

nieskrępowaną pogawędką. Tu nie obowiązywała etykieta, żaden zegar nie odmierzał czasu porannej wizyty. Nie musiała się też pilnować, by nie roześmiać się zbyt głośno lub nie w porę.

Patrzyła na przyjaciółki i przypomniały się jej słowa Sebastiana: „twój brak ciekawości mnie zdumiewa”. Ona również na początku uważała, że regulamin jest niemądry, bo zawsze interesowała się swoim otoczeniem. Szybko jednak dowiedziała się o tych kobietach wszystkiego, co chciała wiedzieć, a ich przeszłość nic jej nie obchodziła.

A jednak, gdy tak gawędziły, uświadomiła sobie, jak mało o nich w istocie wie. O Lizzie i Celii w gruncie rzeczy nic. A z Daphne, która była przecież jej kuzynką, nie widziała się przez długie lata.

Przyszło jej na myśl, że jest jedyną osobą w tym domu, której życie pozostałe mieszkanki znają od podszewki.

Celia wzięła do ręki jedną z gazet Lizzie.

- Czego ty w nich szukasz? Po co ci one?

- Spodziewałam się, że Lizzie sporo ich uzbierała. Ja, w mojej nowej sytuacji, nie mam okazji do przeglądania tych gazet. Byłoby dziwne, gdybym kazała służbie kupować ich aż tyle każdego dnia.

Chcę sprawdzić, czy Domino znów zamieścił w nich ogłoszenie. Zrobił tak już dwa razy i myślę, że zamieści znowu.

- Nie przypominam sobie, żebym trafiła na jakiś anons podpisany przez Domino, a ostatnie ogłoszenie

było bardzo aluzyjne - powiedziała Lizzie. - Przejrzemy je razem z tobą, żebyś miała jeszcze czas na porozmawianie z nami.

Zebrała gazety i podała je Daphne.

Pół godziny później przestały je przeglądać. Niczego nie znalazły. Było kilka ogłoszeń niejednoznacznej treści, ale nic nie wskazywało, by ich autorem był Domino.

- Czemu ty nie zamieścisz własnego ogłoszenia? - podsunęła jej myśl Lizzie.

- Próbowałam je kiedyś ułożyć, ale nie potrafiłam tak dobrać słów, by tylko Domino się domyślił, że to ja jestem autorką.

- Ona nie może ryzykować, że lord Sebastian je zobaczy - powiedziała Daphne. - Mądry człowiek nie rozjątrza rany.

Audrianna uznała tę metaforę za wyjątkowo trafną. Ujmowała w skrócie charakter jej małżeństwa.

Pożądanie i rozkosz były balsamem na tę ranę, ale jej nie mogły uleczyć. Każdego dnia rozjątrzały ją niewyraźne aluzje do ojca, samo małżeństwo zawarte z konieczności, pewność, że Sebastian, gdyby chciał, mógłby dowieść prawdy.

Jak by wyglądało jej małżeństwo, gdyby owa rana nie istniała? Było to beznadziejnie romantyczne pytanie. Przecież do małżeństwa wcale by wtedy nie doszło.

- Nie mogę aranżować serii spotkań, na które nikt poza mną by nie przyszedł - powiedziała. - Nie mam teraz całkowitej swobody.

- W takim razie niech on przyjdzie do ciebie - uznała Celia. - Napisz, że szukasz kontaktu, i wskaż jako adresata jakiś sklep, a wtedy odpowiedź nie nadejdzie razem z twoją pocztą. Często tak na przykład

robią zakochani. Wydawcy i księgarze nieraz oferują te usługi, podobnie jak niektóre oberże i doradcy prawni. - Wiesz, to niezły pomysł.

Skąd Celia wie takie rzeczy, pomyślała Audrianna, ale nie pytała jej o to. Nie była już wprawdzie jedną z nich i nie musiała stosować się do regulaminu, ale wypytywanie teraz przyjaciółki byłoby podważaniem go.

Czy potrafi napisać takie ogłoszenie, które nie zwróci uwagi Sebastiana, ale zrozumie je Domino?

Musiałoby być bardzo zręcznie sformułowane.

- Mogłabyś także dyskretnie poinformować, kogo trzeba, w miejscach, gdzie przebywają

cudzoziemcy, że go poszukujesz - podsunęła jej Lizzie. - Zapłać tam jakiemuś pracownikowi za to, że się za nim

będzie rozglądał, a on powie Domino, gdyby się tam pojawił, żeby do ciebie napisał.

- Lepsze to niż śledzenie go samemu - rzekła Celia z porozumiewawczym uśmiechem, robiąc aluzję do ich wystawiania przed Hotelem Millera.

- Nie mam wielkiej nadziei, ale może się uda - uznała Daphne. - Daj jego opis opłaconej przez ciebie osobie, a jeśli ktoś do niego podobny się pojawi, twój wspólnik go spyta, czy jest Dominem. Jeśli nie jest, pytanie go zdziwi, ale prędko o nim zapomni. Jeśli zaś nim jest, twój wspólnik mu powie, jak

mógłby się z tobą skontaktować.

- Gdzie mam znaleźć takich wspólników? W niektórych hotelach? - Tu Celia znów posłała jej znaczący uśmiech. - Na Giełdzie Królewskiej?

- W miejscach rozrywki - podsunęła jej Lizzie. - W teatrach i tak dalej. A także w księgarniach sprzedających obcojęzyczne książki. - Lizzie potarła dłonią podbródek. - Gdzie jeszcze mężczyźni spędzają czas poza domem?

- W burdelach.

Rzeczowe stwierdzenie Celi sprawiło, że wszystkie zamilkły.

- Chociaż bez wątplenia to sugestia użyteczna - uznała Daphne - Audriannie raczej trudno byłoby tam osobiście wynająć wspólnika.

Celia wzruszyła ramionami.

- Co za pech. Prawdopodobnie Domino bywa w takich miejscach dość często, a tam cały personel jest

do wynajęcia. Przyjechał pan Davidson i Audrianna z radością pomogła przyjaciółkom zanieść

doniczki do jego wozu, którym miał przewieźć towar do londyńskich sklepów, stałych odbiorców Najrzadszych Kwiatów. Tak bardzo lubiła wspólnie z nimi wykonywaną pracę.

W nostalgicznym nastroju opuściła Najrzadsze Kwiaty. W powrotnej drodze do Londynu ułożyła ogłoszenie.

- Lady Ophelia wynajęła Najrzadsze Kwiaty do udekorowania przyjęcia ogrodowego, które urządziła.

Muszę przyznać, że przeistoczyły

nieciekawy ogród w bajeczne zjawisko. Dzięki ich staraniom nikt nawet nie zauważył, jak niegustownie jest tam przystrzyżony bukszpan.

Audrianna nie wiedziała, czy przyjąć tę pochwałę w imieniu Najrzadszych Kwiatów. Lady Ferris uparcie rozprawiała o Najrzadszych Kwiatach mimo wysiłków lady Wittonbury, by skierować rozmowę na inne tory

Obie składały właśnie wizytę lady Ferris; lady Wittonbury uznała bowiem, że ta wizyta będzie kolejnym ważnym krokiem na drodze do pełnej akceptacji Audrianny przez socjętę.

Dzięki starannie obmyślanej taktyce, teściowa była coraz bliższa celu, czyli zapewnienia Audriannie karty wstępu do Almacka, miejsca spotkań pań z towarzystwa, nie prosząc o to bezpośrednio dam patronujących tej instytucji, mających wielkie wpływy w wyższych sferach. To by uwłaczało jej godności.

Jak domyślała się Audrianna, lady Ferris była zaprzyjaźniona z jedną z tych dam, lady Jersey, i jedno jej słówko było więcej warte niż wizyty składane znaczącym osobom.

- Byłam tam, kiedy przyjechała pani Joyes, żeby udekorować ogród - mówiła z ożywieniem lady Ferris. - To elegancka, śliczna kobieta.

- Wszystkich, którzy znają moją kuzynkę, ujmuje jej wdzięk, czemu dają wyraz, ale sądzę, że pani uprzejme słowa bardzo by jej pochlebiły.

- Słyszałam, że kilka lat temu pracowała jako guwernantka. Wielka szkoda, że okoliczności zmusiły ją do zajęcia się handlem. Była z nią młoda dziewczyna, bardzo ładna blondyneczka. Wyglądała mi na

osóbkę z temperamentem, choć posłusznie wykonywała polecenia pani Joyes.

- Pewnie to była Celia.

Lady Wittonbury nachyliła się tak mocno, że niemal rozdzieliła obydwie swoim ciałem.

- Czy wyda pani przyjęcie ogrodowe na początku sezonu, lady Ferris? O zeszłorocznym rozprawiano z podziwem tygodniami.

- Tak. W połowie kwietnia. Ja również zamierzam zaangażować Najrzadsze Kwiaty - odparła lady Ferris. - Rozpoznałam ją. Tę młodszą. Celię.

Audrianna nie wiedziała, co odpowiedzieć. Lady Wittonbury również. Obydwie zamilkły, a lady

Ferris z satysfakcją obserwowała niepokój widoczny w oczach lady Wittonbury.

- Widziałam ją raz w powozie. Rok temu, może dwa. Byłam z lady Jersey w parku i przejechał obok nas pewien powóz. Każdy go zna. Należy - proszę mi wybaczyć, moja droga, jeśli to panią zaszokuje

- do kobiety, o której wszyscy wiedzą, że jest utrzymanką wysoko urodzonych.

- Jestem pewna, że się pani myli - powiedziała Audrianna. - Kilka lat to zbyt długi okres, żeby pamiętać twarz ujrzaną przelotnie w powozie.

- To był otwarty powóz, jaki szczególnie lubią te niewiasty, a twarzy dziewczyny nie dało się zapomnieć. Spytałam lady Jersey, kto to jest, bo ta młoda piękność zrobiła na mnie wielkie wrażenie.

- To jej córka - odparła - wraca z prowincji, teraz, kiedy już dorosła. Tam się wychowywała.

Nawet lady Wittonbury, zwykle opanowana, nie mogła ukryć konsternacji. Nadal siedziała

wyprostowana jak struna i z uprzejmym wyrazem twarzy, ale w jej oczach można było dostrzec lekki popłoch.

- Skoro osoba towarzysząca pani Joyes nie mieszka w Londynie, tylko na wsi pod Londynem, chyba się pani myli - uznała w końcu.

- Być może - i lady Ferris uśmiechnęła się z nietajoną satysfakcją.

Lady Wittonbury spiorunowała ją wzrokiem i zręcznie postarała się zakończyć tę wizytę.

Dopiero w powozie straciła panowanie nad sobą.

- To nie do wytrzymania! Żebym się musiała wpraszać do takiego zera, jak lady Ferris, w twoim interesie, a w zamian zostać przez nią upokorzona...

Spojrzała z wściekłością na Audriannę.

- Zerwiesz z nimi wszystkimi, i to natychmiast. Powinnam była zażądać tego na samym początku.

Dużo mi przyszło z mojej powściągliwości! Och, Boże, a jeśli wszyscy się dowiedzą, że ty z nimi

mieszkałaś? - spytała ze zgrozą w oczach.

- Lady Ferris się myli.

Tylko że Audrianna wcale tak nie sądziła. Nic nie wiedziała o życiu Celi, zanim zamieszkała ona u Daphne. Prawdę mówiąc, przekonanie, że Celia jest córką kurtyzany, miało podstawy.

Była obyta z wielkim światem, z ogromną pewnością siebie zarzucała socjecie, że nie stosuje się prywatnie do reguł przestrzeganych publicznie. A gdy udawała się do Londynu, nieraz zniknęła gdzieś sama na jakiś czas, zostawiając koleżanki. Czyżby odwiedzała matkę?

- Zerwiesz z nimi. Musisz to zrobić. Nie sądz, że mój syn weźmie tym razem twoją stronę. Bywał

nieraz u takich kobiet, ale nigdy by się z nimi publicznie nie pokazywał, i nie pozwoliłby, żeby jego żona z nimi przestawała.

- Przecież lady Ferris nie mówiła, że Celia jest kurtyzaną.

- O Boże! Córka ladacznicy - tak, ladacznicy! Czemużby wracała z prowincji i pokazywała się w parku razem z matką, jak nie po to, by samej prowadzić taki proceder?

Audrianna zniosła jakoś dalszy ciąg tej zacieklej reprimendy. Nic nie powiedziała, usiłując nie okazywać własnej konsternacji. Tak, właśnie to mogło być powodem nieobecności Celi na ślubie, a nie pielęgnowanie Lizzie. Celia mogła się obawiać, że ktoś ją w kościele rozpozna.

Tylko że Celia nie była ladacznicą, obojętne, co o tym myślała lady Wittonbury. Była oddaną, dobrą przyjaciółką. Żyła pomiędzy innymi kobietami z dala od świata, w spokoju. Celia nigdy by nie zniknęła, nie wracając na całą noc, jak to zrobiła ona. A jej pogodne, życzliwe usposobienie zawsze wносиło dobry nastrój i poprawiało Audriannie humor.

Chciała jak najprędzej wysiąść z powozu, gdy tylko stanął. Lady Wittonbury zagroziła jej jednak drogę parasolką.

- Niech się tu więcej nie pokazują! Nie jesteś przecież głupia i wiesz, że mam rację. Moim

obowiązkiem jest przygotować cię do roli, jaką kiedyś będziesz odgrywać; obyś się do niej

względnie

dobrze nadawała! Nie pozwolę ci spychać nas na dno!

Audrianna odepchnęła parasolkę i wydostała się z powozu. Wbiegła do pałacu, nim lady Wittonbury zdołała dojrzeć jej łzy.

Sebastian wszedł do izby, w której leżał chory. Nawet nie drgnęła mu powieka, gdy zobaczył, jak ten człowiek wygląda. Widział już takich ludzi.

Eksplozja, choć nie uśmierciła Harry'ego Andersona, okaleczyła go straszliwie. Nie miał nogi i połowy ręki, a włosy na oskalpowanej głowie nigdy mu już nie odrosną. Nie skończył jeszcze dwudziestu lat, kiedy wojna tak się z nim okrutnie obeszła.

Sebastian pomyślał na jego widok o Morganie. Ten młody człowiek będzie u swojej siostry pędził w odosobnieniu i samotności równie godne litości życie jak jego brat. Owszem, mógł się z trudem poruszać, ale los jego i markiza Wittonbury niewiele się różnił.

Anderson przywitał się z nim z obojętnym wyrazem twarzy, który Sebastian dobrze znał. Był typowy dla inwalidów. Z czasem godzili się jednak ze swoim stanem, bo cóż im innego pozostało.

- Jestem panu bardzo zobowiązany za to, że zechciał się ze mną zobaczyć - zwrócił się do niego Sebastian. - Mówiono mi wcześniej, że nie chce pan o tym z nikim rozmawiać.

- Zgodziłem się, bo pan Proctor powiedział, że robi to pan w imieniu brata. Lord Wittonbury wie coś niecoś o tych sprawach. Nie mogłem mu odmówić.

- Będzie panu za to wdzięczny, zapewniam.

Anderson poruszył kikutek ramienia. Pusty koniec rękawa opadł na posłanie.

- Uratowało mnie to. I drugą nogę też. Akurat się odwracałem, kiedy mi przywalili tam, a nie we flaki.

Odrzuciło mnie i pewnie dlatego ocalałem. Rzecz jasna, celowali w działa. Nie wiedzieli, że są do niczego.

- Prócz pana nikt z artylerzystów nie przeżył, sądzę więc, że ma pan rację. Uratował pana ten podmuch.

- Szczęściarz ze mnie.

Sebastian pominął milczeniem ten gorzki sarkazm. Anderson miał do niego prawo.

- Jak to było z tymi działami, które okazały się do niczego?

- Mało wiem. Nabiliśmy je, jak zawsze, i podpaliliśmy lonty. I nic z tego nie wyszło. Całkiem jakby miały w sobie piach, a nie proch. To nie były wcale niewypały, tylko trochę dymu. - Wzruszył

ramionami. - No więc przeczyściliśmy je i nabiliśmy od nowa, a proch wzięliśmy z innych baryłek; sprawdziliśmy, czy jest należycie suchy, i to wszystko pod ostrzałem. I znowu nic. Wiedzieliśmy już wtedy, że zrobią z nas bigos. Ich działa rozerwały nas na sztuki, nim oficerowie odtrąbili, jak słyszałem, odwrót. Byłem wtedy półżywy.

Niedobitki tych rozerwanych na sztuki wróciły do domów. Żeby dać świadectwo druzgocącej klęski.

- Czy mógłby pan spisać, co zapamiętał, i poświadczyć to oficjalnie?

- Tak się składa, że ja już więcej nic nie napiszę, sir.

- Przysłałbym tu pisarczyka, on by spisał pańskie słowa i poręczył za prawdziwość podpisu.

Anderson zastanawiał się.

- Kiedy byłem w tym francuskim klasztorze, przyszedł tam jeden oficer. Powiedział mi, że wojna skończona i że nic dobrego mi nie przyjdzie z tego, jak będę wszystkim naokoło gadał, co się stało. I jeszcze żeby pozwolić zmarłym spoczywać w spokoju.

- Sądzi pan, że miał słuszość? Jeśli tak, to niczego nie będę od pana żądał.

Anderson przez dłuższą chwilę bez słowa się zastanawiał.

- Zdaje mi się, że ten ktoś, co się pomylił, zabił tamtych tak samo dobrze, jak by to zrobił

nieprzyjacielski ogień. Nie byłoby sprawiedliwe, żeby nikogo nie ukarano, choć słyszałem, że jeden się ponoć powiesił. No i ciągle sobie myślę: co będzie, jak się ktoś znowu pomyli?

- Myśli pan podobnie, jak mój brat i ja.

- Ano, podpiszę ten papier, skoro pan mówi, że to może pomóc. Niech pan przyśle tego pisarczyka.

Sebastian podziękował mu.

- Mam jeszcze jedną prośbę, jeśli pan pozwoli. Niech mi pan opisz te baryłki i przypomni sobie wszystkie szczegóły, co tylko się da, a zwłaszcza jak każda była oznakowana.

Sebastian po powrocie na Park Lane poszedł od razu do apartamentów brata. Wreszcie uzyskał informację, która mogła usunąć barierę, uniemożliwiającą rozwiązanie sprawy feralnej amunicji.

Chciał się jak najprędzej podzielić tą wiadomością z bratem i rozważyć, co należy zrobić dalej.

W przedpokoju nie było Fenwooda. Jakies dźwięki dochodziły jednak z biblioteki. Drzwi były otwarte, a gdy się zbliżył, usłyszał szloch.

Zajrzał do wnętrza. Morgan siedział w swoim fotelu, ze schyloną nisko głową. Przed nim na podłodze

klęczała Audrianna i zasłaniała dłońmi twarz, próbując ukryć, że płacze. Morgan przemawiał do niej spokojnym tonem, tak cicho, że Sebastian nie mógł rozróżnić słów, i gładził ją delikatnie po głowie.

Sebastian patrzył na tę scenę w milczeniu, zdumiony, ale szybko zaczęła w nim narastać wściekłość.

Cofnął się. Miał chaos w głowie. Nie mógł sobie znaleźć miejsca w tym domu, a może nawet całego świata byłoby mu teraz za mało. Wypadł do ogrodu, do jego utrzymanej w dzikim stanie odległej części. Tam, wśród okrytych pąkami drzew i szmaragdowej trawy, dał upust wściekłemu gniewowi.

Krzyczał, wył, skamlał, aż wreszcie jego gniew uśmierzyła ulewa. Smagany strugami deszczu zrozumiał, że to nie zwykła zazdrość przyprawia go o szaleństwo. Ten dziwny, obłąkańczy nastrój narastał w nim od dnia, gdy Morgan kupił swój przeklęty patent oficerski.

Ulewny deszcz ujawnił prawdę. Rzeczywistość ukazała się bez osłonek.

Morgan okazał się szaleńcem, kupując ten patent. Idiotą. Nie był żołnierzem, nie miał doświadczenia.

Armia nie nauczyła go niczego, ale za to obarczyła odpowiedzialnością za życie ludzkie, jakby z tytu-

łem markiza prócz posiadłości ziemskich zyskał też zdolności militarne. Co za szczęście, że wielu innych lordów i ludzi wysokiego rodu nie postąpiło tak nierozważnie.

Ilu zginęło z jego przyczyny? Czy to był prawdziwy powód jego interesowania się skandalem z amunicją? Czyżby jego własne błędy doprowadziły do żołnierskich śmierci, które nigdy nie doczekają

się pomsty, i dlatego właśnie pragnął, żeby pomszczono błędy popełnione przez innych?

Audrianna go zaś kochała. Scena w bibliotece była tego dowodem. Tulila się do jego nóg z płaczem, szukała u niego pociechy. Przyszła ze swoim zmartwieniem do dobrego przyjaciela, wiedząc, że znajdzie u niego współczucie i serdeczność. Śmiała się, żartowała i płakała wraz z Morganem, a przed własnym mężem tylko grzecznie dygała i spełniała jego życzenia.

Wprost nie mógł uwierzyć, co się z nim stało, kiedy ujrzał oboje. Targała nim wściekłość, a po niej przyszło mdlące poczucie winy. Za to, że kiedy tylko brat mu powiedział o tym patencie, nie

potrząsnął nim porządnie, by Morgan oprzytomniał i zastanowił się, co robi. Za to, że teraz on, Sebastian, żyje jego życiem. Za to, że zazdrości człowiekowi, skazanemu na beznadziejną

egzystencję, uczucia, którym go darzy Audrianna.

Jak dotąd, potrafił żyć z tym poczuciem winy. Teraz je znenawidził, i wszystko, co się z nim wiązało.

Zobowiązania. Oczekiwania, wymuszoną dyskrecję. Utracone przyjaźnie i zgniłe kompromisy.

Jeszcze bardziej nienawidził jednak tego, że razem z bratem dzielili się Audrianną, podobnie jak dzielili się prawie wszystkim innym. Choć oddawała mu się ciałem, Morganowi oddała z własnej

woli

część serca.

Najbardziej jednak nienawidził przyznać się do tego, że miało to dla niego tak wielkie znaczenie.

Wygląda na to, że lady Ferris miała rację co do twojej przyjaciółki -powiedział łagodnie Wittonbury.

-

Sądzę, że i ty tak uważasz. Audrianna wytarła oczy.

- Nie wierzę w to! Napiszę do Celi i spytam ją. Jeśli zaprzeczy, zmuszę lady Ferris, żeby zjadła ten list!

- A co będzie, jeśli nie zaprzeczy?

Wiedziała, do czego Morgan zmierza, choć wyraźnie tego nie mówił.

- Będziesz miała inne przyjaciółki, Audrianno. Nim minie pierwszy miesiąc sezonu, wiele sympatycznych młodych mężatek będzie chciało zawrzeć z tobą bliższą znajomość.

Opierała się twarzą, klęcząc, o jego fotel i nie ruszała z tego miejsca, odkąd wbiegła do biblioteki, gdy straciła panowanie nad sobą, i szukała ukrycia. Nie chciała, żeby widział jej łzy, a teraz nie chciała, by dostrzegł, że ona się nie zgadza z jego sugestiami.

Pled, w który wtuliła twarz, poruszył się i otarł leciutko ojej policzek. Podniosła się z kolan i wstała.

- Dziękuję ci, że pozwoliłeś mi się tu schronić i wysłuchałeś moich żalów. Przepraszam, że się rozbeczałam. Mam nadzieję, że ja nie...

Pled, w który wtuliła twarz, poruszył się!

Dopiero teraz dotarło do niej, co się stało. Spojrzała ze zdumieniem na pled i nogi, które zakrywał.

Ręce Morgana spoczywały na poręczach fotela. Była pewna, że nie dotknął nimi pledu ani go nie pociągnął.

- Czy za moim fotelem ukazał się duch? - spytał markiz. - Jesteś tak wstrząśnięta, jakbyś go ujrzała.

Oprzytomniała.

- Wpadła mi do głowy nieoczekiwana myśl. Pójdę już sobie. Nie chcę nadużywać twojej cierpliwości.

- Obawiam się, że okazałem ci za mało współczucia.

- Twoja rada była uczciwa i słuszna, a twoje współczucie szczere. Jestem ci bardziej wdzięczna, niż sobie wyobrażasz.

Wychodząc, zamknęła za sobą drzwi biblioteki. Potem poszukała Fenwooda. Znalazła go w gotowalni, gdzie układał bieliznę pościelową.

- Madame, czy coś się stało memu panu?

- Dopiero co od niego wyszłam. Wszystko z nim w porządku. Chcę cię o coś spytać. Czy markiz w ogóle nie może poruszać nogami?

Fenwood zmarkotniał. Pokręcił przecząco głową.

- Ani trochę?

- Zraniono go w kość pacierzową. Nie ma żadnego czucia poniżej pasa.

- Czy jest jakaś szansa na jego wyzdrowienie?

- Tylko cud mógłby to sprawić. Jeden z lekarzy, Niemiec, mówił, że może z czasem... Widział

podobno takie przypadki, gdy ciało zdrowiało samo z siebie po paru latach. Ale jak o nim zasięgnięto języka, to jego reputacja okazała się nie najlepsza. Nie, madame, boję się, że milord zostanie już na zawsze taki, jak go pani widzi.

Audrianna nie wypytywała już o nic Fenwooda. Nie chciała budzić próżnych nadziei na podstawie czegoś tak mało istotnego, jak drgnięcie pledu tuż przy jej policzku. Może tylko się jej tak zdawało.

Może sama nim niechcący poruszyła. A jeśli noga naprawdę drgnęła?

Gdy Sebastian wrócił na Park Lane, było już po północy. Jazda do Greenwich ostudziła jego

wzburzenie i po kilku godzinach oglądania w obserwatorium niebios przez teleskop zapomniał o ataku

furii. Gniew jego nie minął całkowicie, gdy wchodził do swoich pokojów, ale nie miał już ochoty bić pięścią w ścianę.

Przygotował się do snu. Narzucił na siebie szlafrok i odprawił lokaja. Spojrzał na drzwi Audrianny.

Niewątpliwie spała już, ale skoro tak skrupulatnie spełnia małżeńskie obowiązki, nie narzekałaby, gdyby ją zbudził. A gdyby nawet nie chciała, zawsze może pójść się jutro wypłakać u jego brata.

Pragnął wejść do jej sypialni i wziąć ją na pięć różnych sposobów, żeby dowieść, że należy w pełni do

niego. Nie zważając na to, że wcale tak nie jest.

Mroczny impuls podpowiedział mu jednak, że nie powinien tego robić. Nie było tu Hawkeswella,

żeby go powstrzymał przed robieniem głupstw, musiał więc zwalczyć tę pokusę sam.

Rzucił się na łóżko i zaczął rozmyślać o rozmowie z Andersonem. Rozważał, co dalej robić z otrzymanymi od niego informacjami. Musiał swoje śledztwo zwrócić w innym kierunku, ale ostrożnie. Nie chciał atakować porządnych ludzi, którzy mogli być w to zamieszani, ani rozjuszyć Komisji Zbrojeniowej.

Właśnie gdy zaczęła się przed nim jaśniej zarysowywać strategia, uchyliły się drzwi od gotowni i Audrianna zajrzała przez nie, jak wtedy, gdy włożyła czerwoną suknię.

Doprawdy, nie powinien był dzisiejszej nocy myśleć o tamtej sukni.

- Czy mogę wejść? Wiem, że jest bardzo późno.

Miała dobre intencje, ale nie wiedziała, że igra z ogniem. Powinien był odesłać ją stąd od razu.

- Oczywiście, że możesz. Zawsze jesteś tu mile widziana.

Przeszła przez pokój. Małe pantofelki przy każdym kroku wylaniały się spod białej koszuli. Nellie tak jej wyszczotkowała włosy, że wyglądały jak kaskada ciemnego jedwabiu. Im bardziej się zbliżała,

tym silniej atakowały go erotyczne wizje.

Wydała się rozradowana, gdy wdrapała się na łóżko. Na pewno podniecona jego widokiem. Był oczarowany. Gdyby go znów spontanicznie ucałowała, wziąłby ją najwyżej na dwa różne sposoby.

Do

diabła, nawet by zaczął podczas tego recytować wzruszający miłosny poemat.

- Czekałam na twój powrót. Słyszałam, jak chodzisz po gotowal-ni, a kiedy nie wszedłeś do mnie, zrozumiałam, że o tak późnej porze nie chcesz tego robić. - Uśmiechnęła się. - To było bardzo miłe z twojej strony.

- Musisz mi jutro przypomnieć o tym, że jestem miły. Zmarszczyła brwi. Nie zrozumiała go.

- Nieważne - powiedział. - Nie czuję się najlepiej. Cieszę się, że przyszedłeś do mnie, skoro ja nie przyszedłem do ciebie.

- Musiałam. Koniecznie chcę z tobą pomówić o czymś bardzo ważnym.

A więc nie przyszła tu, by się z nim kochać, ani nawet nie po to, żeby mu dotrzymać towarzystwa.

Chciała czegoś od niego. W takim razie weźmie ją na trzy sposoby. Zaczął w myślach robić przegląd wszystkich erotycznych pozycji, jakich kiedykolwiek próbował, niczym koneser, który chce wybrać jakieś z rzadkich win.

- O twoim bracie.

Nie na trzy, tylko przynajmniej na pięć sposobów.

- Mów.

Stanowczo chciał z nią ich wszystkich spróbować. Umierał z pragnienia, począwszy od nocy w oberży

Pod Dwoma Szpadami. A jeśli kupił sobie prawo do kobiecego ciała, i niczego więcej, będzie bezwzględnie korzystał z tego prawa, nie przejmując się zbytnio jej odczuciami.

- Dzisiejszego wieczoru wydarzyło się coś niesłychanego. Oczy błyszczały jej z podniecenia. Mógł tak urządzić, żeby te oczy patrzyły, jak będzie ją brał na jeden ze sposobów.

- Jedna z jego nóg drgnęła. Jestem tego prawie pewna. Obrazy pogrążonej w ekstazie Audrianny nagle

uleciały. Powiedziała coś tak absurdalnego, że mógł na to zareagować jedynie śmiechem, choć nie powinien.

- Byłam z nim w bibliotece, siedziałam tuż koło niego i plec na jego nogach leciutko się poruszył. Leciutko, prawie niezauważalnie, ale ciągle o tym myślę i jestem pewna, że tak było.

- Mówiłaś, że jesteś prawie pewna. A teraz, że jesteś pewna. Która wersja jest prawdziwa?

- Gniewasz się na mnie?

- Nie gniewam. Ale jeśli się mylisz, a ja ci uwierzę, on przeżyje straszliwe rozczarowanie. Ogarnie go głęboka melancholia, z której już nigdy się nie wydobędzie.

Kiwnęła głową.

- Nie jestem prawie pewna. Powtarzam, jestem pewna. Patrzył na nią. Jeśli była pewna, to naprawdę była. Ona nie miała przywidzeń.

Wstał z łóżka, podszedł do okna i otworzył gwałtownie jedno jego skrzydło. Do pokoju napłynęło zimne

nocne powietrze, ale nie dbał o to. Wpatrywał się w ciemność przed sobą, a chłód przywracał mu przytomność.

- Jeden niemiecki doktor mówił, że istnieje nadzieja, choć bardzo mała. Doradził mi ćwiczenia. Mój brat nie mógł ich znieść i szybko je zarzucił.

- Wiem. Fenwood mi powiedział. Spojrzał na nią przez ramię.

- Mówiłaś mu o tym?

- Spytałam go tylko, czy kalectwo jest całkowite i nieodwracalne. Nikt mi tego przedtem nie wyjaśniał.

Znów wpatrzył się w noc.

- Nie wiem, co robić. On jest taki... kruchy. Jego zdrowie, usposobienie, duch...

- Jeśli istnieje jakaś szansa, z pewnością będzie chciał ją wykorzystać i przekonać się, czy zdoła wrócić do zdrowia.

- Może i tak, ale nie jestem tego pewny. Spojrzał jej prosto w twarz.

- Pomówię z nim. Muszę wybrać właściwy moment, kiedy - jak sądzę - będzie mógł mnie rozsądnie wysłuchać. Nie mów o tym nikomu. A zwłaszcza naszej matce.

Skinęła głową. Zebrała fałdy nocnej koszuli i podniosła się z łóżka.

- Gdzie się wybierasz, Audrianno? Zatrzymała się w pół drogi.

- Do mojego pokoju. Spać.

- Nigdzie nie pójdziesz.

Weszła do łóżka i się położyła. Biała koszula zamykała ją w sobie jak futerał, włosy rozsypały się wokół niej ciemną falą. Wcześniejszy gwałtowny przypływ pożądania opadł, ale na jej milczące oczekiwanie jego ciało zareagowało z całą mocą.

Płonął. Już nie gniewną zaborczością, ale namiętnością, obejmującą nie tylko ciało. Nadal pragnął wziąć to, do czego miał prawo, ale ta rozmowa rozproszyła najczarniejsze mroki jego pożądania.

Mimo to nie zamierzał być tej nocy dżentelmenem.

Patrzył na nią. Czas zwolnił bieg. Przedłużające się oczekiwanie było dręczące.

Być może chciał ją przytłoczyć samą swoją obecnością. Wciąż jeszcze mógł tak zrobić. Pogorszyłoby to jednak wszystko, zamiast polepszyć. A może zastanawiał się, czy w ogóle warto tracić czas na

kochanie się z nią teraz. Była już głęboka noc, niedługo nadejdzie świt.

- Jest bardzo późno - powiedziała, kiedy daremne oczekiwanie się przedłużało. - Może jutro...

- Nie. Przyszłaś do mnie. Jeszcze się nie szykuj do odejścia.

- Nie przyszedłam po to. Nie musisz tego robić z obowiązku, jeśli jesteś zmęczony albo...

- Albo co?

- Albo zaspokojony.

Godziła się z tym, że mógł pójść tam, gdzie mężczyźni znajdują zaspokojenie, skoro wrócił dobrze po północy, już po drugiej. To tłumaczyło jego tak późny powrót, ale przeżyła szok. A nie powinna.

Przecież wszyscy ją uprzedzali. Pogodziła się z nieuniknionym, a jednak, gdy do tego doszło, była zaskoczona i... sprawiło to jej ból.

Dotkliwy ból. Przez długą, okropną chwilę czuła, że trudno jej będzie się z tym pogodzić.

Oczekiwała, że jej aluzja rozbawi go. Albo rozgniewa. A tymczasem go zaskoczyła. Patrzył na nią jak

wtedy, gdy mu powiedziała, że noga brata drgnęła.

Zastanawiał się, zasepiony. Ponury. Spojrzał teraz na nią tak ostro, że przeszył ją dreszcz.

- Tak sądzisz? Czasami bywasz bardzo naiwna, Audrianno. Nie zmuszam się do tego, żeby się z tobą kochać. Nie robię tego z obowiązku. Z ledwością się powstrzymuję od zdercia z ciebie koszuli i wzięcia cię bez żadnych ceremonii albo...

To „albo” zawisło w powietrzu niczym groźne ostrzeżenie. Dostrzegła napięcie, widoczne w ciele i na twarzy. Miał rację. Czasami była bardzo naiwna. Nie chciał jej takiej dzisiejszej nocy. Nie szukał jednak kogoś mniej naiwnego od niej.

Zsunęła z ramion nocną koszulę.

- Nie zamierzam pozbawiać cię przyjemności zderzającej ze mnie, ale wolałabym, żebyś akurat tej nie podarł.

Pozwoliła tkaninie ześliznąć się z ramion i wysunęła ręce z rękawów. Koszula zatrzymała się na biodrach.

Walka, jaką ze sobą toczył, się zakończyła. Patrzył na nią przez długą chwilę, dość długą, by oblał ją rumieniec. Potem podszedł do łóżka. Nie położył się na nim, tylko stanął obok. Granatowy jedwab jego szlafroka znalazł się naprzeciw jej twarzy. Wyciągnął rękę, dotknął jej sutka i zaczął go pieścić

umiejętnymi palcami.

I to wystarczyło, by wszystkie dręczące ją doznania skoncentrowały się w gwałtownym pożądaniu.

Doprawdy, zadziwiające, jak łatwo mu się poddawała.

- Spójrz na mnie.

Patrzyła coraz bardziej podniecona tą lekką pieszczotą. Pożądanie spływało w dół jej ciała falą dreszczy.

- Dotknij mnie.

Sięgnęła ku ciemnemu jedwabowi. Przesunęła dłońmi po okrytej jedwabiem muskularnej piersi, od ramion aż po pas. Wciąż ją doprowadzał do szaleństwa. Teraz pieścił ją już dwiema dłońmi. Jego przewrotne palce sprawiły, że jej własne zapragnęły czegoś więcej. Wsunęła dłonie pod jedwab i pieściła go odważniej, czując jego nagą skórę pod palcami.

- Pocałuj mnie.

Nie prosił. Wydawał rozkazy i czekał, aż ona je spełni.

Jego głowa i usta były zbyt wysoko. Nie nachylił się jednak ku niej. Zrozumiała, że nie chodzi mu wcale o usta. Pochyliła się do przodu i jej wargi dotknęły gorącego torsu. Wysunęła język i dotknęła nim jego skóry, smakując ją. Nowe rozkoszne doznanie, gorące i mroczne, przepłynęło jak nurt głęboko ukryty pod powierzchnią wody.

Nowa fascynacja. Miękkością aksamitu skóry i twardością ciała pod tą skórą. Podkuliła pod siebie nogi i uklękła, by pieścić go swobodniej. Wodziła rękami i ustami po muskularnych ramionach i barkach. Zsunęła szlafrok z jego barków, by dotykać jeszcze większych partii jego ciała. Szlafrok upadł na podłogę, a on stał przed nią całkowicie nagi. Nigdy go jeszcze takim nie widziała. Jego siły, męskiej piękności i pobudzenia, w całej pełni teraz dla niej widocznych.

Wyciągnęła ramiona i pieściła jego tors, ciągle patrząc na niego. Jej wzrok spoczął na jego pięknej twarzy, stężeła teraz w namiętności.

- Dotknij mnie.

Przeszywał ją wzrokiem. Świadomym. Rozkazującym. Nie mogła udawać, że nie rozumie, czego od niej chce. Spojrzała w dół i ostrożnie dotknęła końcami palców czubka penisa. Stwardniał jeszcze bardziej. Całe jego ciało również.

Bez tchu, podniecona jego pobudzeniem i własną śmiałością, zaczęła przesuwać po nim palcami w górę i w dół.

Popchnął ją lekko. Upadła na łóżko, a on razem z nią w objęciach, całując namiętnie jej usta, a potem

piersi.

Jedną ręką uchwyciła się kurczowo jego ramienia, a druga jej ręka nie ustawała w intymnej pieśczoście. Rozkosz i intymność były doprawdy niebiańskie, ale starała się usilnie nie zatracić w nich całkowicie i mieć pełną świadomość tego, co się z nią dzieje.

Spojrzał na to, co z nim robiła, a potem w jej oczy.

- Tego dnia w ogrodzie, kiedy podarowałem ci naszyjnik...

- Tak?

- ...jak sądzisz, co by się stało, gdybym się wtedy nie powstrzymał?

Pamiętała swoje zaskoczenie. Tym, jak całował jej nogę, potem udo.

- Czego wówczas pragnęłaś?

Ona nie pragnęła wtedy niczego, ale jej kobiece ciało przeczuwało coś bardzo niegodziwie frywolnego, i zbyt szokującego, by ująć to w słowa.

Widział to w jej oczach. Przysięgłaby, że widział. Całował jej policzki, potem piersi. A potem jego usta przesunęły się niżej, bardzo nisko. Oddychała coraz szybciej, urywanie. Z każdą sekundą coraz szybciej. Zdumiała ją reakcja własnego ciała. Doznania tej nocy rozpływały się w nieposkromionym strumieniu zmysłowej wrażliwości.

Kiedy rozwarł jej nogi, zamknęła oczy, by skryć się i przed nim, i przed sobą. Odruchowo osłoniła się dłonią w geście skromności.

Całował jej udo.

- Nie powstrzymasz mnie. Jesteś moja. Cała moja.

Kusił ją pocałunkami, które łagodziły jego bezwzględność. Pieśczością swoich ust upewniał ją, że nic go nie powstrzyma, i przygotował ją do tego, co nastąpiło.

Zatonęła w gwałtownej, niewyobrażalnej wprost rozkoszy, bezsilna, i krzyczała szaleńczo, aż w cudownym spełnieniu znikły wszelkie inne doznania.

Był z nią, w niej, w dzikim, zaciekłym jednoczeniu się, i rozkosz nieustannie w niej pulsowała, póki się nie rozłączyli.

Świt nastał, a on nadal trzymał Audriannę w ramionach. Wciąż leżał spleciony z nią, tam gdzie upadł, gdy targnął nim spazm spełnienia.

Zsunął się z niej najostrożniej, jak zdołał, i tak się jednak obudziła. Obróciła się na bok i otworzyła oczy.

W spojrzeniu, jakie na niego rzuciła, dojrzał głęboką wdzięczność, ale też lekkie zmieszanie i zakłopotanie.

Skrepowanie znikło szybko. Nagość rodzi poufałość. Tak było w ich małżeństwie od pierwszego poślubnego popołudnia.

Wkrótce każde z nich zajmie się własnymi sprawami. On ma swoje własne plany na ten dzień, ona również. Ale teraz jeszcze są razem, zanurzeni w ciszy poranka.

- Sezon towarzyski zaraz się zacznie, obydwójce będziemy zajęci od rana do nocy. Zanim się rozpocznie, chcę zabrać cię do siedziby rodowej i przedstawić tamtejszym ludziom. Czeka ją na to.

- Chętnie. Tęsknię za wsią, zwłaszcza teraz, kiedy ciągle przebywam w mieście.

- Zatrzymamy się na wsi dłużej, jeśli ci się tam spodoba. Wyjedziemy pod koniec tego tygodnia.

- Lepiej byłoby w przyszłym.

- Mam tam w okolicy coś do załatwienia, czego nie można odłożyć. A dlaczego przyszły tydzień miałby być lepszy?

- Twoja matka ma pewne plany co do mnie, jeśli chodzi o koniec tego tygodnia.

- Może je zmienić. Wyjedziemy w czwartek, powiedz więc Nellie, żeby spakowała rzeczy.

Nie spieszyła się z opuszczeniem jego łóżka. To go ucieszyło. Wczorajszy gniew już go opuścił. Noc przegnała wiszące nad nim ponure chmury nabrzmiałe wściekłością i złością na cały świat.

- Coś jeszcze muszę ci powiedzieć.

Nie miała zwyczaju gawędzenia w łóżku. Te słowa wstępu wzbudziły w nim instynktowną męską czujność. Gdyby była inną kobietą, właśnie teraz zaczęłaby się przymawiać o kosztowne prezenty.

- O moim bracie?

- Nie. Coś, co mnie bardzo martwi. Lady Ferris powiedziała wczoraj twojej matce, że Celia jest córką kurtyzany, sprowadzoną kilka lat temu do Londynu, by zaczęła robić to samo, co matka.

Przypomniał sobie niejasno plotki o wychowywanej na wsi córce słynnej miłośnicy, przyuczanej do tego procederu przez matkę. Licytowano się, kto odbierze jej dziewictwo, we wszystkich klubach.

Nie

brał w tym udziału, ale wielu innych brało. Mówiono, że jest ślicznotką, i dawano za nią wysokie sumy. - Zamierzam napisać do Celi i spytać ją, czy to prawda.

- Mądre posunięcie.

- Jeśli to prawda, nie zaproszę jej tutaj. Szanuję wolę twojej matki i nie będę się teraz z Celią spotykać ani pokazywać razem z nią.

- Przykro mi to mówić, ale w tym wypadku moja matka ma rację. Szkoda, że tak się to musi skończyć.

- Rozumiem, dlaczego. Ale chcę cię uprzedzić, że nie zerwę z nią ani z innymi mieszkankami domu Daphne całkowicie, jak tego żąda twoja matka. Będę je odwiedzać po kryjomu, nie zwracając na siebie uwagi, ale nie porzucę przyjaciółek. Zauważył, że nie prosiła go o pozwolenie ani o radę.

- Czy mój brat podsunął ci takie rozwiązanie?

- Nic podobnego. Zgadza się z twoją matką.

- Ja również.

- Nie potępiły mnie za to, o co oskarżono ojca, przyjęły mnie do swojego domu. Nie odwróciły się ode mnie wtedy, gdy skandal mógł zaszkodzić ich opinii. Muszę być równie lojalna wobec nich, jak one

były wobec mnie. - A gdybym ci zabronił?

- Mam nadzieję, że nie. To byłoby nierozsądne.

Mógłby jej zapewne nakazać wszystko, co tylko by chciał, a ona i tak zrobiłaby, co uznałaby za stosowne.

Teraz jednak nie zaprzętał sobie głowy tą sprawą, i ona o tym wiedziała. Zwróciła się do niego w bardzo starannie wybranym momencie.

Objął ją. W tej chwili bardziej go obchodziło wydawanie jej poleceń w sprawach, w których z radością okazywała mu posłuszeństwo.

Dwa dni później powtórzył bratu, czego dowiedział się od Andersona. Nowiny przygnębiły Morgana, jak zresztą wszystkie dotychczasowe relacje o tej masakrze.

- Przekażę jego zeznania dowództwu armii i Komisji Zbrojeniowej. Zamierzam jednak zbadać, skąd się tam wziął ten proch. - Wątpliwe, byś tego doszedł.

- Baryłki były znakowane. Zobaczę, co mi się uda wykryć. Niewiele tego, ale więcej, niż wiedziałem miesiąc temu.

- Nie chcę, byś się bawił w wywiadowcę ze względu na mnie. Wiem jednak, że właśnie dlatego to zrobisz.

- Na początku tym się kierowałem, ale teraz mam też inne powody. Robię to dla Andersona. I, przyznaję, może też uda mi się dowieść, że Kelmsleigh był niewinny.

- A jeśli nie był?

- W takim razie już za to zapłacił i na tym sprawa się zakończy.

- Oby.

Powiedział to z nadzieją w głosie, ale nie tym smutnym, zgnębionym tonem, jaki zwykle pobrzmiwał w jego głosie.

- Ostatnio twój nastrój się poprawił, Morganie. Nie toniesz już w głębokiej melancholii.

- Robi się coraz cieplej i namówiłem Fenwooda, żeby popołudniami prznosił mnie pod okno.

Nawet

kilka minut świeżego powietrza poprawia mi, jak sądzę, zdrowie.

- Wspaniale. Chciałem właśnie z tobą porozmawiać o twoim zdrowiu. Czy czujesz jakąś zmianę w nogach? - Nie. Oczywiście, że nie. - Żadnej?

- Czemu mnie o to pytasz?

- Twój kręgosłup nie uległ złamaniu. Zawsze istnieje szansa, że...

- Do licha, nie ma żadnej! Mówisz jak ten niemiecki szarlatan!

- Głosił wprawdzie kontrowersyjne teorie, ale był znanym naukowcem.

Począł, aż Morgan się uspokoił po wybuchu gniewu.

- Audrianna kilka dni temu przyszła do ciebie. Siedziała na podłodze koło twojego fotela.

- Była roztrzęsiona, bo dowiedziała się, że jedna z jej przyjaciółek nie jest osobą, za którą ją uważała.

Musisz jej powiedzieć, żeby zerwała z tą dziewczyną.

- Nie chodzi mi o powód jej wizyty. Powiedziała mi, że gdy siedziała przy tobie, plec na twoich nogach się poruszył. A to znaczy, że poruszyła się również noga pod nim.

- Myli się. - Twarz brata znów stężała. - Nie wspomniała mi o tym ani słowem. Gdyby wspomniała, od

razu bym ją pozbawił złudzeń.

- Powiedziała to mnie. Nie bądź na nią zły. A że lubi cię serdecznie i modli się, by to była prawda, nie ulega złudzeniom. Czy widziałeś, żeby pled się poruszył? Znasz jakieś inne wytłumaczenie, o którym

ona nie wie?

Brat patrzył na niego tak, jakby chciał go uderzyć.

- Pytam raz jeszcze: Czułeś coś? Cokolwiek?

- Nie. Niech cię diabli!

- Sądzę, że kłamiesz.

- Czemu miałbym okłamywać akurat ciebie?

- Nie mnie. Siebie samego. I chyba wiem, dlaczego. - Schwycił fotel Morgana i zakręcił nim wkoło.

- Co ty u diabła... - jęknął Morgan. Sebastian ściągnął z niego pled.

- Nie mógłbyś teraz chodzić, nawet gdybyś całkowicie wyzdrowiał, a więc nawet najlżejsza zmiana byłaby prawie niedostrzegalna. Spróbuj jednak...

- Ani myślę. Wynoś się stąd!

- Spróbuj się ruszyć, do licha! Jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa, musisz to zrobić.

- Szansa? Nie istnieje żadna szansa, ty głupcze! Jałcie macz prawo, żeby wyrokować o tym, co musimy zrobić? Jestem przykuty do tego fotela. Po co mamy rozprawiać o moim przeklętym życiu?

Sebastian podszedł do drzwi.

- Fenwood, chodź tutaj! Fenwood zjawił się natychmiast.

- Wyrzuć go za drzwi! - rozkazał Morgan, wskazując na brata. Fenwood spojrzał na Sebastiana nieufnie.

- Fenwood, moja żona mówi, że wyczuła u niego ruch nogi. Leciuteńki, prawie niedostrzegalny.

Wezwij lekarza, żeby go zbadał. Zabierz też ten pled i oddaj mu dopiero wtedy, gdy zmarznie.

Obserwuj jego nogi.

Morgan był bliski apopleksji.

- Nie zniosę tego!

- Niech mnie diabli, jeśli ci na to pozwolę, skoro może istnieć choćby najmniejsza szansa, byś chodził!

Schwycił za poręcze fotela i nachylił się nad Morganem.

- Pozwolisz się lekarzom zbadać, a jeśli dadzą choć cień nadziei, będziesz o tę szansę walczył. Już ja o to zadbam!

Sebastian wjechał na teren Królewskich Młynów Prochowych w Waltham Abbey. Cztery lata temu ulice były tu zapewne ludne, a kanały pełne barek przewożących surowce do wyrobu prochu i napełnione nim baryłki. Jednakże po zakończeniu wojny ta wydajna wytwórnia w hrabstwie Essex produkowała tylko jedną dziesiątą wcześniejszej produkcji, a budynki i dziedzińce nie tętniły już życiem.

Proch wciąż tu jednak wytwarzano. Jedni robotnicy wsypywali siarkę do mieszarki, inni prażyli węgiel. Dym wciąż się unosił znad budynku, gdzie dokonywano wytopu i sporządzano saletrę potasową. Bednarze formowali i ważyli baryłki.

Robotnicy wykonujący najbardziej niebezpieczne prace krążyli wokół młyna. Wewnątrz niego starannie zmieszane składniki mielono w rozdrabniarce. Z tyłu, za ceglana ścianą, kręciło się wielkie koło napędzane przez tutejszą młynówkę.

Jeden z robotników uwijał się, polewając wodą wielki kamień, by proch strzelniczy nie przyłgnał do jego powierzchni.

Każdemu, czy to w samej wytwórni, czy w mieście, codziennie groziło ryzyko eksplozji, a najbardziej robotnikom pracującym w młynie.

Sebastian dojrzał biura stojące wzdłuż ulicy i nad kanałem. Wszedł tam i podał urzędnikowi swoje nazwisko.

Inny mężczyzna, wysoki, chudy i sztywny, z krzaczastymi brwiami i ostrymi rysami, wyszedł mu naprzeciw i przedstawił się jako magazynier Middleton. Wprowadził go w głąb biura. Na jego kanciastej twarzy widniało przygnębienie.

- Nie mamy nic wspólnego z tą sprawą, sir.

Sebastian nawet nie wspomniał, jaka to sprawa, ale nie zaskoczyło go, że Middleton się wszystkiego domyślił. Zarządcy królewskich młynów na pewno wiedzieli, kto interesuje się sprawą złego prochu strzelniczego.

- Mam nadzieję, że pomoże mi pan odkryć, kto miał z nią coś wspólnego. Nie przyjechałem tu po to, by pana brać pod lupę.

- Nic by to nie dało. Zatrudniono mnie niedawno. Przede mną pracował tu pan Matthews.

- W takim razie skąd pan wie, że ten młyn nie ma z całą sprawą nic wspólnego?

- My jesteśmy młynem królewskim, sir. Należymy, jak pan wie, do Korony, podobnie jak młyny z Flavesham i Billingcollig. Ojciec

pana Congreave przez całe życie dokładał starań, by zapewnić naszej armii i flocie najlepszy proch.

Jesteśmy dumni z jego jakości, lepszej niż w innych młynach królewskich. Dowiedziono tego naukowo.

- Jest pan magazynierem. Sprowadza pan tu surowce i wysyła gotowy proch?

- Właśnie tak.

- Zna się pan na całym procesie wytwórczym i na transporcie?

- Wszystko przy tym robię.

- Czy, mając tę wiedzę, może pan się domyślić, w jaki sposób wadliwy proch trafił na front?

Middleton zastanawiał się długo nad tym pytaniem.

- Nie mogło się to zdarzyć.

- Ale się zdarzyło. Nie wybuchął, choć nie był zawilgocony. Można to wytłumaczyć jedynie sfalszowaniem któregoś ze składników lub nieprawidłowym zmieleniem.

Middleton nie potrafił przyjąć tego do wiadomości. Pokręcił głową.

- Nie mogło do tego dojść w młynie, obojętne w jakim - powiedział z naciskiem. - Zbyt wielu ludzi przy tym pracuje. Za wiele kontroli i prób. Za dużo oczu.

- A gdyby to nie był akurat ten młyn lub inny królewski młyn prochowy? Podczas wojny

wykorzystywano też młyny prywatne. Nie cały proch pochodził z tych królewskich.

- Ale jego większość. Choć nie, było też trochę innego. Jednakże od jego wytwórców żądano

dostosowania się do naszych standardów. Gdyby nawet popełniono straszliwy błąd, wychwycono by go w arsenale. Tam się proch kontroluje.

- Każdą baryłkę? Middleton zacisnął wargi.

- Spodziewam się, że nie każdą. Raczej każdą partię. Całodzienną produkcję. My ją kontrolujemy tutaj, a oni tam.

- Czy mogło się zdarzyć, by ktoś - wiedząc, że proch kontroluje się w wytwórniach - dopuścił się

zaniedbania i nie sprawdził jego jakości według standardów przyjętych w arsenale?

- Ma pan na myśli niedbalstwo. Możliwe, ale zajmują się tym przecież i inni. Produkcja prochu strzelniczego to poważny interes, sir. Niewiele się tu zostawia przypadkowi.

Sebastian wyjął z kieszeni kartkę papieru.

- Zły proch był w baryłkach z takim oto oznakowaniem. Czy to panu coś mówi?

Middleton przyjrzał się rysunkom na kartce.

- To jest znak Komisji Zbrojeniowej, co oznacza, że baryłka przeszła przez arsenał i podlegała tam kontroli.

Przyjrzał się rysunkom bliżej i na jego twarzy pojawił się rumieniec.

- Ta baryłka mogła, jak mówiłem, pochodzić z innej partii.

- A ten drugi znak? Magazynier pokręcił głową.

- Nie rozpoznaję go. Nie, zaraz, może... - Wziął do ręki pióro i przerysował znak na drugiej kartce, a potem dodał do niego dwie małe kreski.

- Niech pan spojrzy. Ten znak powinien wyglądać, o, tak. Mógł się częściowo zetrzeć albo też ktoś go po prostu niedbale naniósł.

Podał mu obie kartki. Sebastian ujrzał, że owe dwie dodane kreseczki przeobraziły D&F w P&E.

- To nie był młyn D&F - powiedział Middleton. P&E oznacza młyn Pettigrew & Eversham. Jeden z wielu, jakie pojawiły się niczym grzyby po deszczu podczas wojny, z chęci zysku. Zdarzyło się w nich parę paskudnych eksplozji, bo w prywatnych młynach nie zawsze zachowywano należyłą ostrożność.

Możemy kontrolować to, co one wytwarzają, ale nie to, jak wytwarzają. To nie jest hobby dla amatorów.

Istotnie. W tych młynach doszło do kilku wybuchów i pożarów. Był to jeden z powodów, dla których musiał zostawić Audriannę

w oberży, gdzie zatrzymali się zeszłego wieczoru, położonej o kilka mil dalej w górę rzeki. Wątpił

jednak, by tutejsi robotnicy nie pamiętali, że jeśli któryś potknie się czy poślizgnie, to wszyscy mogą znaleźć się na tamtym świecie.

Middleton był wyraźnie zaintrygowany zagadkowym znakiem. Znów porównał obie kartki i zamyślił

się nad tą przyniesioną przez Sebastiana.

- Za szybko ją oznakowali, jak mi się zdaje. Niechlujnie.

- Może i nie. Kanonier, który przeżył, narysował to z pamięci, wspomnienie mogło być niedokładne albo niepełne.

- Czy zapamiętał jeszcze coś?

- Nie całkiem dokładnie. Powiedział tylko, że baryłkę łatwo było otworzyć. Łatwiej niż zwykle. Czy ma to jakieś znaczenie?

- Trudno powiedzieć. Może ją na przykład otwierano już wcześniej. Najpewniej w arsenale.

Middleton nie mógł tego wiedzieć na pewno. On także. Gdyby baryłkę otwierano w arsenale, zrobiono

by to, żeby poddać jej zawartość kontroli. W takim przypadku ktoś celowo musiał przymknąć oko, gdy mu doniesiono o złej jakości prochu.

- A gdzie się znajduje ten młyn Pettigrewa i Evershama?

- Posiadłość leży w Kent - powiedział Middleton. - Ale kiedy skończyły się działania wojenne, zamknięto go, jak wiele innych małych wytwórni. Myślę, że ten młyn sprzedano.

- Dziękuję panu. Bardzo mi pan pomógł. Middleton zmarkotniał.

- Ale ja nic panu nie dam na piśmie. Myślę, że pan to rozumie i nikomu nie powie o tej mojej pomocy.

- Komisja Zbrojeniowa nigdy się o tym nie dowie, choćby nawet doszła ich wieść o naszym spotkaniu.

Pan mi po prostu wyjaśnił, że z królewskiego młyna nie mógł pochodzić proch strzelniczy złej jakości.

Sebastian przywiązał swego konia do powozu, wsiadł razem z Audrianną do środka i kazał woźnicy ruszać.

Nie powiedział jej, gdzie się wybiera, gdy ją zostawił w oberży i odjechał.

- Kiedy będziemy w Airymont, objadę całą posiadłość. Czy jeździsz konno? Mogłabyś pojechać ze mną. Dzierżawcy byliby radzi.

- Tak, jeżdżę. A także śpiewam i względnie dobrze gram na fortepianie. Moja matka, podobnie jak

wiele innych, uważała, że wszystkie młode damy powinny się tego nauczyć.

Spojrzał na nią, jakby chciał sprawdzić, czy nie poczuła się urażona jego pytaniem. Uśmiechnęła się, dając mu do zrozumienia, że jej odpowiedź była żartobliwa. Przynajmniej po części.

Rozsiadł się swobodniej, żeby wygodnie spędzić resztę podróży. Głowę miał zaprzątniętą myślami, ale nie był skłonny dzielić się nimi z żoną.

- Czy dowiedziałeś się czegoś ciekawego? Wzruszył ramionami.

- Rozmawiałem z kimś krótko o interesach.

- Twoje interesy wiążą się z polityką i rządem. Pewnie uznałeś, że się wynudzę, towarzysząc ci, i dlatego nie wziąłeś mnie ze sobą. To uprzejme z twojej strony.

Wyglądało na to, że przyjął słowa wdzięczności z zadowoleniem.

Ale chyba i z ulgą.

- A tymczasem wcale bym się nie znudziła. Ciekawią mnie sprawy państwowe.

- Nie było to nic interesującego, zapewniam cię. - Uśmiechnął się do niej, żeby ją zachęcić do rozmyślenia o czym innym, a nawet o niczym, tylko nie o nim.

- Wiejskie okolice w Essex są przepiękne - westchnęła, wyglądając przez okno. - Trudno uwierzyć, że

kilka mil dalej stoi wytwórnia, która mogłaby zniszczyć wszystko, na co teraz patrzymy. Waltham Abbey leży nieco dalej w dolnym biegu rzeki.

- Wierzę ci, skoro tak mówisz.

- Skoro tak mówię? Tak szybko zapominasz? Przecież ledwie przed godziną tam byłeś.

Poczuł nagły żal, a potem zrezygnował z zaprzeczania, widząc, że się i tak domyśliła.

- Nie dowiedziałem się absolutnie niczego, co by cię interesowało - zapewnił ją.

- Już ci mówiłam, że to ja decyduję, co mnie w tej kwestii interesuje.

- Nie denerwuj się. Rozmawiałem tylko z magazynierem i dowiedziałem się, jak proch zamyka się w baryłkach i transportuje. Nie zabrałem cię ze sobą, bo tam jest niebezpiecznie.

Zdusiła wzbierający w niej gniew. Przyglądała się uważnie jego twarzy. Przystojnej. Uśmiechniętej.

Spokojnej. Niewinnej.

Kłamał. Nie otwarcie wprawdzie, ale ona przecież powinna się tam była z nim wybrać. Dowiedział

się

od tego magazyniera czegoś, czym się głęboko przejął. Poznała to po oczach, bo odwracał od niej wzrok

Nakryła dłonią jego dłoń.

- Proszę cię, powiedz mi, czego się dowiedziałeś.

Przestał się uśmiechać. Teraz był poważny. Uniósł jej dłoń i ucałował.

- Nie pytaj.

- Muszę.

Westchnął z rozpaczą, jak człowiek zapędzony w ślepy zaułek.

- Dowiedziałem się, że ten proch mógł trafić na front tylko wtedy, gdy ktoś świadomie na to zezwolił, wiedząc, że jest to amunicja całkowicie bezużyteczna.

Serce się jej ścisnęło. A więc nie chodziło o niedbalstwo.

- W takim razie to był spisek. Niecny plan. Jak podejrzewałeś. Skinął głową.

Rozczarowanie było zbyt wielkie, by się z nim pogodziła.

- Właśnie dlatego chciałam być z tobą. Myślę, że usłyszałeś to, co chciałeś usłyszeć, coś, co potwierdza twoje domysły.

Przeszył ją wzrokiem.

- Naprawdę sądzisz, że pojechałem tam tylko po to, żeby się upewnić, iż miałem rację? Wiedząc, że znowu cię to zrani? Ze przedłożyłem dumę ponad twoje szczęście?

Nie chciała tak sądzić, ale on pragnął odkryć winowajców równie mocno, jak ona pragnęła sprawiedliwości.

- Nie, to byłoby niegodne ciebie. Sądzę, że prowadzisz to dochodzenie nie dlatego, że kierujesz się dumą. Sądzę... sądzę, że robisz to z powodu brata, z którym musisz teraz dzielić życie, i z powodu jego kalectwa. Nie przypuszczam, żeby moje szczęście cokolwiek znaczyło dla ciebie w tym śledztwie.

Jestem, tak czy owak, późnym, nieoczekiwanym i kłopotliwym dodatkiem.

Gniew Sebastiana zdumiał ją i przeraził. Jakby mu dała po twarzy! Spojrzał na nią z taką

wściekłością, że zrozumiała, iż powiedziała coś, czego nie powinna powiedzieć.

Odwróciła wzrok żeby zakończyć tę kłótnię. Ale on nie zamierzał.

- Czy chciałabyś wiedzieć coś jeszcze? - spytał przez zaciśnięte zęby.

Zdobyła się na odwagę.

- Nawet jeśli był to rzeczywiście spisek, mój ojciec nie brał w nim udziału.

- Możliwe.

- Z pewnością. Ledwie na nią spojrział.

Zaczekała, aż powóz ujedzie jeszcze kilka mil, a potem spytała o Airymont, żeby zmienić temat.

Opowiadał o tej posiadłości długo

i szczegółowo.

Mówili o drobnych, nieistotnych sprawach przez całą godzinę, a ona próbowała zapomnieć, jak dotkliwa i bolesna była różnica zdań, która ich podzieliła.

Pałac w Airymont stał na wzniesieniu, wystawiony na morskie wiatry wiejące od strony oddalonego o milę wybrzeża hrabstwa Essex. Podobnie jak rezydencję w Londynie, cechował go ostentacyjny przepych dworów z poprzedniego stulecia. Dwa skrzydła okalały wielki dziedziniec, wytworne schody wiodły do głównego wejścia w części środkowej.

Służba powitała Sebastiana jako pana domu i ustawiła się szeregiem przed Audrianną. Pokazano jej przeznaczone dla niej pokoje, a potem gospodyni oprowadziła ją po domu, Sebastian udał się zaś na spotkanie z rządcą.

Audrianną wróciła do swoich pokoi, gdzie wyznaczona dla niej służąca rozpakowywała bagaże, i wyjrzała przez wysokie okno na dziedziniec. Na dole Sebastian dosiadał właśnie konia. Przebrał się w strój i buty do konnej jazdy. Towarzyszył mu jakiś mężczyzna, już na koniu.

Do drzwi jej pokoju zbliżył się lokaj z wyjaśnieniem. Lord Sebastian przypuszcza, że małżonka zechce odpocząć po podróży, a sprawy związane z majątkiem zmuszają go do wyjazdu wraz z rządcą.

Wróci wieczorem na kolację, na którą już zaproszono gości.

- Czy chce pani to włożyć wieczorem, madame? - pokojówka uniosła w rękach jej wieczorową suknię

z różowego atlasu.

- Nie. Tamtą białą.

Patrzyła, jak konie kłusują dziedzińcem w stronę masywnej bramy. Jeźdźcy wydawali się jej z tej perspektywy coraz mniejsi. Niewątpliwie posiadłość wymagała poświęcenia jej uwagi, zwłaszcza posiadłość tak rozległa, jak ta. Jednak podczas niedawno zakończonej wspólnej podróży powozem zapadało między nimi tak często przykre milczenie, przerywane zdawkową, krótką rozmową, że podejrzewała, iż Sebastian chętnie wybrał się na objazd majątku bez niej.

Sebastian ruszył galopem, gdy zostawił za sobą dziedziniec. Szybka jazda nie poprawiła mu nastroju.

Powinien był zostawić ją w Londynie. Głupio postąpił, wyszukując powody, żeby ją wziąć ze sobą.

Owszem, należało się tu z nią pokazać, ale niekoniecznie akurat teraz.

Działała mu na zmysły, podniecała go. Czasami. Było to jedyne usprawiedliwienie, ale cholernie nędzne.

Oczywiście musiała wiedzieć, gdzie się znajdowały królewskie młyny prochowe. Kelmsleigh

zapewne wspominał o tym w domu, podobnie jak Wellington o wojnie, a inni lordowie o koniach i klubach.

Było z jego strony głupotą się spodziewać, że tego ranka pozwoli mu robić, co chciał, tak jak w Londynie, i nie będzie go o to wypytywać. Nie przejmowałaby się, gdyby sądziła, że wybrał się do kochanki, ale nie zmilczała, podejrzewając, że pojechał do młynów prochowych.

Kusiło go, żeby ją okłamać. Nie po to, by uniknąć kłótni, ale by nie widzieć bólu w jej oczach.

Gdyby wiedział, że z takim spokojem przystaje na to, że niewiele dla niego znaczy, jakby to była powszechnie przyjęta prawda, toby ją okłamał. Gdyby jednak przewidział, co ona jeszcze powie...

- Hej, hej!

Ściągnął gwałtownie wodze i się odwrócił. Rządca przywoływał go gestem ręki, wskazując na lewo.

- Chciał pan, zdaje się, jechać do farmy Muldera?

Czyżby? Nie przypominał sobie. Tracił rozum. Dlatego, że pewna kobieta czuła się nieszczęśliwa.

Zawrócił konia ku leśnej ścieżce, która wiodła do farmy. Miał tam rozmawiać z dzierżawcami o wprowadzanych ulepszeniach. Chciał robić coś użytecznego, zamiast oskarżać pewną zielonooką

kobietę o to, że mu nie ufa.

Kolacja przebiegła pomyślnie. Nie było to jednak zasługą Audrianny. Przygotowali ją rządca i gospodyni, a Sebastian zaprosił gości. Audrianną wystąpiła w roli pani domu.

Sebastian okazał się znakomitym gospodarzem. Błyskotliwym, uprzejmym, serdecznym. Odprężył

się w towarzystwie tych ludzi, znanych mu od dzieciństwa. Skrępowanie - choć nie sądziła, by ktoś je zauważył - panowało tylko między nimi dwojgiem.

Zadał jej ból i wciąż to odczuwała. Próbowала go uśmierzyć, ale kłótnia przygnębiła ją tak, że nie potrafiła go ukryć.

Nie chciała tej niewidzialnej bariery, która wyrosła między nimi. Nie chciała utracić powstałej między nimi zażyłości, która czyniła jej życie więcej niż znośnym. Nadal jednak nurtował ją lęk, że Sebastian skaże jej ojca na jeszcze większą hańbę, a on nie może się już przecież bronić.

Spojrzała na niego przez stół zastawiony srebrem i porcelaną. Damy rozmawiały o sukniach

kupionych z okazji sezonu, mężczyźni o polowaniach i polityce. W pewnej chwili ich oczy się spotkały, a on się uśmiechnął.

Niejednym z tych swoich zwycięskich uśmiechów, które ją hipnotyzowały nawet nie przyjacielskim.

Tylko uspokajającym. I to było wszystko. Życzliwy uśmiech, który mówił, że nieodpowiednia żona sprawiła się dzisiejszego wieczoru dość dobrze.

Nie przyszedł do jej sypialni tej nocy. Czekala na niego. Aż zrozumiała, że tego nie zrobi.

Zabolało ją to. Przestraszyło. Poczula pustkę w sercu, jakby odebrano jej coś niezbędnego do życia.

Analizowała w myślach sprzeczkę, która tak bardzo ich poróżniła. Mimo że trwała krótko, stała się przyczyną wybuchu gwałtownych uczuć - z jej strony był to gniew, ból i strach. A z jego strony?

On także się rozgniewał, kiedy powiedziała, że wie, iż będzie nadal prowadził śledztwo, nawet jeśli to ją zrani. Nie mogła zapomnieć jego reakcji, wyrazu jego twarzy - nie tylko gniewu. On również był zaskoczony, a także chyba urażony.

Nagle ta kłótnia ukazała się jej w innym świetle. Nie tylko ona była boleśnie dotknięta. Wyobraziła sobie, jak on mógł przyjąć jej słowa.

Spotkał się z kimś w młynie prochowym i wynikły z tego jakieś kłopoty. Nie chciał o tym mówić. Nie chciał jej powiedzieć, w jakim kierunku nowe informacje go skierowały. Próbował jej oszczędzić cierpienie, przynajmniej na razie. A ona zarzuciła mu, że go nie obchodzi jej szczęście.

Znalazła jakąś zwykłą suknię i ją włożyła. Otuliła się długim szalem. Chciała pójść do niego i przeprosić. Nie za to, że czuła się zraniona. Nie za to, że przeraziła się czy rozgniewała. Chciała go przeprosić, bo się nie zastanowiła nad tym, dlaczego on też czuł gniew i urazę.

Nie było go w jego komnacie. Rozglądała się po niej, rozczarowana. Zdobyła się na odwagę i nic z tego nie wyszło.

Usłyszała, że w gotowalni ktoś podchodzi do drzwi. Serce w niej zamarło, gdy ujrzała, że się otwierają. Zdziwiła ją własna reakcja. Nie był nią wcale strach, tylko podniecenie, radość i nadzieja, że wszystko się dobrze ułoży.

Ale to nie był Sebastian. Stary sługa, który pełnił funkcję jego lokaja, patrzył na nią, stojąc w drzwiach.

- Poszedł do obserwatorium - powiedział. - Nie wiadomo, kiedy wróci, madame.

- Gdzie jest to obserwatorium?

- Tak naprawdę to nie obserwatorium, tylko domek ogrodnika. Trzeba przejść przez ogród, a potem prosto przez lasek, do polany po drugiej stronie.

Wyszła na zewnątrz i zeszła na dół schodami. Nie czuła chłodu nocy, w szalu było jej ciepło. Chciała znaleźć Sebastiana, powiedzieć mu to, do czego czuła się zobowiązana, a potem odejść. Może rano nie

będą już sobie tak obcy.

Kosmos go uspokajał. Jego pustka wchłaniała w siebie mrok jego duszy. Kropla trucizny nie działa, gdy się ją rozpuści w oceanie.

Dzisiejszej nocy, jak podczas niektórych dawno minionych, kosmos działał na niego odmiennie.

Wzruszyło go do głębi jego piękno.

Przestała go obchodzić astronomia i fakty naukowe, wpatrywał się tylko w bezmiar wszechświata, aż poczuł, że się odrywa od ziemi. Teleskop, domek ogrodnika, jego ciało na długą chwilę przestały istnieć.

Rzadko mu się to teraz zdarzało. Był wdzięczny losowi, że doświadczył raz jeszcze czegoś, co podobne było do żywego wspomnienia o przyjacielu z dzieciństwa.

Świat jednak zawsze dawał znać o sobie, wystarczył lekki wiatr, dotyk metalu, westchnienie lub oddech. Niewiele trzeba, żeby czar prysnął.

Tym razem nie był to dźwięk ani dotknięcie, tylko świadomość, że nie jest już sam. Oderwał wzrok od

gwiazd.

Audrianna stała za otwartymi drzwiami i patrzyła na niego. Miała na sobie suknię domową nazywaną

marszczonymi koronkami. Nie pasowała do wełnianego szala, którym się owinęła. Księżyc przeświecał przez kasztanowate włosy, ale twarz pozostawała w cieniu.

- Wejdz, Audrianno.

Przeszła po trawie i weszła do środka domku z podłogą z desek. Nie paliła się tu żadna lampa, tylko przez otwarte drzwi i otwór w dachu wpadało słabe światło księżyca.

Rozejrzała się po skromnym wnętrzu. Nie był to nawet zwykły wiejski domek. Ta chatka służyła ogrodnikowi podczas długich godzin jako miejsce wytchnienia. Sebastian zainstalował tam teleskop dziesięć lat temu, kiedy zrozumiał, że chatka jest idealnym do tego miejscem, bo stała na najwyższym wzniesieniu i w prześwicie pomiędzy drzewami.

Powiodła palcami po lśniącym metalu teleskopu.

- Czemu wystaje przez ten otwór? A jeśli pada deszcz? Praktyczny zmysł Audrianny i jej troska o instrument wzruszyły go.

- Kiedy wychodzę stąd, składam teleskop i zasłaniam otwór. Chwycił za cienki sznur zwisający z pułapu.

- Gdy pociągnę za to, sufit rozciągnie się nad całym domkiem.

Podziwiała teleskop i nachyliła się ku niemu, żeby zobaczyć, jak się go nastawia.

- Wspaniały.

- Chciałabyś spojrzeć przez niego?

- Bardzo, jeśli mi wolno.

- Podejdź tutaj.

Nastawił soczewki na Marsa, a potem posadził ją sobie na kolanach.

- Spójrz dokładnie w to miejsce.

Zrobiła to bardzo ostrożnie, jakby się bała, że coś zepsuje. Przyłożyła oko do wylotu okularu i zaparło jej dech z wrażenia.

- To wprost przerażające - wyszeptała. - Fantastyczne.

Poczuł, że wciągają to tak samo, jak niegdyś jego. Otoczył ją ramieniem, by nie rozpraszało jej chybotanie się na jego kolanach. Jedwabiste pasma włosów muskały jego twarz. Pochwycił w garść otulający ją szal.

- Poczekaj.

Przechylił jej głowę na bok, nakierowując teleskop na inne ciało niebieskie, i sprawdził jego zasięg.

Spojrzała ponownie i znów jej zaparło dech.

Gwiazdy rozproszyły jego zły nastrój. Trzymanie jej na kolanach również. Choć nie całkowicie.

Nieokreślony niepokój wciąż tkwił w nim głęboko, już od dwóch lat, ale teraz choć na krótko mógł o nim zapomnieć.

- Czy nigdy cię nie nudzi oglądanie gwiazd? - spytała. - Nie spowszedniało?

- Nigdy. - Odpowiedź była cicha, wypowiedziana stłumionym głosem. Męska. Spokojna.

Zrozumiała teraz, dlaczego poczuła taki spokój, gdy zajrzała w te drzwi. Ten domek ofiarowywał mu azyl nieznanym większości ludzi. Mógł patrzeć w gwiazdy, a każde uczucie wydawało się nikłe w porównaniu z nimi.

Przeszkodziła mu w tym. Okazała się natrętem. Było z jego strony uprzejmością, że pozwolił na to i

pokazał jej cuda, znajdujące się na rozgwieżdżonym nocnym niebie.

Zsunęła się z jego kolan.

- Dziękuję ci. To było coś niesłychanego.

- Któregoś dnia zabiorę cię do Greenwich i zakradnę się z tobą do tamtejszego obserwatorium, żebyś mogła spojrzeć przez większy teleskop.

- Chętnie. A zakradanie się też może być zabawne.

Przeszła po deskach podłogi i zeskoczyła na trawę. Spojrzała w niebo, tak różne od tego, które dopiero co zobaczyła.

- Audrianno, po coś tu przyszła?

Obejrzała się. Nie wrócił do swojego azylu. Stał w drzwiach domku.

- Nie spacerujesz nocami. Skąd ta odmiana?

- Szukałam cię. Chciałam cię przeprosić. Nie za to, co czułam, ani za wzięcie w obronę ojca.

- A więc za co?

- Za to, że myślałam tylko o moich uczuciach i lękach. I za to, że nie byłam uprzejmiejsza.

Powiedziałam też, zdaje się, coś, czego nie zamierzałam mówić. Jeśli tak było, to żałuję.

wyszedł na zewnątrz.

- Nie można cię winić za to, że szybko dostrzegasz coś, czego ja zbyt długo nie dostrzegałem.

- Nie wiem nawet, co masz na myśli. Chyba mnie źle zrozumiałeś.

- Powiedziałaś, że podjąłem się śledztwa z powodu brata, z którym muszę teraz dzielić życie.

Nazwałaś po imieniu niewygodną prawdę.

- Nie miałam na myśli tego, że wy dwaj żyjecie jednym życiem.

- Tylko że tak właśnie jest.

- Nie rozumiem...

- W takim razie posłuchaj. Mam jego wpływy, jego władzę. Odgrywam rolę właściciela w jego posiadłościach i siedzę za stołem tam, gdzie przedtem siedział on. Przystosowałem moje życie i samego siebie do obowiązku zastępowania go, ale nie zajmowania jego miejsca. Gdyby zginął na

wojnie, byłyby to dużo bardziej tragiczna przyczyna zajęcia przeze mnie jego miejsca, ale i obowiązki, i rolę odziedziczyłbym w sposób naturalny.

Mówił coraz ostrzejszym tonem. Nie do niej. Same myśli i słowa budziły w nim gniew.

- Ależ ty nie... Budzisz podziw niezależnie od niego, a twoja siła płynie z twego własnego charakteru i rozsądku.

- Jeśli tak istotnie jest, tym gorzej! Żyję jego życiem, zajmuję jego miejsce, ale on nadal żyje i widzi, jak ja to robię! Jeśli uzna, że żyję jego życiem lepiej niż on... Do pioruna, ta wspólna egzystencja chwilami nęka mnie straszliwie, ale musi dużo bardziej nękać jego. Stałem się złodziejem. A on na tym traci.

Audrianna nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Rozumiała jednak, dlaczego z takim uporem pragnie wyjaśnić sprawę prochu i dlaczego nie chce z tego zrezygnować. Brat, który siedział unieruchomiony w fotelu, nie mógł tego zrobić, musiał więc podjąć się tego jego w pełni sprawny brat. Z miłości czy też z obowiązku, chciał zapewnić bratu jakiś rodzaj sprawiedliwości.

- Robisz to, co musisz. Niczego nie kradniesz.

- Czyja kradnę, czy on daje, dzielimy się życiem wskutek wyroków losu.

Wyciągnął rękę i dotknął w ciemności jej twarzy.

- Nawet tobą się dzielimy.

Zaparło jej dech - ale nie tylko z powodu oskarżenia, którym ją obciążył.

- Co masz na myśli?

- Wiesz dobrze.

Obawiała się, że wie. Wiedziała o tym już wcześniej. Tylko że teraz nabrało to nowego znaczenia.

- Tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy przekroczyłam progi waszej rezydencji, twój brat dobrze się czuł w moim towarzystwie, śmialiśmy się, żartowaliśmy... Czy dlatego oświadczyłeś mi się po raz drugi? Dla niego?

- Częściowo może tak. Nie uświadamiałem sobie tego. Jednakże, widząc, jak się cieszy, może nalegałem na ciebie bardziej, niż zamierzałem.

Złożył ręce na piersiach i spojrzał w niebo, jakby chciał w ten sposób ukoić swoją rozterkę albo szukać drogi ucieczki.

- Dwie połowy jednej całości. Tak bardzo do tego przywykłem, że nie zwracam już na to uwagi,

tylko

że od prawdy nie da się uciec. Oczywiście nie chciałem ani nie miałem zamiaru dzielić się tobą dosłownie.

Była w szoku, ale w jej głowie nie panował chaos. Przeciwnie, wszystko teraz widziała z niesłychaną

precyzją. Przesuwały się przed nią wspomnienia, uwagi, pytania, reakcje, nastroje. Niestety, pojmowała aż za dobrze to, co jej dawał do zrozumienia.

- Jeśli sądzisz, że żywię jakieś romantyczne uczucie względem twego brata i z tego powodu ubolewam

nad jego kalectwem, bardzo się mylisz. Spojrzał na nią. Z mroczną uwagą.

- On jest moim przyjacielem - ciągnęła. - Dobrym przyjacielem. Kocham go jak brata. Z pewnością nie jak męża czy kochanka. Jeśli coś ze sobą dzielicie, to na pewno nie mnie.

I objęła go, chcąc w ten sposób zmusić, by jej uwierzył. Przygarnął ją do siebie i spojrzał na nią tak, jakby pragnął w tym mroku przemknąć jej myśli. Ujęła jego twarz w dłonie i przyciągnęła ją ku sobie, żeby go pocałować. On zaś wreszcie pojął, że jeśli nawet był dla niej obcy, to pragnęło jego bliskości nie tylko jej ciało. Później stało się to, co się stać musiało. Wiedziała, że ten pocałunek dolewa oliwy do ognia. Będzie kolejnym azylem lub zasypie przynajmniej przepaść, która tak

ratalnie rozdzieliła

ich tego dnia.

Księżycowa poświata rozjaśniała tę czarodziejską noc. A okalające polanę ciemne drzewa stały się ścianami intymnego pokoju, stworzonego przez samą naturę. Gwiazdy błyszczały na firmamencie niczym migotliwe cekiny na

baldachimie nad małżeńskim łóżem.

Namiętność ogarniała ją coraz silniej w jego objęciach. Obsypywał ją szaleńczymi pocałunkami, napierał na nią gwałtownymi pieszczotami. Uwielbiała ten atak, zachęcała do niego. Jego brutalna po-tęga wzbudzała w niej słodkie emocje, w których kryło się zaufanie i pełne ulgi przeświadczenie, że w tym niełatwym dla niej dniu nie będzie pozostawiona sama sobie, by patrzeć, jak on oddala się od mej, zamiast się zbliżać. Jego ramiona podtrzymywały ją, kontrolowały. Osunął się na kolana i okrywał

pocałunkami jej biodra, uda, brzuch, podbrzusze. Czula ich żar przez suknię, czula je w swojej krwi, w całym ciele. Ściągnął z niej szal, rzucił go na ziemię i legł na nim, pociągając ją za sobą, unieruchomioną w jego objęciach, wtopioną w niego.

Uniósł ją tak, że uklękała nad nim w rozkroku, i przesunął dłonią po jej sukni.

- Rozepnij ją.

Szamotała się niecierpliwie z guzikami, unosząc się nieco, żeby dosięgnąć każdego z nich. On też wyswobodził się z ubrania. Zadrżała, przeczuwając to, co miało teraz nastąpić. Pulsujący w niej nisko punkt błagał o zaspokojenie.

Rozsunął stanik jej sukni, odsłaniając ciało. Gwiazdy zabłyśły w jego oczach, kiedy zaczął pieścić jej piersi, a pulsowanie narastało.

Wyszarpnęła spod siebie suknię, żeby pulsującym miejscem poczuć twardość i gorąco jego ciała, obiecującego spełnienie. Jakże cudowne było to klęczenie nad nim w świetle księżyca i jak cudowne były jego pieszczoty!

Przyciągnął ją ku sobie, językiem rozkosznie torturując jej piersi, i wszedł w nią, ale nie do końca.

Oczekiwanie doprowadzało ją do szaleństwa. Jej piersi stały się wrażliwe na najlżejszy dotyk, a każde liźnięcie spływało gorącą falą rozkoszy tam, gdzie byli złączeni.

Niemal płakała, gdy wniknął w nią głęboko, aż do samego dna. Odrzuciła głowę w tył w ekstazie, a kiedy otwarła oczy, wydało się jej,

że gwiazdy spadają z nieba i łączą z jej ciałem. A potem osunęła się bezwładnie w jego ramiona, gdy ją brał w dzikim zapamiętaniu.

Prześliznęli się przez ogród przed samym świtem, nasyceni, na wpół ubrani, i wkradli się cicho do domu niczym dwoje służących po potajemnej schadzce.

Towarzyszył jej do samych drzwi sypialni. Pocałowała go, zanim je otworzyła. Czy był to jej czwarty pocałunek, którym go obdarzyła z własnej, nieprzymuszonej woli, nim ją doprowadził do

całkowitego

zapomnienia? Stracił już rachubę.

- Możesz wszystko zmienić, jeśli tylko tego chcesz - powiedziała. - Możemy wyprowadzić się z rezydencji na Park Lane. Możesz zrezygnować z polityki. Zrobię, czego tylko zapragniesz.

I dodała z uśmiechem:

- Możemy też pojechać do Brazylii.

Wzruszyła go jej troska o niego. Pocałował ją jeszcze raz nim odszedł.

- Jesteś zbyt dobra, a ja jestem ci za to wdzięczny. Nie wiem jednak, czym moje życie ma się jeszcze stać. Nie wiem, czego pragnę.

Pragnął jej. Wiedział, że jej pragnie. I jej namiętności, i jej serca. Właśnie tego.

Jakież to było nieoczekiwane.

Po czterech dniach Sebastian doszedł do wniosku, że nawet zgodna i namiętna żona może się w końcu poczuć zmęczona, jeśli mąż bez przerwy korzysta z jej wdzięków. A że nie mógł się od tego

powstrzymać w idyllicznej scenerii, gdzie nic temu nie stało na przeszkodzie, oznajmił służbie, że on i Audrianna chcą wrócić do Londynu.

Usnęła w jego ramionach niemal od razu, gdy powóz wyjechał za bramę. Powinno go nękać poczucie winy, że doprowadził ją aż do takiego stanu, ale czuł tylko i wyłącznie piekielną wprost satysfakcję.

Po nocy spędzonej w oberży poczuła się następnego dnia nieco przytomniejsza. Zauważyła więc, że nie jadą tą samą drogą, którą

przyjechali na wieś.

- Jesteśmy w hrabstwie Middlesex - powiedziała, przypatrując się uważnie mijanym farmom i domom, gdy zbliżali się do Londynu. - Jesteśmy więc niedaleko od Cumberworth.

- Jeśli tylko uda nam się dojść do siebie, mogłabyś chyba, jak sądzę, odwiedzić swoje przyjaciółki.

Uśmiechnęła się z radością, a on poczuł się jak wielkoduszny władca, udzielający zgody na pokorną prośbę, by wolno było podtrzymywać dawne przyjaźnie, choć doskonale wiedział, że Audrianna

zrobi, co się jej żywnie podoba. Oto jak kobiety zmieniają zdrowych na umyśle mężczyzn w głupków.

Uśmiech jej szybko przygasł.

- Nie będzie to miła wizyta. Muszę pomówić z Celią. Nie napisałam do niej przed naszym wyjazdem.

Nie mogłam się zdobyć na odwagę ani znaleźć właściwych słów.

- Bezpośrednia rozmowa będzie łatwiejsza. I na pewno uprzejmiejsza.

Pani Joyes wyszła z domu, gdy powóz się przed nim zatrzymał. Uściskała Audriannę i przywitała się życzliwie z obojgiem.

- Lizzie i Celia są w oranżerii. Powinnaś zaraz do nich pójść. Ucieszą się z twoich odwiedzin.

- Muszę pomówić z Celią w cztery oczy, Daphne. - Audrianna spojrzała na męża przy tych słowach.

- Odejdź więc z nią gdzieś na bok. Lizzie z pewnością to zrozumie.

- Chętnie tu spędzę parę chwil, ciesząc się tak piękną pogodą, jak dziś - zapewnił Sebastian. - Gdy

zechcesz już wracać, znajdziesz

mnie w ogrodzie. Może przejdziemy się po nim, pani Joyes? Zdaje mi się, że jest tu wejście.

Pani Joyes poszła z nim w tamtym kierunku. Widział, jak Audrianna w swoim jasnym kapelusiku z krepy wchodzi do oranżerii i wita się serdecznie z przyjaciółkami. Nie mógł przez szkło dojrzeć wyraźnie ich rysów, ale poznał Celię po jasnych włosach. Drugą z dziewcząt musiała być Lizzie, brunetka.

Wkrótce ciemnowłosa głowa oddaliła się i Audrianna została sama z Celią.

- Nie będzie to miła rozmowa, prawda? - spytała pani Joyes, odwracając wzrok od szyb.

- Istotnie. Czy wie pani, czego będzie dotyczyć i dlaczego?

- Myślę, że tak. Dowiedział się pan o matce Celi i zabronił Audriannie przyjaźnić się z nią.

- Bez wątpienia uważa pani, że to okrutne. Ale Audrianna rozumie, dlaczego musi tak postąpić.

- Rozumiem i ja, lordzie Sebastianie. Ludzie, którzy walczą z całym światem, nie mogą wygrać wszystkich bitew. Audrianna nie jest dobrze przygotowana do tej bitwy i musi ją przegrać.

- Myślę jednak, że ma zamiar nadal odwiedzać ten dom. Nie będzie to nieodwołalny kres jej przyjaźni.

Pani Joyes była poruszona jego słowami. Sebastian dał jej do zrozumienia, że się na to zgodził, zamiast pokryć całą sprawę milczeniem.

- Zaskoczyło mnie, że pani się domyśliła, o co chodzi - odparł. - Audrianna nie mówiła, że wie pani wszystko o przeszłości swoich towarzyszek. Wspomniała tylko, że regulamin zabraniał o to pytać.

- Wiem o nich sporo. W końcu to mój dom i ja je tu sprowadziłam. Ale to dobry regulamin, choć sądzę, że pan go nie aprobuje.

- Jak widać z rozwoju wypadków, niesie ryzyko. Mogła pani przynajmniej ostrzec Audriannę.

- A to znaczy zapewne, że powinnam była ostrzec pana? Istniało duże prawdopodobieństwo, że nikt nie pozna prawdy. Winna byłam dochować sekretu Celi, a nie uprzedzać pana.

Przystanąła, żeby przyjrzeć się uważnie pnącej róży na ścianie oranżerii. Powiedziała półgłosem do siebie coś o konieczności jej przycięcia i poszli dalej.

- Czy czeka mnie więcej niespodzianek? - spytał. W tym domu były jeszcze dwie inne kobiety o niejasnej przeszłości, w tym ta, która szła koło niego.

- Być może. Nigdy nie wiadomo. Kobiety nieraz mają słuszne powody, żeby zostawić swoją przeszłość za sobą. Ale czasem może ich ona dopaść mimo wszystkich wysiłków... - Daphne wzruszyła ramionami.

- Póki żadna z was nie okaże się morderczynią, reputacji mojej żony nie nadszarpną zapewne kolejne rewelacje.

Żart Sebastiana nie rozbawił pani Joyes.

- Opowiem panu coś, co dowiedzie, że nawet ja nie wiem o wszystkim. Kiedy tu zamieszkałam, miałam służącą. Potem wynajęłam inną. Nie była znana w tej okolicy i niewiele o niej wiedziano.

Wydała mi się osobą uczciwą, więc ją zatrudniłam. Stała mi się z czasem bliska jak siostra. Można by uznać, że to dzięki niej powstały Najrzadsze Kwiaty. Oranżeria w dużej mierze zawdzięcza swoje istnienie właśnie jej wiedzy o ogrodnictwie i temu, czego mnie o nim nauczyła. Przyjaźń tej łagodnej osoby przekonała mnie, że kobieta bez rodziny nie musi być samotna.

- Dobrze pani zatem zrobiła, przyjmując ją tutaj, i obydwie czerpałyście z tego korzyść. Jedno korzystne doświadczenie nie dowodzi jednak, że z innymi będzie podobnie.

- Niech pan słucha dalej. Ta kobieta zaprzyjaźniła się z drugą ze służących i pewnego dnia zwierzyła się jej z czegoś, o czym już się od kogoś dowiedziałam: że uciekła od męża, który ją bił. Powiedziała jej też, jak się nazywa. Ta druga dziewczyna nie okazała się dyskretna. Nie chciała jej wprowadzić skrzywdzić, ale sekret wyszedł na jaw. Okrutny mąż przyjechał tutaj i zabrał ją stąd siłą, bo mu na to zezwalało prawo.

Twarz jej stężała.

- Nigdy nie zapomnę strachu w jej oczach. Byłam bezsilna, nie mogłam jej pomóc.

Zaczerpnęła głęboko tchu, żeby stłumić drżenie głosu.

- Uderzył ją dwukrotnie, w mojej obecności, pięścią w twarz. Od tej pory, gdy któraś z moich towarzyszek nie chce mówić o swojej przeszłości, respektuję jej wolę, lordzie Sebastianie, i spodziewam się również tego po wszystkich pozostałych.

Cóż można było odpowiedzieć po usłyszeniu podobnej historii? Mimo to Sebastian nadal uważał, że niejednoznaczny charakter tego domostwa może kryć w sobie zagrożenie dla niego.

- Mam nadzieję, że pani dobroć i szczodrość zawsze spotkają się z życzliwym przyjęciem.

- Myślę, że pewnego dnia może stać się inaczej. Moja znajomość ludzkich charakterów chroniła mnie jednak do tej pory przed czymś takim.

Spojrzała ku oranżerii.

- Audrianna już wraca i najwyraźniej jest bliska łez. Muszę tam pójść, żeby pocieszyć Celię. Ukojenie smutku żony pozostawiam panu, lordzie Sebastianie.

Sebastiana wkrótce pochłonęły sprawy rządowe i początek sesji parlamentu, Audriannę zaś wymogi coraz częstszych spotkań towarzyskich.

Zaczęła przyjmować gości. Wybrała wtorkowe popołudnia, kiedy - o tym wiedziała - lady

Wittonbury

opuszczała dom. Przyjmowała ciekawskich i niezycziwych, przyjaznych i interesownych. Tych

ostatnich było o wiele więcej, niż się spodziewała. Zbyt wielu ludziło się, że żona lorda Sebastiana może wpłynąć na niego z korzyścią dla ich rodzin.

Większość petentów to były kobiety, ale znalazło się również w tym gronie kilku mężczyzn. Kobiety bywały aż nazbyt szczere, mężczyźni liczyli na to, że pochlebstwa i czas odniosą nad nią zwycięstwo. Ciekawa była, co by Sebastian pomyślał, słysząc poetyczne westchnienia kierowane do niej podczas tych wizyt.

Może by ich jednak nie uznał wcale za coś dziwnego? Być może sam składał wizyty żonom różnych lordów lub członków parlamentu i starał się zyskać przychylność ich małżonków dla którejś ze

ustaw.

Dwa tygodnie po wizycie w Airymont zabrała ze sobą do salonu książkę, oczekując na bilety

wizytowe i gości. Ruch na ulicy był duży, przejeżdżały nią liczne karety i inne powozy. Do Londynu zjeżdżały się najlepsze rodziny na rozpoczynający się nowy sezon towarzyski.

Wyciągnęła z książki list. Napisała do niej Celia. Umówiły się, że nadal będą ze sobą

korrespondować, Audrianna zaś nie zaprzestanie swoich wizyt. Spojrzała na kopertę zaadresowaną znanym jej charakterem pisma i przypomniało się jej spotkanie, podczas którego spytała Celię, czy lady Ferris mówiła

prawdę.

Celia nie okazała zakłopotania. Ani też wstydu. To była ulga. Od razu jednak zrozumiała, jakie to będzie miało znaczenie dla ich przyjaźni. Nie była rozgoryczona i nie wyglądała na boleśnie

dotkniętą. To właśnie Audrianna zaczęła płakać, a Celia ją pocieszała.

A teraz napisała i był to bardzo tajemniczy list. Zapewne myślała, że Sebastian może go przeczytać, i

nie ośmieliła się wyrażać w sposób otwarty.

Mam powód sądzić, że wkrótce otrzymasz odpowiedź na swoje pytania.

Celia miała na myśli pytania o Domino. Jak dotąd Audrianna nie dostała jednak żadnych listów z biura Loversalla, radcy prawnego, którego wybrała na „skrzynkę pocztową”. Żaden też pracownik hoteli i teatrów nie szukał z nią kontaktów, żeby ją o czymś powiadomić. Nieprawdopodobne też było, by

Celia sama spotkała Domina, tak więc jej aluzje były zbyt tajemnicze, by je zrozumieć.

Audrianna wolałaby, żeby Celia napisała jej o czymś innym, na przykład o stanie zdrowia Lizzie i roślinach rozkwitłych wiosną w ogrodzie. Sama zachodziła nieraz do kwiaciarni zaopatrywanych przez Najrzadsze Kwiaty i kupowała bukiety, które przyprawiały ją o nostalgię.

- Madame...

Czyjś głos przerwał jej rozmyślenia. Stał przed nią kamerdyner z tacą w ręce.

Przeczytała bilet wizytowy i się zasepiła. Przyszedł do niej z wizytą Roger. Doprawdy, to było z jego strony zuchwałstwem.

Zgodziła się go jednak przyjąć i zebrała wszystkie siły, obawiając się nawrotu dawnych, smutnych wspomnień. Gdy jednak Roger wszedł do salonu, odczuła jedynie umiarkowaną irytację. Że też nie miał na tyle rozsądku, by trzymać się od niej z daleka!

Był w mundurze i wyglądał bardzo korzystnie. Wzrok jego prześliznął się po salonie, a potem zatrzymał na jej samotnej postaci. Okazywał wyraźną poufałość, na którą ona wcale nie mogła się zdobyć, mimo że znajdowali się w salonie całkiem sami.

- Znow przyjechałeś tu z Brighton?

- Tak, wziąłem krótki urlop. Mam nadzieję, że wszyscy będziemy się doskonale bawić podczas tego sezonu. W Brighton nie ma zbyt wielu atrakcji prócz wizyt księcia regenta. A Francuzi już nas chyba nie najadą.

- Ale z pewnością w obu miastach kwitnie życie towarzyskie. Panie zawsze i wszędzie lubią wojskowych.

Zaczęli rozmawiać o przyszłych balach i zabawach.

- Mam nadzieję, że spotkam jakieś osoby ze sfer rządowych, które by mi pomogły w karierze podczas pokoju - wyjaśnił. - Na prowincji nie potrzeba aż tylu oficerów, a mnie się nie uśmiecha życie na pół pensji.

Audrianna już wiedziała, dlaczego do niej przyszedł. Udawała jednak, że nie rozumie, o co mu chodzi.

- Może mogłabyś szepnąć za mną słówko? - spytał, gdy nie wystąpiła z żadną ofertą pomocy.

- Rogerze, tylko głupia kobieta prosiłaby męża o pomoc dla byłego narzeczonego. Nie jesteś co prawda jego rywalem, ale mężczyźni zawsze są mężczyznami.

Odpowiedź jej szczerze zaskoczyła Rogera.

- Twój mąż? Lord Sebastian? Nigdy bym od ciebie nie żądał czegoś takiego. Miałem nadzieję, że porozmawiasz o mnie z markizem.

- Wittonbury jest inwalidą. Nigdy nie opuszcza domu. Nie ma już praktycznie żadnych wpływów.

- Ale przecież nie jest pustelnikiem? Mówiono mi, że nim wyruszył na wojnę, był bardzo wpływowym

człowiekiem, a teraz budzi jeszcze więcej sympatii. List od niego, wysłany do właściwych osób, wzbudziłby przychylne nastawienie adresata, który odniósłby się do jego prośby życzliwie. Kochał armię i nadal ją kocha, a w Ministerstwie Wojny nie potraktowano by jego rekomendacji lekceważąco.

- Przecież on cię nawet nie zna. Czemu miałby cię rekomendować?

- Ale zna ciebie. Co by z tego wyszło, jak myślisz? Ktoś zna kogoś, kto zna jakąś osobę, a ta osoba robi z uprzejmości przysługę. - Uśmiechnął się chytrze. Mówią, że ma słabość do ciebie. Jeśli tak, to chętnie napisze list.

- Mówią? Kto mówi? Wzruszył ramionami.

- Wszyscy o tym wiedzą. Słyszałem, że nie kryje się ze swoim przywiązaniem do ciebie i chce ci pomóc, tak by fakt, że przyłapano cię z jego bratem w Brighton, nie budził zbyt wielkiej pogardy.

Nie doceniła markiza. Może i siedział niczym więzień w swoich apartamentach, ale - jak Roger powiedział - nie był pustelnikiem. Nadal przyjmował niektórych przyjaciół i mógł pisać listy.

Wzruszyło ją, że próbował ułatwić jej życie.

- Jeśli Wittonbury ma do mnie słabość, pochlebia mi to. Sądzę jednak, że nie należy tej jego sympatii przeceniać. Nie mogę za często czerpać z tego korzyści.

Roger uznał, że jego prośba spełzła na niczym. Pokrył rozczarowanie formalną uprzejmością i szybko się pożegnał.

Audrianna uznała zaś, że dość długo przyjmowała już wizyty, i poszła do apartamentów markiza. W ostatnich tygodniach nie

odwiedzała go tak często, jak przedtem. Częściowo przyczyną tego były jej obowiązki towarzyskie, ale jego tryb życia również się zmienił.

Jeden z wezwanych lekarzy oznajmił, że stwierdził nieznaczny powrót czucia w nogach

Wittonbury'ego. Sebastian zarządził, by brat podjął na nowo ćwiczenia. Gdy ktoś przechodził po południu koło pokojów markiza, mógł słyszeć, jak ten przeklina, gdy Fenwood zmusza jego osłabłe mięśnie do ruchu.

- Ach, droga siostrze, jakże się cieszę, że jesteś tutaj. Fenwood nie ma teraz dla mnie litości.

Nie mogła się powstrzymać od ukradkowego spojrzenia na jego nogi. Pled już ich nie zakrywał, chyba

że przyszli do niego goście. Wydało się jej, że nie są już tak wychudzone, jak przedtem. Nie przypominały cienkich pęków szmat wsuniętych w spodnie.

- Tylko mnie o nic nie pytaj - powiedział. - Wszystko to bzdurny nonsens, mam dość mówienia o nim.

- W takim razie nie będziemy o tym mówili. Czy mam ci poczytać, czy też chciałbyś może pograć w szachy?

- Pettigrew i Eversham. P&E - mamrotał w kółko Holmes, skarbnik Komisji Zbrojeniowej, przeglądając księgi rachunkowe w swoim biurze w Tower.

Trzeba było aż dwóch tygodni i niemałego politycznego kapitału Sebastiana, by doszło do tego spotkania. Pan Holmes, podobnie jak inni członkowie Komisji, swoją funkcję zawdzięczał Koronie i nie czuł się zobowiązany do wyświadczenia przysługi byle członkowi Izby Gmin. Dopiero gdy

premier dał mu do zrozumienia, że Korona może się zastanowić, czy ponownie ma mu powierzyć

osiągnięte nie tak dawno stanowisko i wypłacać okrągłą sumkę jako wynagrodzenie, Holmes uznał, że

znajdzie jednak czas na te poszukiwania.

- Ach, mam. Niewielki młyn, mocno już przestarzały, jak na robiony z niego użytek. Proch z tej wytwórni kupowano, zdaje się,

począwszy od 1811 roku. W sumie zapłacono za niego siedemdziesiąt tysięcy funtów. Niemała suma, można by rzec, ale jak na transakcję przemysłową to raczej niedużo. Dziwne, że w ogóle

zawracaliśmy sobie nimi głowę, ale ogromnie nam były potrzebne zapasy amunicji.

- A kiedy płacono im po raz ostatni? Holmes powiódł grubym palcem po stronie.

- W 1814 roku. Myśleli chyba, że wojna będzie trwać wiecznie! Ciekawe, czy zainwestowane pieniądze się im zwróciły po trzech latach.

Zapewne nie. Ta myśl pchnęła przypuszczenia Sebastiana na nowe tory.

- Czy wie pan, kto był właścicielem P&E?

- Rejestry tego nie mówią. Mógłbym zapewne dojść, jak brzmiało nazwisko osoby, której wysyłano pieniądze, ale nie musiał nią być właściciel. Już sama nazwa każe się domyślać jakiejś spółki, choć nazwiska Pettigrewa i Evershama nic mi nie mówią. Mój poprzednik, pan Alcock, mógł je znać, ale nie

jest teraz osiągalny.

- Gdyby pan się dowiedział, komu przesyłano należność, byłbym bardzo zobowiązany. Będę czekał na pański list.

Sebastian wrócił do City. Odwiedził jednego ze swych radców prawnych i kazał mu się dowiedzieć wszystkiego, co tylko można, o P&E, skoro znał już datę prawdopodobnego zawiązania się spółki.

Już sam ten fakt czynił poszukiwanie danych czymś bardziej produktywnym.

Ten gość znów flirtuje z twoją żoną - powiedział Hawkeswell, pilnując się, by przy tych słowach nie patrzeć w stronę Audrianny.

- Rzeczywiście, to on. - Sebastian również ku niej nie spoglądał, ale mimo wszystko wolał zachować czujność.

- Spodziewam się, że po paru tygodniach nawykłeś już do małżeństwa i tym razem nie dasz zrobić z siebie osła.

To się miało dopiero okazać. „Ten gość” w zeszłym tygodniu złożył Audriannie wizytę. Sebastian dowiedział się o tym od swego lokaja, a ten z kolei od kamerdynera. Wyglądało na to, że „ten gość”

ma dostatecznie licznych przyjaciół, żeby go zapraszano na więcej przyjęć, niż można się było spodziewać. Na cóż się może przydać garnizon w Brighton, skoro oficerowie rzadko tam dłużej przebywają?

- To major Roger Woodruffe. Dowiedziałem się tego, żeby ci to powiedzieć - mruknął Hawkeswell.

-

Dostaje zaproszenia dzięki ciotce swojej matki. Ta ciotka wyszła za baroneta, a Roger korzysta, ile wlezie, z jej koneksji.

Hawkeswell zbadał całą sprawę wcale dogłębnie. A zatem wiedział zapewne, że major Woodruffe i Audrianna byli niegdyś zaręczeni.

- Przypuszczam, że będzie się tu plątał przez cały sezon - odpowiedział przyjacielowi. Nie przejmował

się tym za bardzo. Audrianna powiedziała przecież, że już go nie kocha. Skłonny był jej uwierzyć, choćby dlatego, że alternatywę stanowiło zostanie osłem, jak to ujął Hawkeswell.

Obecność Woodruffe'a kazała mu jednak myśleć o dziwnych zrzędzeniach losu. Przypuszczał bowiem, że gdyby nie afera z ojcem Audrianny, zagadkowe ogłoszenie w „Timesie” i fatalne, zakończone skandalem ich pierwsze spotkanie, nigdy w życiu by jej nie poznał.

Albo też by ją jednak poznał. Mógł przecież pójść na jakieś przyjęcie, podobne do dzisiejszego, i zetknąć się z nią, już jako żoną tego oficera.

Co by się stało, gdyby wtedy go zafascynowała? Byłby uwodzicielem cudzej żony. Skoro zaś, sądząc z tego, czego się dowiedział, nie lubiłby majora Woodruffe'a, niezbyt by się tym przejmował. Tylko że, niestety, Audrianna, którą znał, zapewne by się mu nie dała uwieść.

- Widzę, że przyszedł lord Bezwstydnik - mruknął Hawkeswell.

Wyjaśniało to powstanie pewnego zamieszania wśród gości zebranych na przyjęciu. Zaczęto

odwracać głowy i szeptać, kiedy wszedł Castleford. Uśmiechnął się jak ktoś, kogo to bawi, ale też nie dziwi. Matki zaś dawały znaki córkom, by poszły podziwiać arcyzm Najrzadszych Kwiatów,

których

dekoracje znajdowały się na drugim końcu ogrodu.

- Przynajmniej nie jest pijany - powiedział Sebastian.

- Nie mógłby się wtedy radować swoją złą sławą. Nic jej bardziej nie przyczynia niż pijaństwo i rozpusta. Gdyby napisano księgę skandali, zająłby w niej cały rozdział, a tobie i mnie dostałyby się ledwie przypisy u dołu strony, mimo naszych wspólnych wysiłków. Nawet umiarkowana

przyzwoitość sprawia, że nikt cię nie zna!

Gdy odesłane dziewczęta znikły z pola widzenia, młodzieńcy obstąpili Castleforda, jak opiłki żelaza przyciągane magnesem.

- On sprawia, że każdy czuje się przy nim starym nudziarzem. Ma prawdziwy talent do tego. Chętnie bym mu odpłacił pięknym za nadobne. Może tam podejść, żeby uszczknąć coś z jego sławy bezczelnego zuchwalca?

- Nie musisz, bo on najwyraźniej zmierza w naszą stronę. Obiecuj, że mnie powstrzymasz od dania mu

po gębie, jeśli zechce mu się sarkastycznie kpić, jak to on potrafi. Zrobiłbym to samo dla ciebie.

- Muszę cię przeprosić, Audrianno. Moja wizyta była nadmierną śmiałością.

- Jesteś zbyt śmiały właśnie teraz. No i proszę cię, przestań zwracać się do mnie tak poufale.

Zwłaszcza kiedy ktoś może nas usłyszeć.

Roger rozejrzał się wokoło i poczerwieniał.

- Oczywiście. Ale ja tylko...

Z trudem dobierał słowa, spoglądając nieustannie ku innym gościom.

- Powinienem był przewidzieć, że nie będziesz tu mogła ze mną swobodnie porozmawiać. Ulżyło mi, kiedy ujrzałem tę wiadomość od ciebie.

- Wiadomość?

- W „Timesie” - wyszeptał. - Czy nie otrzymałaś mojej odpowiedzi? Zostawiłem ją tam, gdzie sobie życzyłaś.

Nagle zrozumiała wszystko. Chodziło o ogłoszenie dla Domina. Chciała je sformułować możliwie bezosobowo i chyba przesadziła. A Roger uznał niemądrze, że przeznaczone było dla niego!

Od kilku dni nie odwiedzała swojej „skrzynki pocztowej”. List od Rogera wciąż musiał tam leżeć.

- Nie wiem, o czym ty mówisz. Nie zostawiałam żadnej wiadomości dla ciebie.

Jeszcze nigdy w życiu nie skłamała tak niezręcznie, ale nie widziała innego wyjścia.

- „A.K. pragnie spotkać się z D., żeby omówić bardzo poufne sprawy. Proszę zostawić odpowiedź u pana Loversalla, na Portman Square 7”. Czy nie ty dałaś to ogłoszenie?

- Na pewno nie ja. Czemu sądziłeś, że chodzi w nim o ciebie?

- Wiesz przecież, że w szkole przezywano mnie Dumpfry. - Roger poczerwieniał. - Sądziłem, że... -

spojrzał w stronę Sebastiana. -Przecież nie mogłaś podać R.W., moich inicjałów. Byłoby to zbyt oczywiste.

- W Londynie są tysiące osób o inicjałach A.K. Przykro mi, że się pomyliłeś.

- Do licha, on idzie w naszą stronę! - syknął Roger. Sebastian istotnie zmierzał ku nim przez tunel z kwiatów, dzieło

Daphne. Razem z nim szedł Hawkeswell, a także trzeci mężczyzna, w którym rozpoznała księcia

Castleford. Roger zaczął się cofać.

- Ja nie...

- Zostaniesz tutaj - odparła twardo - a ja cię im przedstawię. Jeśli będziesz uciekał przed moim mężem, może niewłaściwie zrozumieć twoje zainteresowanie mną i naszą znajomość, a ja nie będę się przed

nim tłumaczyć z twojego tchórzostwa.

Sebastian podszedł do niej i przedstawił jej Castleforda. Wysoka, smukła i elegancka kobieta o pięknej twarzy zrobiła na księciu duże wrażenie. Mimo dwornych manier emanowało jednak z niego coś, czemu nie ufała. Gdy się nachylił, by ucałować jej dłoń, w jej głowie rozdzwonił się

ostrzegawczy dzwoneczek: Zło! Groźba! Kłopoty! Żal!

Tylko wyjątkowo niemądra kobieta nie cofnęłaby się w popłochu, gdyby zwróciła jego uwagę.

Uśmiech księcia zdawał się jednak mówić, że świat pełen jest wyjątkowo niemądrych kobiet.

- Zaniechałem znajomości z pani małżonkiem i nic nie zrobiłem, by wprowadzić panią do towarzystwa

- mówił Castleford. - Zdobyłeś wielką piękność, Summerhays. Rozumiem teraz, czemu było ci tak pilno zaszyć się w domowym zaciszu, jeśli ta urocza dama cię znęciła.

Sebastian odniósł wrażenie, że w Audriannie Castleford wzbudził zawołany sceptycyzm, lecz komplement sprawił, że się zarumieniła. Jak zawsze, zręcznie się później znalazła w pełnej żarcików rozmowie.

„Ten gość” nie wycofał się jednak i został przedstawiony każdemu z nich. Nawet nie zauważył, że Castleford szybko zapomniał o jego obecności. Major Woodruffe przyjmował dowcipy księcia tak skwapliwie, jakby sądził, że on na to specjalnie czeka.

Sebastian przesunął się ku Rogerowi, chcąc zwrócić jego uwagę.

- Jest pan dawnym znajomym mojej żony, jak mi mówiła.

- Tak, od wielu lat.

- Czy od dzieciństwa?

- Nie tak długo, ale znam ją od dość dawna.

Podczas rozmowy Sebastian odszedł z nim nieco na bok, na tyle, by mogli rozmawiać niesłyszani przez innych.

- Mówiła też, że pański pułk stacjonuje w Brighton. Spodziewam się, że będziemy pana częściej widywali podczas tego sezonu.

Woodruffe rozpromienił się, uważając to za życzliwy wstęp.

- Mam taką nadzieję. Cieszę się na to z góry. No pewnie, że się cieszył. Co za nędznik!

- Zechce mi pan wybaczyć, majorze Woodruffe, to, co teraz powiem. Dopiero co się ożeniłem, jestem więc bardziej skłonny do zazdrości niż znani panu doświadczeni małżonkowie. Może pragnie pan jedynie przyjaźni z moją żoną, jeśli jednak żywi pan inne...

- Zapewniam pana, że jestem od takich zamiarów jak najdalszy.

- Proszę posłuchać, majorze, obaj jesteśmy mężczyznami i takie zamiary nie są nam wcale obce. Jeśli robi pan cokolwiek, co mi każe sądzić, że tak właśnie jest, to zniszczę pana, zdruzgoczę, a zapewne też zabiję.

Woodruffe patrzył na niego osłupiały. Sebastian się uśmiechnął.

- Ten list był błędem - bełkotał. - Zapewniam pana, że jeśli ona go ma, a pan na niego trafił, po prostu źle zrozumiałem jej ogłoszenie. To się już więcej nie powtórzy!

I Woodruffe wycofał się pospiesznie. List? Ogłoszenie? A to ciekawe.

Hawkeswell zauważył ich wymianę zdań. Zostawił Audriannę, żeby sama sobie radziła z nadskakującym jej Castlefordem, i podszedł do niego.

- Zniknął.

- Ajakże.

- Z taką miną, jakby go brzuch bolał.

- Może mu ciastka z kremem zaszkodziły. Lepiej ich unikać, kiedy jest gorąco.

Hawkeswell patrzył w ślad za szkarłatnym mundurem, znikającym w tłumie gości.

- No i co, jesteś osłem?

- Obawiam się, że tak - westchnął Sebastian. Od dawna jednak nie czuł się równie dobrze.

Audrianna kazała stangretowi zatrzymać się na rogu Portman Square. Wsiadła i podeszła do domu, gdzie urzędował pan Loversall.

Nie była to imponująca budowla, bo też i pan Loversall nie był imponującym radcą prawnym.

Nieliczne szylingi, jakie zarabiał na pośrednictwie w wymianie listów, sporo znaczyły dla niego.

Dlatego właśnie prowadził ją z wielką dyskrecją.

Przywitała się z kancelistą, który przekazywał pocztę. Bywała tu przedtem na tyle często, by się mu nie musiała przedstawiać jako A.K.

Kancelista przejrzał przegródki i pokręcił głową.

- Znow nic nie nadeszło, madame.

- Jest pan pewien? Sądziłam, że jeden list powinien już tu być. Przeszukał przegródki ponownie i znow pokręcił głową.

Było to dziwne. List Rogera powinien był nadejść tuż po jego wizycie. Może zaadresował go błędnie.

- Nie było mnie tu w poniedziałek - powiedział kancelista. - Mogę spytać pana Loversalla, czy nie przełożył gdzie indziej jakichś listów podczas mojej nieobecności.

- Gdyby pan był tak uprzejmy... bo wiem, że odpowiedź już wysłano.

Kancelista zniknął w gabinecie Loversalla. On sam we własnej osobie wyłonił się po chwili stamtąd,

wyraźnie skonfundowany. Spojrzał przeciągle na Audriannę.

- Czy to jest A.K.? - spytał kancelistę. - A czy zapłaciła za usługę? Na pewno?

Kancelista potwierdził.

- Coś tu jest nie w porządku - mruknął pan Loversall - bo wczoraj przyszedł jakiś inny A.K. i zabrał ten list. Myślałem, że on o wszystkim wie, i że był tym prawdziwym A.K.

- On?

Najwidoczniej Roger wycofał swój niefortunny list miłosny.

- Czy to był wysoki, przystojny mężczyzna, młody, z rudymi włosami?

Pan Loversall potwierdził wszystko, prócz ostatniego punktu.

- Brunet, madame. Bardzo ciemny. Ogromnie przepraszam za nieporozumienie i błąd!

Spiorunował kancelistę wzrokiem.

- Jeśli mogę tu coś naprawić, proszę mi powiedzieć, jak. Zapewniam panią, że żadna poczta nie będzie w przyszłości wydana nikomu innemu.

Ledwie go słuchała. „Brunet”. Sebastian miał list Rogera.

Audrianna spodziewała się w najlepszym razie awantury, a w najgorszym podejrzeń o zdradzanie męża. Sebastian zachowywał się jednak przez następne dwa dni tak naturalnie, bez jakichkolwiek oznak zazdrości, że zaczęła się zastanawiać, czy czasem ktoś inny nie zabrał listu Rogera.

Przyszło jej na myśl, że mąż, udaremniając spotkanie, uznał całą sprawę za zamkniętą lub może czuł gniew i zazdrość względem Rogera, a nie jej. Choć byłoby to uzasadnione, nie chciała, by Roger zbyt drogo płacił za swoją pomyłkę, mimo że wynikała z próżności i zarozumiałstwa.

Znużyło ją w końcu to oczekiwanie na cios. Kiedy więc spacerowali po Hyde Parku trzy dni później, wraz z setkami ludzi, którzy oglądali innych i sami chcieli być oglądani o najbardziej stosownej porze, zagadnęła męża:

- Czy masz mój list?

wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

- List adresowany do mnie - wyjaśniła. - Ten, którego nie dostałam.

- Nie mam żadnego listu adresowanego do ciebie. Nie wyrywam twoich listów służącym. Co za przypuszczenie!

Uspokoiło ją to i już się zaczynała zastanawiać, czy jakiś inny ciemnowłosy mężczyzna mógłby tu wchodzić w grę, gdy nagle uświadomiła sobie właściwe znaczenie jego słów.

- Prawdę mówiąc, nie był adresowany do mnie. W każdym razie nie we właściwy sposób. Były na nim
moje inicjały.

- Ach... - zaczął, pozdrawiając znajomego, który się z nim przywitał. - Ten list!

- Myślę, że wiesz, o który mi chodzi.

- Wiem. Czy na pewno chcesz o nim mówić właśnie tutaj? Czuję, że to ostrzeżenie. Zaniepokoiło ją to

na tyle, że przez chwilę zastanawiała się, czy nie odłożyć tej rozmowy na później.

- Czy jest bardzo nierozważny?

- Na tyle, bym go mógł w usprawiedliwiony sposób wyzwać na pojedynek, jeśli...

- Na pojedynek! Nie wolno ci!

- Miałem zamiar dokończyć: jeśli uważałbym go za prawdziwego rywala. Mówiłaś mi, że nim nie jest.

Wolę wierzyć tobie.

Zgryzota nękająca ją w ciągu ostatnich dwóch dni uleciała.

- Dziękuję. Jestem ci wdzięczna za zaufanie. Bałam się ciebie spytać, ale teraz wiem, że jesteś rozsądny i nie reagujesz impulsywnie.

Uśmiechnął się nieznacznie, słysząc jej komplement.

- Audrianno, gdybym uznał, że on jest moim rywalem, nie byłbym zbyt rozsądny. Tyle powinnaś

wiedzieć.

- Nie chciałabym zbaczać z tematu, ale przypominam, że zgodziłeś się kiedyś mieć rywali i być rozsądnym. Całkiem jednoznacznie. Wtedy, kiedy już urodzę ci dziecko. Było to częścią naszej umowy. Przystanął, spojrzął jej w twarz i uśmiechnął się tym swoim zniewalającym uśmiechem.

- Rzeczywiście, powiedziałem, że możesz mieć kochanków. Ale nigdy nie przyrzekałem, że ich nie zabiję.

Wymienił pozdrowienie z przechodzącą obok matroną. Poszli dalej. Audrianna uznała, że za uparte pozostawanie w złej wierze należy mu się nauczka, choć nie była to odpowiednia po temu chwila.

- Skąd o nim wiedziałeś?

- Od samego majora Woodruffe, który powiedział mi, że to było nieporozumienie.

- Roger sam ci o tym powiedział? Co za głupiec z niego!

- Tak, tamtego dnia na przyjęciu. Skądże mógłbym w przeciwnym razie wiedzieć, gdzie znaleźć list?

No rzeczywiście. Skąd mógł wiedzieć? Uznała, że wszystko dobre, co się dobrze kończy, i

poniechała

dalszych pytań.

Sprawa listu nękała ją jednak przez resztę dnia. Słowa rozmowy rozbrzmiewały jej w głowie na przedstawieniu w teatrze i podczas przyjęcia, w którym brali udział. Gdy w nocy opuścił jej łóżko, a błogostan przeminął, kilka niejednoznaczności w jego słowach zarysowało się wyraźnie i zaczęło wymagać wyjaśnienia.

Następnego dnia czekała aż do jedenastej, kiedy kończyło się jego śniadanie z Wittonburym, i podeszła pod drzwi jego pokoju. Poczekała, aż służący skończy swoją pracę, i poprosiła go, żeby się oddalił.

- Chciałabym dostać ten list.

- Spaliłem go. Mogę ci jednak powtórzyć pewne jego poetyczne ustępy, jeśli tego chcesz.

Zapomniałem do reszty, gdzie prosił o spotkanie.

Znów poczuła, że to ostrzeżenie. Mimo że mówił o tym z humorem, nie spodobało mu się to, co tam przeczytał.

- Dziwi mnie, że powiedział ci, gdzie możesz znaleźć list. Jeśli sądził, że ktoś powinien go stamtąd zabrać, powinien był zrobić to sam. Jakoś sobie nie umiem wyobrazić, że podał ci adres biura pana Loversalla. - Wspomniał jedynie o ogłoszeniach w gazetach. Znalazłem adres w jednym z nich.

Oznaczało to, że czytał ogłoszenie i dzięki Rogerowi wiedział, kto za nie zapłacił.

- Czy były tam jeszcze jakieś inne listy do mnie prócz tego od Rogera?

Przyjrzał się jej, zirytowany, rozbawiony i znudzony jednocześnie. Wtedy zrozumiała.

- A więc były też inne, prawda? Jak mogłeś o nich nie powiedzieć! Zapłaciłam za ogłoszenie i usługi Loversalla z moich oszczędności, a jeśli ktoś na mój anonns odpowiedział prócz niemądrego majora Woodruffe, mam prawo o tym wiedzieć.

- Był tam jeszcze jeden list - odparł z rezygnacją. Poszedł do go-towalni, powrócił z nim i włożył go jej do ręki.

- Wciąż jeszcze jest zapieczętowany - zauważyła.

- Tak.

- Dlaczego?

- Nie mogłem się zdecydować, czy ci go dać, czy schować przed tobą, czy spalić, nie otwierając go.

- Spalić, nie otwierając go? Co za szaleńczy pomysł?

- A jednak brałem to pod uwagę.

Złamała prostą pieczęć i podeszła z listem do okna.

- To od niego! Spójrz, narysował tu domino, żebyś wiedziała na pewno, że to on do mnie pisze.

Przeczytała nabazgraną niezdarne wiadomość. Sebastian zbliżył się do niej i zajrzał przez ramię.

Covent Garden. W portyku kościoła punkt o drugiej, za tydzień. Sprawdziła datę w nagłówku.

- Tydzień minie jutro. Dzięki Bogu, że nie zwlekałam dłużej z moimi pytaniami, bo spóźniłabym się na to spotkanie.

- Nie pójdziesz na nie.

- Ależ oczywiście, że pójde. Wyrwał jej list z ręki.

- Nie! Nie pójdziesz. On jest niebezpieczny. Nic o nim nie wiemy. Może chce cię uciszyć na zawsze, zamiast zaspokoić twoją ciekawość. Ja tam pójde i ja ci wszystko powtórzę.

- To nie jest ani uczciwe, ani rozsądne. Kiedy zeszłym razem chciał się ze mną spotkać, twoja obecność wszystko zepsuła. Pomyśli sobie, że jesteś tym mężczyzną, który czatował na niego w oberży Pod Dwoma Szpadami z pistoletem. Ten plac jest pełen ludzi i on nie mógłby zaciągnąć mnie gdzieś po kryjomu. Wystarczy, żebyś krzyknęła, a nadbiegnie mi z pomocą nawet i sto osób.

- Nie pójdziesz i już.

Upór jego przygnębił ją. Mężowie potrafią być niekiedy bardzo kłopotliwi!

- Gdyby nie moje ogłoszenie, nie doszłoby do żadnego spotkania. Po prostu zazdrościsz mi tego, że wpadłam na pomysł, by zrobić to samo, co on, i zdałam sobie sprawę, że człowiek, który daje ogłoszenia, zapewne sam je również czyta.

- Nie jestem zazdrosny, jestem pełen podziwu. Zamieściłaś ogłoszenie tak dwuznaczne, że dawny ukochany wziął je za przeznaczony dla siebie sygnał umówionej schadzki. A jednak nasz wspólny przyjaciel zrozumiał je właściwie. No i proszę, oto rezultat. Nadzwyczajna jesteś!

Schował list do kieszeni surduta i założył ręce na piersi.

- Nie pójdziesz.

Kłótnia prowadziła by donikąd. Nie zamierzała oskarżać go o chęć zatajenia przed nią prawdy. Nie chciała nawet w to uwierzyć. Jednakże miała się spotkać nie z jakimś urzędnikiem w młynie

prochowym, tylko z Dominem. I pragnęła usłyszeć, co Domino ma jej do powiedzenia.

Sebastian nie dawał się przekonać. Nie ustępował. Podeszła do niego blisko. Bardzo blisko.

- Wiem, że chcesz mnie jedynie chronić. Byłabym bezpieczna, gdybyś poszedł ze mną. Wiem, że muszę cię ze sobą zabrać. Chciałam go znaleźć, byśmy oboje mogli się z nim spotkać i dowiedzieć, czy potrafi rzucić na tę sprawę jakieś światło.

- Zamierzałaś zabrać mnie ze sobą? - spytał z niedowierzaniem. Obrażała go. Czyż ona uważała, że jest na tyle głupi, by jej uwierzyć?

- Oczywiście. - I objęła go ramionami.

- Zamierzałaś, jako dobra żona, dać mi ten list, tak żebyśmy oboje mogli usłyszeć, co on ma do powiedzenia? - Absolutnie tak.

Zmarszczył brwi. A ona uśmiechnęła się do niego. Wahał się jeszcze, co go zresztą jeszcze bardziej irytowało.

- Porozmawiamy o tym później. Teraz muszę iść do Whitehall. Wyswobodził się z jej objęć i wyszedł.

Audrianna poszła do siebie, usiadła przy stolicku do korespondencji i zaczęła spisywać pytania, które trzeba było zadać Dominu.

Sebastian pozwolił jej pójść razem z nim. Chciała się upewnić, że mąż nie zmieni zdania.

Nie skłamała mu. Pokazałaby mu ten list i powiedziała, żeby jej towarzyszył. Potrzebna jej była jego ochrona.

A także spodziewała się, że Domino zażąda dużo więcej pieniędzy, niż ona miała.

Rankiem Sebastian przyznał w duchu, że żona odniosła nad nim zwycięstwo.

Po pierwsze rozumowała tak logicznie, że zapędziła go w kozi róg. Domino umawiał się na spotkanie z nią, a nie z mężczyzną, i ulotniłby się od razu, gdyby to nie ona się tam pojawiła. A także tylko ona mogła wiedzieć, czy ten, kto przyjdzie, naprawdę jest Dominem.

Kiedy go już na dobre rozbiła w proch i pył swoim rozsądkiem, uciekła się do kobiecych sztuczek.

Wymusiła na nim obietnicę w chwili jego słabości, gdy był zanadto zajęty miłosnymi igraszkami, by dbać o to, co będzie potem.

- Byłoby dobrze, gdybyś nie od razu pojawił się przy mnie - powiedziała, gdy ich powóz zbliżał się do Covent Garden - bo mógłby czmychnąć na twój widok.

Wcale by się nie przejął, gdyby ten ktoś czmychnął. Była podniecona, dobrej myśli i pewna, że tego dnia zdoła wreszcie przywrócić ojcu dobre imię. On zaś bynajmniej nie był o tym przekonany.

Zaczął żałować, że nie spalił tego listu, do czego nakłaniał go instynkt. Może też żałować jeszcze bardziej, że pozwolił jej tu dziś przyjść. Chciała jednak sama usłyszeć to, o czym wiedział Domino, bo wciąż nie była pewna, czy Sebastian należycie oceniłby dowód niewinności jej ojca, gdyby to jemu

Domino wyjawiał swoje informacje.

Właściwie pragnął zniszczyć nie tyle list, co wymazać cały ten epizod z ich przeszłości.

- Pozwolę, żeby najpierw rozmówił się z tobą, ale będę blisko. Plac i stojące na nim stragany będą tego popołudnia niesłychanie

zatłoczone. Zbyt zatłoczone, by Audrianna mogła przyjrzeć się dokładnie każdemu mężczyźnie.

Musieli zakładać, że to właśnie Domino ją rozpozna.

Powóz stanął i wysiedli z niego. Sebastian odprowadził ją pod sam kościół. Zanim go okrążyli i weszli na plac, wyjaśnił jej swój plan.

- Stań po zachodniej stronie portyku, przy drugiej kolumnie, i nie ruszaj się stamtąd. Nawet jeśli on da ci jakiś znak, jeśli będzie chciał większego odosobnienia, nie odchodź ani na krok, póki ja się nie zjawię przy tobie.

Skinęła głową i odeszła. Zawołał, żeby się zatrzymała. Wskazał na jej torebkę.

- Czy wzięłaś ze sobą pistolet? Bo jeśli tak, to daję słowo, że...

- Nie mów głupstw. Pistolet jest w Cumberworth. Należy do Daphne, nie do mnie. Nie zmieściłby się

zresztą w torebce. Liczyłam na to, że tym razem to ty będziesz miał przy sobie broń.

Gdy skręciła za róg kościoła, przystojny mężczyzna wkroczył na plac od zachodniej strony. Szedł spokojnym krokiem jak ktoś, komu wcale się nie spieszy, spoglądając z ciekawością na otoczenie. Skinął głową Sebastianowi, a gdy ten zrobił to samo, mężczyzna okrążył kościół i dotarł do frontowego portyku z drugiej strony.

Audrianna zajęła miejsce przy drugiej kolumnie w najbardziej wysuniętej ku zachodowi części portyku kościoła Świętego Pawła. Miała nadzieję, że Sebastian zachowa się spokojnie. Gdyby zbyt

zwracał uwagę, człowiek, którego mieli spotkać, mógłby zniknąć.

Na placu kłębił się gęsty tłum. Sprzedawcy owoców, koszyków, kwiatów, a nawet starzyzny głośno zachwalali swoje towary spod drewnianych daszków nad prymitywnie skleconymi straganami. Kobiety z wszelkich warstw społecznych robiły tu zakupy same lub razem z mężczyznami w cylindrach.

Brudne dzieci i psy plątały się pod nogami.

Portyk w porównaniu z tym był miejscem spokojnym. Stała tam tylko ona. Domino dobrze wybrał miejsce. Mógł je śledzić spośród tłumu i czekać, póki nie zyska pewności, że może się do niego bezpiecznie zbliżyć. Nawet jeśli nie zapamiętał jej z oberży, sama obecność Audrianny mówiła, że to właśnie ona jest A.K.

Jakiś dzentelmen nadchodził od strony najbliższych kramów. Wyglądał na lepiej ubranego niż większość zgromadzonych na placu ludzi, ale nie było to ubranie w najlepszym gatunku. Rozpoznała w nim Hawkeswella. Zauważył ją i uniósł kapelusz, a potem się oddalił.

Nigdzie nie widziała Sebastiana.

- *Pardon, madame* - zwrócił się ktoś do niej. I słowa, i akcent były francuskie. Drgnęła i spojrzała szybko przez ramię.

Jakiś mężczyzna wszedł do portyku od strony bocznych arkad. Nosił wysokie buty i czarny płaszcz narzucony na brązowy surdut. Spod niskiego kapelusza o szerokim rondzie wymykały się rude kędziory. Miał pełniejszą twarz, niż zdołała wcześniej zauważyć, widząc go tylko przez moment, a w świetle dziennym dużo bardziej rumianą.

Płaszcz był osobliwy, za ciepły jak na ten dzień. Odrzucał go do tyłu teatralnym gestem. Biała podszewka kontrastowała z czernią płaszcza, a wszystko łącznie z kapeluszem i pantalonami wyglądało jak kostium z jakiejś sztuki.

Zrozumiała, że płaszcz był jego znakiem rozpoznawczym.

Stał po jej prawej stronie i spojrzał ku placowi.

- Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale ma pan bardzo ładny płaszcz - zaczęła. - Czarno-biały, jak domino.

Uśmiechnął się szeroko. - Mówią, że od takich właśnie płaszczy, noszonych przez mnichów we Francji, wywodzi się nazwa kostek do tej gry.

Dawali sobie więcej do zrozumienia oczami niż słowami.

- Człowiek, z którym chciał się pan spotkać w oberży Pod Dwoma Szpadami, był moim ojcem. Od dość dawna już nie żyje. Poszłam tam wtedy zamiast niego, podobnie jak dziś.

- Teraz wiem, że nie żyje, ale przedtem nie.

- Dlaczego chciał się pan z nim spotkać?

- Słyszałem, że ma pewne kłopoty. Myślałem, że mogę mu pomóc.

- Znał go pan? Pokręcił głową.

- Nigdy się nie spotkaliśmy.

Nie mówił już z akcentem francuskim, raczej z niemieckim.

- Czy przyjechał pan z Holandii?

- *Madame*, nie leży w moim interesie ujawnienie, kim jestem.

- Oczywiście. Przepraszam. Mojemu ojcu nadal mogłaby się przydać pańska pomoc, gdyby wciąż był pan skłonny jej udzielić.

Przy tych słowach ujrzała Sebastiana na drugim końcu portyku.

Domino dostrzegł, gdzie patrzyła, i szybko rozejrzał się dokoła z przestachem w oczach. Ruszył ku zachodniemu wejściu do portyku, zatrzymał się jednak wpół kroku.

Audrianna spojrzała w tym samym kierunku. Stał tam Hawkeswell.

- Zastawiła pani pułapkę na Domino, *madamel*

- Nie, choć prawdą jest, że zapewniłam sobie ochronę. Jestem tylko słabą kobietą - powiedziała prędko, w obawie, że Domino zacznie uciekać. Wówczas dojrzała jeszcze jedną znajomą twarz.

Na plac wszedł chwiejnym krokiem ksiązę Castleford, przecierając oczy i zapinając płaszcz.

Wyglądał tak, jakby dopiero co wstał z łóżka. A że okoliczne ulice znane były z uprawianego tam haniebnego procederu, mogło to być prawdą.

Skrzywił się i skulił, gdy słońce na placu zaświeciło mu prosto w oczy. Oprzytomniał jakoś, nasunął kapelusz na rozczochrane włosy i poszedł prosto w jej kierunku.

Dojrzał Sebastiana i ożywił się wyraźnie. Potem zaś stanął, a jego spojrzenie powędrowało ku portykowi i spoczęło na niej oraz na Dominie.

- Lady Sebastian, dzień dobry. Czy coś jest nie w porządku? Czy ten aktor się pani naprzykrza?

Domino rozejrzał się wokół, a potem spojrział na nowo przybyłego. Widziała, że zastanawia się, jak zniknąć w tłumie.

- Lepiej niech ten człowiek się stąd nie rusza - rzekł dobitnie Sebastian, idąc w jego stronę. Usiłował jednak nie spłoszyć Domina. - Jeśli pobiegnie w twoją stronę, Castleford, byłbym ci wdzięczny, gdybyś go od tego odwiódł.

- Czy chcesz, żebym zastąpił mu drogę i złapał go?

- Właśnie.

- A, niech to licho! - ksiązę ziewnął, ale sięgnął pod płaszcz. Wyciągnął stamtąd pistolet i wymierzył z niego wprost w Domino.

- Na pana miejscu bym się nie ruszał. Wprawdzie pierwszorzędnie strzelam, ale głowa mi teraz pęka z

bólu, tak że mógłbym celować w nogi, a odstrzelić panu niechący jaja.

Domino wyglądał jak złapany w potrzask. Przyjrzał się nadchodzącemu Sebastianowi.

- To był pan?

- Tak, ja. Proszę się nie martwić. Ramię już mi się zagoiło i nie pałam zemstą. Nie mam nawet ze sobą broni i nie zatrzymam pana, jeśli będzie chciał pan umknąć, kiedy już nas wysłucha. - Spojrzał

na

Castleforda. - Ale za niego nie mogę ręczyć.

- Jeśli zdoła go pan namówić, żeby wycelował ten pistolet gdzie indziej, wysłucham, co macie mi do powiedzenia.

- W porządku, Castleford. Doceniam twoją pomoc - powiedział Sebastian, po czym dodał, spoglądając

na Hawkeswella - i twoją też.

Hawkeswell pozdrowił Audriannę, przykładając palce do kapelusza, i odszedł. Castleford opuścił bezwładnie rękę i pistolet upadł na

ziemię. Zapominając o nim, rozejrzał się po placu tak, jakby go nigdy przedtem nie widział, i odszedł, mruczając coś do siebie pod nosem.

- Starannie pan opracował strategię - rzekł do Sebastiana Domino.

- Skoro ostatnim razem zniknął pan na mój widok z księgarni, uznałem, że mogę swoją obecnością zniechęcić pana do ponownego spotkania.

- Czy są z panem jacyś przedstawiciele władzy? Wojskowi albo może celnicy?

- Wprawdzie mam kontakty z rządem, ale nie interesuje mnie pańska osoba, tylko to, co pan wie.

- Uważam, że ryzyko jest zbyt wielkie. Nie chciałbym z powodu tej wiedzy skończyć w więzieniu.

Oznaczało to, że miałyby się tam za co znaleźć. Audrianna spojrzała z desperacją na Sebastiana. Stała twarzą w twarz z człowiekiem, który mógł oczyścić z podejrzeń jej ojca, a on miał zamiar odejść!

- Nie ma żadnego ryzyka — powiedziała. — Jestem wdzięczna, że zauważył pan moje ogłoszenie i zrozumiał, że skierowane jest do niego. Od dawna pragnęłam, żebyśmy się spotkali.

- Wcale nie zauważyłem pani ogłoszenia. Ktoś inny zwrócił na nie moją uwagę.

Sebastian uznał to za dużo bardziej interesujące, niżby chciała.

- A kto je panu pokazał?

Domino uśmiechnął się niby młody, niewinny chłopiec, a na twarz wystąpił mu rumieniec.

- Byłem akurat w... - tu spojrzał na Audriannę i poczerwieniał jeszcze mocniej - w pewnym... hm...

miejscu, gdzie się można zabawić i ktoś spytał, czy jestem Dominem. Proszę sobie wyobrazić moje zaskoczenie! Usłyszałem, żebym zajrzał do gazety, a znajdę tam ogłoszenie, które mnie zainteresuje.

A teraz, jak sądzę, mógłbym już sobie pójść.

I uklonił się jej na pożegnanie. Audrianna zapragnęła wrzasnąć na Castleforda, żeby wrócił z tym swoim pistoletem.

- Sto funtów - rzucił Sebastian - będzie pańskie, jeśli powie pan szczerze, o czym wie.

Domino zamarł w trakcie ukłonu i spojrzał na Sebastiana. Był pod wrażeniem. Wyprostował się i wyjrzał na plac.

- Musimy sobie pogadać w miejscu, które wskażę. Nie tutaj.

- Gdzie pan tylko chce! - zawołała pospiesznie Audrianna. Wskazał im gestem, żeby poszli za nim, i opuścił portyk. Ruszyli poza plac, ku ulicom otaczającym od południa Covent

Garden. - Co to znaczy, że nie wzięłeś ze sobą pistoletu? - szepnęła Audrianna do Sebastiana.

- Nigdy by nie uwierzył, że posłużę się nim w biały dzień, i to w środku miasta. Zresztą nie trzeba mi pistoletu, żeby cię obronić.

- Uwierzył, że Castleford go użyje.

- Bo Castlefordowi źle z oczu patrzy. To nierozważny ryzykant.

- A ty jesteś rozważny? Sto funtów! On byłby rad z pięćdziesięciu.

- I ty mnie uważasz za ryzykanta? A to dopiero! Nie tylko dajesz ogłoszenia do gazet, ale płacisz, żeby cię spostrzeżono. W oberży o mało nie zaczęłaś wymachiwać dziesięcioma funtami i pytać, kto by ci zechciał za nie coś powiedzieć!

- Ależ wcale tak nie było. Zachowywałam się bardzo dyskretnie, i to zadziałało. Domino wyjaśnił w końcu, że powiedziano mu o moim ogłoszeniu w miejscu, gdzie się można rozerwać. Pewnie to któryś z moich informatorów z teatru go znalazł.

- Nie przypuszczam, żeby się o nim dowiedział w teatrze. Sądząc z jego rumieńca, gdy wspomniał o tym w obecności damy, chodziło mu o miejsce całkiem innej rozrywki. Pełno ich zresztą w tej okolicy. Aż przystanęła, zaskoczona.

- Niemożliwe!

- Jak najbardziej możliwe.

- Przecież nie wynajmowałam nikogo w bur... - słowa uwięzły jej w gardle na pewną myśl. To Celia polecała jej tych ludzi. I Celia napisała do niej niedawno, że poszukiwania mogą dać rezultaty!

Sebastian chwycił ją za ramię i obydwójce pospieszili za Dominem.

- Zasłużyłaś na solidne zmycie głowy, ale wszystko w swoim czasie.

Domino zaprowadził ich do jednego z małych doków, gdzie cumowały prywatne stateczki, i wdrapał się na pokład jednego z nich. Sebastian poszedł w jego ślady, a potem chwycił ją wpół i wciągnął za sobą.

- Czy to pański? - spytała Audrianna, ale nie otrzymała wyjaśnienia.

Domino zdjął płaszcz i rozłożył go na kilku skrzyniach, żeby mogła usiąść. Sebastian usadowił się wygodnie na jednej z beczek.

- Mówił pan o stu funtach. Niezależnie od tego, jakich rzeczy się pan ode mnie dowie.

Sebastian skinął potakująco głową.

- Chciał pan sprzedać jakąś informację. Jestem gotów ją kupić. Domino siadł na skrzyni.

- Nie chciałem się spotkać z ojcem tej damy tylko po to, by sprzedać informację. Zamierzałem też sprzedać swoje milczenie. Za sto funtów mogę je równie dobrze odstąpić panu.

Sebastian nie zdziwił się sugestią szantażu. Audrianna jednak miała taką minę, jakby dano jej po twarzy.

Widział, że zamierza protestować, posłał jej więc ostrzegawcze spojrzenie, mówiące: musisz to znieść.

- Dlaczego pańskie milczenie miałyby wartość dla Kelmsleigha? - spytał. - A skoro, jak przypuszczam, nie zechce nam pan zdradzić swego nazwiska, to jak mamy się do pana zwracać?

Domino? Zupełnie

jakbym brał udział w jakiejś farsie.

- Proszę mi mówić Frans. To równie dobre imię, jak każde inne.

- Szkoda, że nie używał go pan od początku - zauważyła Audrianna. - Po cóż nazwał się pan Domino?

- Żeby dać do zrozumienia, dlaczego chcę tego spotkania, madame. W powszechnie znanej dziecięcej zabawie układa się kostki domina w długie rzędy, a potem...

Pstryknął palcami w powietrzu. Niewidzialny rząd kostek zaczął się przewracać, poczynając od pierwszej.

- Spodziewałem się, że inni zamieszani w tę sprawę ludzie pomogą pani ojcu zgromadzić trochę pieniędzy, którymi mógłby mi zapłacić, gdy zrozumieją, że zdemaskowanie go zagraża również im samym. Wymierzył palec w Sebastiana.

- Kiedy w oberży Pod Dwoma Szpadami dojrzałem pistolet w pańskiej ręce, sądziłem, że wybrano inny sposób, by zapewnić sobie moje milczenie.

Zdjął swój szerokoskrzydły kapelusz. Rude włosy zaśniły w słońcu.

- No i dlatego wolę teraz uchodzić jedynie za Fransa. Mniej od tego, kim jestem, znaczy to, czym jestem. Uprawiam profesję niezbyt mile widzianą przez rządy i celników, ale handel ten napełnia sakiewki każdemu, kto się do niego włączy.

- Jest pan przemytnikiem - domyślił się Sebastian.

- Może pan to zwać, jak się panu spodoba. Jak w każdym handlu, najwięcej zysku przynoszą łodzie lub statki przewożące ładunki w dwie strony. Wino tu, wełnę tam. Szczyćę się tym, że potrafię czerpać zysk z każdego statku, jaki mam do dyspozycji.

- Musiało się panu dobrze powodzić podczas wojny.

- Zawsze się nam dobrze wiedzie podczas wojen, ale rzeczywiście za Napoleona był to istny złoty

wiek. Nie sądzę, żebym jeszcze raz przeżył coś podobnego. Tym, co zapewniało szczególnie duży zysk, była liczebność francuskiego wojska. Francuzi potrzebowali takiego mnóstwa rzeczy, że tamtejsi kupcy nie mogli im już dłużej zapewnić dostaw z zaprzyjaźnionych krajów. Mundury!

Żywność! Żelazo!

- Proch strzelniczy. Frans skinął głową.

- Może pan sobie wyobrazić, jak się cieszyłem, mogąc zawozić luksusowe francuskie towary do Anglii, a wracać z prochem, który z kolei mogłem sprzedać Francuzom. W obydwu przypadkach najpierw przywoziłem towary do siebie, żeby nikt nie wiedział, że pochodzą od wroga. Mój brat sprzedawał później proch Francuzowi, a ten z kolei miał znajomych w armii. - Westchnął z zadowoleniem. - Te baryłki były jak ze szczerzego złota...

- Tylko że zawierały zły proch - sprzeciwiła mu się Audrianna.

- *Madame*, ja nigdy nie sprzedawałem fałszowanych towarów. Zła reputacja nie pozwoliłaby mi prowadzić interesu. To, co wywoziłem z Anglii, miało wysoką jakość. Ujmowano tego to tu, to tam, z baryłek prochu wyrabianego wedle najwyższych standardów i sprzedawanego angielskiemu wojsku.

Sebastian wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokładzie. Musiał poddać rewizji swoje przypuszczenia. Podejrzał aferę, ale nie tego rodzaju. Przypuszczał, że zły proch sporządzano jakimś tanim sposobem. Gorsze surowce obniżałyby wówczas koszty produkcji, a baryłki sprzedawano by za standardowe ceny już po ich wyprodukowaniu.

A tymczasem ktoś kradł drobne ilości doskonałego prochu. Spojrzał na Fransa.

- Jeśli zatem fałszowano zawartość baryłek, musiano je uzupełniać inną substancją, żeby nie spowodować ubytku wagi. I tak obniżano jakość prochu.

- Właśnie tak. Podczas transportu do arsenału wozy i barki kierowano gdzieś na stronę, a baryłki otwierano, żeby dokonać tej podmiany.

- Był to krańcowo niebezpieczny proceder. Otwieranie baryłek, fałszowanie ich zawartości... Całe szczęście, że nie doszło do potężnej eksplozji.

- Był on niebezpieczny pod wieloma względami. A także bardzo skomplikowany. Myślałem najpierw,

że baryłki kradziono z arsenału.

Kiedy mi wyjaśniono, na czym polega to wymyślne oszustwo, przeraziłem się. Powiedziałem im wtedy, że zdemaskowanie nas jest tylko kwestią czasu. Wojsko nie wysyła na front byle czego pod nazwą prochu. Istnieją sposoby sprawdzania jego jakości. Mogłem się wybrać nocą do umówionych ludzi po te baryłki, a zastać tam pułk żołnierzy, gotowych mnie zastrzelić.

Klepnął się z rozmachem po kolanie.

- Byłem gotów skończyć z tym natychmiast, kiedy tylko zdałem sobie sprawę z rozmiarów ryzyka.

- Ale pan tego nie zrobił - upomniała go Audrianna. Słuchała go uważnie, w milczeniu, i zaczynała wszystko rozumieć.

Wiedziała już, co będzie dalej. Sebastian przeklinał się w duchu za to, że pozwolił jej pójść ze sobą.

Pożałował tego już wcześniej, kiedy Frans na samym początku zaczął mówić o szantażowaniu

Kelmsleigha. Ale nawet i wtedy mógł ją jeszcze uchronić przed tym, co zaraz usłyszy.

- Jeszcze nie skończyłem, *madame*. Tamci przekonali mnie, że nic nie wyjdzie na jaw. Wyjaśnili mi, że fałszowania zawartości baryłek nikt nie odkryje, póki nie otworzy się ich na polu walki, a potem nikogo to już nie będzie obchodzić. Kiedy jedna baryłka jest zła, to się otwiera drugą. A dowody przepadną.

- Kim oni byli? - spytał Sebastian, głównie po to, by uniknąć następnego pytania, które logicznie się narzucało: o tożsamość sprawców. - Ci właściciele wytwórni prochu?

- Gdyby moi wspólnicy byli na tyle niedyskretni, żeby mi podać nazwiska, wolałbym nie mieć z nimi więcej do czynienia. Nie chciałem robić interesów z głupimi ludźmi. Działalem przez pośredników.

Przewoźników. Wszystko to byłoby jednak niemożliwe bez współdziałania kogoś, kto ten młyn prochowy posiadał. To nie była afera obmyślona przez złodziei i szmuglerów.

- W jaki sposób pana przekonali?! - wybuchnęła Audrianna. - Powiedział pan, że ich zdaniem fałszerstwo było nie do wykrycia.

Frans przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią. Zapewne widział to samo, co Sebastian: czekała na odpowiedź z trwogą.

- Powiedzieli mi, że te baryłki sprawdza się w arsenale. Mieli tam swojego człowieka wśród tych, którzy sprawdzali jakość prochu. Przekupiono go, żeby przepuszczał wszelki proch przysyłany z tego właśnie młyna. A kiedy mu się czasami to nie udawało, bo baryłki badał ktoś inny i znajdował zły proch, przekupywali pewnego urzędnika tu, w Londynie, sporą sumką, żeby się upewnić, że raporty tamtego gdzieś znikną.

wydawało się, że słowa przemytnika nie dotarły do niej. Że nie widzi małego żaglowca, na którym się

znajdowali, ani dwóch mężczyzn koło niej. Oprzytomniała po chwili, ale nie była zdolna ukryć swej rozpacz.

- Doszły mnie wieści o nieprzewidzianych konsekwencjach dostarczenia tego prochu na front -

ciągnął Frans, zwracając się teraz tylko do Sebastiana. - Usłyszałem dosyć, żeby wiedzieć o

podejrzeniach rządu i o tym, że w Londynie poddano przesłuchaniu urzędnika odpowiedzialnego za jakość amunicji. No i dlatego, kiedy interesy znów mnie tu przywiodły, spróbowałem spotkać się z tym człowiekiem. - Rozłożył ręce. - Resztę pan zna.

- Przyjechał pan, żeby wyciągnąć od niego pieniądze.

- Zamierzałem powiedzieć mu za pieniądze o tym, czego mógł być świadom lub też nie. Nie

obchodziło mnie, czy będzie wolał milczeć, czy też zapragnie się wybielić. Gdyby jednak kupił te wiadomości, nie byłyby one już dłużej moje i nie mógłbym ich sprzedać gdzie indziej. Całkiem podobnie jest z naszą dzisiejszą umową, prawda?

Sebastian wyjął z kieszeni sto funtów w banknotach. Miał przy sobie o wiele większą sumę.

Spodziewał się, że zapłaci bardzo drogo za tę informację. I zapłacił, choć nie tylko pieniędzmi.

Wcisnął banknoty w rękę Fransa. - Czy to pański statek?

Frans uśmiechnął się wymijająco.

- Jeśli tak, niech pan odcumuje. A jeśli nie, niech pan wróci tą samą drogą, jaką pan tu przybył.

Powinien pan też na długo zawiesić swój handel z angielskim wybrzeżem.

Frans skłonił się na znak, że przyjął ostrzeżenie.

- Jest jeszcze coś, co może pana zainteresować. Powiem panu o tym ze względu na lady.

- Cóż to takiego?

- Opuściłem Anglię natychmiast po naszym niefortunnym spotkaniu w Brighton i wróciłem tu dopiero dwa tygodnie temu. Nigdy nie uciekłem spod żadnej księgarni ani nie zamierzałem się tam z nikim widzieć. Nie mam pojęcia, gdzie ta księgarnia jest i o jakim spotkaniu pan mówił.

Audrianna wracała na plac, otępiła z bólu. Panujący tam hałas docierał do jej uszu jako odległy gwar.

Czuła się tak, jakby zadano jej cios prosto w serce.

Sebastian prowadził ją, przez całą powrotną drogę nie powiedziawszy ani słowa. Szedł tuż przy niej, obejmując jedną ręką jej plecy, jakby uważał, że nie jest zdolna iść o własnych siłach.

Pomógł jej wsiąść do powozu i usiadł przy niej. Podczas jazdy obydwójce milczeli.

Otępienie powoli mijało. Zobaczyła, że Sebastian trzyma jedną z jej dłoni w swojej. Paliło ją w gardle i z trudem przełykała ślinę.

- Jak sądzisz, ile mu zapłacili?

- Komu?

- Temu urzędnikowi w Londynie, który zatwierdzał raporty. Jaką sumą można było wtedy kogoś przekupić?

- Nie mam pojęcia. To dziwne pytanie, Audrianno.

- Czy taką, jaką ty wręczyłeś Fransowi? A gdybyś ty miał zamiar przekupić takiego człowieka? Ile byś mu zaoferował?

- Audrianno...

- Proszę cię, odpowiedz. Westchnął ciężko.

- Zaoferowałbym mu zapewne co najmniej równowartość jego półrocznej pensji, a może i całorocznej.

- A zatem więcej, niż zapłaciłeś Fransowi. - Zamyśliła się. - Jeśli taki ktoś ma żonę i dzieci, i ci najbliżsi ciągle czegoś potrzebują, ciągle

proszą o nowe stroje czy rozrywki, to może go skusić nawet taka mała suma. Gdyby jego żona

uważała za coś upokarzającego brak powozu, starsza córka liczyła na spory posag, by zawrzeć dobre małżeństwo, a młodsza zazdrościła innym modnych sukien, mógłby przekonać siebie, że przekupstwo jest błahostką.

Próbowała wyobrazić sobie ojca decydującego się na taki krok, lecz nie mogła. Ale wyobrażała sobie,

jak bardzo czułby się winny, gdyby przez niego zginęli ludzie. Gdyby ojciec to zrobił, nigdy by sobie nie wybaczył.

Urodzony oszust, jak Frans, by się niczym nie przejął. Natomiast człowiek, który by wiedział, że

zaprzedał swoją prawość i dobre imię, i spowodował śmierć tylu niewinnych młodych ludzi, zadręczałby się tą świadomością do końca życia.

W jej myślach zapanował chaos. Ogarnął ją straszliwy smutek. Zawsze była całkowicie pewna niewinności ojca. On nie popełniłby żadnego z zarzucanych mu czynów! Teraz zaczęła się lękać, że prawda mogła być dużo gorsza, niż się jej wydawało.

Sebastian objął ją mocno.

- Frans nie wymienił nazwiska. Nie wiedział, kim był ten urzędnik w Londynie. Mógł tylko przypuszczać, że to twój ojciec, skoro nasza uwaga skupiła się na nim. Nie powinnaś zakładać z góry najgorszego.

Oczyjej zasłzy łzami ze wzruszenia. Starał się pocieszyć ją złudną nadzieją, że dowody nie są jeszcze ostateczne, bo chciał złagodzić jej pełne goryczy rozczarowanie.

Postanowiła wziąć się w garść. Wystarczy, że poczuł się zobowiązany do poślubienia córki Kelmsleigha. Dlaczego jednak ma czuć się zobowiązany do bronienia z tego powodu przestępcy, choćby nawet tylko w czterech ścianach powozu.

- Pomówmy o czym innym - powiedziała, siląc się na uśmiech. - Opowiedz mi o błędach swojej młodości, kiedy hulaleś razem z Hawkeswellem i Castlefordem.

Bawił ją zatem historyjkami o trzech młodych lekkoduchach, którzy mieli za nic cnotę i zdrowy rozsądek. Choć sprawiała wrażenie zasluchanej, i nawet od czasu do czasu się śmiała, wątpił, czy dociera do niej to, co on mówi.

Odzyskała jednak równowagę i opanowała się, ale z jej oczu wyzierał bezbrzeżny smutek. Podziwiał ją za to opanowanie, ale żal ścisnął mu serce.

Drzwi biblioteki otwarły się, gdy przechodzili koło nich, i wyszła stamtąd szybko jego matka.

- Wróciliście. Dzięki Bogu. Musisz zaraz do niego pójść. Musisz to zobaczyć. Zrób coś, żeby przyznał, że tak jest. Trzeba wezwać lekarzy i...

- Uspokój się. Co się stało? Odetchnęła gwałtownie.

- Poruszył nogą, gdy tam byłem. Bardzo wyraźnie. Prowadziliśmy. .. rozmowę, a on w tym czasie wykonywał ćwiczenia i jego prawa noga przesunęła się nieco. Widziałam to bardzo wyraźnie. Nie ma

mowy o pomyłce! Morgan jednak zaprzecza temu, choć Fenwood powiedział, że lekarze, którzy tu byli w zeszłym tygodniu, dopatrzyli się u niego oznak czucia. Musisz natychmiast z nim pomówić.

Audrianna dotknęła jego ramienia.

- Pójdę do mojego pokoju, żeby odpocząć. Idź do niego. Weszła po schodach na górę. Sebastian patrzył za nią, a matka

z niecierpliwością czekała, by wreszcie poszedł do brata.

- Noga Morgana drgnęła już kilka tygodni temu - powiedział. - Fenwood wymusił na nim ćwiczenia.

Cieszę się, że są kolejne oznaki poprawy. Może któregoś dnia odzyska w nich pełnię władzy.

- Czemu nikt mi nie powiedział? Miałam prawo się o tym dowiedzieć!

- Miałabyś je tylko wtedy, gdyby postanowił ci o tym powiedzieć. Najwyraźniej nie chciał.

- No cóż, teraz już wiem. Chodźmy do niego razem. Przekonajmy go, że musi się bardziej starać.

Potrzebujecie nas teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Spojrzał na schody i wyobraził sobie na nich Audriannę. Wyprostowana, z uniesioną głową, zgrabna i

opanowana, prezentowałaaby się imponująco.

- Odwiedzę Morgana dziś wieczorem. Teraz muszę zająć się czymś innym.

Zostawił matkę oniemiałą z powodu tak jawnego zlekceważenia jej żądań. Poszedł do siebie i wszedł

do gotowalni. Stanął przed drzwiami Audrianny i nadśluchiwał. Cisza. Potem usłyszał stłumione kobiece głosy i odgłos zamykanych drzwi. Widocznie Audrianna odesłała Nellie.

I znów cisza. Może znużył ją pełen dramatycznych wydarzeń dzień i zasnęła.

Odszedł, by również w ciszy przemyśleć wszystko, czego się dowiedzieli, i zdecydować, co dalej robić. Albo już nie robić niczego. Był zaintrygowany zwłaszcza tym, co Frans powiedział przed odejściem.

Jeśli ani Domino, ani Audrianna nie umieścili ogłoszenia o spotkaniu w Świątyni Muz, kto to w takim razie zrobił?

Dobiegł go nagle zza ściany odgłos tłuczenia porcelany i wypowiedziane kobiecym głosem przekleństwo. A potem zduszony szloch.

Otworzył drzwi. Podłogę pokrywały skorupy rozbitej porcelany. Kotary na oknach, mimo dnia, były zaciągnięte. Audrianna leżała na łóżku w swojej białej koszuli, z twarzą wtuloną w stos poduszek.

Szlochała przejmująco, rozpaczliwie. Serce mu się ścisnęło na ten widok.

Podszedł do niej. Jeśli będzie chciała zostać sama, powie mu to bez ogródek, ale nie mógł jej tak zostawić.

Drgnęła, gdy zdała sobie sprawę, że stoi koło jej łóżka. Zaczęła jednak płakać jeszcze mocniej, jakby jego widok rozżalił ją jeszcze bardziej. Wsunął pod nią ręce, posadził na łóżku, a potem wziął na kolana, ona zaś wtuliła się w niego i płakała żałośnie.

W jego objęciach zaczęła się uspokajać. Przedtem, gdy została w swoim pokoju sama, przestała walczyć z przerażającą rozpaczą i poddała się jej całkowicie. Tak bardzo zagubiła się w smutku, że wszystko inne przestało dla niej istnieć. Objął ją jeszcze mocniej i czule pocałował w skroń. Kojący pocałunek, przywracający spokój. Był to jedynie gest, drobny dowód troski, jednak rozproszył

ciemne

chmury w jej sercu.

Już nie szlochała. Emocje opadały. Podał jej chustkę i przygarnął

do siebie.

- Zrobiłam scenę, prawda? - spytała, gdy wreszcie była w stanie cokolwiek powiedzieć. - Coś rozbiłam. Nie wiem nawet, czym rzucałam.

- Byłaś rozgniewana.

- Nie wiem, dlaczego, ani na kogo.

- Może na niego. Albo na mnie.

- Nie na ciebie. Proszę cię, nie sądź tak.

Nie, na pewno nie gniewała się na Sebastiana, choć na myśl o nim również ogarniały ją emocje, prowadzące na skraj szaleństwa. Czemu w tym małżeństwie ona tak cierpi? I czemu sama wzmianka lub myśl o ojcu rani ją tak boleśnie? Nie mogła się z tym pogodzić.

- Tak, głównie na niego - przyznała. - I na siebie. Za to, że byłam przekonana, iż to ja mam rację, a o tobie miałam jak najgorsze zdanie.

Teraz, po powrocie tutaj, dała upust gniewowi, zrodzonemu z pewności, że były podstawy do

oskarżania jej ojca. W wybuchu tego gniewu wylał się dzisiejszego dnia również żal, od dawna ją

przepelniający.

Nie mogła jednak całkowicie zrezygnować z wiary w niewinność ojca. Nie mogła się pogodzić z tym,

że to on miałby ponosić winę za śmierć lub kalectwo tych młodych żołnierzy. Nie mogła znieść myśli o strachu, który musiał go nękać po popełnieniu tak ciężkiego grzechu. Przerazająca prawda torowała sobie drogę do jej umysłu, ale serce nie chciało i nie mogło się z nią pogodzić.

Sebastian nie wypuszczał jej z objęć. Tulił ją do siebie, gdy wycierała oczy i nos chusteczką.

- Powinieneś być u brata - wyjąkała.

- Nie, powinienem być tutaj. I to tak długo, jak zechcesz.

Dotknęła koniuszkami palców jego twarzy i ucałowała go w policzek, wsparła o niego głowę, nie pozwalając, by znów wzięły górę negatywne emocje.

W pełnej spokoju ciszy wypełniło ją uczucie nowe, łagodne i pełne ufności. Napłynęły również wspomnienia o ich wspólnych nocach, gdy ją jak teraz tulił do siebie, delikatnie i czule.

Spojrzała na niego. Czowała, że wraca dawne zauroczenie, ale teraz o wiele potężniejsze, przenikające ją do głębi.

Znów go pocałowała. Nie mogła się powstrzymać. Doznała zbyt wielkiego bólu, by udawać, że nie potrzebuje, by ją trzymał w ramionach. Później odzyska zdolność do samodzielnego stawienia czoła wszystkim tym prawdom, ale teraz chciała ukryć się w osłonie jego współczucia, jeszcze przez jakiś czas.

Spojrzał na nią tak dziwnie, że zapragnęła wiedzieć, o czym on myśli.

- Czemu nie oddasz mi pocałunku? - spytała.

- Czekałem, żeby się przekonać, czy ta zwłoka zachęci cię do pocałowania mnie jeszcze kilka razy.

Początkowo uznała, że żartuje z niej, bo był w nastroju do żartów,

i pozwalala na to ich wzajemna bliskość. Ale on wcale nie żartował. Wreszcie to pojęła.

Kolejna prawda, którą dziś poznała. Za dużo jak na jeden dzień. Ale to było z jego strony zaproszenie, by otworzyła przed nim swe serce.

Zeskoczyła z jego kolan, a potem usiadła na nich znowu, otaczając kolanami jego uda. Objęła go za szyję i pocałowała ponownie. Tym razem pocałunek trwał dłużej. Była w nim wdzięczność za

pocieszenie jej w smutku, i nowo odkryte uczucie. Miłość. Wszystkiemu, co czuła, dała wyraz, złączywszy swe usta z jego ustami.

Zsunęła koszulę z ciała, wiedział więc, czego zapragnęła. Przeciągnął lekko koniuszkami palców po skórze jej szyi i piersi, podczas gdy ona rozwiązywała mu halsztuk.

- Czy na pewno tego chcesz? - spytał. - Jesteś taka smutna.

- Nie tylko smutna. Jestem też całkowicie pewna, że chcę tego teraz.

Odrzuciła na bok jego halsztuk i zajęła się guzikami koszuli.

- Dotykaj mnie i całuj, gdyja będę to robić. Lekko, bardzo lekko, żeby mogła myśleć tylko o tym.

Usłuchał jej. Palcami i wargami wzbudzał w niej delikatne, najłagodniejsze fale podniecenia, które opływały ją niczym strumień ciepłej wody. Przepelniły ją całą, gdy zdejmowała z niego ubranie, żeby go pieścić.

Zamknęła oczy. Nie patrząc, lepiej wyczuwała dotykiem ciepło i strukturę jego ciała. Delektowała się pieszczonem każdego cala. Potem zaś popchnęła go, tak że upadł plecami na łóżko, a ona uklękła nad

nim, by widzieć, co robią jej ręce.

Jakże cudownie było go pieścić. Rozkoszowała się tym, nie usta-jąc w pieszczocie. Ileż to jej dawało radości. A on chętnie się godził na jej niespieszne karesy. Nachyliła się i całowała jego usta, potem szyję i ramiona. Smakowała go, i zdumiewała się tym, jak doznania odbierane przez jej ciało splatają się z uczuciem przepelniającym jej serce.

Teraz on znalazł się na górze i dawał jej to, co ona dawała jemu, całując jej ciało ostrożnie, pieszcząc łagodnie.

Zaczęło w niej narastać coraz silniejsze podniecenie, ale hamowała je. Nie chciała się jeszcze w nim do końca zatracić. Chciała z całą ostrością odczuwać to, co ją przepelniało dzięki rodzącemu się w niej uczuciu.

Uwolnił się od dolnych partii ubrania, nie przestając jej całować, a ona wzięła jego członek w dłoń i zaczęła pieścić go tak delikatnie i czule, jak on przedtem ją, połączona z nim cudowną, intymną bliskością.

A potem pragnęła już tylko jego. W swoim ciele, w swoich ramionach. Powiedziała mu to. Prosiła, by

wziął ją teraz, właśnie teraz, by mogła mu się oddać całą sobą i poznać pełnię uczucia, którym była przepój ona jej dusza.

Wypełnił ją sobą całkowicie, najgłębiej. Wszystkimi zmysłami chłonęła jego bliskość, i zatraciła się

wreszcie w nim, w jego zapachu, w jego sile. A gdy obejmowała go mocno, całkowicie z nim zjednoczona, dając mu to, czego pragnął, i biorąc od niego to, czym ją obdarzał, ogrom wzruszenia sprawił, że znów zapłakała, ale teraz nie były to łzy smutku.

Pokaż je. Proszą o to przyjaciele, którzy darzą cię uczuciem i troszczą się o ciebie - powiedział Sebastian.

Morgan spojrział na niego ze zdumieniem.

- Nie jestem zwierzęciem w menażerii, które zabawia tłum swoimi sztuczkami.

Kennington był zaskoczony.

- Zwierzę? Sztuczki? Bardzo przepraszam, nie chciałem cię obrazić. Jeśli uradowany tą wiadomością okazałem brak szacunku, to fatalnie!

- W niczym nie zawiniłście - uspokoił ich Sebastian - to ja byłem niedyskretny. Nie miałem pojęcia, że mój brat nie powiedział wam obydwu, iż jest poprawa.

- Skończmy tę partyjkę i nie mówmy już o tym - uznał Symes-Wilvert.

Wzięli do ręki karty. Kennington i Symes-Wilvert, nic nie mówiąc, wpatrywali się w swoje.

Pochylili

nisko jasnowłose głowy, udając obojętność, ale wyraźnie dawali do zrozumienia, że czują się urażeni.

Morgan rzucił karty.

- Odsuńcie ten przeklęty stół! - powiedział z irytacją. Sebastian wstał i odsunął. Nogi Morgana nie wyglądały już jak

dwie szczapy. Dzięki ćwiczeniom odzyskały dawną masę. Gdyby nie to, że nie był w stanie poruszyć nimi, nikt by się nie domyślił, że jest kaleką.

- Nie oczekujcie, że wstanę i zatańczę! - parsknął. - Mój brat przesadza. Lepiej już chyba nie będzie.

Przyjaciele skinęli głowami, ale nie odrywali oczu od jego nóg.

Morgan zamknął oczy. Zacisnął szczęki, żeby się skoncentrować. Prawa noga lekko się zgięła pod tkaniną spodni, a potem nieznacznie przesunęła w prawo.

- Na Jowisza, to cud! - wyszeptał Symes-Wilvert i zwrócił się do Kenningtona:

- Widziałeś to? Widziałeś?

- Widziałem. Ha, ha! Do licha, jakże zdołasz o tym nikomu nie powiedzieć? Przecież to zdumiewające! Cud, jak Symes powiedział.

- Nie obiecuj sobie po tym zbyt wiele. Nie mów też niczego wszystkim naokoło. Nie będę robił przedstawienia przed ciekawskimi, którzy sobie nagle przypomną, że jeszcze żyję.

- Jasne, że nie. Z pewnością. Ale... co mówią lekarze? Kiedy to się zaczęło? - spytał Kennington. - Zamieniamy się w słuch. Musisz nam o tym opowiedzieć.

Skoro o kartach zapomniano, Sebastian wysliznął się po cichu z pokoju, żeby załatwić kilka swoich spraw w City. Kazał osiodłać konia, dosiadł go i pojechał na wschód.

Utrzymywanie w tajemnicy przez Morgana poprawy jego kondycji zadziwiało Sebastiana. Tak jakby Morgan nie chciał uwierzyć w to, co się stało.

Można było zrozumieć, że zwlekał z oznajmieniem o tym matce. Odwiedzała teraz Morgana codziennie, odkąd się tylko dowiedziała prawdy, i Sebastian przyznawał w duchu, że całkowicie rozumie brata. Każdy na jego miejscu by zwlekał. Kennington i Symes-Wilvert

byli jednak jego przyjaciółmi i Sebastian uważał, że powinni o tym się dowiedzieć.

Po przybyciu do City zajrzał do swego radcy prawnego koło Lincoln's Inn. Pan Dowgill nie był prawnikiem jego rodziny. Sebastian natomiast został jego klientem, gdy jako młodzieniec uznał, że pewne osobiste sprawy wymagają, by je załatwiał inny prawnik niż ten, który podlizywał się zbyt ciekawskiej i zbyt bezwzględnej lady Wittonbury.

Dowgill okazał się bardziej niż kompetentny w pełnieniu swych obowiązków. Ten powściągliwy, blady mężczyzna o nierzucającej się w oczy powierzchowności potrafił przekonać nawet najbardziej upartą kochankę, że umowa dotycząca rekompensaty z okazji rozstania proponowana jej przez Sebastiana jest najhojniejszą, jaką kiedykolwiek może otrzymać.

Dowgill przywitał się z nim uprzejmie, jak zwykle. Usiedli w jego gabinecie i prawnik położył kilka dokumentów na małym stoliku między nimi.

- Jak pan sobie życzył, zasięgnąłem wiadomości o spółce P&E. Z trudem dowiedziałem się czegoś więcej niż tego, o czym już pan mi powiedział. Wybudowała ona młyn w roku 1810 i zaczęła produkować w następnym roku proch, który sprzedawano Komisji Zbrojeniowej. Po zakończeniu wojny zaprzestała produkcji.

- Czy dotarł pan do jakiejś informacji o właścicielach P&E?

- Z początku nie znalazłem prawie nic. Z tego, co wiem, była to spółka partnerska, a nie konsorcjum.

Porozumiałem się z pewnym bystrym kolegą z tego hrabstwa, a on - uznałem to, jeśli wolno mi tak powiedzieć, za niesłychane - powiadomił mnie, że nie wie wprawdzie wiele o tej sprawie, ale doszedł

do przekonania, iż właściciele nie nazywali się wcale Pettigrew i Eversham, mimo że młyn nosił taką nazwę.

- To rzeczywiście niesłychane.

Dowgill złączył czubki palców obu dłoni i patrzył na nie w zamyśleniu.

- Nie wiadomo oczywiście, po co dopuścili się tego szachrajstwa. Nikt w hrabstwie nie znał tych ludzi.

Nie korzystali wcale z preferencji, których mogliby się spodziewać jako właściciele tak znaczącej wy-twórni. Zastanawiałem się długo nad tym kuriozum, bo z pewnością kryją się tu odpowiedzi na pytania, których pan szuka. Najbardziej logicznym wyjaśnieniem wydaje się to, że właściciele mogli być dżentelmenami i nie chcieli łączyć swoich nazwisk z placówką handlową.

Sebastianowi przyszło do głowy jeszcze lepsze wyjaśnienie. Właściciel - lub właściciele - od początku zamierzali fałszować proch i ukryli swoją tożsamość, żeby ratować własną skórę w razie zdema-skowania oszustwa.

- A potem dowiedziałem się, że młyn na pewno został sprzedany, o czym, jak wiem z pańskiej relacji,

pan również słyszał - mówił Dowgill. - Płynie z tego wniosek oczywisty i prosty. Nie można używać fikcyjnych nazwisk, jeśli się kupuje czy sprzedaje jakąś własność. Potrzebna jest wtedy odręczna i poświadczona sygnatura. Napisałem zatem do pana Skeffleya, folusznika, który nabył ten młyn, list z pytaniem, od kogo go kupił.

Dowgill spojrzał znacząco na papiery leżące na stoliku.

- Poznał pan jego nazwisko?

- Tak.

Sebastian czekał. Dowgill stuknął palcem wskazującym w papiery.

- Lordzie Sebastianie, znalazłem się w dość szczególnej sytuacji. Jestem pańskim sługą, ale mimo to i radcą prawnym. Nie wiem, dlaczego chciał pan otrzymać tę informację. Jednakże, gdyby nawet pań-

skie cele były całkiem niewinne, radziłbym się zastanowić, czy muszę ujawniać to nazwisko właśnie panu.

- Jestem przekonany, że pan musi.

Choć nie była to odpowiedź, jakiej by pragnął, Dowgill spełnił żądanie Sebastiana.

- No właśnie. Ale domagam się, by pan nie zdradzał mego nazwiska w żadnych rozmowach, jakie może toczyć z tym człowiekiem. I nie tylko nazwiska, ale nawet zaangażowania w tę sprawę jako pańskiego doradcy. Niektórzy ludzie wiedzą, że w przeszłości korzystał pan z moich usług.

Dowgill ciągnął dalej swoje żmudne zastrzeżenia, co jedynie wzmogło zaciekawienie Sebastiana.

- Oczywiście, jeśli pan sobie tego życzy. Ale przecież pan jedynie spełnia swój obowiązek jako mój radca prawny.

- Każda rozsądna osoba również by tak uważała. Niestety, ten osobnik nie jest znany z rozsądku.

Raczej z braku rozsądku.

- A więc pan go zna?

- Tylko ze słyszenia. Obraca się on w wyższych sferach, gdzie ja nigdy nie uzyskam wstępu. Widzi pan, on jest nie tylko dżentelmenem, jak sądziłem. Jest parem Anglii.

Długi wstęp i ostrożność prawnika nabrały nagle sensu.

- On się nigdy nie dowie ode mnie, że właśnie ja zleciłem panu to śledztwo. Jeśli dowie się tego w inny sposób, dołożę starań, żeby nie stało się panu coś złego.

Dowgill wyraził mu bez słów wdzięczność samą swoją miną.

- Pewnie się panu wydałem zbyt ostrożny, ale doradzałbym ze swej strony to samo. Gdybyż chodziło o kogoś innego! Widzi pan, on się pojedynkuje. Wszyscy o tym wiedzą i...

- Niechże mi pan powie, kto to jest. Chciałbym poznać jego nazwisko.

Dowgill wyjął jeden spośród dokumentów leżących na stoliku i podał mu.

- Niech pan to przeczyta. Skeffley pisze, że kupił ten młyn od księcia Castleford.

Sebastian nie złożył porannej wizyty Castlefordowi. Napisał za to do niego i zażądał spotkania sam na sam w bardzo ważnej sprawie. Skoro znali się obaj od wielu lat i byli niegdyś dobrymi przyjaciółmi,

zasugerował w nim, że sprawie ogromnie pomoże, jeśli Castleford będzie trzeźwy i jeśli żaden ładny

tyłeczek nie odwróci jego uwagi.

Odpowiedź nadeszła dwa dni później.

Jeśli już koniecznie chcesz mnie nudzić, to przyjdź we wtorek o drugiej do mego domu. Jest to bowiem dzień, w którym sporządzam tygodniowy plan własnego osuwania się w nudę. Nie będę dokładać zbyt

wielkich starań, by samemu również nudzić.

Gdy Sebastian tam przyszedł, został wprowadzony do biblioteki. Zastał tam Castleforda na omawianiu jakiejś sprawy z jego sekretarzem. Solidne stosy dokumentów oraz cierpkie polecenia wydawane młodzieńcowi siedzącemu za biurkiem dowodziły, że książę, kiedy osuwał się w nudę, potrafił być takim samym nudziarzem, jak każdy inny człowiek, na którego barkach spoczywa odpowiedzialność za ważne sprawy.

- Odkryłem, że jeśli poświęcę temu cały dzień, to o sześć pozostałych mogę się wcale nie martwić - wyjaśnił książę, gdy wejście Sebastiana przerwało mu te zajęcia. - Zostaw nas, Edwards, ale bądź pod ręką.

Młody człowiek wyszedł. Castleford usiadł na kanapie i wyciągnął przed siebie nogi.

- Mam nadzieję, że nie chodzi o jakąś ustawę, bo w takim razie twoi zwierzchnicy zbyt często każą ci tu zaglądać.

- To nie ma nic wspólnego z parlamentem.

- Dzięki Bogu. Ta zabawa tak bardzo ci się podoba, że niektórzy widzą w tobie przyszłego premiera.

Moim zdaniem sprowadził cię tu jakiś wielki skandal, którym nie masz ochoty brudzić sobie rączek.

Czy twoja urocza żona wie, kogo właściwie poślubiła?

- Nie chodzi o sprawy rządowe. Ani o prawo.

- W takim razie o politykę. Czyli o szachy, grę, wyścigi i loterię. Nie przejmowałbyś się tym tak bardzo, gdyby w grę wchodziło tu coś innego. Czego więc chcesz ode mnie?

Sebastian długo w nocy rozważał, jak ma to załatwić. Czuł ogromną przykrość, ale też i wielki gniew.

Nie działali już teraz ramię w ramię, jak za dawnych dni, a ich znajomość, mimo że nadal trwała, nabrała innego charakteru. Jednakże przeraziła go myśl, że będzie musiał rzucić Castlefordowi w

twarz oskarżenie.

- Jak wiesz, zajmowałem się sprawą tego złego prochu strzelniczego. Wykryłem, skąd się brał, i dowiedziałem się, w jaki sposób go fałszowano. Wiem już, że odpowiedzialność ponosisz ty.

Castleford nie zareagował na te słowa. Patrzył tylko na niego.

- Powinienem ci chyba uświadomić, że wszystko wyszło na jaw.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

- Ten proch pochodził z twojego młyna. Chciałbym wierzyć, że to twoi zarządcy zajmowali się całą resztą, od podbierania go z baryłek do zastępowania ubytku inną substancją, przez którą stawał się bezużyteczny. Jeśli powiesz, że nie miałeś najmniejszego pojęcia o tej aferze, będzie to wszystko, czego mi trzeba.

- Czego ci trzeba? Bo mnie trzeba przeprosin! I to zaraz, bo dam ci słowo, że wyzwę cię na pojedynek!

Castleford wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem. Był wściekły. Przesunął ręką po włosach, odwrócił się ku Sebastianowi i przeszył go wzrokiem.

- Czyś ty zbzikował? Ja nie posiadam żadnych młynów. Po cóż bym ich, u diabła, potrzebował?

Dlaczego miałbym jakiś mieć? Zwłaszcza taki, co może wylecieć w powietrze? A co do podbierania prochu i całej reszty - po co, jak sądzisz, miałbym sobie tym zawracać głowę?

- Może dla zabawy. Lubisz się bawić.

- Jeśli uważasz, że wystawiałbym na ryzyko życie tych żołnierzy, w takim razie jesteś durniem.

Mógłbym chędożyć ich siostry, ale nie to!

- Ale młyn należał do ciebie. Sprzedałeś go niedawno, widziałem umowę dwustronną z twoim podpisem.

Castleford znieruchomiał ze zdumienia. Potem podbiegł do drzwi, otworzył je na oścież i ryknął, żeby Edwards wracał.

Młody człowiek przybiegł natychmiast. Castleford przygwoździł go wzrokiem i wskazał palcem Sebastiana.

- Edwards, wyjaśnij mi, że ja nie mam i nigdy nie miałem żadnego młyna!

Edwards wyglądał jak ktoś, kto wszedł do klatki lwa. Zmierzył ostrożnym spojrzeniem najpierw

Sebastiana, a potem księcia i pobladł.

- No, mów! - huknął Castleford.

- Ehm... milordzie... - z trudem wykrztusił Edwards - owszem, miał pan jeden młyn, ale krótko.

Pamięta pan? Podpisał pan umowę kupna przy spłacie dżentelmeńskich długów. Przypominam sobie, że napisałem list do pańskiego radcy prawnego, mówiący, żeby sprzedać go za jakąkolwiek sumę.

Castleford spojrział na niego tak groźnie, że młodzieniec cofnął się o krok.

- Mogę poszukać tego listu, jeśli pan chce, milordzie.

- A kto, u diabła, sprzedał mi ten młyn?

- Tego nie wiem. Przypominam sobie tylko list do radcy prawnego.

- Idź mi zaraz po ten list! Edwards uczynił to skwapliwie.

- Pewnie jest w gabinecie. Zaraz go odszukam. Castleford rzucił się na kanapę.

- Pogadam z moim radcą prawnym i prześlę ci wszystko, co on ma, Summerhays. Jeśli byłem wtedy właścicielem tej posesji, zna zapewne nazwiska ludzi, którzy młyn prowadzili, i co tam jeszcze.

Wyraz twarzy Castleforda świadczył o konsternacji.

- Jeśli opisana przez ciebie afery rzeczywiście wydarzyła się wtedy, gdy byłem właścicielem młyna, to rzecz jasna biorę na siebie pełną odpowiedzialność.

A więc obaj padli ofiarą losu. Castleford swoim zachowaniem codziennie łamał wszystkie normy, przyjęte przez socjetę. Przez całe życie poruszał się na krawędzi społecznej akceptacji. Jego ekscesy były tak karygodne, że zawsze otaczała go atmosfera skandalu. I ten rzucający wyzwania całemu światu skandalista mógł złamać prawo wskutek incydentu, o którym nie miał najmniejszego pojęcia.

- Nie musisz się spieszyć - mruknął Sebastian. - Poczekam, póki twój radca albo ty sam nie

wyjaśnisz mi wszystkich szczegółów.

- Jesteś doprawdy zbyt dobry. - Sardoniczny ton przypomniał Sebastianowi młodego Castleforda, równie jak teraz znieprawionego, ale mniej przeżartego grzechem.

Uśmiechnął się mimowolnie, przypominając sobie ich dawną przyjaźń.

- Bynajmniej. Poczekam, bo w przeciwnym razie dostanę mata w grze w szachy, w której biorę

udział,

nie mając o tym pojęcia.

- Zdecydowałam, że nie będę sobie brała kochanków - oznajmiła Audrianna.

Powiedziała to w nocy, gdy odpoczywali po wybuchu namiętności, dokładnie w momencie, w którym błogość przemienia się w satysfakcję i słowa nie mogą już zniszczyć uniesienia, podczas którego zatrzymuje się czas.

Sebastian, rozluźniony i przyjemnie znużony, prawie podskoczył, słysząc, co ona mówi.

- Nie wiedziałem, że miałaś takie zamiary.

- Nie miałam żadnych konkretnych zamiarów. Zgodziliśmy się jednak, że wolno mi to będzie zrobić później, jeśli mi się tak spodoba.

- A teraz uznawaś, że ci się to nie spodoba?

- Nie przejmuj się. Wiesz już przecież, że nie przypominam twojej matki, która nęka cię pytaniami pełnymi zazdrości i złości.

Jaka była jego reakcja na to oświadczenie Audrianny - zastanowił się. Rozradowanie godne młodzika,

że zdobył ją na zawsze.

Ulga, że zrozumiała, iż złość i zazdrość mogą zniszczyć małżeństwo.

A nade wszystko dręczące podejrzenie, że czyniła aluzję do krążącej o nim jeszcze niedawno opinii.

- Nie jest to chyba decyzja, którą można podejmować w odniesieniu do przyszłości - powiedział. -

Za

dziesięć lat możesz...

- Nie. - Zajrzała mu prosto w oczy. - Nie będę tego chciała.

Nie chciał się z nią spierać. Jeśli postanowiła być mu wierną, nie leżało w jego interesie przekonywać jej, by taka nie była. Jednakże...

- Pewnie dlatego, że powiedziałem, iż ich pozabijam. Roześmiała się.

- Skądże. Przecież wiem, że ich byś nie pozabijał.

W jego interesie nie było również wyjaśnianie, że mógłby to zrobić, z pewnością. Zapewne oszczędziła mu tą decyzją jednego czy dwóch pojedynków.

Ogółem biorąc, nie było to dla niego niekorzystne. A jednak...

- Co miało według ciebie znaczyć, że nie jesteś podobna do mojej matki, jeśli chodzi o złość i zazdrość?

- Czy to nie jest oczywiste? Jak dotąd, nie przejawiałam ich przecież.

- Istotnie. Ale...

Sądził, że ona wie to jedno - że nie ma powodu do złości i zazdrości o niego. Brzmiało to jednak tak, jakby sądziła, że ma.

Balansował nad osobliwą przepaścią. Mógł jej powiedzieć, że jak dotąd nie miała powodów do zazdrości. Mógł też dziękować za to, że nawet w początkach małżeństwa godziła się na to, że mężczyźni są niestali.

Rozsądek mówił mu, że dla spokoju i harmonii przyszłych lat powinien poniechać tego tematu.

Definitywnie. A jednak nie zrobił tego.

- Do licha, a czy miałaś dotąd jakiegokolwiek powody do zazdrości? Przecież cię nie zaniedbuję. Od ponad miesiąca ani razu się porządnie nie wyspałem!

Zamilkła, a potem usiadła i spojrzała na niego.

- Zdumiewasz mnie. Zdobyłam się na odwagę, żeby ci oznajmić, że postanowiłam być ci wierna, a ty jesteś zły!

- Nie jestem zły.

- Ale mówisz ze złością. Nie rozumiem, dlaczego. Nie powinieneś mówić w ten sposób.

- Oczywiście, że powinienem. Będziesz mi wierna?

- Czy chciałbyś, żebym nie była?

- Jasne, że nie. Chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego uważasz, że ja ci byłem niewierny.

- A dlaczego miałabym uważać inaczej? Rozpustnik nie przestaje być rozpustnikiem po wymuszonym okolicznościami małżeństwie. Niektórzy sądzą nawet, że nie przestaje nim być nigdy, niezależnie od tego, jakie małżeństwo zawrze. A gdy wracasz do domu dopiero nad ranem, nie mówisz, gdzie byłeś, ja zaś nie pytam. Potrafię jednak wyciągnąć wnioski. Nie jestem taka naiwna, żeby nie wiedzieć, jak wyglądają podobne małżeństwa.

Przewrócił ją na plecy i nakrył sobą, tak by patrzeć jej w twarz.

- Wyciągnęłaś złe wnioski. Od dawna nie spędziłem nocy z żadną inną! Od miesięcy!

Nie było tych miesięcy wiele, ale na pewno nie obchodziły go inne od chwili, kiedy się pierwszy raz spotkali. Czy jednak trzeba być aż tak dokładnym?

- Naprawdę? - spytała zaskoczona, zdumiona i niedowierzająca. Słyszał też w jej głosie wahanie, jakby odpowiedź bardzo dużo dla niej znaczyła.

- Naprawdę. A co do tego, jak podobne małżeństwa wyglądają. Jakiś wewnętrzny głos mówił mu, żeby zamilkł, nim stanie się

coś, czego później będzie żałował. Ale ciągnął dalej:

- Czemu mi powiedziałaś, że nie będziesz robić tego, co robi większość żon?

- Chciałam, żebyś o tym wiedział.

- Dlaczego tego chciałaś?

- Bo to dla mnie ważne, powiedzieć ci o tym. I tyle. Żebyś o tym wiedział i był mnie pewien, jeżeli w ogóle ta wiedza coś dla ciebie znaczy.

„Jeżeli w ogóle ta wiedza coś dla ciebie znaczy”. Te jej słowa wytrąciły mu broń z ręki. Jakież głupie było jego oburzenie. Jakże smutno musiało jej być, gdy to mówiła lub tak myślała.

Była bardzo rozsądna. Nie spodziewała się po tym związku niczego innego oprócz dotrzymywania warunków umowy zawartej między nimi obojgiem i znanej tylko im. Ta umowa dawała mu prawo do robienia, co mu się podoba. Było to oczywiste.

Jej „jeżeli” wciąż wisiało w powietrzu. Jeżeli wzięcie przez nią kochanka nic nie znaczy, to i ona nic nie znaczy. Przygnębiało go to, co usłyszał.

A mimo to jest o nią zazdrosny. I z jej powodu robił z siebie osła. Pocałował ją. Poczł słony smak na jej policzku.

- Czemu chciałabyś wiedzieć, czy ma to dla mnie znaczenie? Czy to dla ciebie ważne? - Skinęła potakująco głową, ale milczała.

Pocałuj ją, daj jej rozkosz i zamilcz, ty sentymentalny durniu. Wiedział bardzo dobrze, że powinien zakończyć tę rozmowę. Nie chciał jednak, żeby myślała, iż pytając go o późny powrót, jest w jego oczach jędzą.

Słowa małżeńskiej przysięgi, którą sobie złożyli, powinny być wystarczającą odpowiedzią, ale, oczywiście, nie były.

- To dobrze, że wzajemnie sobie coś obiecujemy. Ja też nie będę sobie brał kochanek.

Wyglądała na tak zaskoczoną, tak do głębi zdumioną, że o mało się nie roześmiał. Ale coś innego w jej oczach wzruszyło go głęboko. Nigdy nie zapomni, jak patrzyła na niego w tej chwili.

- Będzie mi bardzo miło - powiedziała cicho. - Jeśli jednak pewnego dnia...

Dotknął jej ust, żeby nic więcej nie mówiła. Nie chciał, żeby zwalniała go z tej obietnicy, nim się on sam przekona, czy może jej dotrzymać.

- Jeśli pewnego dnia jedno z nas pożałuje tej obietnicy, pomówimy o tym, Audrianno. I może przypomnimy sobie, ile dla nas znaczyła.

I dlaczego.

Było wczesne przedpołudnie, gdy Audrianna wysiadła z powozu. Miała jednak cały dzień zaplanowany i nie mogła odłożyć tej wizyty. Na szczęście kobieta nie musi zważać, czy pora odwiedzin jest odpowiednia, jeśli składa wizytę własnej matce.

Matka uradowała się na jej widok. Gdy szły do porannego saloniku, Audrianna zauważyła nowy dywan w bibliotece. Ciekawa była, czy to Sebastian nadal odprawia swoją pokutę.

Matka mówiła bez przerwy o odnowionych przyjaźniach i odnalezionych krewnych. Jej gotowość do puszczenia wszystkiego w niepamięć cieszyła i zarazem zasmucała Audriannę.

Od ostatniego spotkania z Dominem stoicka reakcja matki na utratę dobrego imienia przez ojca nabrała nowych, ukrytych znaczeń, podobnie jak wiele innych spraw, zdarzeń i ludzkich zachowań, które Audrianna zapamiętała z tego długiego, straszego okresu w ich życiu.

- Sarah nadskakuje pewien młodzieniec - zwierzyła się w końcu matka, wyraźnie zadowolona. - Jest dżentelmenem.

- To wspaniale, mamó. Czy mieszka w Londynie?

- Tak, choć ma posiadłość w Yorkshire. Jego profesja wymaga, żeby przebywał tutaj. Jest adwokatem.

- To wspaniale.

- Obiecałam mu zaproszenie od lorda Sebastiana. Na pewno nie będziesz miała nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie.

Matka nie była głupia. Wyczuła w jej głosie niezadowolenie. Zapewne też dostrzegła niechęć Audrianny do bycia „użyteczną”, mimo że córka usiłowała to ukryć.

- Mam co do niego wielkie nadzieje - matka spuściła oczy i mówiła przeproszającym tonem, jak poddany, który podszedł zbyt blisko do królowej. - Może większe, niż należałoby oczekiwać.

Będziemy

jednak trzymać go na dystans, jeśli zechcesz, póki nie da nam wyraźnie poznać swoich intencji.

- Nie, to niepotrzebne. Zajmę się przedstawieniem go, kiedy tylko zechcesz. Zrobię to z

przyjemnością.

Było jednak mało prawdopodobne, by ów adwokat ujawnił swoje intencje, nim ona przyda mu się na coś. Ale w końcu i z tego powodu wyszła za mąż. Powinna o tym pamiętać i nie pozwolić, by to, co od

niedawna mówiło jej serce, przesłoniło tamte motywy.

- Ostatnio wiele myślałam o papie - powiedziała. - I o tych zaniedbaniach obowiązków, o które go oskarżono.

Matka nic nie powiedziała, ale zeszywniała. Siedziała ze spuszczoneymi oczami. Często tak robiła w obecności ojca w ostatnich miesiącach jego życia.

- Czy sądzisz, mamó, że był w to jakoś uwikłany? Wiem, nigdy nie powiedziałaś wyraźnie, że był, ale

istniały powody, by podejrzewania skupiły się właśnie na nim. Przecież to on dostawał wszystkie raporty o jakości prochu. To on decydował o jego dystrybucji. Broniłaś go,

wiem o tym, ale...

Matka westchnęła głęboko, jakby brzemię, którego niedawno się pozbyła, znów ją przygniotło.

Uniosła wzrok, a w jej oczach widniała szczerłość.

- Zadręczał się tym. Widziałam, że cały ten skandal odcisnął na nim piętno. Niknął w oczach. Zawsze miewał okresy melancholii. Ukrywał je przed tobą i Sarah, ale przede mną nie mógł. Zrobiła to z nim wojna. Wtedy zaczął miewać ponure nastroje, a tym razem już się z nich nie otrząsał. Przestał nawet ze mną mówić.

- A więc nigdy ci nie powiedział, że jest niewinny?

- Jak sądzę, obawiał się, że może być winnym. Bardzo wcześnie, zanim jeszcze stało się to jawne, armia wiedziała już o wszystkim, a on całymi tygodniami głowił się nad tym razem ze mną, próbując uprzytomnić sobie, czy nie popełnił błędu. „Do pomyłki musiało dojść w arsenale” - powtarzał

ciągle.

- „Mój urząd nie dopuściłby do dystrybucji złego prochu”.

- A więc zaprzeczał temu. - Audrianna poczuła ulgę. Z opisu matki wynikało, że nie czuł się człowiekiem winnym, lękającym się ujawnienia przestępstwa. Był uczciwym mężczyzną, którego nękała myśl, że mógł popełnić błąd.

- Ale nie miał pewności, Audrianno, i zgryzota już go nie opuściła. Pogrążył się w melancholii.

- Czuł się zaszczuty, zhańbiony, nic więc dziwnego, że wpadł w melancholię. Wierzysz chyba, że niczego złego nie zrobił?

Czekała z bijącym sercem, by matka potwierdziła, by broniła ojca, jak kiedyś. Zrobiło się jej ciężko na sercu i omal nie straciła panowania nad sobą, gdy milczenie matki się przeciągało.

- Wierzysz w jego niewinność, prawda, mamó?

Oczy matki zaszyły mgłą, jakby pytała sama siebie, czy tak jest istotnie. Potem rozbłysły na nowo, a spojrzenie znów zwróciło się ku córce.

- Oczywiście, że wierzę. Byłam przecież jego żoną.

- Nie powinnaś była tego robić - upomniała ją Daphne, gdy Audrianna okopywała motyczką krzak róży. - Co wyście sobie obydwie myślały, Celio?

- Powiedziała, że poskutkowało - odparła Celia, przycinając rośliny po drugiej stronie grządki. -

Jesteś mi winna dziesięć funtów, Audrianno, bo tyle dałam mojej matce.

- Czy twoja matka wydała te dziesięć funtów w burdelach, żeby szukano tam Domina?

- Nie wiem, ile zapłaciła im. Ale tyle musimy jej zapłacić. Daphne przerwała pracę i zaczęła się uważnie przyglądać Celi spod ronda słomkowego kapelusza. Audrianna podejrzewała, że Daphne myśli o tym samym, co i ją zaciekało.

- Skąd wzięłaś dziesięć funtów, Celio? - spytała Daphne. Uwaga Celi skupiła się na łodygach krzewów.

- Mam nadzieję, że ich nie pożyczyłaś - powiedziała Daphne. -Znasz regulamin. Nie robimy długów.

Celia westchnęła dramatycznie.

- Nie można zadłużyć się u własnej matki. Ona zapłaciła im, a ja muszę jej to zwrócić. Była taka szczęśliwa, gdy wreszcie o mnie usłyszała, że nie miała nic przeciwko temu.

Wróciły do pracy w ogrodzie. Audrianna specjalnie wybrała na wizytę u nich ten piękny, słoneczny dzień, bo wiedziała, że spędzą go właśnie w ten sposób. Włożyła stare półbuty i prostą suknię, a fartuch dały jej po przyjeździe.

Pragnęła dziś towarzystwa przyjaciółek, bo ciągle myślała o wczorajszej rozmowie z matką.

Powtarzała sobie wciąż, że przyjechała do niej po prawdę, ale teraz zrozumiała, że własne

przeświadczenie tylko się w niej umocniło, gdy ją pożegnała. Zaczęła podejrzewać, mimo ostatnich, pełnych szacunku dla męża słów matki, że jedyną osobą wierzącą w niewinność Horatia Kelmsleigha co do afery prochowej jest ona, Audrianna.

Ale teraz i ona nie była już tego pewna, wręcz przeciwnie, choć nadal bardzo chciała być. Nie mogła też jednak uznać w głębi skołatanego serca, że ojciec jest winny.

Na szczęście jej serce miało całkowitą pewność w innej sprawie.

Słońce mocno przypiekało, wszystkie więc pracowały w kapeluszach i rękawiczkach. Gęsty rząd wielkich tulipanów otaczał klomb róż, który okopywały i pielili. Aksamitne kielichy kwiatów rozchyłały swe płatki, które wkrótce już zaczną opadać.

Przez szyby oranżerii można było dojrzeć Lizzie, pracującą nad tacą sadzonek, które w jakiś magiczny sposób nakłaniała do wzrostu. Wkrótce miała do nich dołączyć, a wtedy nie mogłyby porozmawiać w

cztery oczy. Lizzie wciąż jeszcze nic nie wiedziała o matce Celii.

- Przykro mi, że tak się przejęłaś tym, co usłyszałaś od Domina -zaczęła Daphne, spulchniając ziemię ostrożnymi ruchami motyki. -Wiem, że postanowiłaś nie tracić wiary w ojca.

Jak dobrze Daphne wie, co mnie dręczy, pomyślała Audrianna, i uświadomiła sobie, że Daphne udzieliła jej kolejnej ważnej życiowej lekcji... Należy kierować się instynktem i uczuciem, oceniając drugiego człowieka. Może właśnie dlatego ona, Audrianna, nie jest w stanie uwierzyć w winę ojca.

Drzwi oranżerii otwały się. Lizzie, z tacą w rękach, podeszła do inspektu, ogrzanego promieniami słońca, uniosła jego pokrywę i wstawiła tacę do środka. Nadeszła pora na hartowanie sadzonek, które

miano zasadzić w połowie maja.

Potem przyłączyła się do nich. Wyglądała prześlicznie w prostym, liliowym kapelusiku i sukni z jasnobłękitnego muślinu. Już od kilku tygodni nie miała bólów głowy.

Audrianna spojrzała na przyjaciółki. Markiz miał rację, zapewniając ją, że po wyjściu za mąż pozna wiele młodych mężatek, chcących z nią utrzymywać znajomość. Przyjmowano ją coraz chętniej, wchodziła w tamten świat coraz śmieiej. Śmiała się już bez zastanawiania się, czy wypada się śmiać, czy nie.

Nigdy jednak nie będzie czuła się w tym świecie jak tutaj, a tych przyjaciółek nie zastąpią żadne inne.

Pochyliła się, żeby usunąć z grządki zbędną grudkę torfu.

- Zakochałam się.

Przestraszyła się własnymi słowami. Mogła to powiedzieć tylko tym kobietom. Nigdy by się nie odważyła wyjawić tego komukolwiek innemu.

Zapadła taka cisza, że słyhać było tylko świergot ptaków i szmer zwiędłych liści, jeszcze tych jesiennych. Audrianna ujrzała wpatrujące się w nią trzy pary oczu.

- Och, droga moja - odezwała się Lizzie. - To chyba niemądre.

- Wziąwszy pod uwagę powody tego małżeństwa, masz zapewne rację. Ale tak się jednak stało - odparła.

- Nie, to nie jest niemądre - powiedziała Daphne.

- Tylko wtedy, gdybyś spodziewała się, że i on się w tobie zakocha - uznała Lizzie. - W takim małżeństwie raczej się tego nie spodziewaj- A Jego nazwisko wciąż jeszcze łączą z kobietami, o których pisuje bulwarowa prasa, żyjąca skandalami. Ale - jak przypuszczam - twoje życie może okazać się znośne, jeżeli jesteś gotowa się z tym pogodzić.

- A ja myślę, że wspaniale jest się zakochać - stwierdziła Celia. - Nawet jeśli przyczynia to cierpień.

Przynajmniej wiesz wówczas, że żyjesz. Cieszę się więc, że się zakochałaś. Radzę ci, niczego się nie obawiaj, zakochaj się namiętnie i oddaj mu swe serce, no, dziewięć dziesiątych serca. - Odcięła energicznie zeschnięty pęczek róży. - Tylko nie trać przy tym głowy i zachowaj tę jedną dziesiątą serca dla siebie. Nam możesz o wszystkim mówić, ale nie jemu, bo od razu zrobi z ciebie swoją niewolnicę.

Audrianna wolałaby w tej chwili nie wiedzieć, kim jest matka Celi. Zupełnie jakby słyszała panią Northrope pouczającą córkę, jacy są ludzie! Niestety, pani Northrope, kochanka mężów tylu kobiet, zapewne doskonale poznała naturę mężczyzn i mało która mogłaby jej w tym dorównać.

- Czuję się bardzo stara - powiedziała Daphne, uśmiechając się lekko. - A może bardzo młoda? Sama nie wiem. Chyba jestem tu jedyną, która nie ma wątpliwości, że to cudowne, iż się zakochałaś, Audrianno, chociaż właśnie ty masz najmniej do tego powodów. Napawa to mnie optymizmem.

Celia przyjrzała się uważnie krzewom koło niej.

- No, skończyłyśmy. Obsypią się kwiatami, bujniej chyba niż kiedykolwiek. Chodźmy już.

Poszły do domu, zdejmując po drodze ubrudzone rękawice i fartuchy, a w domu kapelusze i buty.

- Napisałam nową piosenkę - oznajmiła Audrianna - i przyniosłam tu. Celio, zaśpiewaj ją nam.

- Czy zawieszysz ją panu Trotterowi? - spytała Lizzie.

- Nie ośmieliłabym się. Zapewne chciałby ją wydać pod moim nazwiskiem, a ja nie sądzę, żeby to był

mądry pomysł, zważywszy na moje małżeństwo i popularność *Mego niestałego kochanka*. Nie chcę, żeby ten skandal w jakikolwiek sposób odżył na nowo.

- Pewnie Trotter ozdobiłby nuty jakąś inną ryciną, na której ty i lord Sebastian baraszkwaliłyście w łóżku - powiedziała Celia. - Daj mi to, zaśpiewam, a ilustrację możemy sobie wyobrazić.

Audrianna wyjęła z torebki kartkę i jej podała. Usiadły w bawialni na tyłach domu, a Celia zapoznawała się ze słowami i nutami.

- Myślę, że to jak dotąd twoja najlepsza piosenka - powiedziała, przeglądając tekst. - Wymagałaby według mnie bardzo wzruszającego obrazka.

- Dziękuję. I ja tak sądzę, że mi się udało. Nazwę ją *Moje serce i dusza*.

Celia skończyła lekturę z poważną twarzą, teraz znów nad wiek dojrzała, jaką nieraz już Audrianna u niej widziała. Trzymając kartkę przed sobą, zaczęła śpiewać.

Audrianna dziwnie się czuła, słuchając swego utworu w czyimś wykonaniu, a nie tylko we własnej głowie. Napisała go na drugi dzień po spotkaniu z Fransem, czyli Dominem, kiedy wciąż jeszcze czuła

przygnębienie. Przyniosło jej ulgę przelanie na papier uczuć, których doświadczyła w objęciach Sebastiana. Daphne i Lizzie słuchały w milczeniu. Czysty, młodzieńczy głos Celi przydawał słowom wyrazu. Zabrzmiały lepiej, niż Audrianna się spodziewała.

Cisza trwała jeszcze przez jakiś czas po ostatnich dźwiękach pieśni. Daphne uśmiechnęła się z pewnym smutkiem.

- Jaka piękna. Szkoda, że nie odważyłaś się jej pokazać Trotterowi.

Lizzie otarła chusteczką oczy.

- Boję się, Audrianno, że przepadłaś z kretesem, jeśli ta piosenka wyraża twoje prawdziwe uczucia.

Któż by mógł jej słuchać bez wzruszenia? Pożałowałam, że sama nie jestem zakochana.

Celia wpatrywała się długo w nuty.

- Wielka szkoda, że nie można jej powszechnie wykonywać. Zasługiwałaby na szerszy krąg odbiorców.

- A ja jestem rada, że słyszałam, jak tyją śpiewasz, Celio. Jakoś się z tym pogodzę, że wysłuchałyśmy jej tylko my cztery.

- Czy możesz ją tu zostawić? Chciałabym jeszcze nieraz ją zaśpiewać. Kiedy cię tu nie będzie, przypomni nam o tobie.

- Możesz z nią zrobić, co tylko chcesz. Może któregoś wieczoru zabrzmie w moich uszach, a ja wtedy będę wiedziała, że właśnie ją śpiewasz.

Audrianna wstała i ucałowała je wszystkie po kolei.

- A teraz muszę już was pożegnać, choć chętnie bym została tu dłużej. Lady Wittonbury wydaje dziś wieczór proszony obiad i przyszykowanie się do niego zajmie mi dobre parę godzin.

Następnego dnia po proszonym obiedzie Audrianna odwiedziła markiza. Brała udział w tym sezonie w tylu przyjęciach i balach, że zachodziła do niego rzadziej niż przedtem, ale gdy już do niego przysła, długo opowiadała mu o wszystkich.

Ku jej zaskoczeniu, pół godziny później przyszedł tam Sebastian i przysłuchiwał się wraz z bratem jej relacji, jakby nie było innych miejsc, gdzie mógł o tej porze przebywać.

- Opowiadasz tak obrazowo, że czuję się, jakbym sam tam był -pochwalił ją Morgan. - Chętnie bym zobaczył gębę Halliwella, gdy roztopiony wosk kapnął mu z żyrandola na lorgnon.

I zrobił odpowiednią minę, a oni wybuchnęli głośnym śmiechem.

- Naprawdę chciałbyś to zobaczyć? - spytał Sebastian. Śmiech Morgana zamarł. Bracia spojrzeli na siebie tak, że Audrianna wolała zamilknąć.

- Pytam, bo nie robisz niczego, palcem nie chcesz kiwnąć, by pewnego dnia stało się to możliwe.

Lekarze mówią, że musisz się starać rozprostować nogi, bo w przeciwnym razie nigdy ci się nie uda wstać, a ty nie chcesz nawet tego spróbować.

- Gdybym mógł wstać o własnych siłach, tobym chciał tak zrobić. Ale nie mogę, a więc tego nie zrobię.

- W ten sposób nic z tego nie wyjdzie. Przecież ci wyjaśniano, że jeśli mięśni nie zmusi się do działania, to nie będą działać nigdy.

- Stajesz się tak nieznośny, jak nasza matka. Powiedziałem jej już, żeby tu nie przychodziła bez mojego zaproszenia. Dawno już powinienem był zrobić to, jak mi radziłeś.

- Kenningtona i Symes-Wilverta też stąd wyprosiłeś, jak słyszałem. Jedynym gościem, jakiego chętnie

tu widzisz, jest moja żona, bo ma zbyt dobre serce, żeby ci uświadomić, że zachowujesz się jak tchórz.

Audrianna wstała, żeby nie brać udziału w tej coraz bardziej nieprzyjemnej rozmowie, ale Morgan się

sprzeciwił. - Nie, to on wyjdzie, nie ty.

- Nigdzie nie pójde, póki nie spróbujesz wstać.

- No, to siedź sobie tutaj, aż cię diabli wezmą!

Sebastian skrzyżował nogi przed sobą, jakby rada brata całkiem mu odpowiadała.

- Nie chcesz tego zrobić dla siebie, dla matki ani dla mnie. Ale może zrobisz to dla niej? - spytał, wskazując na Audriannę ruchem głowy. - Zrobisz to, jeśli ona cię poprosi?

Wittonbury spiorunował go wzrokiem.

- Poproś go, Audrianno.

Morgan zaśmiał się, z gorzką rezygnacją.

- Och, ty nędzniku.

- Poproś go. Żądam tego.

Wolałaby żeby nie żądał. Nie powinien włączać jej do tego, odwołując się do jej przyjaźni z

Morganem, to nie było uczciwe. Nie chciała wiedzieć, co się kryło pod tą rozmową. Coś, czego nie rozumiała.

- Czemu nie spróbujesz? - spytała Morgana. - Byłoby wspaniale, gdybyś pewnego dnia mógł opuścić ten pokój. A gdyby tak wybuchł tu kiedyś pożar? Jeśli ci się nie uda wstać, to trudno, ale przecież odkąd ćwiczysz, nastąpiła pewna poprawa.

Nic nie odpowiedział. Nie chce się z nią kłócić, pomyślała. Cały jego gniew spadł na Sebastiana.

Zacisnął dłonie na poręczach fotela i zmusił ciało, by uniosło się nieznacznie. Ale miał ramiona tak słabe, że nie utrzymały ciężaru ciała i zwałił się ciężko na fotel z powrotem.

Sebastian wstał, stanął za fotelem, nachylił się nad bratem i wsunął ramiona pod jego ramiona. A potem, prostując się, podnosił brata,

póki ten nie stanął mocno obydwoma stopami na podłodze. Wszystko to stało się jednak tak szybko, że Audrianna nie zdążyła się ruszyć.

A potem Sebastian odstał w tył i Morgan stał, niepodtrzymywany. Usta markiza rozwarły się ze zdumienia. Potem opadł na fotel.

- Czyś ty oszalał?! - krzyknął.

- Do licha, zdołałeś stanąć! Owszem, tylko na krótko, nim się nogi pod tobą ugięły, ale stałeś. Nie mów mi teraz, że nie czujesz, iż twoje mięśnie pracują.

Markiz przymknął oczy i się uspokoił. Jego twarzy już nie wykrzywił gniew.

- Czemu zrobiłeś to w obecności Audrianny? To było niestosowne.

- Potrzebowałem życzliwego ci świadka. Spytaj jej, czy stanąłeś, czy nie.

Morgan nie spytał. Wiedziała już jednak, że mąż miał rację. Jego brat nie chciał zrobić niczego, co musiał zrobić, żeby odzyskać sprawność.

Podeszła do Morgana i ucałowała go w policzek. Oczy miał nadal zamknięte, jakby chciał odgrodzić się i od nich, i od prawdy.

- Pójdę już teraz, ale zawsze będę tu zaglądać i opowiadać ci o balach sezonu tak długo, jak tylko zechcesz - powiedziała. - Powiem ci jednak w zaufaniu, że wolałabym pewnego dnia zatańczyć na nich z tobą.

Minęły dwa tygodnie, ale Sebastian nie dostał od radcy prawnego Castleforda żadnej wiadomości.

Nie

wróżyło to niczego dobrego. Może wiadomość od niego nadeszła innego dnia niż we wtorek? Tristan zapewne nie przejmował się niczym poza tym, co dostarczało mu rozrywki.

Aż wreszcie, równo w trzy tygodnie po ich spotkaniu, ku zaskoczeniu Sebastiana nadszedł list, który Castleford przesłał mu przez posłańca.

Przyjdź dziś po południu przed piątą, albo poczekaj do następnego wtorku.

Oznaczało to, że Sebastian musi odłożyć spotkanie z dwojgiem innych ludzi, z którymi zamierzał się spotkać, ale punkt o trzeciej zajechał przed pałac Castleforda na Piccadilly Street.

Kiedy wszedł do biblioteki, Castleford wydawał właśnie agresywnym tonem polecenia

nieszczęsnemu Edwardsowi. Wskazał ręką na kanapę, co oznaczało, że gość ma na niej usiąść i czekać.

Kwadrans później, gdy podyktował już list do rządcy swojej posiadłości, Castleford zwrócił się do Sebastiana:

- Chodź ze mną. Jest w salonie. Sebastian poszedł za nim, pytając:

- Kto jest w salonie?

- Pan Goodale. Jeden z moich radców prawnych. Zajmuje się kłopotliwymi sprawami dotyczącymi mnie osobiście, podobnie jak Dowgill twoimi.

- Kazałeś mu czekać całe popołudnie?

- Ma tam coś do picia, książki, świeże powietrze z ogrodu, no i może ode mnie zażądać zapłaty za cały dzień. Jestem pewien, że nie ma mi za złe.

Wyglądało na to, że pan Goodale rzeczywiście nie miał mu niczego za złe. Usadowił swoje pulchne ciało w największym z foteli, stopy wsparł na podnóżku i czytał sobie coś przy otwartym oknie z kieliszkiem brandy w drugiej ręce. Dziwne, że nie zdjął butów! Z wyraźną niechęcią spojrzął na otwierające się drzwi, ale zerwał się na nogi, gdy ujrzał, że wchodzi Castleford.

Castleford rozsiadł się w fotelu opróżnionym przez Goodale'a, pozwalając, by łysiejący radca stanął przed nim w postawie godnej sztubaka.

- Proszę powiedzieć Summerhaysowi o tym młynie.

- Milord sprzedał go panu Skeffleyowi w październiku 1816 roku.

- On już o tym wie. Proszę mu powiedzieć, jak go nabyłem. Goodale odchrząknął i wyrecytował:

- Młyn stał się własnością milorda jako spłata karcianego długu pewnego dżentelmena w wysokości siedmiu tysięcy funtów. Prowadziłem ze wspomnianym dżentelmenem przewlekłe negocjacje, gdyż jego zdaniem posiadłość ta była warta więcej i, jak mi się zdaje, miał nadzieję, że mu się tę różnicę jakoś wyrówna. Nie muszę chyba mówić, że milord w tych pertraktacjach nie brał udziału.

- Właśnie dlatego o niczym nie miałem pojęcia - wyjaśnił Castleford.

- Milord jedynie podpisał dokumenty, które mu przedłożyłem wraz z innymi przyniesionymi przeze mnie tego samego dnia.

- To był piątek - mruknął znaczącym tonem Castleford. - Goodale jest tu znany jako Panna

Wtorkówna.

Goodale spurpurowiał.

- Wybacz pan, milordzie, ale muszę się jeszcze spotkać z adwokatami, a oni sobie też cenią swój czas.

- Chciałem tylko dać do zrozumienia, że gdybyś mi przyniósł te dokumenty we wtorek, to bym pamiętał, że je podpisywałem - wyjaśnił księżę, najwyraźniej ze względu na Sebastiana.
- Kiedy został nabyty ten młyn? - spytał Sebastian prawnika.
- Trochę wcześniej tego samego roku. W maju 1816. A więc po wojnie.
- Goodale, możesz już odejść - oznajmił Castleford. Radca prawny wyszedł.
- Przepraszam cię, że naciskałem na ciebie mocniej, niż trzeba było - powiedział Sebastian.
- Przyjmuję przeprosiny. Nie wyzwę cię na pojedynek i nie zabiję.
- Długo musiał szukać tych dokumentów?
- Bynajmniej. Przyniósł mi je już wieczorem w dniu twojej ostatniej wizyty. Nie zawiadomiłem cię o tym aż do dziś, bo miałem ostatnie wtorki bardzo zajęte.
- Oczywiście. Ale wtorki mają sporo innych godzin. Czy mi powiesz, kto spłacał swój dług tym młynem? To ważne.

Castleford zerknął ku karafce z brandy, ale najwyraźniej był teraz w lepszym humorze.

- Tak się składa, że w te wtorki musiałem załatwić wiele innych spraw, ale nie podoba mi się, że ktoś pragnął zatuszować własne przestępstwa, posługując się moim nazwiskiem. Bez wątpienia przypuszczał, że gdy podejrzenie padnie na mnie, śledztwu ukręci się łeb. Czasem całkiem miło jest być księciem, ale podobna nielojalność to, żeby tak rzec, ciągnięcie bezprawnych korzyści z cudzego tytułu, skoro się tym księciem nie jest. - Castleford stłumił ziewnięcie. - Proszę cię, usiądź.

Przypominasz mi mojego starego preceptora. On też lubił tak się kręcić po pokoju.

Sebastian usiadł.

- Podaj mi to nazwisko.
- Szczerze cię nie lubią w Komisji Zbrojeniowej, wiesz o tym? Używają najgorszych wyrazów, mówiąc o tobie. Oakes cię obgaduje, a Mulgrave ani trochę ci nie ufa.
- Czy spędziłeś ostatnie dwa wtorki na pogawędkach z wyższymi oficerami Komisji?
- Pletli coś bez sensu i pomyślałem sobie, że mogliby wyrazić się jaśniej. Stwierdziłem, że lubię, jak we wtorki wszystko ma sens.
- Bo jesteś wtedy trzeźwy.

- Stąd właśnie nuda. - Castleford pochylił się ku przodowi, z rękami wspartymi na poręczach fotela, i spojrzał na Sebastiana całkiem trzeźwo. - No właśnie. Zdaje mi się, choć nie przypominam sobie tego

z całą dokładnością - że otrzymałem ten młyn jako spłatę długu karcianego od Percivala Kenningtona.

- Od Kenningtona?

- Dziwne, co? Kto by pomyślał, że on się weźmie do handlu. A sądząc z tego, co wie Goodale, nie w pojedynkę. Jego przyjaciel Symes-Wilvert też w tym brał udział. Że też dwaj porządni synowie baronów musieli się schylać, całkiem dosłownie, nad młyńskim kamieniem, żeby wytwarzać proch!

Widocznie mieli jakiś ważny powód po temu.

Sebastian był tak zaskoczony, jak się tego spodziewał Castleford. Nigdy by się nie domyślił, że Pettigrew i Eversham byli znanymi mu osobiście ludźmi. Cóż oni sobie myśleli, do diaska? Zyski nie były warte ryzyka. A życie ze świadomością, że to oni spowodowali śmierć

niewinnych ludzi... O Boże, on chciał prowadzić to śledztwo dla Morgana, by brat mógł wymierzyć sprawiedliwość sprawcom, a tymczasem chodziło o jego najbliższych przyjaciół...

- Sądzę, Summerhays, że chciałeś być aniołem zemsty, a okazało się, że przypadła ci rola diabła.

Castleford nie odrywał od niego wzroku. Nie ze złośliwej satysfakcji. Było to spojrzenie starego przyjaciela, który czytał w jego myślach i miał powody, żeby odesłać stąd Goodale'a.

- Po co właściwie rozmawiałeś z oficerami Komisji?

- Żeby wyrazić najwyższe niezadowolenie. Każdy wie, że ci dwaj to para głupków. Kupiłbyś od nich proch? Do licha, ja bym nie kupił nawet zapalek, gdyby mi je chcieli wcisnąć. Mogliby mieć choć tyle sprytu, by nazwać spółkę imieniem ulubionego konia lub nazwiskiem ciotecznej babki, choć co to mnie obchodzi. Ludzie z Komisji powinni byli jednak wiedzieć, kto jest właścicielem tego młyna. A jednak wciąż kupowali od nich ten proch. - Rozsiadł się wygodniej w fotelu. - Ciekawe, dlaczego.

Castleford nie powiedział już nic więcej. Ostatnie zdanie mówiło za siebie. Książę, stary przyjaciel, dawał wyraz swej trosce o niego.

Obydwaj wiedzieli, że nie było możliwe, by Kennington i Symes-Wilvert sami potrafili sobie załatwić

kontrakt na dostawy prochu dla Komisji Zbrojeniowej.

Ktoś podjął się pośrednictwa w ich imieniu.

Kobieta wie, kiedy mężczyzna myśli o czymś innym, a nie o niej.

Audrianna wiedziała, że choć pieszczoty Sebastiana były takie same, jak przedtem, a pocałunki równie namiętne, uwagę jej męża zaprzęta jednak nie ona.

Pożądanie w niej osłabło. Nakryła dłonią jego rękę i przytrzymała na swojej piersi.

Nigdy nie hamowała go przedtem w niczym, co robili w łóżku, ale teraz, choć dali sobie rozkosz, Sebastian nie był tym pochłonięty całym sobą.

Zdawał się nie zauważać jej gestu. Długo jeszcze leżał w jej objęciach, z ręką nakrytą jej dłonią.

Potem usiadł i sięgnął po szlafrok.

- Przepraszam cię teraz.

I odszedł. Słyszała, jak się krząta za drzwiami gotowalni. Wstała i zajrzała tam. Wkładał ubranie i wciągał buty. Zauważył ją.

- Wychodzę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wydawał się zgnębiony i przygaszony. Nigdy go jeszcze takim nie widziała.

- Co cię nęka?

Zmusił się do uśmiechu, podszedł do niej i ucałował ją w czoło.

- Idź spać.

To się dotąd jeszcze nie zdarzyło. Nawet nie próbowała protestować. Wróciła do swego pokoju i wyjrzała spoza kotar na zewnątrz. Wkrótce ujrzała go w ogrodzie, stojącego w bladym świetle

księżycy. Może dlatego, że była noc, a może dlatego, że wyczuwałajego nastrój, wydał się jej tragicznie osamotniony.

Owinęła się długim szalem, włożyła pantofle, wzięła ze sobą świeczkę, żeby oświetlić drogę, i wyszła z domu. Z początku nie dostrzegł jej, tak bardzo zatopiony był w myślach. Chyba nie wiedział, że nie ruszył się z tego miejsca przez kwadrans.

Wreszcie ją zobaczył. Wyciągnął ku niej ramiona, gdy podchodziła do niego. Nie można się już było mylić. Był bardzo zgnębiony i zasmucony. Ona również poczuła smutek.

- Co ci jest?- spytała. Ucałował ją w czubek głowy.

- Męczy mnie pewien dylemat. Po raz pierwszy nie wiem, co począć. Nigdy się nie spodziewałem, że mogę się pomylić tak bardzo. Powinno się mnie zastrzelić za głupotę.

- Ale nie co do mnie, mam nadzieję.

- Nie. Jesteś wcieleniem dobroci i prawości. Chodzi o mego brata. Myślę - choć nie chcę go o to podejrzewać - że on od początku znał całą prawdę o tym prochu. Obawiam się, że... to jego

nieustanne interesowanie się całą sprawą nie było postawą człowieka pragnącego sprawiedliwości, ale człowieka

chcącego się upewnić, że rola, jaką odegrał, nie wyjdzie na jaw.

Mówiąc to, był cały spięty, ale gdy skończył, odzyskał spokój. Więcej to dla niej znaczyło niż wstrząs, jakiego doznała po jego słowach.

- Musisz mieć bardzo poważny powód, żeby tak sądzić. Ale wydaje mi się to jednak nieprawdopodobne.

Objął ją ramieniem i weszli między krzewy. W wilgotnym powietrzu nocy unosił się świeży wiosenny

aromat, tak odmienny od jego posępnego nastroju.

- Proch produkowano w młynie należącym do Kenningtona i Symes-Wilverta, dwóch jego przyjaciół, którzy odwiedzają go co tydzień. Zna ich od dziecka. O Boże, gotów jestem teraz zważać nawet i w to

ich oddanie.

- Mógł być nieświadomy tego, co robili jego przyjaciele.

- Może nie miał zupełnej pewności, ale całkiem nieświadomy nie był. Przypominam sobie teraz wiele

różnych rzeczy. Jego pytania, nawet jego troskę o ciebie. Myślę, że wiedział, i strasznie mnie to dręczy.

- Czy sądzisz, że on był inwestorem? Że dał im pieniądze? Z pewnością nie planował przecież przemytu i całej reszty. Nie wierzę, żeby był do tego zdolny.

- Sądzę, że użył swoich wpływów, żeby zagwarantować, że proch będzie się kupowało do celów wojskowych. Mam nadzieję, że we wszystkim innym nie maczał palców.

Zrozumiała, jaki musi w jego głowie panować chaos, bo sama go teraz w sobie poczuła. Zaczęła rozumieć złe nastroje Morgana i jego ataki melancholii.

- Co zamierzasz zrobić?

- Sam nie wiem. Być może nic. Albo też spróbuję wyjaśnić wszystko do końca. Ale nie poruszę z nim tego tematu, póki nie będę miał zupełnej pewności. Chciałbym o tym wszystkim zapomnieć, ale...

Nic nie powiedziała. To nie od niej zależało, jaką podejmie decyzję.

- Nie byłoby to jednak uczciwe ani sprawiedliwe - ciągnął. - niesprawiedliwe wobec tych żołnierzy, wobec tego okaleczonego kanoniera, którego świadectwo okazało się tu kluczowe. No i wobec ciebie.

Jak wiele znaczyła dla niego ta oddana jej sprawiedliwość? Na jej ojcu ciążyło teraz całe brzemie skandalu, a skoro byli też może jacyś inni winowajcy, nie wolno tego tak zostawić.

A jednak nie wyobrażała go sobie ujawniającego bratu swoje podejrzenia lub nawet prawdę. To nieodwracalnie zniszczyłoby więzy łączące braci. Lękała się, że zniszczyłoby to również coś, co zaczęło łączyć ich dwoje.

- Najpewniej chciał tylko pomóc przyjaciołom - powiedziała. - To przecież nie zbrodnia.

- Rzeczywiście, nie zbrodnia, jeśli zrobił tylko tyle. Jeśli jednak wszystko ujawnię, część hańby spadnie i na niego, obojętne, jaka była w tym jego rola. Myślę, że on o tym wie. I że się tego boi.

Nadal czuł straszliwą rozterkę, ale nie był już tak zagubiony. Audrianna zatrzymała się i objęła go.

- Teraz zaczynasz przypominać mi siebie takiego, jakiego znam. Jeszcze wewnątrz rozdarty, ale nie posępny. Widocznie świeże powietrze naprawdę cię orzeźwiło.

- To nie powietrze, tylko twoje dobre serce i współczucie. Rozejrzał się wokoło.

- Wiesz, gdzie jesteśmy?

Spojrzała za siebie. Zaszli aż do odległego zakątka ogrodu, gdzie ją zabrał, gdy po raz pierwszy odwiedziła ten dom.

- Chyba nie skończyłem jeszcze z tobą pewnej sprawy - powiedział. - Myślę, że powinienem do niej wrócić. Choć na chwilę zapomnę o tym piekle. Ucieknę z niego.

- Jesteś pewien, że zdołasz?

- Teraz myślę tylko o tobie.

I podprowadził ją do kamiennej ławki.

- Jak mam ci w tym pomóc? - Złożyła ręce jak do modlitwy, by pokazać tym gestem, że robi dla

niego

wszystko. - Jak w tę noc

chcesz się wyrwać z piekła? Czy to ja przemienię ci piekło w niebios, tak jak ty przemieniłeś je dla mnie, kiedy byłam całkiem zagubiona?

- Jeśli siądziesz na tej ławce i uniesiesz koszulę, zabiorę nas oboje do nieba. Obiecuję.

- Zaczekaj. Teraz ja będę przewodnikiem na drodze do niebios. Niech i mnie będzie to wolno zrobić, zgadzasz się? Kiedy będziesz zgnębiony albo staniesz przed dylematem.

Siadła na ławce, mogła więc rozpiąć mu spodnie. Oswobodziła go z nich, wzięła w dłonie jego

męskość, wzbudzoną w całej okazałości, i pieściła ją. Nie spieszyła się, żeby mógł doznać

najpełniejszej satysfakcji i zapomnieć o bezwzględnym świecie.

Pozwolił jej na to. Nie powstrzymywał jej ani nie odwzajemniał się podobną pieśczołą. Stał, gdy jej dłonie dotykały go i gładziły, i tylko wpatrywał się w nią czarnymi oczami.

Ją również to podnieciło, choć teraz tylko ona dawała rozkosz. Pocałowała go tam. Całe jego ciało zeszywniało i wygięło się w łuk. W pieśczołocie, która nie ustawała, pocałowała sam czubek.

Głuche,

chrapliwe westchnienie wydarło się z jego ust. Dotknął lekko dłonią jej głowy.

Zrozumiała. Już wiedziała, czego pragnął. Dotknęła go w tym miejscu językiem, a potem śmiało zamknęła je w ustach.

Zgryzoty uleciały. Oddał się jej cały. Odrzucił głowę w tył, gdy wprowadziła go w stan ekstazy.

Na schodach zapanowało zamieszanie.

Dobiegał stamtąd głos lady Wittonbury, przekrzykującej wszystkich. A potem zabrzmiał jeszcze donośniejszy niski głos Sebastiana, nakazujący markizie zamilknąć.

Audrianna wyszła ze swoich apartamentów, chcąc zobaczyć, co się dzieje. Zobaczyła Sebastiana, który wydawał rozkazy, godne feldmarszałka na polu bitwy.

Wittonbury siedział w drewnianym fotelu na szczycie schodów, w otoczeniu czterech lokajów. Dwaj inni stali w połowie schodów, zwróceniem twarzami do Morgana.

Lady Wittonbury podbiegła do niej.

- Zażądał, żeby go wyniesiono do ogrodu. Sama już nie wiem, czy się cieszyć, że zapragnął zmiany, czy bać, że mu to zaszkodzi.

- Nie sędzę, żeby świeże powietrze mu zaszkodziło. Uważam, że należy się cieszyć.

- Tak. Oczywiście. A jednak... - lady Wittonbury spojrzała z przygnębieniem na czynione przygotowania.

Lokaje ruszyli razem. Chwycili wszyscy za fotel, na znak Sebastiana unieśli go i zaczęli znosić na dół.

- Czy jesteś pewien, że cała służba stąd poszła? - spytał Wittonbury. - Wyglądam jak błazen i nie chcę, żeby nasze służące plotkowały o tym ze służącymi z innych domów.

- Wszystkie wyszły - zapewnił go Sebastian. - Wyniesiemy cię stąd raz dwa, a wniesiemy z powrotem

jeszcze prędzej, kiedy zechcesz wrócić.

Audrianna podziwiała troskę okazywaną przez Sebastiana bratu, który zdecydował się opuścić cztery ściany swego pokoju. Jak zawsze, zadbał o to, by bratu nie odebrano godności.

Nie rozmawiali ponownie o dylemacie związanym z prochem. Wiedziała jednak, że Sebastian nie

chciał jeszcze poruszać tego tematu przy Morganie. Nadal był jednak w rozterce i gdy poprzedniego dnia spędzili u markiza kilka minut, widziała wyraźnie, że Sebastian patrzył na brata w zadumie, nie mogąc jeszcze podjąć decyzji.

Lokaje znieśli fotel na półpiętro, po czym zeszli na dół. Morgan zobaczył matkę i ją.

- Chodźcie ze mną! - zawołał. - Nie zamierzam kontemplować widoku natury sam jeden!

Lady Wittonbury podbiegła do schodów.

- I ty także, siostrze. Urządzimy garden party.

Podążyli wszyscy za fotelem na taras, a potem na trawnik okolony dwiema ścieżkami wyłożonymi kamiennymi płytami. Lokaje postawili fotel na trawie. Fenwood otulił Morgana pledem, odszedł i stanął w dużej odległości od swego pana.

Lokaje i ogrodnicy przysunęli do fotela kilka żelaznych krzesełek. Z domu wyniesiono też mały stoliczek. Sebastian położył na nim przyniesione przez siebie dwie książki.

Spojrzał na zegarek kieszonkowy.

- Wszystko trwało zaledwie kwadrans. A w przyszłości będzie trwało jeszcze krócej; lokaje również cię wniosą do pokoju szybciej niż dzisiaj. Wystarczy, żeby Fenwood dał im polecenia.

Wittonbury skinął głową. Matka usiadła na żelaznym krzeselku i uśmiechnęła się z aprobatą.

Audrianna i jej mąż poszli ku domowi.

- Czy to był jego pomysł? - spytała.

- Morgan siedział przy oknie i podziwiał ogród. To ja powiedziałem, że powinien się tam znaleźć, i nie usłyszałem żadnego protestu.

- Wygląda na zadowolonego.

- On wie, że jest coraz bliżej wyzdrowienia. Czuje, że jest szansa na to, by żyć jak dawniej. Odbiera sobie nadzieję, a jednocześnie jej nabiera.

Spojrzał za siebie. Syn i matka rozmawiali ze sobą spokojnie.

- Byłoby to straszne, gdyby okrył się hańbą akurat wtedy, kiedy zaczniesz znów chodzić.

- Czy wiesz już, co robić?

- Nie. Odwaga mnie opuszcza, gdy próbuję z nim o tym pomówić. Sebastian odszedł do swoich spraw.

Morgan zaprosił Audriannę,

by usiadła w jednym z foteli, ale widząc kwaśny uśmiech lady Wittonbury, poczuła się jak intruz.

Siedziała tam niczym obserwator, a nie uczestnik. Widziała ożywienie Morgana, który był

zachwycony, nawet podniecony wyprawą do ogrodu. Wyczuwała w nim jednak, jak zawsze, melancholię i przeświadczenie, że za wcześnie jeszcze, by zgodzić się na odmianę losu.

- Cieszę się, że poświęciłaś mi trochę czasu - powiedział po półgodzinie do matki. - Wiem jednak, że musisz przyjąć wizyty, i powinnaś to zrobić. Audrianna dotrzyma mi tu towarzystwa, nim wrócę do domu.

Żadna inna kobieta nie dałaby po sobie poznać, że dostrzegła chęć pozbycia się jej. Ale nie lady Wittonbury. Potrafiła ranić swoją łaskawością niczym brzytwą. Odeszła, okazując milczący, ale jadowity gniew.

Morgan uniósł twarz ku słońcu i przymknął oczy.

- Jak tu ciepło i spokojnie. Co za cudowne rozleniwienie!

- Zdrzemnij się, a ja sobie tu posiedzę obok ciebie. Wydawało się, że istotnie zaśnie, ale po paru minutach powiedział:

- Czy się tu dobrze czujesz, Audrianno? Zyskałaś może jakichś przyjaciół?

- Dobrze się czuję i mam kilkoro nowych przyjaciół.

- Ciesz mi to. Mój brat jest ostatnio czymś bardzo zajęty. Dobrze byłoby, gdybyś na tym nie ucierpiała. - Rzeczywiście, jest zajęty. Dowiedział się czegoś o tym wadliwym prochu. Mój ojciec był

zapewne w tę sprawę zamieszany, ale inni również, i to dużo poważniej.

Morgan siedział nieruchomo, oczy nadal miał przymknięte, ale wyczuła, że obudziła się w nim czujność.

- A to ciekawe. Czego się jeszcze dowiedział? Opowiedziała mu o młodym artylerzyście, oznakowaniu baryłek

i odkryciu, jak się nazywała spółka. Opisała, jak podbierano proch i sprzedawano go przemysłnikom, i

jak kogoś w arsenale oraz jeszcze kogoś innego w Londynie przekupiono, by sobie zagwarantować zniknięcie raportów o złej jakości prochu.

Na tym skończyła. Nie powiedziała, że Sebastian wie, kto był właścicielem młyna podczas wojny.

Ujawniła mu jednak wystarczająco wiele, by się domyślił reszty, jeśli znał prawdę.

Morgan otworzył oczy i rozejrzał się po ogrodzie. Z pewnym smutkiem, ale także z dużym namysłem.

Odetchnął głęboko.

- W takim razie dowie się o tym wkrótce, jeśli jeszcze nie wie. -Przesłonił oczy dłonią. - Dzięki Bogu.

Zakrył twarz jeszcze bardziej, z trudem się opanowując, ale potem uspokoił się i spojrzał na nią.

Wyglądał na kogoś, komu szczerze ulżyło, ale był też przerażony i zrozpaczony.

Serce się jej ścisnęło z żalu.

- Dowiedział się niedawno o twoich dwóch przyjaciółach, ale nie jest pewien, czy chciałby poznać teraz całą prawdę.

- Oczywiście. Ale uzna wkrótce, że musi ją poznać. To honorowy wybór.

Spojrzał na swoje nogi.

- Uważałem, że to moja kara. Kiedy się dowiedziałem, co zrobili Kenny i Symes, i w czym im

pomogłem... nie można przecież posłać swoich najdawniejszych przyjaciół do więzienia lub skazać ich na jeszcze gorszy los... wtedy poszedłem na wojnę. Żeby odpokutować. A kiedy los zrządził, że muszę zapłacić jeszcze większą cenę, uznałem to za sprawiedliwe.

- Czy dlatego nie chciałeś wyzdrowieć? Uważałeś, że los zażądał od ciebie wyższej ceny?

- Nie, droga siostró. Zasługiwałem na taką karę, nie wierzyłem więc, żebym w ogóle mógł wyzdrowieć.

Wyciągnęła ku niemu rękę ponad stoliczkiem. Ujął ją w swoje dłonie.

- Czy twoi przyjaciele mają świadomość, że ty o wszystkim wiesz?

- O, nie. Myślą, że byli bardzo przebiegli, ale jeśli się kogoś zna przez całe życie, nie sposób niczego nie zauważyć. Z nimi też tak było. Jakieś półsłówka, jakieś uwagi całkiem nie w porę. Nowy powóz, na którego Kenningtona nie byłoby stać. Zaczęli też grać na pieniądze

w karty, czego przedtem nie robili. Podejrzywałem, że z tym młynem jest coś nie tak. Mieli jeszcze jakiegoś trzeciego partnera, człowieka, którego nie znałem. Namówił ich na ten interes, obiecywał

wielkie zyski. Spodobało im się to, bo żaden z nich nie był bogaty. Mówili, że zarobili na nim wręcz bajeczne sumy.

- Pewnie tak było, ale nie mogłeś wiedzieć, co oni naprawdę robią.

- Próbowałem to sobie wmawiać, ale wiedziałem. W tej ich radości z bogactwa było sporo strachu i poczucia winy. Mogłem je wyczuć. Bałem się, bo w końcu wstawiłem się za nimi. Kontrakt opiewał na moje nazwisko, nie ich. A potem nadeszły pierwsze wieści o tej masakrze. Na długo przed końcem wojny, zanim jeszcze zaczęto o tym pisać w gazetach, armia wiedziała już, że stało się coś bardzo złego na tamtym wzgórzu. Dowiedziałem się o tym w sposób znany wielu wpływowym parom.

Odwrócił wzrok, pokiwał głową i jeszcze mocniej ujął jej rękę. Chciał już zakazać mu mówienia, tak jawna była jego rozpacz. Skoro jednak zaczął, postanowił skończyć.

- Powiedziałem Kenny'emu i Symesowi, że przez ten proch stało się coś strasznego, i spytałem, jak do tego mogło dojść mimo wszystkich testów kontrolnych. Zażądałem, żeby mi to wyjaśnili. Byli przecież właścicielami młyna prochowego. Zaklinali się, że coś takiego nie mogło się zdarzyć. A jednak

się zdarzyło.

Spojrzał na nią wzrokiem tak przenikliwym, jak jego brat.

- I wtedy już wiedziałem. Wiedziałem, że chodziło o ich proch, o proch z tego młyna. Poznałem po ich twarzach i głosie, że oszukują mnie. Żaden z nich nie był sprytny ani chytry, ani nie potrafił

zręcznie kłamać. Nakłoniłem armię do kupowania prochu od dwóch głupców, a wskutek tego zginęli ludzie.

Wiedziałem też, że nigdy sobie tego nie wybaczę.

Dlatego więc swoje uwięzienie w domu spowodowane kalectwem uznał za zasłużone. Wyobraziła

sobie, jak czekał na ujawnienie prawdy, mając nadzieję, że brat dowie się wszystkiego, ale też czując jednocześnie trwogę.

Co takiego powiedział Sebastian? „Robię to dla niego”. No i zrobił, ale rezultat okazał się nieprzewidziany.

- Powtórz Sebastianowi, co ci teraz mówiłem, skoro postanowił dalej prowadzić śledztwo, bo nie chcę, żeby mnie o to wypytywał. Zasługuje na coś lepszego niż konieczność przesłuchiwania

własnego brata. Nie mógłbym też spojrzeć mu w twarz. Chyba mogę równie dobrze być tchórzem teraz, jak i na początku.

- Nie byłeś tchórzem. To nie ty popełniłeś przestępstwo. Oszukało cię dwóch dobrych przyjaciół.

- Należało się domyślić, że nie byłiby dobrzy w niczym. Kenny i Symes inwestują w młyn prochowy?

Mój brat od razu by w nich zwątpił, jak ja powinienem był zwątpić. Powinienem był też zażądać

spotkania z człowiekiem, który ich do tego namówił. Powinienem być powiedzieć Sebastianowi, kogo

ma szukać, kiedy zaczynał śledztwo, a nie trząść się ze strachu o resztkę godności, której mi nie zabrało kalectwo.

- Przecież nie powstrzymywałeś go od śledztwa, tylko zachęcałeś do niego. W przeciwnym razie nie mógłby go ciągnąć.

- Mordercy też chyba mają w duchu skrytą nadzieję i właśnie dlatego nie czują strachu, że zostaną złapani. Dusza przeczy niekiedy samej sobie. Przekonałem się, że moja także. - Uniósł jej dłoń i ucałował ją. - Żał mi, że imię twego ojca zostało w to wplątane, Audrian-no. Gdy tak się stało, spytałem ich, czy go znali jako człowieka, który dał się przekupić. Obydwaj powiedzieli mi, że nie, i jestem pewien, że mówili prawdę.

- Mój ojciec dawał końcowe zezwolenie na dystrybucję prochu. Gdyby raporty o złym prochu nadesłano do niego z arsenału, musiałby je widzieć. Chciałabym wierzyć, że ufasz opinii swych przyjaciół, ale istnieją powody, by go podejrzewać.

Morgan zaprzeczył jej nieznacznym ruchem głowy.

- Kimkolwiek był ten urzędnik Komisji Zbrojeniowej, nie mogło chodzić o twego ojca. Było to zresztą

najgorsze z tego wszystkiego -świadomość, że jakiś porządny człowiek cierpiał i umarł z powodu mojej słabości. Nigdy nie sądziłem, że popełni samobójstwo. Kenny i Symes też pewnie nie sądzili.

No i w ten sposób trzech głupców i tchórzów skrzywdziło twoją rodzinę.

Nie śmiała mu wierzyć. Kłamał, żeby oszczędzić jej bólu, i to wszystko. A jednak wstąpiła w nią nadzieja i była mu wdzięczna za jego słowa, nawet jeśli nie mówił prawdy.

Puścił jej rękę, wyjął chustkę i wytarł nią twarz.

- Katolicy mówią, że spowiedź przynosi duszy ukojenie. Może mają rację.

A potem powiedział Fenwoodowi, żeby wezwał lokajów.

Tej nocy dała Sebastianowi tyle miłości, ile tylko potrafiła. Płonęła, całowana i pieszczona, upajając się jego zapachem, jego dotykiem. Przyjęła go w siebie, obejmując mocno, i poruszała wraz z nim w zgodnym rytmie, aż wspólnie ulecieli na szczyt niewysławionej rozkoszy.

Opadła na niego z sercem przepełnionym uczuciem, z którym mu się oddawała. Pamiętała dobrze, jak

niedawno temu pragnęła, by przyznał, że mylił się co do jej ojca. Jak oskarżała go, że przez niego tyle wycierpiała. Potem jednak nadeszła chwila, kiedy zdała sobie sprawę, że się nie mylił.

Trzymała go w objęciach, przytulona mocno do niego. Przechyliła głowę na bok, tak by jej usta znalazły się przy uchu Sebastiana.

- Myślałam o twoim dylemacie. Sądzę, że najlepiej byłoby dać sobie spokój z tym śledztwem.

Objął ją jeszcze mocniej i przekręcił się tak, że teraz ona leżała na plecach, a on mógł widzieć jej twarz.

- Uważasz, że powiniennem zaprzestać dochodzenia teraz, kiedy ono dotyczy i mojej rodziny?

- Cokolwiek zrobił twój brat, zapłacił za to wysoką cenę.

- To dwie różne sprawy. Przyznaję, jego położenie jest tragiczne i cierpi. Ale nie z powodu tego, co uczynił.

A więc on tak uważa. Morgan pozwolił jej co prawda powtórzyć Sebastianowi to, co jej powiedział, ale nie zrobi tego. Gdyby Sebastian zyskał pewność, że brat jest uwikłany w tę sprawę, mógłby dojść do przekonania, że za nic nie może poniechać śledztwa.

- Jeśli go o to spytasz i oskarżysz, rozdzieli was przepaść, niezależnie od twojej prawości i tego, co on powie.

- Do licha, czy sądzisz, że o tym nie wiem?

Sebastian znów się przekręcił na łóżku, tym razem już bez niej. Z dała od niej. Leżał na plecach, aj ego profil ostro rysował się w świetle stojącej daleko na stole lampy.

- Czy w takim razie nie byłoby lepiej po prostu nie wiedzieć?

- Myślałem, że chcesz wiedzieć wszystko. Znać prawdę. Jeśli teraz rzucę tę sprawę, to nie będzie sposobu, żeby oczyścić z podejrzeń twego ojca, jeśli był niewinny.

- Frans mówił...

- Frans znalazł jego nazwisko w gazecie - przerwał jej. - A teraz, kiedy już wiesz o tych wszystkich machinacjach, knowaniach i niebezpieczeństwach, jakimi groziły, nie jestem już przekonany, że twój ojciec odgrywał w nich jakąś rolę. Wręcz przeciwnie.

A więc również to go dręczyło, gdy rozważał, co ma wybrać: obowiązek czy brata, którego kochał.

- Przestępcy zwróciliby się do kogoś, kogo znali i komu ufali, a nie do osoby całkiem im obcej.

Byłoby to zbyt ryzykowne - wyjaśnił. - Wpędziliśmy do grobu niewinnego człowieka, o czym byłaś od początku przekonana. Nie będzie już żadnego zadośćuczynienia, nie tylko dla niego, rzecz jasna,

ani nawet dla ciebie, ale przynajmniej zostanie mu przywrócone dobre imię. Kłopoty mego brata to mała cena za wymierzenie sprawiedliwości.

Cierpiała, choć rana już nie krwawiła. Czowała się winna, choć wiedziała już, co zrobi, zwłaszcza odkąd Morgan powiedział, że ojciec odzyskałby dobre imię. Jej własne śledztwo wydało się jej nieistotne

teraz, gdy widziała, jaką udręką jest ta decyzja dla Sebastiana.

- Będę pamiętać ojca takim, jaki był. Nie chcę, żeby ktoś inny zajął jego miejsce jako ofiara. Jeśli podejmiesz decyzję, nie rób tego ze względu na mnie.

Znów odwrócił głowę tak, żeby ją mógł widzieć, i patrzył na nią długo. Poszukał ręką jej dłoni.

- Czasami czuję się przy tobie taki mały. Ofiarowujesz mi samą siebie w taki sposób, że...

Znów zmienił pozycję. Leżał teraz na niej. Stykali się całą powierzchnią ciał, wtuleni w siebie.

Wpatrywał się w nią, tak jakby chciał przeniknąć wzrokiem do wnętrza jej duszy.

- Dlaczego dajesz mi siebie, jeśli prawda jest dla ciebie tak ważna? Paliło ją w gardle, ścisnęło się boleśnie serce.

- Bo ty jesteś teraz dla mnie ważniejszy.

- A więc to dar miłości? - spytał cicho.

Było to nieoczekiwane i trudniejsze do przyjęcia, niż myślała.

- Tak, to dar miłości, Sebastianie.

Nadal był zamyślony, nadal się w nią wpatrywał, ale uśmiechnął się.

- W takim razie przyjmuję go z miłością, Audrianno. Z większą miłością, niż możesz sobie wyobrazić.

Z tak wielką, że niemal mnie zabija.

Ból jej przeistoczył się w radość. Cudowną, oślepiającą radość, jakiej jeszcze nigdy nie знаła.

Radość była w niej, była wokół niej. Śmiała się, szczęśliwa, zachwycona. On śmiał się również, ku zdziwieniu i jej, i jego, a potem pocałowali się najmocniej, jak mogli.

Wystarczył jeden jego ruch, by przyjął go w siebie. Wniknął w nią i oba ich ciała pulsowały w tym samym rytmie, co serca. A potem znów się zamyślił.

- Teraz, kiedy wiem, że mnie kochasz, przekonam się, czy jest inaczej. Myślę, że tak. Ciekawe.

- Co jest inaczej? Zastanawiał się przez chwilę.

- Przeogromne pożądanie będzie takie samo, to pewne. Ale będzie także... absolutne, bezgraniczne zaspokojenie.

Uniósł się trochę, a ona zachichotała.

- A także szczęście tak wielkie jak pożądanie. A także... - przymknął oczy, delektując się tymi rozważaniami - także satysfakcja z niezachwianej pewności, że należysz do mnie cała.

- To ostatnie nie brzmi zbyt romantycznie. Wygiął się tak, by dosięgnąć ustami jej piersi.

- Może zaślepie mnie miłość, ale wciąż jestem mężczyzną, Audrianno.

Jego język zataczał kręgi wokół jej sutków w cudownej torturze. Ta pieszczota bardzo szybko

rozpaliła ją dzikim pożądaniem. Krzyczała w miłosnym szale, wstrząsana falami rozkoszy. Nie

wzbraniała się przed niczym, do czego ją namawiał, a on miał niezachwianą pewność, że ona należy do niego całkowicie, takjak tego pragnął.

A potem chciała już tylko, żeby wszedł w nią i wypełnił sobą. Radość z oddawania się mu spłynęła stamtąd, z tych cudownych doznań, gdy w niej się poruszał. Te ruchy, zdecydowane, niespieszne, dogłębne, stopniowo potęgowały rozkosz, aż niewypowiedzianie przejmujący dreszcz wstrząsnął całym jej ciałem.

Nie traciła świadomości. Nie zapamiętywała się. Chciała czuć wszystko, chciała go kochać. Nawet gdy dochodziła szczytu, gdy ów dreszcz wzbierał w niej, przeszywał ją i wyrывał z niej krzyk rozkoszy, zachowała przytomność.

Tworzyli jedność, wiedząc, że musi się to dziać właśnie tak, że nigdy nie zapomną ani jednego momentu złączenia się w tym miłosnym akcie. Olśnieni czystą pięknnością ich wszechogarniającej wzajemnej miłości, patrzyli sobie w oczy, gdy narastała w nich namiętność i gdy stopili się w jedno w eksplozji spełnienia.

- Czy mu powiedziałaś? Nic o tym nie wspomniał. Siedzi podczas śniadań, jakby o niczym nie miał pojęcia.

Morgan zadał jej to pytanie kilka dni później. Wezwał ją nawet do siebie w tym celu.

- Nie. Nie powiedziałam - odparła zgodnie z prawdą. - Chyba postanowił uporać się z tym w inny sposób.

Morgan zmarszczył brwi. Czyżby żałował, że musi zostać sam ze swoim poczuciem winy? Może

naprawdę pragnął, by spotkało go publiczne potępienie.

- Niezależnie od tego, jaką podejmie decyzję, nie zgodzi się na to - wskazała jego fotel. - Będzie z tobą toczył walkę, bo jest przekonany, że pewnego dnia będziesz znów chodzić.

- Jeśli zacznę chodzić, jego znaczenie i pozycja będą o wiele mniejsze.

- Nikt ich nie może umniejszyć. Nie chce, żebyś mu złożył życie w ofierze, nie pragnie twego kalectwa. Chętnie ci zwróci wszystko, jeśli gotów będziesz to przyjąć.

Nie wyglądał na przekonanego.

- Czy on ci to powiedział?

- Nie musiał mówić. Wiem o tym. Uśmiechnął się sceptycznie.

- Wiem - powtórzyła z naciskiem, nieco zniecierpliwiona. Zaskoczyło go to. Zakończył rozmowę, wyciągając z kieszonki

zegarek.

- Kennington i Symes-Wilvert wkrótce tu będą. Daj znać Fen-woodowi, żeby mógł przez jakiś czas posiedzieć przy oknie, nim się zjawią. Wróć tutaj, kiedy on już mnie tu posadzi.

Wyszła do przedpokoju i wysłała Fenwooda do Morgana. Kiedy wrócił od markiza, poszła znów do Morgana. Siedział tuż przy otwartym oknie.

- Jaki świat jest piękny - wyszeptał. Stała przy nim i spojrzała przez okno na ogród, na barwne klomby wśród zieleni i szare, wykładane kamiennymi płytami ścieżki.

Gdy tak wspólnie podziwiali piękno ogrodu, w polu widzenia pojawiła się jedna głowa, a potem dwie

inne. Trzej mężczyźni weszli do ogrodu i pojawili się na ścieżce.

Morgan zaniepokoił się.

- Cóż on robi najlepszego? Po co ciągnie ich ze sobą?

Audrianna nie wiedziała. Z tamtych trzech najczęściej mówił Sebastian, choć tu, w pokoju, nie słychać było słów. Dwaj pozostali słuchali. Z kamiennymi twarzami.

- Chyba się myliłaś - powiedział markiz. - Najwyraźniej mój brat zażądał, by zatriumfowała sprawiedliwość.

Kennington i Symes-Wilvert nie mieli nic do powiedzenia. Nie próbowali nawet się bronić czy

usprawiedliwiać. Wbili wzrok, przestraszeni, w ziemię.

- Nie przypuszczaliśmy... - zaczął Kennington. Jednakże to, co zamierzał powiedzieć, musiało się wydać żalosne nawet jemu, więc urwał.

- Jestem pewien, że do głowy wam nie przyszło, że żołnierze podczas bitwy będą mieli do dyspozycji

tylko ten sfalszowany proch - odezwał się Sebastian.

- Dokładnie tak było - potwierdził Kennington. - Powiedziano nam, że wszystkie baryłki ulegną podczas transportu przemierzaniu, no i zawsze trafi na pole bitwy jakaś z dobrym prochem, jeśli wyjdzie na jaw, że w którejś jest zły.

- Kto wam tak powiedział? Nie wierzę, żebyście sami wymyślili podobny proceder.

Sebastian nie miał na myśli ich charakteru. Nie wierzył po prostu, że tych dwóch głupców było na tyle bystrych, by uknuć tak wymyślne oszustwo i zrealizować niegodziwy pomysł.

Symes-Wilvert spojrział na Kenningtona z lękiem.

Kennington przygryzł dolną wargę.

- Jeden człowiek zaznajomił nas z tym pomysłem. To on wszystko wymyślił. Należał do mnie kawałek

gruntu nad rzeką w Kent, a on powiedział, że świetnie się do tego nada. Symes dał na to trochę pieniędzy jako swój udział. Pożyczył je od brata.

- Z początku myśleliśmy, że to będzie tylko zwykły młyn - jęknął z desperacją Symes.

- Tylko że nie był - odparł Sebastian. Obydwaj wbili wzrok w swoje buty, przygnębieni.

- Kim był ten człowiek? Ten trzeci partner? - dopytywał się Sebastian.

Kennington odchrząknął.

- Nazywał się Patterson. Pracował w wytwórni Waltham Abbey, wiedział więc, jak to robić. To był cały jego wkład.

- Nie widzieliśmy go już od roku - wybąkał Symes. - Słyszeliśmy, że zabrał wszystko, co zarobił, i wyjechał do Ameryki.

A więc tak to wyglądało. Ktoś o wiele chytrzejszy od nich dwóch wykorzystał ich głupotę. Patterson dobrze sobie wybrał partnerów. A upatrzył ich sobie dlatego, że ich najlepszy przyjaciel był

markizem powiązanych z Ministerstwem Wojny i Komisją Zbrojeniową.

- Jakiś czas temu ktoś zamieścił ogłoszenie, mówiące o spotkaniu w Świątyni Muz. Moja żona sądziła,

że skierowane było do niej. Myślę teraz, że to wy dwaj próbowaliście znaleźć człowieka, który postrzelił mnie w Brighton.

Kennington spurpurowiał.

- Przeraziłem się, kiedy ją tam ujrzałem. Sądziłem, że to ogłoszenie było z pewnością złożone, a on...

- Wiedzieliście o wydarzeniach w Brighton, o tym, że się tam znalazłem, tylko dzięki memu bratu. On wam o nim powiedział, a wy usiłowaliście znaleźć Domino szybciej ode mnie, żeby kupić sobie jego milczenie, niezależnie od tego, ile by wiedział.

- Wittonbury coś niecoś o tym wspominał - przyznał Symes-Wilvert. - Ale gdy tylko wybuchł ten skandal związany z oberżą, a my się przekonaliśmy, że jesteś w niego zamieszany, ty i córka

Kelmsleigha, pomyśleliśmy sobie, że dobrze by się było dowiedzieć, co wiesz. - Symes odchrząknął.

-

No i rzeczywiście tak to wyglądało.

- Wykorzystaliście mojego brata w haniebnym sposobie. Mam nadzieję, że wasze wizyty wynikały z

przyjaźni, a nie tylko z chęci wywęszenia, czego się dowiedział, a czego nie wie o waszym przestępstwie. Albo może odwiedzaliście go, czując się winnymi podłej zdrady jego przyjaźni.

- Owszem, zawiniliśmy niemało, ale nie wmawiaj nam, że nasza przyjaźń nie była prawdziwa -

powiedział Symes-Wilvert z urazą.

Sebastian przyjrzał się im obu. Przyznali się do winy dosyć szybko. Zapewne spodziewali się tego od ładnych paru lat. A moralny sprawca, Patterson, żył sobie zapewne wystawnie w Ameryce.

- Myślę, że nie przysłużyło się to dobrze krajowi ani armii... - Sebastian urwał, bo wzruszenie nie pozwoliło mu dokończyć. Drobne wzruszenie, ale nie mógł sobie z nim dać rady.

Czterech lokajów wyszło na taras, dźwigając fotel, w którym Morgan siedział niczym król w lektyce.

Fenwood i Audrianna szli z tyłu.

Kennington i Symes-Wilvert zdumiali się na ten widok. Morgan wskazał gestem ręki na ogród i

powiedział coś do lokajów, którzy znieśli fotel po stopniach tarasu. Cały orszak zmierzał ku miejscu,

gdzie na ścieżce stał Sebastian.

Kennington uśmiechnął się radośnie na widok przyjaciela, który opuścił cztery ściany jego więzienia.

Morgan nie odwzajemnił uśmiechu.

- Mój brat, jak sądzę, powiedział wam już, co zdołał odkryć w sprawie waszego prochu. Uznałem, że nadszedł czas, by zaprzestać udawania, że sprawy nie ma i że ja o niej nie wiedziałem.

Wszyscy stali bez ruchu. Wyraz twarzy Kenningtona świadczył, że był zdruzgotany.

- To ty wiedziałaś? Och, Boże.

- Tak, wy głupcy, wiedziałem. I żałowałem, że przyjaźń popchnęła mnie do czegoś, co zdrowy rozsądek mi odradził, a potem do milczenia, chociaż powinienem był mówić.

Odprawił lokajów machnięciem dłoni.

- Audrianno, proszę cię, chodź tu, potrzebuję twojej pomocy. Spojrzała pytająco na Sebastiana, ale podeszła do fotela.

- Bliżej, droga siostró. Podeszła jeszcze bliżej.

Morgan zmierzył wzrokiem swoich przyjaciół, ale potem skoncentrował się na sobie. Uniósł się z fotela, zaciskając dłonie na poręczach, i powoli, z wysiłkiem wstał.

Nogi mu niemal się ugięły pod ciężarem ciała. Schwycił Audriannę za ramię, żeby nie upaść. Ze ściągniętą twarzą i płonącymi oczami stanął wreszcie o własnych siłach i spojrzał w twarz

zdumionym

przyjaciołom.

- Wyglądaliście tak, jakbyście odczuli ulgę, kiedy mnie wyniesiono z domu. Czy mój brat was rozgrzeszył z winy? Jakież to z jego strony wielkoduszne. Szkoda tylko, że to nie on powinien udzielić rozgrzeszenia.

Kennington i Symes-Wilvert znowu spuścili oczy i poczerwienieli. Wiedzieli już, że to nie przyjaciel do nich mówi. Zwracał się do nich markiz, gdy tak stał przed nimi, siłą woli utrzymując się na nogach.

Prawdziwy lord Wittonbury.

- Powiedziałem tej oto lady, że moim zdaniem dobre imię jej ojca zszargano skutkiem błędu. Nie była

to wina mego brata ani gazet, ani nikogo innego - poza wami. Mamy jego krew na rękach. Powiedźcie jej teraz prawdę, obojętne, jaka będzie, ale niech ją wreszcie pozna.

Sebastian spojrzał na Audriannę. Próbowwała unikać jego wzroku, ale w końcu ich oczy się spotkały.

Wiedziała. Kiedy ofiarowywała mu dar miłości, wiedziała wszystko. Dowiedziała się prawdy od

Morgana. A także i tego, że ta prawda mogła oczyścić imię jej ojca.

Był szczęśliwy, że teraz mówił jego brat. On by nie mógł tego powiedzieć, nie uzewnętrzniając swoich uczuć. Wzruszyło go do głębi, że chciała chronić męża przed udręką, jaką byłoby ujawnienie roli odegranej przez Morgana.

- W Tower działał przekupiony człowiek, który miał do czynienia z raportami i magazynami. Nie był

to pani ojciec, tylko urzędnik pracujący pod jego zwierzchnictwem. Mógł on usuwać raporty o złym prochu, jeśli któryś z nich dotyczył naszego młyna, jak również zamieniać je po złożeniu na nich przez pani ojca aprobującego podpisu - wyrecytował

stłumionym głosem Kennington.

- Gorąco przepraszamy, madame - wybełkotał Symes-Wilvert.

- Pewnie, że należy przeprosić - i ją, i wiele innych osób. Ale to nie wystarczy. I wy wiecie o tym -

ciągnął Wittonbury. - Podacie nazwisko tamtego człowieka memu bratu, wraz z nazwiskami wszystkich innych ludzi, którzy uknuli to oszustwo razem z wami.

Spojrzał na Sebastiana.

- A wtedy on i ja zrobimy to, co trzeba będzie zrobić. Kennington i Symes-Wilvert wyglądali tak, jakby dzielono ich

ciężką pałką. Nie ośmielili się nic powiedzieć, ukłonili się i odeszli pospiesznie ogrodową ścieżką.

Wittonbury podniósł głos, każąc im się zatrzymać. Nie mógł się do nich odwrócić, mówił więc w powietrze:

- Niezależnie od tego, co będzie, pozostajecie nadal moimi przyjaciółmi.

Nie ujrzał już ich zdumienia. Do głębi przejęci strachem, odwrócili się i opuścili ogród.

Morgan skrzywił się. Nie mógł już dłużej ustać na nogach.

- Pomóż mi usiąść, Sebastianie, i to zaraz, bo padnę na twarz i pociągnę za sobą twoją drogą żonę.

W ogrodzie zapanowała cisza, którą przerywał tylko cichy szmer jej kroków. Audrianna szła krętą

kamienną ścieżką, rozmyślając nad sceną, która się tam tak nieoczekiwanie rozegrała. Sebastian odszedł razem z bratem. Zapewne pragnęli pomówić ze sobą w cztery oczy.

Ona również pragnęła odbyć kilka rozmów. Nazajutrz pojedzie do matki. Zasłużyła na to, by się jak najszybciej dowiedzieć, że się nie myliła, gdy była lojalna wobec męża.

Audriannę naszły dawne wspomnienia. Nie budziły już w niej jednak gniewu ani strachu. Nie chciało się jej też płakać. Wspominała ojca z dawnych, lepszych czasów i przyniosło jej to radość, a nie ból.

Po wyznaniach przyjaciół Wittonbury'ego ogarnął ją cudowny wręcz spokój.

Morgan miał rację, ci dwaj nie byli dobrymi kłamcami. Mówili prawdę, gdy twierdzili, że jej ojciec był niewinny. Była tego pewna.

Ujrzała teraz w wyobraźni jego twarz, o wiele wyraźniej i żywiej niż od miesiący, i dojrzała w jego ciemnych oczach uznanie. Uśmiechnął się i skinął głową, a jego obraz rozmył się i zniknął.

Za sobą usłyszała odgłos kroków. Nie zauważyła, że Sebastian wrócił do ogrodu. Ujął ją za rękę i dalej poszli już razem, uradowani osiągniętym dopiero co spokojem.

- Twój dar ofiarowany mi tej nocy był jeszcze bardziej bezinteresowny, niż sądziłem - powiedział mąż.

- Morgan zwierzył ci się wcześniej ze wszystkiego, prawda?

Skinęła głową.

- Chciał, żebyś się o tym dowiedział. I to ode mnie. Nie mogłam tego zrobić. Miałam nadzieję, że znajdziesz jakiś sposób, by mu oszczędzić hańby. Gdybyś już się o wszystkim dowiedział, honor by ci

nie pozwolił tak postąpić.

- Próbowałem. Zabronił mi. - Sebastian uśmiechnął się ze smutkiem. - Poprosił, żeby mu sprowadzić tego niemieckiego lekarza. Zanieśliśmy go na górę i wtedy powiedział, że wyjedzie za granicę, gdy już ta sprawa będzie wyjaśniona i wszystko wyjdzie na jaw. A potem wezwał do siebie matkę.

Audrianna spojrzała na okno biblioteki Wittonbury'ego. Czy lady Wittonbury ucieszy się, że dziedzic tytułu jej męża wraca do czynnego życia i odzyskuje władzę? Czy też raczej boi się, że czeka go po- hańbienie, które umniejszy i jej wpływy?

- Uważam, że jest dzielnym człowiekiem - powiedziała. - A także bardzo wielkodusznym, skoro nie odepchnął swoich przyjaciół.

- Byli przy nim, gdy wszyscy inni o nim zapomnieli. Teraz on ich nie opuści.

Zatrzymał się i wziął ją w ramiona.

- Cieszę się, że twój ojciec został oczyszczony z podejrzeń. Ze względu na ciebie, na mnie i naszą miłość. A tobie jestem wdzięczny za to, że wierzyłaś w niego, kiedy nikt inny nie wierzył.

- Wdzięczny?

- Gdyby nie twoja determinacja, nigdy byś się nie wybrała tamtej nocy do oberży Pod Dwoma Szpadami. Mógłbym cię nigdy tam nie spotkać ani nie skraść ci pierwszego pocałunku.

- Skradłbyś inny pocałunek jakiejś innej kobiecie i byłbyś bardzo z tego rad - drażniła się z nim.

- To by nie było to samo. Jesteś prawdziwą czarodziejką, kochanie. Ani mi jednak nie powstało w głowie, żeby zniechęcać cię do pochlebstw.

Uśmiechnął się swoim czarującym uśmiechem. A że nadal ją ten uśmiech oszołamiał i wytrącał z równowagi, spoważniał.

- Doprowadziłaś mnie do szaleństwa tamtej nocy, w oberży. To było... nieoczekiwane. Gdy czekaliśmy na sędziego pokoju, pomyślałem, że gdybyś się dała wtedy porwać uniesieniu, ten pocałunek mógłby naprawdę wlać we mnie nowe życie. Tak jak o tym piszą poeci.

To już nie były pochlebstwa. Sebastian mówił to z całą powagą. Nie roześmiała się.

- Niemal się zatraciłam w tym pocałunku - wyznała. - Potem już nie mogłam cię nienawidzić.

- Aprobowałaś? Roześmiała się.

- O, tak!

- No cóż, przynajmniej nigdy ci się nie wydałem nudny. Zarzuciła mu rękę na szyję.

- Nie, tak nie uważałam nigdy. A teraz kocham cię tak mocno, że nie mogę pomieścić w sobie tej miłości. Pocałuj mnie, żeby mogła ona znaleźć ujście, bo w przeciwnym razie rozpadnę się na

miliony

cząsteczek.

Pocałował ją i był to pocałunek godny pióra poetów, nie do zapomnienia przez resztę jej życia.